

ZBIORNIKA W BIBLIOTECE



MILENA  
WYBRANIEC  
**WCHODZISZ  
DO GRY**

*Oficynka*

**Milena Wybraniec**

**Wchodzisz do gry**

Copyright © Oficynka & Milena Wybraniec, Gdańsk 2013

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2014

Opracowanie edytorskie książki: kaziki.pl

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz | [www.damasiewicz.idesigner.pl](http://www.damasiewicz.idesigner.pl)

Zdjęcie na okładce © Zdenek Kintr | [Depositphotos.com](http://Depositphotos.com)

Skład: [www.dialoog.pl](http://www.dialoog.pl); [biuro@dialoog.pl](mailto:biuro@dialoog.pl)

ISBN 978-83-64307-36-2

[www.oficynka.pl](http://www.oficynka.pl)

email: [oficynka@oficynka.pl](mailto:oficynka@oficynka.pl)

Konwersja do formatu EPUB/MOBI:

Legimi Sp. z o.o. | [Legimi.com](http://Legimi.com)

## Prolog

31 sierpnia 2012 roku, piątek, g. 16:30



Terenowe auto przecina wyschnięte jezioro. Spękana powierzchnia rozpada się pod naciskiem bieżnika opon. Brzegi zaschniętego błota kruszą się w nieregularnej sieci spękań, a pył za kołyszającym w nierównościach kanciastym samochodem unosi się jak wstęga. Na wyschniętej glebie zostają jedynie dwa ślady.

Brodaty mężczyzna siedzący za kierownicą wystukuje kciukami rytm melodii słyszanej z radia. Jedzie sam. Przez chwilę ciężko wzdycha, spoglądając na porysowaną tarczę zegarka. Przygryza wyschnięte od upału usta i zaczyna gwizdać. Jego zmęczony wzrok przeczesuje zachodni horyzont, później biegnie na ekran urządzenia GPS. Strzałka ma nadal kolor zielony. Nie zboczył z trasy. Chociaż tym razem wybrał drogę na skróty, przez zwykle omijane bezdroża ukraińskiego stepu.

– Jankowski, czy ty zawsze musisz się spóźnić? – po chwili mówi sam do siebie i przekręca pokrętło głośności przy radiu. Niestety nic się nie dzieje. Robi to ponownie i też bez oczekiwanego rezultatu. – Cholera, ty też nie działasz. Czy tu wszystko już zwariowało od tej piekielnej temperatury? – Uderza lekko w plastik obudowy radia. Jednak nie słyszy wyraźniej słów piosenki. – Diabli by to! – warczy, zaciskając zęby.

W końcu macha prawą ręką w geście rezygnacji. Wywija mocniej mankiety swojej kraciastej bawełnianej koszuli i trąca metalową postać św. Krzysztofa wiszącego na krótkim rzemyku przy wewnętrznym lusterku auta.

– Ty stary ośle, masz pięćdziesiąt cztery lata, dorobek naukowy większy niż niejeden bufon na Sorbonie i nawet podobasz się kobietom, co prawda tylko tym po czterdziestce – dodaje ciszej. – Ale się niczego nie nauczyłeś – śmieje się sam do siebie. – Oj, doktorku, że też dałeś się na to namówić – mówiąc to kręci głową.

Przyśpiesza, gdy dostrzeżga na horyzoncie cel swojej dzisiejszej przejażdżki. Kolejna stacja odwiertu.

Po kwadransie jest już u celu. Zatrzymuje samochód w tumanie kurzu zaraz przy szarym namiocie. Wyłącza silnik i wkłada biały kask na głowę. Zakrywa nim ciemne kręcone i wyraźnie siwiejące włosy. Widać, że robi to dość niechętnie. Gdy zwija mapę leżącą na siedzeniu obok, ktoś krzyczy do niego po ukraińsku z głębi obozu.

– Zaraz, zaraz! – Jankowski odkrzykuje po polsku.

Wysiada, trzaskając mocno drzwiami. Pył znów wzbija się w zastygłe

w bezruchu powietrze. Jankowski ignorując kolejne pokrzykiwania, idzie w kierunku białego kontenera, gdzie agresywnie operujące słońce wdziera się przez niedomknięte okno. Mruży oczy, bo jego promienie rażą, odbijając się od błyszczących metalowych okuć. Na nic zda się ledwo działająca klimatyzacja. W środku i tak jest około czterdziestu stopni. Uroki stepu.

Kolejne powitanie. Brodacz odpowiada przyjaznym podniesieniem dłoni w kierunku mężczyzny w podobnym kasku i słuchawkach na głowie.

Wyraźnie słyhać hałas świdra. Rytmiczną pracę pompy. Spalinowe silniki warczą, napędzając cały obieg. Płuczka cieknie po rurach i wylewa się korytem. Przy cysternie kolejny pracownik kontroluje ciśnienie. Głośny gwizd przerywa monotonię dźwięków i nagle wszystko cichnie. Jankowski sięga do klamki, ale jeszcze na moment wstrzymuje się przed wejściem do kontenera. Rzuca spojrzeniem w kierunku pionowej konstrukcji odwiertu. Diamentowe wiertło zapada się, nagle trafiając na skalną pustkę.

– Dziewięćdziesiąt osiem metrów, panie Darku – krzyczy do niego półnagi mężczyzna w kasku, gdy silny strumień wody wypływa z niewielkiego otworu. – Tak jak w ostatnim.

– Tak trzymać! – odpowiada mu po ukraińsku, otwierając drzwi do metalowej prostokątnej puszki z napisem cyrylicą „Biuro odwiertu”. – Tylko mi to dobrze zabezpieczyć! – Podnosi z uśmiechem kciuk prawej ręki, a po chwili znika za blaszaną ścianą. – Już jestem, profesorze – oznajmia swoje przybycie.

Siedzący przy biurku zupełnie łysy profesor gryzie się w język i niekształtnie układa usta, jednak nie reaguje na widok stojącego w progu ponad dziesięć lat młodszego mężczyzny, Dariusza Jankowskiego, swojego byłego doktoranta, który nie wiadomo z jakich powodów nie chciał się u niego habilitować. Przepadł za to, jak wygnaniec łagrów w tym zapomnianym przez boga, a nawet przez samych Ukraińców miejscu.

Jankowski zdejmuje biały kask i odkłada na krzesło. Podchodzi bliżej do mężczyzny przy biurku. Wymieniają krótkie spojrzenia. Jednak brodaty geolog szybko odwraca wzrok na wykresy rysujące się na monitorach. Przełącza coś na pulpicie, a drukarka w kącie zaczyna wypluwać wstęgę papieru.

– Długo kazał pan na siebie czekać, doktorze Jankowski – udawana reprimenda wychodzi praktycznie przez zaciśnięte w skupieniu zęby profesora.

– Przepraszam, profesorze Wiśniewski, ale w tamtym odwiercie dopiero dziś skończyli. Musiałem porównać wyniki. To ważny moment – Jankowski próbuje usprawiedliwić swoje spóźnienie, podchodząc do dzbanka z wodą.

– Jankowski, ty już się nie tłumacz. Znam cię – profesor Wiśniewski karcii go wzrokiem.

– Wody? – w odpowiedzi pyta. Wiśniewski odmawia, kręcąc głową. Dariusz Jankowski nalewa tylko do jednej grubej wyszczerbionej szklanki i upija całą

zawartość. – Ale upał... – dodaje, wzdychając.

Powoli staje za plecami siedzącego profesora, który przebiega wzrokiem po liniach wyrysowanych na mapie. Skupia się na najciemniejszym zakreskowanym obszarze. Jeszcze raz kontroluje litologię i głębokości w zaznaczonych odwiertach. Przerzuca kolejne zadrukowane kartki, omiata wzrokiem wykresy, analizuje tabele, coś w myślach przelicza. W końcu cmoka wymownie, informując stojącego obok młodszego naukowca o pełnym uznaniu dla jego pracy. Jednoznacznie kiwa na „tak” głową.

– Świetna robota, doktorze Jankowski. Zabieram to do Krakowa. I w Warszawie też się z tego ucieszę. To będzie sensacja. Ogłóście to jak najszybciej. Profesor Strzymiński już na pana czeka w Kijowie – śmieje się sam do siebie, poprawiając ułożenie okularów na nosie. – Przyda się panu porządny urlop. – Klepie Jankowskiego po ramieniu. – Musicie to wszystko dokładnie opisać. Ten nasz mały świątek naukowców wreszcie się o czymś dowie. Złoża impaktowe na Syberii... impaktowe... hm... To musiał być cholernie wielki meteoryt. Cholernie.

– Dziękuję, profesorze Wiśniewski. Już wszystko jest zaplanowane na drugą połowę września. Ogłosimy to przy udziale niezależnej prasy. – Jankowski sięga po myszkę laptopa. – Będziemy też w internecie. Można nas podglądać – mówiąc to, mruży okiem. – Nawet znajomi z Instytutu w Nowosybirsku obiecali przyjechać. Trochę nam zajęły te szczegółowe badania. Mieliśmy czas się dobrze poznać. – Wąsy Jankowskiego unoszą się w szczerym uśmiechu. – Ale ja już nie chcę tam wracać.

– Bardzo dobrze, doktorze Jankowski. Bardzo dobrze. Tylko uważajcie na tych z MCE Holding. Odetniecie im łatwy kąsek.

– Mam tu coś jeszcze. Moje ostatnie odkrycie... – Jankowski znowu się uśmiecha i klika kilka razy, poszukując właściwego folderu w rzędzie plików. – Proszę na to spojrzeć. To wyniki z ostatniego miesiąca, a planowane są jeszcze trzy odwierty. Jednak na wszystkich jest zgodność. Ten zbiornik jest olbrzymi i zasilany strumieniowo z głębszych formacji. Robili już próbne pompowania. Wczoraj dostałem wyniki.

Otwiera kolejne zestawy plików i przekrój nawierconej litologii w otworach. Palcem wodzi po niebieskich liniach i głębokościach.

– A jednak! – Wiśniewski aż podskakuje na krześle. Ociera otwartą dłonią pot z czoła i milczy, wnikliwie analizując ukazujące się dane. – Niemożliwe. Przecież tam miały być łupki – dziwi się. – To będzie niespodzianka. Jaka czystość! Tylko trochę głęboko.

– Tak. Trochę głęboko.

– Pozwoli pan, doktorze, że to też zabiorę ze sobą. Przejrzę na spokojnie, bo tu u pana... – Ponownie ociera pot z czoła i patrzy na niesprawny klimatyzator, który właściwie tylko wzbudza ruch gorącego powietrza.

– Tak, nie ma problemu. Zrzucę te dane na coś poręcznego. – Jankowski otwiera szufladę i zaczyna przewracać stare błyszczące płyty CD. – Gdzieś tu był...

– Może skorzystamy z mojego – profesor macha mu przed oczami pendrivem wyciągniętym z kieszeni obszernej lnianej koszuli. – Ja noszę taki na wszelki wypadek – śmieje się, zachłystując suchym powietrzem. – Tylko niech mi pan jeszcze zrobi skan tej mapy, bym ocenił rozmiary.

– Tak, tak, oczywiście – mówiąc to, Jankowski podchodzi do skanera. Rozgrzewa lampy.

– W poniedziałek zamierzam się jeszcze spotkać z profesorem Strzymińskim na konferencji w Mińsku. A na przyszłą sobotę zapowiedział się we Lwowie mój dawny doktorant. Tylko nie pamiętam teraz jego nazwiska. Zaraz sobie przypomnę...

– Proszę pozdrowić profesora, ale radziłbym zaparkować ze sporym oddaleniem od jego zielonej łady. Sieje postrach.

– Co pan mówi?

– Studenci w Sankt Petersburgu nazywają go „torpeda”. – Broda Jankowskiego znów się trzęsie.

– Mariusz piratem drogowym? – Profesor nie ukrywa zaskoczenia.

– Postrach szos i ludzi bez refleksu. Tylko broń boże proszę mu tego nie mówić.

– Nie, nie, oczywiście. – Wiśniewski kładzie wilgotny palec na usta. – Ale on chciał mi coś koniecznie pokazać. Chichotał w słuchawkę jak dzieciak. Może pan, doktorze Jankowski, wie coś na ten temat?

– Tak... – Jankowski wkłada mapę do skanera i patrzy na wiszący na ścianie obrazek św. Barbary przypięty przez jego zmiennika. – Mam nadzieję, że pan nie jest przesądny? – pyta po chwili zastanowienia.

– Nie.

– Nie wierzy pan w fatum?

– Nauka i przesądy nie idą w parze, doktorze Jankowski.

– No nie wiem. – geolog obraca mapę i znowu skanuje. – Ja wolałem „je” oddać, bo coś mi sprzęt zaczął nagle odmawiać posłuszeństwa. – Brodacz wymownie spogląda na klimatyzator, a później na złamany świder pod ścianą, który spowodował tygodniowe opóźnienie w harmonogramie wierceń.

– Je? – profesor dopytuje zaskoczony.

– Tak, te małe północno-syberyjskie znaleziska.

– Syberyjskie kamienie? – Wiśniewski pokazuje palcem na mapę. Jankowski kiwa głową. – Te kamienie z domniemaną impaktową genezą? Te z wyjątkową właściwością w zbliżonych formach, o których dwa lata temu Mariusz pisał artykuł?

– Dokładnie – Jankowski ponownie potwierdza.

– Te okazy spoza skali twardości naturalnych kamieni występujących na naszym globie? Te, których przeciętna wielkość sięga około siedmiu karatów?

– Te, których istnienie do konferencji w Moskwie powinno pozostać tajemnicą, bo z tego, co wiem, to do dziś ich datowania nie zostały potwierdzone. Nikt nie chce być ośmieszony – młodszy geolog dodaje z powagą. – Ale profesorze, jeśli te pierwsze wyniki to prawda...

– To teraz wszystko rozumiem – Wiśniewski przerywa mu.

– A ja, profesorze, nie do końca...

– Dlaczego?

– Bo później zdarzył się mały wypadek – Jankowski ostentacyjnie pokazuje obandażowane prawe przedramię. – Ale może to zwykły zbieg okoliczności.

– Doktorze, tośmy ze Strzymińskim niejedną wódkę razem wypili i chyba nic groźniejszego niż trzydniowy kac już mnie z nim nie spotka. Co może być tak strasznego w tych kilku okazach, które odkrył mój ulubiony podstarzały kawaler?

– Właściwie odkryliśmy je razem.

– Ja się nie boję, proszę mówić – profesor Wiśniewski nalega zaciekawiony i intensywnie wpatruje się w młodszego kolegę.

– Chodzi o starą legendę, a właściwie klątwę... – Jankowski mówi to z lekką obawą. Podchodzi bliżej okna.

– Panie doktorze! – Profesor się krzywi.

– Klątwę carbonado.

– Tak... Niektórzy wciąż wierzą w jednorożce – uśmiech profesora ma więcej z politowania niż zrozumienia dla dziwnych obaw kolegi. – To zwykłe bzdury!

– Ja też tak uważałem. – Jankowski przeciera zakurzoną szybę niedomkniętego okna, przez które wystawiona jest rura klimatyzatora. Patrzy na zachodni horyzont tonący we wzbudzonym przez pracowników odwiertu pyle. Milczy.

– O! – Wiśniewski nagle przerywa ciszę.

– Tak, panie profesorze? – Jankowski lekko przekręca głowę w jego kierunku.

– Przypomniałem sobie nazwisko tego doktoranta. Tkacki... Martin Tkacki. Ale wy chyba się znacie?

– Nie, nie bardzo.

Dariusz Jankowski zagryza mocno wargi aż bieleją. Później bierze głęboki wdech i głośno wypuszcza nosem powietrze. Urywa rozmowę, wracając wzrokiem za okno. I jeszcze intensywniej wpatruje się w niewyraźnie rysującą się linię horyzontu. Nadal patrzy na zachód.



18 września 2012 roku, wtorek, g. 19:45



Wychodzę z gabinetu, rzucając ostatnie spojrzenie na biurko. Wszystko ok. Ruszam wąskim korytarzem do recepcji. Jest przyjemnie cicho i pachnie drewnem sandałowym. Lawendowe ściany koją wzrok po całym dniu pracy, a odnowiona przedwojenna sofa kusi miękkością ułożonych na niej poduszek. I znów nie mogę się powstrzymać, by nie dotknąć rzeźbionej poręczy fotela w rogu. Jest twarde i ostre w wygięciach, ale palec biegnie obłym ruchem po ślimaczym zawijasio jak po krawędzi muszli przywłaszczonej sobie przez raka pustelnika. Przyjemne uczucie. Ale dziś nie mam czasu, by usiąść na wiśniowym obiciu i zapaść się głęboko w miękki atłas. Oddać się zapachowi drewna i posłuchać relaksującej muzyki, która płynie tu z głośników w każdym pokoju. Miejsce piękna i kobiecego relaksu opustoszało.

– No wreszcie! – spojrzenie recepcjonistki Moniki jest karcące, a jej usta układają się w mały ryjek. – Myślałam, że pani dzisiaj nie skończy. Zaraz zrobi się ciemno.

– Tak, wiem. Przepraszam, ale nie mogłam inaczej. Ta ostatnia pani miała tyle pytań.

– Wiem – wreszcie jej twarz łagodnieje i sięga po torebkę. – Zaraz pomogę. Wyjdziemy razem – bierze klucze do salonu i chwytą jedną z moich walizek. Jej ciężar szybko ją zaskakuje, zresztą jak wszystkich. – Panie jak zwykle były zadowolone, ale następne będą dopiero za miesiąc.

– Bardzo się cieszę – ruszam do drzwi.

Mój niebieski niepozorny bolid stoi na szczęście blisko. Pakuję rzeczy do bagażnika i zegnamy się z Moniką przyjaznym uściskiem.

– Do zobaczenia.

– Bezpiecznej drogi. – Ma ładny uśmiech.

Siadam na fotel o sportowym profilu i dopiero odczuwam ulgę. Płyta ze schowka. Jest. Nick Cave. Mrocznie, ale idealnie na drogę z gór. Odpalam i już wyjeżdżam z Jeleniej Góry.

Trasa na Bolków to marzenie. Nie ma tirów, ciągników. Mało aut. Jak zwykle jakiś przedstawiciel handlowy w nowym białym opłu chce się pościgać. Wyprzedza zadziornie i trochę z brawurą, ale z górki już go mam. Nie odpuszczam, a co! Teraz to on jest z tyłu i wdycha moje spaliny przez nawiew. A niech sobie nie myśli, że „baba” za kółkiem to prawie jak nawrót malarii czy asfaltowa dzuma. Samo zło.

Na tych kilku kilometrach zapominam o lęku, o tym, „co stanie się, gdy”, i wyłączam kontrolę trakcji. Test umiejętności i refleksu nie tylko dla większości

kierowców, a dla mnie to po prostu spora frajda. Droga jest kręta, ale opony o niskim profilu dają mi przewagę. W końcu biały opel zjeżdża na stację i pozdrawia długimi. Uśmiecham się, trącąc żółtą uśmiechniętą buźkę przy lusterku i na moment włączam awaryjne. I tak się już pewnie nie spotkamy, ale to zawsze dobrze robi na ego i akurat on zapamięta ten niewinnie wyglądający hatchback w kolorze *performance blue* z sympatyczną jasnowłosą niewiastą za kółkiem.

Przełączam na radio. Wiadomości przerywają dyskusję o narastającym światowym kryzysie. Boże, znowu to, ale może powiedzą coś o korkach lub utrudnieniach na trasie do Wrocławia. Kobięcy miękki głos czyta kolejne informacje. Zaraz będzie pogoda. „Zidentyfikowano ciała z awionetki, która uległa wypadkowi sześć dni temu pod Lwowem. Na pokładzie były dwie osoby. Nikt nie przeżył. Jedną z ofiar był profesor Józef Wiśniewski, znany geolog, pracownik PIG i wykładowca uniwersytecki. Pogrzeb odbędzie się w piątek na Powązkach w Warszawie. Od stycznia zapłacimy o 30% więcej za m gazu...”

Przełączam z powrotem na Cave'a. Samochód świetnie trzyma się w zakrętach drogi, jakby opony starały się zespolić z asfaltem. Czysta przyjemność jazdy. Będę szybciej niż myślałam. Koniec serpentyn. Mijając zieloną tabliczkę z napisem Strzegom, przypominam sobie o zaległym prezencie dla Angeli. Przecież dzwoniła wczoraj. Uśmiecham się sama do siebie. W oddali mijam jej granitowe królestwo zatopione w odłamkach skał, huku wybuchającego dynamitu i krzemianowym pyłe, który unosi się nad całym wyrobiskiem. Eksploatacyjne poziomy zaznaczają się tu niczym stopnie gigantycznych schodów, które prowadzą tam, gdzie człowiek nie powinien się zbyt głęboko zapuszczać. Tam gdzie nie ma już przewidywalności, bożej opieki, modlitw wysłuchanych przez górnica patronkę i duchy, chociaż sztygar powie ci inaczej.

Wyjmuję telefon z kieszeni i puszczam przyjaciółce „strzałkę”. Niech wiem, że o niej pamiętam. Angela szybko odpowiada urwanym sygnałem. Telefon odkładam do wnęki pod radiem.

Długa prosta do zjazdu na A4. Pedał gazu w dół. O tej porze roku szybko robi się ciemno i już nie widać malowniczych krajobrazów Karkonoszy. Za to z północy nachodzą mgły. Osadzają się w kotlinach i mniejszych zagłębieniach terenu, tworząc białą puchową kołdrę. Stado saren w oddali ucieka w popłochu. Przebiega na oślepie asfalt. Dostrzegam je i instynktownie wciskam pedał hamulca. Fiesta zwalnia. Mają czas, zdążą uciec i przeskoczą rów. Jedna z łań, ta ostatnia, nagle przystaje, stawia szpiczasto zakończone uszy i patrzy w moim kierunku. Jej oczy błyszczą czernią. Dziwię się, bo to bardzo płochliwe zwierzęta. Długo nie odrywa od mnie wzroku. Zwleka z ostatnim sprężystym skokiem na pobocze. Robi to dopiero, gdy włączam i wyłączam długie światła. Nie chcę zrobić jej krzywdy. Potrząsa głową, ale w końcu skacze. Jej smukły cień szybko znika

w nieoświetlonej przestrzeni za poboczem. To niespodziewane spotkanie wzmaga we mnie czujność.

Autostrada A4. I znów jest z górki. Samochód cicho syczy, stawiając opór przesyconemu wilgocią powietrzu. Jak zwykle mijam sekwencję autostradowych wiaduktów i karawanę tirów, w których kierowcy prowadzą ożywioną dyskusję przez CB Radio, chyba tylko po to, by nie zasnąć. Przegapiłam zjazd na Warszawę A8. Zwałam na Cave'a.

Jadę przez Wrocław. Już po 22:00. W tygodniu miasto o tej porze przechodzi w stan pozornego letargu. Łapie uchylonymi oknami blokowisk oddech po całym hałaśliwym dniu. Uspokaja krok przechodnia z otyłym mieszkańcem na krótkiej smyczy i ostatnim papierosem w ustach. Rzędy wysoko zawieszonych świateł ułatwiają wejście w spowolniony nocny rytm. Poddaję się mu. Zmieniam płytę na Depechów. I od razu brakuje mi słuchawek. Uciszyłabym ten fordowski dwulitrowy silnik.

Czerwone zmusza mnie do wrzucenia na luz. Powoli toczą się do świateł. Obok mnie staje srebrny passat. Zmęczony mężczyzna za kierownicą odwraca wzrok w moim kierunku, ja też patrzę na niego. Nie uśmiecha się. Milczy. Nawet nie słucha radia. Ale i tak w głębi widzę jego poukładany świat. Żona, dwójka dzieci i kredyt na własny dom. Perspektywa awansu, tylko musi się jeszcze trochę postarać. Doskonały plan i domknięty, bez możliwości wyjść awaryjnych, bez wielkich namiętności i emocji, które owładną nim znienacka. Odjeżdża.

Zielone i już jestem na Milenijnym. Snopy niebieskawych świateł przy filarach wdzierają się w nocne niebo nad zasypiającym miastem. Tylko Odra płynie niezmiennie swoim leniwym nurtem. Niepozorna, naturalna i zdradliwa, jak meandrujący wąż. Okiełznana w wałach, rozproszona na tysiąc mostów i wdzierająca się w samo serce Wrocławia. Przemykam obwodnicą śródmiejską tuż nad jej brunatną zmarszczoną taflą. Dziś wydaje się taka zwykła, bezbronna, niewieścia. A w dole zostawiam Osobowicki port z kilkoma łajbami, czy jak wolą je nazywać, jachtami śródlądowych wód, przyklejonymi do drewnianego chybotliwego pomostu. Tego samego, przy którym znajduje się osobliwy pływający dom. Dom dla marzycieli. Towarzyszą im rdzewiejące barki, które tkwią tu zwykle do późnej wiosny. Chronią się tu przed falą i prądem nierównego dna. Po chwili zjeżdżam z obwodnicy i odbijam z ronda na Brzeg.

Rozświetlone miasto zostaje w tyle, a przede mną chyba najgorszy odcinek. Cały dzień i ta sama, co rano, trasa odbija się na kręgosłupie. Lędźwie piszczą, cukier we krwi niebezpiecznie balansuje już przy czerwonej linii, a kolejne ziewnięcie wymusza większą koncentrację.

Dźwięk dzwonka telefonu zaczyna zagłuszać muzykę. Na wyświetlaczu widzę znajomą twarz Katarzyny. Ciemnowłosa blada kobieca twarz „okularnicy” z szerokim rozbijającym uśmiechem. Nie wiem dlaczego ona ciągle ma do mnie

pretensje o to zdjęcie. Nie jest takie złe, a przynajmniej przywodzi tylko ciepłe myśli. Niestety tylko moje, bo Kaśka zapewne przebiera już nogami pod płótem, czekając na mnie w Wielkiej Lipie. Przeklina pod nosem siarczyście i śle żale ku niebiosom. Prawie udało mi się zdążyć odebrać ją na czas z cotygodniowej lekcji jazdy konnej. Prawie.

– Wiem – odbieram i zaczynam od obrony. Wyłączam muzykę, by lepiej słyszeć warkliwy ton rozczarowanej współlokatorki.

– No mam nadzieję – dobrze wyczuwam tylko odrobinę wściekłości.

– Daj mi jeszcze dwadzieścia minut – błagam. – Zaraz tam będę.

– Jak się pośpieszysz, to będę wdzięczna – to już wysyczała.

Rozłączam się i wrzucam telefon w głębszą wnękę półki w drzwiach auta. Na wyjeździe z Widawy znów cisnę gaz. Prosta przez pola irygacyjne zasnutą jest mgłą. Opar fekaliów wdziera się do wnętrza przez nawiew. Jesień wkrada się każdego dnia w krajobraz, a mgła gęstnieje. Zwalniam do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Ktoś mnie dogania. Widzę światła przedzierające się przez mięsistą parę. Samochód jedzie szybko. Stanowczo zbyt szybko. Jakiś SUV lub terenowy. Mam nadzieję, że mam światła z tyłu. Na wszelki wypadek naciskam lekko hamulec, by dać o sobie znać. Zwalniam. Mgła coraz bardziej utrudnia jazdę. Terenowy dogania mnie i prawie siedzi mi na plecach. Nie wyprzedza, a jadę powoli. Czarna przestrzeń wypełniona mięsistym białawym oparem budzi niepokojące skojarzenie i nie ustępuje w świetle przeciwmgielnych lamp. Naprawdę widoczność spada do kilku metrów. Światła wyższego auta rażą mnie w lusterku. Na parę sekund odwracam wzrok, szukając ulgi dla zmęczonych oczu. Znów patrzę w przód. Co jest?!

Ktoś wtacza się na jezdnię z prawej strony, dłonie wyciąga przed siebie. Zgina się wpół i pada na asfalt. Hamuję i skręcam. Samochód obraca się na mokrej nawierzchni o ponad dziewięćdziesiąt stopni. Silnik gaśnie i już czekam aż terenowe auto uderzy w mój bok i zepchnie mnie do rowu. Tak się nie dzieje. Zdążył chyba cudem zatrzymać się tuż przed moimi drzwiami. Snop światła jego lamp paraliżuje mój wzrok. Ratuję się zasłonięciem oczu ręką. Nie dostrzegam kierowcy, ale ktoś włączył awaryjne. Odwracam głowę z jedną myślą: co z tą zjawą z wrocławskich fekalnych rozlewisk?

Przerzucam korpus na fotel obok, a potem nogi wędrują nad dźwignią zmiany biegów i trochę nieporadnie wychodzę przez drzwi pasażera. Od razu dostrzegam na ziemi ciało. Naga dziewczyna leży przy tylnym kole mojego samochodu. Jest przytomna i drżą jej dłonie. Na szczęście nie zarzuciło mną bardziej przy nagłym skręcie. Zabrakło pół metra. Podchodzę do niej, wspierając się o auto. Leży na plecach z przekręconymi kolanami na bok. Widzę krew. Pochylam się nad nią.

– Pomóż mi – szepce, próbując się podnieść.

I dopiero wtedy wyłania się przed moimi oczami pełen efekt czyjegoś bestialstwa. Te obicia, pręgi i rany na pewno nie powstały przed chwilą.

W ciemnych oczach może dwudziestoletniej dziewczyny widzę przerażenie i ból. Jest brudna, posiniaczona, z roztartą zastygłą krwią na twarzy, piersiach i udach. Kolana ma poranione z głęboko wbitym żwirem. Śmierdzi butwiejącą ściółką, rozkładającym się moczem i ledwo przełyka ślinę. Ze skroni spływa jej krew. Ktoś ją brutalnie pobił, nie omijając twarzy. Zmuszam się, by nie odwrócić głowy, ale w krtani czuję skurcz.

Rany i opuchnięcia na pewno nie są tak świeże. Może jedynie te rozcięcia na czole. Dziewczyna ma na sobie tylko zdarty do połowy koronkowy stanik. Fiszbin sterczy, wbijając się w jej posiniaczony mostek. Nie ma fig. I szybko dostrzegam, że krwawi nie tylko na głowie. Nigdy nie widziałam zgwałconej kobiety, ale to chyba nie ma najmniejszego znaczenia. Jakoś udało jej się tu wyczołgać z tego śmierdzącego rowu. Połamane i zakrwawione paznokcie dłoni ukryte częściowo pod ciemnymi tipsami jednoznacznie wskazują, że musiała walczyć z oprawcą, a przynajmniej próbowała się bronić. Możliwe, że udało jej się go zranić. Właściwie liczyłam na to. Ułatwiłoby to poszukiwania policji i oczywiste oskarżenie. Rozglądam się odruchowo, ale otaczająca nas mgła odcina to miejsce od reszty świata. Nie pozwala dostrzec niczego więcej niż asfaltową jednopasmową drogę, rów i dwa tarasujące przejazd samochody. Teraz rozumiem ten akt desperacji. Dobrze, że nie jechałam szybciej.

– Kto to zrobił?

Patrzę na jej załzawione oczy i próbuję ją podnieść z asfaltu. Jest bardzo szczupła i na pewno wyższa ode mnie. Nie daję rady. Oświetla nas snop reflektorów stojącego przy krawędzi rowu auta. To terenowy wycofał się ze środka asfaltowej drogi, by nie tarasować przejazdu. Kątem oka dostrzegam, jak ktoś z niego wysiada i idzie w naszym kierunku.

– Zabierz mnie stąd – dziewczyna szepcze nagle, a ja odgarniam jej posklejane mokre włosy z twarzy. – Proszę... Nie mogą mnie znaleźć... Ja już nie chcę w to grać... Proszę. Pomóż mi.

– Może ja pomogę? – Nad głową słyszę męski głos. Długi mleczy cień przebiega po nagim zmaltretowanym ciele dziewczyny. – Ale mnie pani nastraszyła. – Mężczyzna pochyla się tak jak ja nad leżącą i obrzuca ją dziwnie nachalnym wzrokiem. Zagryza zęby i pomaga jej wstać. Dziewczynie uginają się nogi i pada w jego ramiona. Chwyta ją i podnosi z lekkością. – Niech mi pani pomoże – rzuca do mnie, przekręcając głowę. – Ona nie może tu zostać. Trzeba ją zabrać do szpitala. Będziemy tam szybciej. Zanim karetka tu dojedzie... – niesie pokrwawioną dziewczynę do terenowego samochodu.

Specjalnie zostawił włączone przeciwmgielne i awaryjne. Teraz tylko moje auto tarasuje drogę. Nerwowo przeczesuję zamgloną przestrzeń, ale nie widać

światła nadjeżdżających aut.

– Proszę je otworzyć – mężczyzna wskazuje na tylne drzwi.

Robię to bez namysłu, a on kładzie dziewczynę na skórzanym siedzeniu. Chyba straciła przytomność. Jej głowa opada bezwładnie.

– Przetawię auto.

Ruszam do fiesty i wcale nie czuję ulgi. Nie chce odpalić. Włączam awaryjne. Denerwuję się, bo jednak dostrzegam nadjeżdżające światła aut z lewej. Ciągle stoję w poprzek drogi. Dreszcz przebiegający po kręgosłupie lekko paraliżuje mi prawą dłoń. Już to kiedyś czułam. Walczę z własnym ciałem.

Przekręcam kluczyk czwarty raz. Wreszcie odpalił. Wykręcam i staję przed tym masywnym kwadratowym pojazdem. W snopie reflektorów forda dostrzegam złowrogi wypukły napis na czarnym lakierze maski – Range Rover. Mijają nas wolno trzy osobowe. Musimy stąd szybko odjechać, bo dojdzie do tragedii. Nie wszyscy na tym odcinku zwalniają. Po prostu jeżdżą na pamięć, omijając dziury, i to nawet we mgle. Sama tak robię czasami.

Wysiadam i omal nie wpadam do rowu. Stopa ześlizguje się kilkanaście centymetrów po pochyłości, a ja instynktownie chwytam się klamki. Zastygam w dziwnej pozie, ale w końcu łapię równowagę. Bezpieczna pozycja i jeszcze sięgam po trencz z tylnego siedzenia. Ruszam do drzwi range rovera. Chcę sprawdzić, co z dziewczyną.

– Niech pani za mną jedzie. Do Szpitala Wojskowego będzie najszybciej. – Mężczyzna patrzy, jak okrywam nieprzytomną płaszczem. Wyczuwam, że drży, a łzy płyną jej po policzkach. Co ona musiała przejść?

– Mogą nas nie przyjąć. Obawiam się, że trzeba będzie na Traugutta. – Znienawidzone pogotowie ratunkowe. – Niech pan jedzie, a ja zadzwonię zgłosić to na policję.

– Spokojnie. – Zamyka tylne drzwi auta, odcinając półprzytomną od naszej rozmowy. – Ja to załatwię. Niech pani tylko za mną jedzie. – Jego głos jest miły, ale wyraz twarzy trochę zastanawiający. Chwyta moją dłoń i ściska mocniej na znak, że wszystko będzie dobrze. I dopiero teraz dostrzegam jego jasne oczy, a silna dłoń z uścisku przechodzi w gładzenie mojego ramienia. Wygląda na ponad czterdzieści lat. – Jedźmy, bo pani zmarznie – mówi to z takim spokojem, jakby w ogóle do niczego nie doszło. Jakby ta zgwałcona i pobita dziewczyna nie leżała właśnie w jego samochodzie. Jakby nie trzeba było bić na alarm i szukać sprawców. Jakby jej ból i rany nie miały większego znaczenia. Czy można być aż tak opanowanym, a może pozbawionym uczuć?

– Dobrze – odpowiadam niepewnie i każde z nas wsiada za kierownicę.

Wyjeżdżamy z największego zamglenia i nagle SUV skręca na szersze pobocze przy sklepie ogrodniczym. Parkuję za nim. Mężczyzna wysiada i podchodzi do fiesty. Otwieram drzwi. Zauważam kolejny szczegół, który umknął

mi wcześniej, że jest elegancko ubrany w granatowy taliowany garnitur, czarne gładkie oxfordy łamiące się na zgięciu palców nóg, białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, która teraz poplamiona jest krwią. Marynarkę ma czystą, bo chyba nie był w niej wcześniej.

– Musi pani jechać ze mną, bo zadzwoniłem i rzeczywiście lepiej będzie, jak zawiozę ją na Kliniki, tam mam znajomych. A dobrze, by teraz była z nią kobieta.

Nie myśląc, chwytam torebkę i zamykam auto. Wsiadam na tył range rovera. Dziewczyna próbuje się unieść. Pomagam jej. Okrywam ściślej moim trenczem, ale w końcu podwija nogi i kładzie głowę na moich udach. Cały czas płacze. Ruszamy. Mężczyzna wycisza muzykę.

– Jak masz na imię? – Próbuję nawiązać z nią kontakt, bo widok jej przetartych od więzów kostek ponownie paraliżuje mi prawą dłoń. Staram się oddychać spokojnie.

– Daria – mówi cicho i przez łzy.

– Bardzo ładne imię – znów odsuwam jej długie ciemne włosy z twarzy. – Ja jestem Lidia – uśmiecham się, a dziewczyna ociera brudną ręką policzek. Sięgam do kieszeni płaszcza, pod którym ukryłam ślady gwałtu. Znajduję chusteczki. Podaję jej jedną. Daria trzęsącą się z bólu lub zimna dłonią trochę nieporadnie zaczyna wycierać swoje oczy. – Pomogę – proponuję nieśmiało.

Wycieram jej twarz z ziemi i błota, krew ciągle sączy się z jej skroni, a na szyi widzę czerwone ślady po pętli. Na boga, kto to jej zrobił? Robi mi się zimno, ale staram się pogodnie uśmiechać.

– Nie pozwolisz im mnie znaleźć? – Daria szepcze nagle.

– Nie, nie pozwolę. – W tym samym momencie czuję na sobie wzrok mężczyzny odbity w lusterku.

**18 września 2012 roku, wtorek, g. 23:40**



Opadam na krzesło, a światło jarzeniówki korytarza usiłuje wypalić dziurę w moich tęczęwkach. Przebiło się już na pewno przez załzawioną błonę, bo zaczyna mnie piec, gdy tylko szerzej rozwieram powieki. Trwa to stanowczo zbyt długo. Te stare ceglane mury wrocławskiego szpitala na Klinikach pamiętają jeszcze wojnę. Czuć tu wyraźnie zaduch. Chłód przykurcza moje ramiona, ale serce powoli stara się wrócić do normalnego rytmu. Twarz chowam w dłoniach, a łokcie opieram na kolanach. Czuje się koszmarnie. Już prawie północ.

Chciałabym zadzwonić, ale telefon w roztargnieniu zostawiłam w swoim samochodzie. Tomasz, przedstawiający się tak mężczyzna z range rovera, zniknął razem z lekarzami za drzwiami w głębi korytarza. Ewidentnie znali się dość dobrze, bo nikomu nie musiał się przedstawiać. Jeszcze w moim towarzystwie

wymieniali krótkie, hasłowe informacje, a chudy, łysiejący na szczycie czaszki mężczyzna w białym rozpiętym fartuchu nie dopytywał się o dodatkowe szczegóły. Miałam nadzieję, że akurat to przyspieszy całą szpitalną procedurę, a dokładniej wnikliwą analizę ubezpieczenia półprzytomnej dziewczyny, którą położono na rozkładanym łóżku z czterema niewielkimi kółkami zamiast zwyczajowych metalowych nóg.

– Pokrywam wszystkie koszty – te magiczne słowa mężczyzny z range rovera rozwiały ich wątpliwości i wywołały dziwny uśmiech u dyżurującego tej nocy lekarza. Dwie pielęgniarki od razu zrozumiały, co mają robić.

Dlatego ostatnie czterdzieści minut intensywnie próbowałam przypomnieć sobie numer komórki Katarzyny. Oczywista i codziennie używana informacja wyparowała z mojej pamięci, a może raczej zawsze była w mojej komórce i po prostu wyświetlała się zaraz po wciśnięciu jedynki. Nie potrafiłam. Cały czas mieszała mi się kolejność cyfr. W końcu zaczęłam zapisywać je trójkami na chusteczce do nosa i to kończącym się cienkopisem znalezionym na dnie przepastnie głębokiej torebki. Zostały dwie prawdopodobne kombinacje. Przynajmniej tak mi się wydawało. Zapamiętywanie liczb, dat, wyników działań to jak czarna magia. Coś, co moja pamięć ignorowała z dziwną łatwością, i to za każdym razem. Taki matematyczny pech. Mam to podobno po ojcu, tak jak to naiwne i romantyczne podejście do życia i wiarę w coś takiego, jak ludzkie przeznaczenie, przynajmniej tak mówił dziadek trochę ze smutkiem w oczach. Babcia nic nie mówiła. Uśmiechała się i patrzyła na zdjęcia.

W końcu słyszę spokojne kroki, a mój wzrok biegnąc po wyślizganej posadzce, dostrzega połyskujące oxfordy. Podnoszę głowę.

– Pani Lidio, proszę to włożyć. – Jasnowłosa mężczyzna zdejmuje swoją marynarkę. Mój wzrok mimo woli zatrzymuje się na czerwonych plamach na jego koszuli, a w jego drugiej ręce dostrzegam zakrwawiony płaszcz. – Tu jest naprawdę chłodno – uśmiecha się, nie otwierając ust, a sztuczne światło odsłania jego dojrzałe męskie rysy. I chyba dzięki tej delikatnej sieci opalonych zmarszczek wokół oczu i spojrzeniu, w którym nawet nie próbuje ukryć niepokoju o tę pobitą dziewczynę, czuję, że mogę mu zaufać. Pozwalam, by okrył moje plecy. – Musimy jeszcze poczekać – mówiąc to, zwraca i wrzuca mój trenecz do sporej wielkości śmietnika pod ścianą. Nie protestuję. – Tak myślałam. Też bym go już nie włożył – patrzy na mnie z dziwną rezygnacją. Siada obok na drewnianym niewygodnym krześle, a jego klasyczny zegarek na skórzanym czarnym pasku od razu zwraca moją uwagę. Niewątpliwie facet ma pieniądze, ale i potrafi je wydawać na piękne rzeczy.

Bardziej naciągam klapy jego marynarki. Od razu czuję ciepło i subtelny zapach męskich perfum na wyraźnym granatowo-niebieskim splocie wełny. Dostrzegam też rudą włos długowłosej kobiety. Zdejmuję go i zrzucam na podłogę.



Jego wzrok podąża za nim, nim opadnie bezwładnie przy nodze krzesła. Uśmiecha się sam do siebie, jakby puszczał oko do własnych myśli.

– Jak ona się czuje? – pytam.

– Kiepsko – mówi szczerze i wciąga do płuc powietrze. – Jak tylko skończą, to odwiozę panią do samochodu lub gdzie pani będzie wygodniej. Trzeba jeszcze podpisać parę papierków.

– Policja? – pytam wreszcie, bo jak do tej pory nikt od nich się nie pojawił.

– Też – trochę zbywa mnie tą odpowiedzią.

– Chciałabym się z nią jeszcze pożegnać. – Patrzę na niego, dostrzegając tylko jego niebieskie oczy, a on kiwa głową.

Teraz widzę wyraźnie, że jest w wieku około czterdziestu pięciu lat. Ma opaloną twarz z zachęcającym do bliskości uśmiechem, spłowiałe w popiel jasne włosy i lekko spierzchnięte usta. Ewidentnie dba o kondycję, bo wyrazisty kształt mięśni jego ramion dostrzegam pod przykryciem cienkiej bawełnianej koszuli. Sprawia wrażenie kogoś mocno stąpającego po ziemi, ale w ten niebywale pociągający sposób. Kobiety uwielbiają takich mężczyzn, bo oni dobrze wiedzą, na czym im zależy.

Lekko przykurcza palce dłoni, na których dostrzegam liczne zadrapania, jakby przetarcia czy poparzenia, i schodzące pęcherze. Podobne ślady zostają po klejach żywicznych lub pracy w wodzie. Intryguje mnie to, bo lubię patrzeć na ludzkie dłonie. One odsłaniają choćby najbardziej skrywaną prawdę o nas samych. Są jak dekalog i zbiór doświadczeń. Obnażają stan umysłu. Nie przeraża mnie widok blizn czy starczych plam. Zerwane skórki, obgryzienia do krwi, spiłowania boków płytki paznokcia, fioletowe sińce od przytrzaśnięć drzwiami, geometryczne zmarszczki na cienkiej skórze, wystające żyły, ścięgna, kształt nadgarstka, smukłość drobnych kości. To jest fascynujące. Ale on chowa je, jak tylko zauważa, że na nie patrzę. Chyba się wstydzi. Nie rozumiem dlaczego. Powoli odwija rękawy swojej białej koszuli.

– A tak ją lubiłem... – stara się żartować, ale i on nie może patrzeć na zakrwawione mankiety.

Podoba mi się, jak jest ubrany. Prostota fasonu, dobry materiał, dyskretna woń perfum. Sprawia wrażenie, że nie żyje pod presją. Na pewno nie jest gejem, to da się wyczuć, bo nabrzmiąle piersi wyłaniające się spod niedopiętego fartucha rudej pielęgniarki i jej kształtne łydki, które omiótł przy wszystkich ostentacyjnie, zrobiły na nim wrażenie. To jej włos znalazłam na klapie jego marynarki. Widocznie nie traci czasu.

– Mogę zadzwonić z pana telefonu, bo mój został w samochodzie? – Jeszcze mam nadzieję, że wykręcę ten właściwy numer.

– Oczywiście – podaje mi swój telefon dotykowy. Od razu się gubię, bo w myślach powtarzam cyfry. Śmieje się i pomaga mi wyjść z jakiejś aplikacji. –

Też mi się to często zdarza.

Wybieram numer i modlę się, by był tym właściwym.

– Tak, słucham – zdenerwowany głos Katarzyny przynosi mi zadziwiającą ulgę.

– To ja, Lidka. Dzwonię najszybciej jak mogę. Zapomniałam swojego telefonu z auta...

– Do cholery! Wiesz, że dzwoniłam już na policję.

– Przepraszam, ale nie pamiętałam twojego numeru.

– Nic ci nie jest? – Nawet przez telefon wyczułam jej niepokój. – Co się stało?

– Był wypadek. Jestem na Klinikach. Nic mi nie jest. Powiedz, że nie czekasz tam na mnie?

– No chyba żartujesz – warczy w słuchawkę. – Zadzwoiłam w końcu po Mateusza. Ale mnie nastraszyłaś.

– Przepraszam. Niedługo będę. Tylko idź spać, bo jutro nie wstaniesz.

– Lidka...

– Wszystko ok. Opowiem ci, jak wrócę – naciskam, by skończyć rozmowę.

– No dobrze, ale się pośpiesz. – Chyba wreszcie jej ulżyło.

– Do zobaczenia. – I znów nie wiem, jak się rozłączyć w tym urządzeniu.

– Ten czerwony. – Tomasz sam dotyka pojawiający się na ekranie przycisk.

– Dziękuję – oddaję mu telefon. – To chyba zmęczenie.

– Tak, to był długi dzień. – Tomasz wstaje, przeciera dłońmi twarz i patrzy na mnie z góry. – Poszukam jakiejś kawy. Pewnie muszę pamiętać o mleku... – śmieje się.

– Dobrze by było.

Kiwa głową i rusza w głąb korytarza.

**19 września 2012 roku, środa, g. 01:45**



Podchodzę do łóżka z metalowymi poręczami. Daria ma zamknięte oczy. Z lewej dłoni wystaje wenflon od kroplówki. Przykryta jest prześcieradłem prawie pod samą szyję. Może i lepiej, bo już wystarczająco dużo widziałam. Jednak na nadgarstkach dostrzegam te same ślady co wcześniej na jej szyi i kostkach. Musieli ją silnie związać. Głowę zabandażowano jej do wysokości oczu. Znów widzę czerwone miejsce na skroni. Krew nadal sączy się z rany i to mocno. Tuż nad jej głową pali się niewielka żarówka. Na jej opuchniętej twarzy tworzą się bardzo nieprzyjemne cienie.

Delikatnie dotykam jej prawej dłoni, a ona rozchyła powieki. W jej oczach widać odurzenie lekami.

– Chciałam się pożegnać – uśmiecham się, próbując opanować to przejmujące zimno, które znów paraliżuje moją dłoń. – Niedługo pewnie ktoś do ciebie przyjdzie.

– Nie zostawiaj mnie tu – ledwo udaje jej się to wyszeptać. Pochylam się nad nią, ale nie mówi nic więcej.

– Dario, jesteś w dobrych rękach. Już nikt nie zrobi ci krzywdy. Zaraz przyjedzie policja.

– Nie... – zaczyna się szarpać, ale zamroczenie lekami nie pozwala jej się nawet podnieść.

– Spokojnie. – Nie wiem, co robić, ale to może być po prostu reakcja na to, co ją spotkało. – Już nikt cię nie skrzywdzi. – Chwytam jej rękę i siadam przy niej. Głaszczę jej zadrapaną policzek, a ona znów płacze. Nagle do sali wchodzi rudowłosa pielęgniarka i patrzy na mnie ze zdziwieniem. Od razu rozumiem, że złamałam jakieś szpitalne zasady. Wstaję.

– Proszę już stąd iść – rzuca oschle. – Ona musi odpocząć.

Pielęgniarka lustruje mnie z góry na dół i poprawia przeźroczysty worek z klarowną cieczą zawieszony nad głową rannej dziewczyny. Zwiększa intensywność opadających kropel, a ja widzę, jak oczy Darii zachodzą jeszcze większą mgłą.

– Jeszcze się zobaczymy. – Ściskam na pożegnanie dłoń dziewczyny, a ona rozchyła usta, jakby chciała mi coś powiedzieć. Jednak leki zwyciężają.

Rudowłosa mierzy mnie z lekką odrazą, a dekolt jej niebiesko-białego fartucha wyraźnie odsłania jej piersi. Ma na sobie chyba tylko tę odważną koronkową bieliznę i wcale się nie krępuje. Czarne kabaretki znikają w chodakach. Jakieś nowe zwyczaje szpitalne, a może nocne dyżury wiążą się z drugim etatem.

Wychodzę na korytarz i wzrokiem szukam Tomasza. Rozmawia z lekarzem i jak tylko mnie dostrzeża, kończy. Podchodzi do mnie i ruszamy do auta.

**19 września 2012 roku, środa, g. 02:15**



Dojeżdżamy na Widawę. Przy fiescie parkuje radiowóz. Kaśka jednak mówiła prawdę o tym telefonie na policję. Range rover parkuje przed nimi.

– Ja to załatwię. – Tomasz powstrzymuje mnie przed opuszczeniem auta. – Niech pani tu zaczeka.

Wysiada i podchodzi do radiowozu. Rozmawia z umundurowanym mężczyzną przez opuszczoną szybę. Pokazuje jakiś dokument. Policjant po chwili uśmiecha się i kiwa głową. Jasnowłosa policjantka w kucyku przygląda mi się z uwagą. Przez chwilę śledzimy się wzrokiem. Odjeżdżają.

Wysiadam i podchodzę do swojego auta.

– Do widzenia, pani Lidio – podaje mi rękę. – Dziękuję za pomoc. Mam nadzieję, że nie spotkamy się już w takich okolicznościach – uśmiecha się zmęczony, ale bardzo przyjaźnie.

– Też mam taką nadzieję – wsiadam i właściwie chciałbym zapomnieć o tym, co stało się tego wieczoru.

Tomasz pozdrawia mnie jeszcze dłonią i zawraca. Ruszam do domu, wolno przedzierając się przez mglisty opar fekaliów znad pól irygacyjnych Wrocławia.

**20 września 2012 roku, czwartek, g. 08:00**



– Nie pojedziesz więcej do Jeleniej. Zabraniam ci. – Kaśka odstawia kubek z kawą. – Te pieniądze nie są tego warte. – Jej oczy zawsze patrzą na mnie z taką troskliwością. Mogę się domyślać, co przeżyła tamtej nocy. Nie mówiła o tym, ale jej spojrzenie po moim powrocie dość dobrze pamiętam. Czekala już na telefon z komisariatu.

– Wiesz, że jeżdżę bezpiecznie... – Argumenty właściwie wyssane z palca i akurat ona dobrze o tym wie.

– Dobra, dobra. A później mi mówią, że zapylałaś sto sześćdziesiąt po Wrocławiu. – Ostatnio doniósł jej o tym nasz znajomy. Zdrajca i to podwójny, bo sam się wtedy ze mną ścigał.

– Ale mnie nie złapali – komunikuję radośnie.

– Jeszcze nie.

– Poza tym... od kiedy powolna jazda i zatrzymywanie się przed każdym przejściem dla pieszych gwarantuje bezpieczeństwo? – Absurdalna prawda wywołuje tylko jej kolejny powściągliwy uśmiech. – No daj spokój. Wszystko się dobrze skończyło. Chciałbym odwiedzić tę dziewczynę. Śniła mi się i jakoś mi dziwnie, jak o niej myślę.

– No wiesz! Zawsze może oskarżyć cię, że próbowałaś ją zabić – ironizuje, ale ja dobrze wiem, że tak nie myśli. – Ale pewnie nie wytrzymasz...

– I muszę oddać temu mężczyźnie z range rovera jego marynarkę od Bossa – uśmiecham się i mrugam okiem. Wiem, że Kaśce to się bardzo nie podoba, bo nie lubi, gdy ktoś przed nią macha metkami. Praca w agencji reklamowej zniechęciła ją do wielu rzeczy. Zresztą ja tego też nie lubię, ale trudno było tego nie zauważyć.

– Oddaj mu ją lepiej. Ale coś czuję, że ten facet ma takich z dziesięć i dla niego to żadna strata. Za to twój płaszczyk... – uśmiecha się z przekąsem.

– Aż tak go nie lubiłam. Kupię sobie ładniejszy – przytulam ją mocno.

– Lidka...

– Tak? – pytam zadziornie.

– To ty tak przy okazji odwieziesz jutro moje książki do biblioteki, a ja

zabiorę się z Mateuszem na gokarty. Inaczej się nie wyrobię.

– O ty! Tak czułam, że w tej nadmiernej trosce jest podstęp. – Ponadtrzydziestoletnia kobieta idzie się bawić jak nastolatka. Czemu mnie to nie dziwi? Znamy się od podstawówki i naprawdę po takim czasie mało można przed sobą ukryć. – Tylko wróc przed dwudziestą czwartą, bo będę dzwonić na policję – pokazuję jej język i sięgam po zieloną kurtkę.

**20 września 2012 roku, czwartek, g. 23:30**



– Jankowski, słucham. – Słysząc zaspany męski głos, ale ze słuchawki przez dłuższy moment wydobywają się tylko trzaski. – Halo...

– Darek – wreszcie ktoś zbiera się na odwagę. – Profesor Wiśniewski nie żyje.

– Jak to?

– Jego żona dzwoniła. Zidentyfikowali ciało. Nic przy nim nie znaleźli.

– Mariusz, skąd ty dzwonisz?

– Miał przysłać mi te dodatkowe ekspertyzy, ale teraz...

– No przecież widzieliście się niedawno na tej konferencji.

– Darek, on miał wszystkie nasze dane – zdesperowany nagle zabrzmiał głośniejsz w słuchawce. – Dałem mu też próbki. Miał to wszystko wysłać do Wrocławia. Chciałem, by Sachanabiński to potwierdził.

– Dałeś mu te diamenty? – Jankowski podrywa się z łóżka i siada, przecierając zaspane oczy. – Czyś ty oszalał?

– Wiem, że popełniłem błąd. Ale przez tę konferencję nie mogłem osobiście tego załatwić. Tak miało być szybciej.

– Co się dzieje? – Jankowski było coraz bardziej zaniepokojony.

– Darek, nie przyjeżdżaj do Moskwy – głos w słuchawce milknie.

– Nie rób mi tego!

– Chodzi o MCE Holding.

– Nie...

– Ukryj się gdzieś. Wnuczka Wiśniewskiego też zaginęła. Ja nie mam rodziny, ale ty... Spróbuję to sam załatwić.

– Cholera! Tyle lat na to czekałem.

– Wiem. Ale to teraz nie jest takie ważne. Nie mogą i ciebie znaleźć.

– Ale...

– Oni mają już mapę.

– To niemożliwe. Zakodowałem ją specjalnie. Tam nie ma współrzędnych.

– Co ty tam znalazłeś na tej Ukrainie?

– Mariusz, coś na pewno cenniejszego od gazu.

- Wiesz, co masz robić?
- Nie bój się, dam radę.
- Nie będę już do ciebie dzwonił.
- Napiszę.
- Na bezpieczny adres.
- Innego nie znam.
- Trzymaj się.
- Dzięki.
- Darek, musiałem...

**21 września 2012 roku, piątek, g. 11:00**



Wchodzę do oszklonego holu. Szukam tabliczki. Jest. Odra-Trade na trzecim piętrze. Wpis do księgi, weryfikacja danych, plakietka. Czekam na windę.

Do holu wchodzi dwaj mężczyźni. Szpakowaty, może pięćdziesięcioletni przystojniak w beżowym golfie, pikowanej krótkiej kurtce i szarych spodniach, w ręku trzyma niewielką teczkę. Tuż za nim widzę barczystego mężczyznę w ciemnym garniturze. Wąskimi oczami wnikliwie lustruje przestrzeń. Idzie zaraz za szpakowatym. Podchodzą do recepcji i już po chwili stają obok. Obracam lekko głowę i uśmiecham się do nich. Odpowiada mi znudzone spojrzenie jasnych oczu i bębnienie palców o sztywną fakturę. Metalowe drzwi windy rozsuwają się powoli. Praktycznie wybiega z nich ciemnowłosa kobieta w perfekcyjnie leżącej granatowej garsonce i szpiczastych czarnych szpilkach. Dłonie mocno zaciska na uchwycie skórzanej teczki. Muszę się odsunąć, bo mnie staranuje. Robię dwa kroki w tył i wpadam na szpakowatego przystojniaka.

– Przepraszam najmocniej. Naprawdę nie chciałam – tłumaczę się, ale jego twarz zastyga w dziwnym grymasie zaskoczenia. Zdeptany czarny but nosi odcisk podeszwy moich oficerek. To musiało boleć, ale po nim nie widzę nawet cienia niechęci.

– Nic się nie stało – mówi przyjaźnie i przepuszcza mnie w drzwiach do windy.

Ledwo zauważalnym gestem każe zostać temu drugiemu mężczyźnie w holu. W środku jesteśmy tylko my dwoje. Drzwi zasuwają się, a ja odruchowo sięgam do przycisku trzeciego piętra. Mężczyzna wykonuje ten sam manewr. Śmiejemy się. On przyciska.

– Odra-Trade? – pyta, gdy winda rusza w górę.

– Tak – odpowiadam niepewnie, przyglądając się jego wyrazistym i atrakcyjnym rysom twarzy.

– Spotkanie biznesowe czy towarzysko? – dopytuje z niesłabnącym

uśmiechem. Chyba żartuje. Prawą dłonią ociera drugi nadgarstek tuż nad srebrną bransoletą zegarka.

– Nie – odpowiadam, kręcąc głową. – Ja tylko na moment. Muszę coś oddać – unoszę lekko papierową torbę z marynarką w środku.

– Pożyczka? – pyta prześmiewczo, jakby w tej dość sporej torbie były stopy banknotów.

– Coś w tym rodzaju – uciekam wzrokiem na elektroniczny wyświetlacz.

W milczeniu wymieniamy spojrzenia, ale czuję się trochę nieswojo. Mężczyzna wyraźnie mnie ocenia. Ratuje mnie sygnał windy. Drzwi otwierają się na trzecim piętrze, ruszam do jasnego korytarza, ale szpakowaty przystojniak nie wysiada. Obracam głowę w jego kierunku i patrzę pytająco, ale on sięga przycisku zero. W tak krótkim czasie zmienił plany.

– Zapomniałem jednego dokumentu – tłumaczy się. – Zaraz wracam. Powodzenia – dodaje na pożegnanie.

Robi mi się lżej, gdy znika za zasuwającymi się wolno drzwiami windy. A na końcu korytarza widzę kolejną nienagannie ubraną sekretarkę. Gładka fryzura, pełen makijaż. Sztuczny uśmiech.

– Proszę poczekać – mówi do mnie.

Siadam na skórzanej sofie. Papierowa torba ląduje na podłodze przy nogach. Trochę czuję się nie na miejscu. Zbyt luźno ubrana. Oficerki, rurki, ciemnobrązowy top i sportowa kurtka zwężana lekko w pasie. Włosy w szaleńczym nieładzie znów pokręciły się w końcówkach. Nawet ich nie rozczesalam. Make up to tylko rzęsy. Kurczę, nie myślałam, że to taka duża firma, a on jest prezesem. Przynajmniej jego dłonie nie wskazywały na to.

Przede mną dostrzegam obraz i nawet nie ukrywam, że mi się to modernistyczne nie-wiadomo-co nie podoba. Zbieranina plam układająca się w drogi bohomaz. Wolę klasyczny marinizm. Przecież każdy okręt ma duszę, a nie tylko żagle i miedź na kadłubie. Malował to ktoś, kto nigdy nie pływał. Ktoś, kto nigdy nie przeżył sztormu ani siły wgniatającej w piach fali. Kolejny portowy ignorant.

Jestem tak pochłonięta negacją odstających z płótna plam, że nawet nie zauważam, gdy Tomasz Raczyński, prezes Odra-Trade, staje za mną i dobrą chwilę wpatruje się w moje pochmurniejące oblicze. Oczywiście jest w szarym garniturze i nienagannie czystej błękitnej koszuli. Jego jasne oczy płoną w tych kolorach, tak jak moje z niechęci do poszarpanego widoku sztucznych fal.

– Mnie się to też nie podoba – śmieje się, odrywając mnie od wpatrywaniu się w drogie mazaje, których układ na pewno nie przypominał dwumasztowego okrętu, jakim jest Fryderyk Chopin, chociaż tak zatytułowano ten obraz. I gdzie na tym nie-morzu szkwał?

– Dzień dobry – zawstydziałam się od razu, bo chyba dla wszystkich moje

emocje były nazbyt czytelne.

– Kupiłem go z jakiejś fundacji i wypadało go gdzieś powiesić. – Gestem zaprasza mnie do gabinetu. – Był cholernie drogi. W grudniu mam nadzieję, że zniknie... – nie ukrywał, że podziela moją niechęć do modernizmu.

– To już niedługo. – Jakies trzy miesiące, dodałam w myślach.

Weszliśmy do jego gabinetu, a ja od razu poczułam się lepiej.

– Ładnie – nie mogłam się powstrzymać i zaraz ugryzłam się w język, ale wewnątrz robiło wrażenie i to chyba nie tylko na mnie.

– Akurat i tu się muszę zgodzić – zaśmiał się, zapraszając mnie, bym weszła głębiej.

– Coś do picia, kawa, herbata, woda?

– Nie, dziękuję.

– Pani Sylwio, kawa – zamyka drzwi.

Od razu uderza mnie świeży zapach. Dostrzegam kontrast oszklonej ściany z widokiem na stary Wrocław i port z ciemnym surowym drewnem dębowej podłogi. Atmosfera dosłownie jak w kajucie starych okrętów. Są mapy i duży stół. Ciemna boazeria ścian, kapitański mosiężny dzwonek przy drewnianych drzwiach, cała ściana książek. Boże, jaki ten facet ma gust.

Ewidentnie jest rozbawiony moją reakcją. Nawet nie czekałam i już byłam przy modelu trójmasztowca, który stał przy jego masywnym biurku. Kątem oka w rogu dobrze oświetlonego gabinetu dostrzegłam starodawny globus. Lekko spłowiał od słońca z jednej strony, chyba dość rzadko był obracany. Atrapa. Ale proporcjonalny model okrętu zachwycał precyzją wykonania. Nabrzmiące nie-wiatrem żagle poruszały tylko moją wyobraźnię, a opuszki same musiały sprawdzić gładkość drewna kadłuba i grubość użytych farby. Elementy na pewno nie były łączona pakułami, które skazany marynarz za grzechy „bez honoru” wyciągał mozolnie nitka po nitce ze starych lin. Nie wyczułam smoły drzewnej i siarki, ale i tak diabelski duch unosił się w powietrzu, niczym obietnica niezapowiedzianej przygody życia. Przeznaczony morzu. Tylko że stąd było tam tak daleko. Westchnęłam trochę zbyt głośno.

– Prezent od przyjaciela – uprzedził mnie i odpowiedział na pytanie. – Skleja je gdzieś w piwnicy na Kozanowie.

– Chyba nawet wiem gdzie – rzucam te słowa bez namysłu.

W bramie moich dziadków mieściła się słynna modelarnia. Nieraz widziałam wynoszone stamtąd modele okrętów. Onieśmielające kunsztem włożonej pracy i serca. To na pewno był jeden z nich. Ożywiał dziwne ludzkie tęsknoty i namawiał do nierozsądku.

– Widzę, że trafiłem na koneserkę – trochę kpił, ale nie ukrywał zadowolenia. – Zaskakujesz mnie, Lidio. – Już chce przejść na „ty”.

Pukanie i sekretarka z kawą w drzwiach. Odstawia ją na biurku i obrzuca



mnie dziwnie spłoszonym wzrokiem. Wychodzi, cicho domykając drzwi.

– Tak, jak ty mnie, Tomaszu – przynajmniej to mamy już z głowy.

– A co ty tam masz? – wskazuje na moją papierową torbę.

– Zapomniałam! Po to tu przyszłam. Marynarka. Dziękuję. Chyba jest zbyt cenna, by tylko wisiała u mnie w szafie. – Wyciągam granatowe wełniane okrycie i podaję mu je z uśmiechem. – Aczkolwiek przydała się mi i to bardzo. Przykro tylko, że przy takiej okazji.

– Niestety – od razu spochmurniał. Odwiesza ją na najbliższym krześle.

– Chcę odwiedzić Darię, ale podobno nie ma jej już na Klinikach. Może wiesz, gdzie ją przenieśli?

– Nie, Niestety – źle ukrył zmieszanie. – Sądziłem, że chciałaś się tylko ze mną spotkać – od razu zmienia temat. – A właściwie dałem ci pretekst, byś się tu zjawiała. – Rzeczywiście nie owijał w bawełnę.

– Nie podeszłam do tego w ten sposób.

– Nie? – dziwi się i to szczerze. – To po co tu przyszłaś?

– Oddać ci marynarkę. – Marynistyczny czar prysł. Trzeba się szybko ewakuować. – I właściwie już to zrobiłam. – Ruszam powoli do drzwi.

– Lidio – zastępuje mi drogę. – Nie chciałem cię wystraszyć. Nie mam dziś zbyt wiele czasu.

– Nie rób sobie kłopotu, ja tylko...

– Ale pójdziesz ze mną. – Nawet nie czekał na odpowiedź. – Mam spotkanie w porcie. Potrzebuję kobiecej opinii. A coś czuję, że twoja może być wyjątkowo trafna – śmiechnął się szeroko.

Praktycznie nie odezwał się słowem od opuszczenia gabinetu, a byliśmy już przy przystani na Moście Uniwersyteckim. Nikt nie powstrzymuje nas przed wejściem na pomost.

– Żegluga na Odrze? A ja myślałam, że to czasy zaprzeszłe... – zaczynam rozmowę trochę zadziornie, ale chciałam wyjaśnić.

– Sama zobaczysz.

Stojąca para, mężczyzna w wieku około pięćdziesięciu lat i prawie czterdziestoletnia kobieta, odwraca się z radosnym uśmiechem na nasz widok. Ubrani jak z katalogu Tommy H. Tomasz wita się z nimi serdecznie. Ewidentnie są zaskoczeni moją obecnością. I Niestety nie tylko oni. Rozmawiają po niemiecku, a moja znajomość tego języka ogranicza się do najprostszych słów: mieć i być. Trochę mało, by prowadzić chociażby najmniej zobowiązującą konwersację. Milczę z głupawym uśmiechem.

– Lidia – słyszę wreszcie swoje imię. – Przyjaźnimy się. Bardzo cenię jej zdanie. – Kłamca, i to zawodowy. – Sprawdziła dla mnie tę łódź. – Ich spojrzenia biegną na motorówkę i to naprawdę przyciągającą oko. – Mówi, że to kiepska inwestycja. Przyszła tu specjalnie na moją prośbę. Prosi, byście się państwo jeszcze

zastanowili.

Cóż, pozostało mi się tylko nadal głupio uśmiechać.

– Dobrze, że nam to mówisz – przechodzą wreszcie na język Słowian.

Siwy mężczyzna kiwa w moim kierunku z szacunkiem. Odpowiadam grymasem, który mam nadzieję był wyrazem mojego profesjonalizmu i pełnego zaangażowania w poruszane kwestie, chociaż w głębi duszy miałam ochotę obnażyć kłamstwo Tomasza.

– Ale mam kilka innych propozycji. – Tomasz najwidoczniej był świetnie przygotowany.

Opuszczamy pomost i wchodzimy do najbliższej restauracji. Znowu wraca język German. Daje mi to niepodważalny pretekst, by udać się do toalety „przypudrować nos”. Robię to wyjątkowo długo i precyzyjnie śledząc fugi drobnych kafelków nad umywalką. Doszukuję się logiki w ich z pozoru przypadkowym ułożeniu, porównuję odcienie, szukam skaz, układam trasę przemarszu czerwonych mrówek, bo na pewno nie mam niczego, co poprawiłoby w tak krótkim czasie mój wygląd. A patrząc w szerokie lustro w grubej drewnianej ramie, zastanawiam się tylko, co ja tu jeszcze robię, skoro Raczyński wykorzystuje mnie w tej dziwnej sytuacji i nawet nie wiem, do czego to wszystko ma doprowadzić.

Jasnowłosa krótko ścięta kobieta, Ewa, jak przedstawił ją Tomasz, wchodzi nagle z uśmiechem i nawet nie ukrywa, że zjawia się specjalnie, by ze mną porozmawiać.

– Jak długo znasz Tomasza? – pyta, jak rasowy Anglik z bełkotliwym akcentem, chociaż na pewno nie pomyliłam się z jej niemieckim rodowodem.

– Miesiąc – kłamię, ale znowu nie aż tak.

– Tak myślałam, że coś kręci. On nigdy nie zabiera kobiet na negocjacje. Nawet swojej córki... – Kwituję to przetrenowanym głupawym uśmiechem. – Cały Tomasz.

– Tylko że on naprawdę ma rację. Ta łódź nie nadaje się do niczego innego, niż tylko lans po leniwej Odrze. Nie wytrzyma nawet średnich fal.

– A jednak... – kobieta nie ukrywa zdziwienia, że mam coś do powiedzenia w tym temacie. – A ja myślałam, że jesteś jego kolejną maskotką – dodaje ciszej, śmiejąc się trochę pod nosem, a ja przecież nie mogę temu zaprzeczyć.

– I uwierz mi, nie on kazał mi to mówić.

– Wierzę ci. – Kobieta chwyta mnie pod ramię i wychodzimy z toalety. – Lidio, to teraz powiesz mi, co ty byś mi radziła.

– Hm... – Tego zupełnie się nie spodziewałam. Ale w mojej głowie dźwięczy tylko jedno zdanie „Kłam, byle zgodnie z powszechnie przyjętą prawdą”.

**21 września 2012 roku, piątek, g. 14:30**



Chcę już wsiąść. Sięgam do srebrnej klamki, nie patrzę mu w oczy, ale szorstka dłoń powstrzymuje mnie skutecznie. Nie czuję się dobrze, a tym bardziej przygwożdżona jego nachalnym spojrzeniem nawet do tak miękkiej skóry, jaką teraz czuję pod sobą.

– Świetnie sobie poradziłaś. – W tonie Tomasza nie ma ironii.

– Daj spokój. Zmusiłeś mnie do tego. – Mój wyrzut jest wyjątkowo szczery.

– Ale to był pierwszy i ostatni raz. Przecież to twoi przyjaciele.

– Tak, Lidio. Dlatego ci nie przerwałem.

– A trzeba było. Teraz nic od ciebie nie kupią.

Zaśmiał się.

– Mylisz się. Właśnie dzięki tobie podpiszę w tym tygodniu jeden w większych kontraktów w tym roku. Ewie bardzo przypadłaś do gustu. Ujęłaś ją swoją szczerością. To rzadkie w tej branży. Teraz ma pewność, że dotrzymam terminów.

– Ewie? – dziwię się. Cały czas sądziłam, że chodziło o Gustawa.

– Tak. Tu nie chodziło o tę głupią motorówkę ani o omegę na mazurach. – Nadal trzyma moją rękę. – Ta kobieta to prezes największego w Niemczech Holdingu Żeglugi na Renie. Chcą nowych podwykonawców. To są miliardowe kontrakty.

– To ile z tego dostanę? – Nie mam skrupułów, ale wystawił mnie na rzeź bez ostrzeżenia.

– To zależy... – Lisi uśmiech na jego wyrazistej twarzy wygląda wyjątkowo pociągająco, chociaż zaprzeczam temu usilnie. – Zaczekaj – prosi i wysiada z samochodu. Otwiera mi drzwi i czeka aż wsiądę. Manipuluje ludźmi równie dobrze, jak kłamie.

– Muszę już jechać. – W rzędzie samochodów na parkingu odszukuję swoją niebieską perełkę. I chociaż trochę robi mi się lżej.

– Lidio... – staje przy mnie, domykając drzwi. – W tym tygodniu mam naprawdę mało czasu. Czeka mnie kilka wyjazdowych spotkań. Ale co powiesz na kolację w następną sobotę – zawisa nade mną i sępiim wzrokiem wpatruje się w moje usta.

– Nie.

– Nie wierzę... – nachyla się i bezceremonialnie mnie całuje. Odsuwam się instynktownie i ruszam do swojego samochodu. – To tylko kolacja... w sobotę.

– Nie chcę. Oddałam ci marynarkę. – Sięgam po klucze w kieszeni kurtki. Rusza za mną.

– Może do tego czasu dowiem się czegoś na temat Darii. – Dobrze wie, jak ma mnie podejść. – Poza tym jest jeszcze kwestia twojej prowizji od kontraktu.

- Tomaszu...
- O ósmej. Przyjadę po ciebie.
- Nie wiem.
- Wiesz.

**29 września 2012 roku, sobota, g. 20:00**



– Kaśka, co ja robię? – stoję przed nią gotowa do wyjścia.

Uśmiech przyjaciółki promienieje w orzechowych tęczówkach. Pociera jeszcze palcem po bladym czole i poprawia ułożenie grubych oprawek okularów na nosie.

Chyba jeszcze nigdy nie wystroiłam się tak dla faceta. Kremowa przylegająca w biodrach grubsza bawełniana sukienka do kolan ze spływającym miękko dekoltem, rękawki trzy czwarte, cieliste szpilki, subtelny makijaż i fryzura ze wzmocnionym skrętem naturalnych jasnych fal.

– Jesteś dużą dziewczynką. Poradzisz sobie – podaje mi oliwkowy trenz.

– Nie wiem. Boję się. – Znów czuję to zimno na kręgosłupie i swojej prawej dłoni.

– Lidka, przestań! – Katarzyna doprowadza mnie do porządku. – Najwyższy czas. To już prawie dwa lata. A Marek na pewno wolałby widzieć cię szczęśliwą. – Wszyscy używali tego argumentu, a mnie wcale nie było lżej. – Cieszę się, że wreszcie się zdecydowałaś. To musi być wyjątkowy facet – przytula mnie mocno. Odwzajemniam się i powstrzymuję drżenie rąk. – Poza tym... ta kiecka lepiej leży na tobie niż na mnie.

– Głupia – kwituję jej słowa. – Wiesz... Jeszcze za nim tęsknię...

– Wiem, ale życie toczy się dalej. Nie uciekniesz przed tym.

– Szkoda – uśmiecham się, dopinając płaszcz.

Wychodzę.

Tomasz obrzuca mnie równie aprobującym spojrzeniem, jak przed chwilą Kaśka.

– Cholera – mówi cicho pod nosem, domykając za mną drzwi czarnego range rovera.

Sam jest w ciemnogrnatowych dżinsach, jasnej koszuli i sportowej marynarce. Wygląda świetnie. Chyba przegięłam tym razem z tą elegancją, ale to on był zawsze w garniturze na tip top. Zaczynam się źle czuć i już żałuję, że wyszłam w ogóle z domu.

Wsiada, ruszamy, ale on nadal nic nie mówi. Zerka co chwila w moim kierunku.

– Nie cholera, a chyba Lidia dali mi rodzice w dniu narodzin – kpię, ale to

milczenie stało się nieznośne.

– Przepraszam – śmieje się, pokazując białe równe zęby. – Myślałem, że nie słyszałaś.

– Mówiłeś, że idziemy na kolację w bardzo ciekawe miejsce.

– Tak, ale jak cię zobaczyłem, zmieniłem plany. – Nadal się uśmiecha. –

Lidio...

– Przepraszam – głupio mi. – To może zawrócić, a ja się szybko przebiorę.

– O nie, nie ma mowy – przyśpiesza.

Chyba zawsze jeździ zbyt szybko. Za szybko mijamy samochody na oświetlonej ulicy Wrocławia. Lamy odbijają się w wywoskowanej karoserii. Kolejny raz przekonuję się, że duże auto daje poczucie bezpieczeństwa. Prawie jak volvo V70, którym kiedyś jeździłam, właściwie jeździliśmy. I nagły skurcz odbiera mi oddech. Sztywnieje kręgosłup i prawa ręka. Nie chcę tego, ale to wraca, a pod zaciskanymi powiekami nagle pęka szyba, uderzając odłamkami w twarz. Szaroniebieskie oczy gasną. Wszystko robi się odrażająco białe. Słyszę pisk opon, swój krzyk. Ogłuszający huk. Zaciskam mocniej powieki i pięści. Samochód zwalnia.

– Lidia, co się stało? – słyszę zaniepokojony głos Tomasza. – Lidia!

Mijają strasznie długie sekundy. Wloką się, zamieniając w godziny, dni, miesiące. Ale wreszcie łapię oddech. Otwieram oczy. Prawa dłoń drży. Kolejne snopy latarnianego światła, wpatrzone we mnie zaniepokojone jasne oczy, czerń wilgotnego asfaltu przecięta bielą rozdzielających ją linii.

– Wszystko w porządku – wyduszam z siebie, ale lewą dłonią zasłaniam twarz. Sprawdzam, czy na pewno to tylko moje lęki wymykające się z cienia wspomnień. A opuszki biegną po skórze i nie czują nic. – Wszystko dobrze.

– Na pewno? – zwalnia chyba do trzydziestu kilometrów na godzinę. Mijające nas auta trąbią, by przyśpieszył.

– Tak, tak, nic się nie stało. Już wszystko w porządku – odwracam się do niego z wymuszonym uśmiechem. Prawa dłoń wędruje pod moje udo.

– Trzeba było mi powiedzieć... – przerywa mu dzwonek telefonu. Z dziwną obawą wyciąga go z kieszeni i patrzy na wyświetlacz. Marszczy czoło. – Przepraszam, muszę odebrać – tłumaczy się. – Słucham – od razu zmienił ton. – Teraz? To nie może poczekać do jutra? – wzdycha ciężko. – Ale ja dziś... – zaciska zęby. – Dobrze, zaraz tam będę. – Naciska nerwowo czerwony punkt na wyświetlaczu.

– Praca? – pytam, bo wyczuwam jego podenerwowanie.

– Nie, nie, ale muszę jeszcze coś załatwić. – Bierze głębszy wdech i rzucając krótkie spojrzenia w lusterko, zawraca. – To zajmie tylko chwilę – włącza muzykę.

I znów stał się milczący. Zerka w moim kierunku z dziwną obawą. Wyjeżdżamy z Wrocławia. Kończą się światła lamp. Jesteśmy na jednej z dróg

dojazdowych, co daje się zauważyć po liczbie dziur. W końcu włącza długie i skręca w brukowaną wąską drogę przy zagajniku.

Wyczuwam narastające w nim napięcie. Dłonie zaciska na skórzanej kierownicy z utkwionym wzrokiem gdzieś w czerni rozdartej snopem mocnych świateł. Dojeżdżamy do rzeźbionej metalowej bramy. Otwiera okno i patrzy w kamerę. Skrzypnięcie i wrota ustępują. Jedziemy jeszcze chwilę, aż spomiędzy starych drzew otaczającego nas ogrodu wyłania się brukowany dziedziniec dwupiętrowego dworu. Fasada odnowiona w stylu neoromantycznym z eklektyzmem w secesyjnych rzeźbieniach opraw wysokich okien. Dwie smukłe wieżyczki sterczą po bokach budynku. Nad wejściem niewielka arkada i drewniane drzwi. Barczysty łyśawy mężczyzna w ciemnym garniturze stoi przed nimi i szepcze coś sam do siebie.

Parking jest pełen. W rzędzie przy kamiennym może półmetrowej wysokości murku ostrzegam bentleya, maserati, jaguara, a także sportowe auta, w tym lamborghini Gallardo, porsche 911 GT3, subaru Impreza STi, nissana GT-R i mercedesa SLR AMG. Na pewno nie jest to miejsce dla przeciętnych zjadaczy chleba, jeżdżących po mieście z zazdrosnym uśmiechem skierowanym w stronę anonimowych twarzy kierowców tych fenomenalnych samochodów i nieświadomie biorących głęboki wdech zakończony przygryzieniem dolnej wargi. Czysta poezja, ale dla miłośników motoryzacji, bezkompromisowo traktujących swoje oczekiwania co do jakości doznań, jakich ma dostarczać im jazda takim pojazdem.

Tomasz zatrzymuje się trochę z boku, tak bym mogła patrzeć na oświetlony z jednej strony niewielki staw. Jakby specjalnie w zacienionym miejscu dziedzińca. Patrzy chwilę przed siebie, daleko za szybę, a później powoli odwraca się w moim kierunku.

– Zaczekaj, proszę, ale nie wychodź z samochodu, dobrze? – kiwam głową.  
– Zaraz wracam.

Wysiada i zatrzaskuje dość mocno za sobą masywne drzwi. Ściszam muzykę, światło w samochodzie gaśnie po chwili, a ja rozpinam płaszcz i oglądam swoją prawą dłoń zdrętwiałą od ucisku uda. Przynajmniej przestała się trząść. Te emocje chyba nigdy nie odejdą, ale szyba przede mną jest nietknięta i nie ma najmniejszego śladu odłamków. Nie wyją syreny, nie rażą mnie światła, nikt nie pyta mnie „czy coś pamiętam”.

Chciałabym nie pamiętać, nie czuć, nie tęsknić, bo nie rozumiem dlaczego. Wiem, że wszystko musi się kiedyś kończyć, nawet ten obezwładniający stan bezradności. I walczę z myślami. Z pragnieniem, by Marek wrócił, by to on był zamiast Tomasza. Po prostu usiadł obok, odpalił silnik i zabrał mnie do domu. Jeszcze tyle miałbym mu do powiedzenia, tyle słów. Wygarnęłabym mu jego nadludzki refleks i decyzje podjęte w chwili nagłego impulsu. Oskarżyła o egoizm i porzucenie. Przecież tego nie robi się nawet kotu. Taka śmierć nie jest tego warta.

Pukanie w szkło tuż przy mojej głowie odrywa mnie nagle od wspomnień. Ktoś naciska klamkę, otwiera drzwi i patrzy nachalnie.

– Zapraszam do środka. – Barczysty mężczyzna w czarnym ciasnym garniturze gestem wskazuje mi główne wejście do budynku. Teraz zauważam słuchawkę w jego uchu i spiralny zwój ginący pod jego białą koszulą. Ochroniarz.

– Ale miałam zaczekać – bronię się.

– Zapraszam. – Jest stanowczy.

Zamyka za mną drzwi auta i prowadzi pod arkady. Szpilki fatalnie sprawdzają się na brukowanym łupkiem dziedzińcu. Modłę się, by nie upaść. Drewniane masywne drzwi uchylają się jak tylko stoję przy nich. Instynktownie szukam kamery. I jest, tam w rogu. Co to za miejsce? Hotel? Spa? Jakiś klub golfowy? Wszystko odnowione i pod stałym nadzorem.

Pewniej wchodzę do holu, ściskając w dłoniach swoją plecioną kopertówkę i od razu widzę te szerokie marmurowe schody. Światło lamp tłumi się w bordowo-żółtym obiciu ścian. Zapierający dech kryształowy żyrandol mieni się w ciepłym delikatnym świetle tuż nad moją głową. Z głębi słyszę śmiech i stłumioną muzykę. Na ścianach wiszą ogromne obrazy w pozłacanych ramach, ale to głównie dość odważne akty. No cóż, sztuka. Uśmiecham się pod nosem i zaczynam się rozglądać za Tomaszem. Musiał zmienić plany, skoro jednak chciał, bym tu weszła. Ale chyba nie myślał o tym miejscu na naszą wspólną kolację.

Wchodzę głębiej, ale czuję wyraźnie, że muszę poprawić ułożenie lewej stopy w szpilce. Pochyliłam się i dopiero teraz na kamiennej posadzce dostrzegam mozaikę. Ułożona z trzech kolorów marmuru. Białą, żółtą i zieloną. Od razu do głowy przychodzi mi tuf sienieński posadzki gotyckiej Cattedrale Metropolitana di Santa Maria Assunta. Uderzające podobieństwo. Okręcam się wokół własnej osi, by dokładniej przyjrzeć się, co z taką ignorancją zdeptały moje stopy. I dopiero po chwili mój wzrok znów pada na marmurowe schody, które na wysokości półpiętra rozchodzą się w dwóch przeciwnych kierunkach, wiodąc na następny poziom budynku. I już mam pewność, że nie jestem w tym holu sama.

Dłoń dostrzeżonego nagle mężczyzny ślizga się po zimnej kamiennej balustradzie, gdy on powoli pokonuje kolejne stopnie kaskady mleczno-żółtych schodów. Idzie pewnie i niepokojącym mnie wzrokiem przenika dzielącą nas przestrzeń. Gdy dociera do półpiętra, przechyla lekko głowę i krzyżujemy spojrzenia. Uśmiecha się, ale w ten wyjątkowo onieśmielający sposób. Czuję się zaskoczona jego oceniającym mnie bez skrępowania spojrzeniem i chyba tracę na chwilę oddech. Ma wyjątkowo ciemne włosy związane w kucyk na potylicy, wyraziste kości policzkowe, pełne, ale nienachalne usta. Jest szczupły, ale nie chudy, z mocno zarysowaną linią ramion. Czarna dopasowana koszula niedopięta do szyi tylko to podkreśla. I te jego szarobłękitne oczy, które tak przypominają mi zupełnie kogoś innego. Znów czuję drżenie. Prawą dłoń mocniej zaciskam na

kopertówce.

– Zapraszam – wyciąga do mnie rękę, zachęcając, bym wspięła się do niego po tych kilkunastu schodkach. I robię to z czytelnym zmieszaniem na twarzy. Ogarnia mnie krępujące zdenerwowanie, które na pewno zbyt łatwo można odczytać z mojej twarzy. Coś mówi mi, że powinnam wrócić do auta.

– A gdzie Tomasz? – pytam, stając na ostatnim stopniu.

– Tomasz? – przeszukuje myśli, podając mi dłoń. – A, Tomasz... Tak... Ciii – kładzie palec na ustach. – Żadnych nazwisk. Prosił, bym się dobrze tobą zajął.

Prowadzi mnie jeszcze wyżej, na następne piętro. I znów te nagie kobiety z obrazów. Twarze obcujących z nimi mężczyzn ze zwierzęcym uśmiechem. To chyba czyjaś obsesja.

U szczytu schodów drugiego piętra mijają nas dwie może dwudziestodwuletnie długowłose dziewczyny w czarnych gorsetach, skąpych figach i ponętnie odsłoniętej reszcie ciała. Pas ich pończoch praktycznie nie podtrzymuje już niczego, a stopy ukrywają w niesamowicie wysokich czerwonych szpilkach. Bez najmniejszego oporu całują się przy nas, a jedna z nich sięga krocza idącego przede mną mężczyzny. Jej język swobodnie wchodzi mu w usta, a później liże małżowinę ucha. Długowłosa nie ukrywa zadowolenia.

A do mnie powoli dociera, o co tu chodzi. Idiotka! Kompletna, niezyciowa idiotka! Chcę, by prowadzący mężczyzna mnie puścił, ale jego dłoń zaciska się mocniej. Walczę, gdy ręka drugiej dziewczyna wędruje już po moim policzku. Odrącam ją, ale ona się dziko śmieje. Mężczyzna wręcz wciąga mnie w korytarz i popycha w drugie drewniane drzwi przejścia. Dostrzegam kolejnego ochroniarza, który uważnie obserwuje całą sytuację. Zaraz mi pewnie pomoże.

– Przestań! – Uciekam przed nachalnością męskich dłoni.

Udaje mi się wyrwać, ale gubię kopertówkę. Ruszam do schodów. Ochroniarz zastępuje mi drogę. Śmieje się szyderczo. Mężczyzna chwytą mnie w pasie i przyciąga do siebie. Ochroniarz otwiera mu drzwi do pokoju.

– Nie udawaj takiej... Nie lubię tego – sapie mi do ucha, gdy drzwi zatrząskują się za nami.

Popycha mnie na fotel.

– To pomyłka – tłumaczę się. – Ja nie przyszłam tu po to.

– A po co tu jesteś? – śmieje się, stając nade mną. Jego atrakcyjne rysy nabierają demonicznego wyrazu. – Rozbierz się.

– Nie. To jakieś nieporozumienie – wstaję z fotela.

Mężczyzna rzuca się na mnie i próbuje mnie rozebrać. Udaje mu się ściągnąć trenz, który tylko związałam paskiem, i wydaje się zaskoczony, gdy patrzy na moją kremową sukienkę. Uciekam mu do drzwi. Naciskam klamkę, ale za nimi jest tylko ta masywna postać ze słuchawką w uchu. I znów ten uśmiech.

– Igor, potrzebujemy małej pomocy – ciemnowłosa rzuca do ochroniarza,



a on odpychając mnie, wchodzi do pokoju i zamyka za sobą drzwi.

Patrzę na okno, ale od razu przypominam sobie, że to drugie piętro. Jedyne wyjście wiedzie przez drzwi zagrodzone barczystą sylwetką atlety.

– Nie możecie – cofam się prawie pod ścianę i pod kolejny obraz z lubieżnym spojrzeniem rudowłosej kobiety.

Ochroniarz sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki i w jego dłoniach dostrzegam strzykawkę. Ciemnowłosemu udaję się mnie chwycić i ciągnie mnie na łóżko. Popycha na miękki materac i przytrzymuje głowę. Coś wbija się w moje ramię i rozrywa mięsień. Krzyczę.

– Teraz już na pewno będzie grzeczna – słyszę gardłowy głos ochroniarza.

– Takie właśnie lubię. – Ciemnowłosey głaszczę moje włosy przy twarzy i rozluźnia swój uścisk na plecach. Wstaje i odchodzi od łóżka. Chyba zaczyna się rozbierać.

Obracam się powoli, prostując kręgosłup. Ochroniarz wychodzi, domykając drzwi. Biorę głębszy oddech, a na prawym ramieniu dostrzegam krew płynącą z miejsca, gdzie wbił mi tę piekielną igłę. Kaśka mnie za to zabije. Dziwne, ale moja prawa dłoń nie drży.

Mężczyzna nie ma już koszuli i prezentuje wyrzeźbiony tors. Patrzy na mnie, z pożądaniem odpinając pasek zegarka. Z uśmiechem przygryza dolną wargę.

– Nie, to niemożliwe! – Podnoszę się i ledwo mogę ustać w swoich cielistych szpilkach. Serce wali mi pod żebrami, a on odpina czarny skórzany pasek ciemnych dżinsów. – To tylko pomyłka... – patrzę w te jego szaroniebieskie oczy, dokładnie takie jak Marka, i nie mogę w to wszystko uwierzyć. – Proszę cię.

– Jak masz na imię? – pyta po chwili, zsuwając czarne mokasy.

– Lidia. – Opadam z powrotem na materac. Narkotyki zaczyna działać i już wiem, że nie zdołam stąd uciec.

Bosy, tylko w spodniach, podchodzi do łóżka i staje nade mną.

– Wiesz, że złamałaś zasady – pomaga mi wstać, gładząc mój policzek. – Kto dał ci ten adres? Dlaczego tu jesteś? – pyta, szukając zamka sukienki. Suwak szybko wędruje w dół. Tracę czucie w dłoniach. – To nie jest miejsce dla takich niewiniątek. Przystań wreszcie grać. – Jego wzrok wędruje po odsłaniającym się powoli dekolcie i ramionach. – Ale i tak może być nam miło.

Sukienka opada pod nogi. Zostaję w kremowym body, cielistych pończochach i szpilkach. Mężczyzna zachłannie dotyka mojej skóry i wodzi palcem po ramię, które szybko opada na ramię. Sięgając sutka jednej piersi, wpija się w szyję i mocno ciągnie mnie za włosy. Odchylam głowę, a on liże koniuszkiem języka jedną z powiek, wolno schodzi na policzek i wdiera mi się w usta. Moje ciało nie umie stawić mu oporu. Ledwo rozchyłam ciężkie powieki.

– Przynajmniej jakaś odmiana. – Chwyta moją dłoń i wsuwa ją sobie w spodnie. Na pewno nie ma bielizny. – Jak lubisz najbardziej? – dopytuje

pólszeptem.

Osuwam się. Przytrzymuje mnie i z zaskoczeniem patrzy mi w oczy. Kładzie wolno na łóżku, wysuwając moją bezwładną dłoń ze swojego rozporoka.

– Lidio! – potrząsa moją brodę. – Hej! – Jego głos dociera do mnie z daleka.

– Nie rób mi krzywdy.

– Lidio. – Czuję, że leżę, a jego twarz jest tuż nade mną. – Kurwa, dał ci zbyt dużą dawkę.

– Proszę...

**30 września 2012 roku, niedziela, g. 09:00**



Ból skroni rozbudza mnie, ale nadal nie mogę otworzyć oczu. Ledwo powstrzymuję odruch wymiotny.

– Hej! – Znow ktoś mną potrząsa, odsuwając włosy z twarzy. – Tutaj – podaje mi miskę.

Wymiotuję i opadam na łóżko. Co to za koszmar mi się śnił? Ktoś wyciera mi twarz, a ja zwijam się w embriion i staram się zniknąć. Zasypiam.

**30 września 2012 roku, niedziela, g. 20:00**



Wreszcie bez bólu otwieram oczy. Przespałam chyba cały dzień, bo za oknem widzę tylko smugi światła latarni rozpraszających ciemność.

Podnoszę się powoli. Nadal mam na sobie kremowe body, pończochy, a moje ulubione szpilki dostrzegam przy krześle w rogu. Co jest?

To nie mój pokój, a nawet nie moje wynajęte mieszkanie. Zrywam się, ale ból pleców i skroni szybko powstrzymuje ten impet. Wstaję, ale już wolniej. Stopy zapadają się w puszystym dywanie i brodzą w nim chwilę bez celu. Próbuję zebrać myśli i opanować desperacką chęć ucieczki. W żołądku znowu czuję skurcz. Tu nie ma lustra. Za to na drewnianym wieszaku wisi znajoma granatowa marynarka i bordowy krawat.

Ta jasna i przytulnie wyglądająca czyjaś sypialnia przeraża mnie w tym momencie. Po prostu muszę stąd wyjść. Chwytam buty i naciskam klamkę drzwi. Ustępują z łatwością. Rozglądam się. Potrzebuję łazienki, lustra, za to widzę drewniane schody w dół i dwoje innych ciemnych drzwi. Ogarnia mnie dziwne wrażenie, że to, co mi się przytrafiło, nie było jednak snem...

Powoli i cicho schodzę po kolejnych schodkach. W ciepłym wieczornym świetle szybko dostrzegam postać siedzącą na barowym wysokim stołku przy kuchennej wyspie. Mężczyzna w niebieskim T-shircie i dżinsach zatopiony jest

w lekturze. Poznaje Tomasza, gdy odrywa wzrok od gazety rozłożonej na blacie i patrzy na mnie przez moment. Wygląda jakby w ogóle nie spał poprzedniej nocy. Uśmiecha się, a jego jasne oczy wyrażają ulgę.

– Dzień dobry, a może dobry wieczór – podchodzi do schodów.

– Hej – odpowiadam nieśmiało, bo właściwie bardziej pragnę stąd uciec, nie chcąc, by on widział mnie w tym stanie. Czuję się dokładnie tak, jak po samotnym opróżnieniu butelki Seniority, ale chyba mam mniejsze zawroty głowy.

– Cieszę się, że już lepiej.

– Tego nie jestem pewna – znów czuję swoją prawą dłoń i chyba się trochę chwieję.

– Chodź, napij się kawy – podaje mi rękę, ale ja odsuwam się, krzywiąc. Zauważa to od razu.

– Chciałabym już iść.

Rozglądam się po sporym salonie, który stanowi wspólną przestrzeń z kuchnią i jadalnią. Na jasnym fotelu dostrzegam swój płaszcz i sukienkę. Ruszam szybko w tym kierunku. Tomasz powoli idzie za mną.

Sukienkę wkładam od dołu i od razu widzę krwawą plamę na ramieniu. A jednak to nie był żaden cholerny sen! Walczę z zamkiem. Tomasz pomaga mi na plecach, ale od razu robi mi się zimno. Odsuwam się, a jego wzrok wskazuje na to, co leży na ławie. Wkładam jeszcze szpilki i chyba zaczynam czuć się pewniej.

– Co to ma znaczyć? – pytam, obrzucając wzrokiem drewniany blat. Leży tam koperta z wizytówką.

– Sprawdź sama. – Tomasz śledzi każdy mój ruch.

Sięgam do koperty. Otwieram ją.

– Co to jest? – widok pliku kilkunastu dwustuzłotowych banknotów mrozi moje myśli.

– Zachęta.

– Do czego? – Nadal nic nie rozumiem. Sięgam po wizytówkę, na której widnieją odręcznie napisane słowa „Wchodzisz do gry!” i numer telefonu. Odruchowo marszczę brwi. – Co to jest? Do cholery, mów! – syczę w jego kierunku.

– Już jesteś w grze... Kurwa! I to nie znając zasad – mówi przez zaciśnięte zęby i wzdycha pod wpływem ciężaru myśli. Powoli odwraca głowę i rusza w kierunku kuchni.

– Nie, w nic mnie nie wciągniesz! – Rzucam kopertę z wizytówką z powrotem na stół. – Dlaczego ty mnie w ogóle tam zabrałeś?

– A ty, dlaczego wysiadłaś z tego pieprzonego samochodu. Mówiłem ci – warczy i zawraca. Jest naprawdę zdenerwowany. Próbuje uciec, ale chwytam mnie za ramiona i potrząsa intensywnie. – Miałas się stamtąd nie ruszać. Myślałem, że rozumiesz.

– Przecież ten ochroniarz po mnie przyszedł. Myślałam, że zmieniłeś zdanie...

– Kto?

– Ten człowiek ze słuchawką w uchu.

– Nie weszłaś tam sama?

– On mnie tam zaprowadził. Czekałam na ciebie.

– Lidio... – przerywa, a jego dłonie przestają miażdżyć mi ramiona. Sięgam po płaszcz.

– Ja tak nie chcę, Tomaszu. To nie dla mnie... To nie mój świat... – kręcę przecząco głową.

– Mój też nie – patrzy ze smutkiem. – Ale z tej gry nie wychodzi się tak po prostu.

– Ja zamierzam. – Podchodzę do drzwi i dopiero w tym momencie odczuwam palący brak kopertówki. Zagryzam zęby. – Odwieszysz mnie? – pytam cicho, ale teraz nie mam ani telefonu, ani pieniędzy, dokumentów czy kluczy do mieszkania. Kurwa! Krzyczę w myślach. Dobrze, że nie wzięłam prawa jazdy.

– Poczekaj – rzuca i zaczyna ubierać sportowe płaskie buty na bose stopy.

– Nie masz mojej torebki? – pytam, udając, że to nic ważnego.

– Nie, nie mam – odpowiada, ale chyba dobrze wie, co kryje się za tymi słowami.

Schodzimy do garażu, a on sięga po chusteczki i podaje mi je. Dopiero patrząc w lusterko, rozumiem dlaczego. Ślinię róg i wycieram ciemne smugi spod oczu. Nie chcą zejść tak łatwo. Poddają się. I tak jest już ciemno.

Znów jedzie zbyt szybko. Ma zacięty wyraz twarzy. Kolejne latarnie zostają na prawie pustej ulicy. Czuję się brudna.

– Gdzie cię zawieść? – pyta dopiero po dłuższej chwili.

– Tam, skąd mnie zabrałeś.

– Lidio... Ja naprawdę tego nie chciałem – zaciska palce dłoni na kierownicy, wrzuca niższy bieg i znów przyśpiesza. – Nie tak planowałem ten wieczór.

– Ja też... – właściwie nie mam mu już nic więcej do powiedzenia.

– Oddam mu te pieniądze, ale to może nic nie dać – jego głos ma wyczuwalną obcą nutę. – Ta gra ma pewne zasady.

– Nic nie chcę wiedzieć – przerywam mu. – Oddaj mu... im... to i nie chcę już nigdy o tym słyszeć. To jakieś nieporozumienie – robi mi się niedobrze. Muszę się uspokoić. Sięgam po chusteczki.

– I lepiej żebyś nikomu o tym nie mówiła... – znowu przyśpiesza.

– Domyślam się.

**1 października 2012 roku, poniedziałek, g. 10:00**



– Chciałabym zgłosić zaginięcie dokumentów.

Masywny policjant za biurkiem komisariatu na Połabian podaje mi plik papierków. Jego kanciaste okulary ewidentnie domagają się odrobiny Ludwika, a znudzone spojrzenie potęguje wrażenie, że to tylko strata czasu. Jego czasu.

– Proszę to wypełnić – swoją spuchniętą dłonią podaje mi długopis.

Śmieję się sama do siebie, ale za głupotę człowiek musi czasami słono zapłacić. Kończę, a policjant leniwie wklepuje moje dane do systemu. Mija kolejna godzina na wrocławskim komisariacie.

– Dobrze – mlaszcze. – Czy coś jeszcze pani zginęło? – pyta z dziwnie ironicznym uśmiechem.

– Tak, ale to już załatwiłam w banku i u operatora. Zamki wymienią mi przed wieczorem.

– To dobrze. Właściwie to wszystko. Tu ma pani dowód przyjęcia zgłoszenia i z tym uda się pani do urzędu.

– Dziękuję – biorę zaświadczenie i wstaję od jego biurka. Za mną jest jeszcze kilka osób nerwowo tupiących w korytarzu. – Do widzenia.

– Tak, do widzenia. Chociaż lepiej, by się pani już u mnie nie pokazywała. – To chyba miał być żart.

Uśmiecham się i ruszam do wyjścia. Gdybym paliła, to pewnie odpalałabym już trzeciego papierosa, ale za to sięgam po miętówkę. W przejściu mijam dwóch policjantów prowadzących może osiemnastoletniego chłopaka w kajdankach. Ma naciągnięty kaptur na głowę i rozciętą górną wargę. Zdąża obrzucić mnie spojrzeniem „Co się gapisz!”, nim policjant popycha go do przodu. Miętówka sama wpada mi w przęłyk.

Wychodzę na zewnątrz. Ruszam do samochodu. Obok mnie parkuje radiowóz. Chyba zabrakło im miejsc bliżej wejścia, bo dzisiaj nawałnica interesantów. Pewnie połowa takich jak ja. Okradzionych idiotek. Kurwa! – znów krzyczę w myślach.

Siadam na fotel i opuszczam szybę. Dzień jest dość ciepły i słoneczny. Szkoda tylko, że muszę już wracać, bo zaraz ma przyjść fachowiec do zmiany zamków. Dopiero po chwili czuję nachalny wzrok kogoś siedzącego w radiowozie. Jasnowłosa policjantka z włosami złapanymi w kucyk opuszcza okno i nawet nie ukrywa, że się na mnie gapi. A chyba bardziej na mój samochód.

– To pani – rzucam, próbując przełamać jej mało przyjazny wyraz twarzy.

– A to pani auto?

– I tak, i nie – uśmiecham się.

– Widzę, że i tak w końcu pani do nas trafiła.

– Żałuję, ale tak – kiwam na potwierdzenie swojej głupoty. – A ma pani może jakieś informację o tej zgwałconej dziewczynie? Darii. Nie znam nazwiska.

– Nie udzielam takich informacji – odpowiada sucho.

– Ale to ja ją wtedy znalazłam.

– Kiedy?

– Właśnie tamtej nocy, na Widawie, gdy przyjechaliście państwo do tej zaparkowanej fiesty. Moja nadopiekuńcza przyjaciółka zadzwoniła w panice. A ja po prostu zostawiłam telefon w aucie.

– Aha. – Nie, jej wyraz twarzy chyba nigdy nie ulega zmianie.

– Jakaś dziewczyna wyskoczyła mi pod koła. Ktoś ją bił i na pewno została zgwałcona.

– Zgłaszała to pani?

– Nie, ale zawieźliśmy ją do szpitala... – O kurwa! Lampka zapaliła się na czerwono.

– Którego?

– Na Klinikach.

– Tam nie ma izby przyjęć.

– Jak to nie? Przecież tam ją zostawiłam. Opatrzyli ją i pozszywali. Powiedzieli mi, że powiadomiono policję. Ktoś musiał przyjąć jej zeznania. Ona się bardzo bała.

– To pewnie się nią zajęli ci ze Śródmieścia. W tym mieście dochodzi dziennie nawet do kilkunastu gwałtów. Ale dobrze, że pani nie czekała na karetkę, bo z nimi różnie w nocy bywa.

– Przepraszam, a gdzie mogę sprawdzić, czy dokonano zgłoszenia w sprawie tej dziewczyny?

– Właściwie nikt pani nie udzieli teraz takiej informacji, bo nie pani to zgłaszała. Proszę się nie martwić. Na pewno dorwiemy tych skurwiele – uśmiechnęła się trochę boleśnie.

– To dobrze – odwzajemniam się przyjacielskim grymasem i odpalam samochód. – A... mam jeszcze jeno pytanie.

– Jak pani musi – wzdycha z rezygnacją.

– Pamięta pani tego mężczyznę, który z wami wtedy rozmawiał na Widawie, gdy znaleźliście moje auto, właściwie to auto... – wskazując mój niebieski bolid.

– Tego byłego komandosa.

– Komandosa? – Lampka jarzy się i połyskuje.

– No tak. Raczyński... – upewnia się.

– Tak. Tomasz Raczyński. – Nie ukrywam konsternacji.

– Podobno kiedyś ostro oberwał, ale i tak uratował swoich kilku ludzi. Odbijali jakiegoś zakładnika w Turcji i wpadli w zasadzkę. Ktoś ich wystawił. Dwóch zginęło, ale mogło być ich więcej – przerywa z głębokim westchnieniem. – Tylko że nie wykonał rozkazów. Udupili go później i tyle mu z tego było. Honorem tyłka nie podetrzesz, a on nie umiał siedzieć i patrzeć w biurko. Zresztą,

kto by po czymś takim przełknął degradację. Kilku z nim odeszło – wraca wzrokiem na mnie i dziwnie uśmiecha. – No, ale o co chodzi?

– Właściwie odpowiedziała pani ma moje pytanie.

– Niech pani lepiej uważa, z kim się zadaje – mówi to wyjątkowo szczerze, patrząc mi w oczy. – Ten typ mężczyzn raczej nie jest dla grzecznych dziewczynek. – Zabolalo.

– Będę o tym pamiętać – kiwam głową i wyjeżdżam z parkingu.

**1 października 2012 roku, poniedziałek, g. 12:30**



– Jak to nie było zgłoszenia?

– Nie było i już! – Karolina zawsze była konkretna. – Żadnego gwałtu dziewczyny z tym imieniem. W tym dniu były trzy oskarżenia o gwałt, ale wszystkie trzy wycofano w ciągu 24 godzin. Żadna z tych dziewczyn nie miała na imię Daria. Nikt nie jechał na Kliniki.

– Kurwa – wymyka mi się. – Przepraszam. Wielkie dzięki.

– Masz u mnie dług.

– Wiem.

– Do zobaczenia na Andrzejkach. Przyjdiesz do Moniki, prawda?

– Tak, tak... Oczywiście.

– Sama? – Nienawidzę tych pytań.

– Tak, sama.

– Szkoda. Bo mi się już o uszy coś obiło...

– Kaśka... – syczę w słuchawkę telefonu. – Zabiję ją.

– Daj spokój, wiesz, jaka ona jest.

– Wiem. Muszę odkupić jej kieckę.

– Ha, ha.

– To nie jest śmieszne, bo kosztuje chyba czterysta złotych.

– Sama stworzyłaś tego potwora.

– To też wiem, niestety.

– Dobra, muszę kończyć. Komendant wrócił. Do zobaczenia.

– Do zobaczenia.

**1 października 2012 roku, poniedziałek, g. 19:00**



Stara nokia warczy, uderzając o blat stołu w kolejnych wibracjach. Patrę tylko na wyświetlacz. Numer zastrzeżony. Nie podnoszę. To już trzeci raz w ciągu godziny.

Przynajmniej udało mi się odzyskać część numerów zapisanych w pamięci poprzedniego telefonu, ale reszta przepadła. Na szczęście numery klientek notuję w swoim notesie, bo byłabym kompletnie uziemiona. Jak można uzależnić się od tak małej rzeczy?

Odpalam MacBooka Pro i sprawdzam pocztę. Dużo spamu, kilka zapytań o ofertę... cennik... kosztorys... szkolenia... ustalenie terminów... Ostatni e-mail.

Od: a.n.gra@gmail.com

Temat: GRA

Data: 1 października 2012 19:02:42 CEST

Do: kontakt@pawlowska.pl

Lidio, musimy porozmawiać.

Odbierz ten cholerny telefon.

A.

Zastygam. Czy to chodzi o tę grę, o której mówił Tomasz? I kto to się kryje pod tymi inicjałami z maila? O nie, nie dam się w to wciągnąć. To musi być jakiś głupi żart, a może ktoś mnie tylko sprawdza. Odruchowo kasuję wiadomość i opróżniam kosz. To nie może być prawda. Chociaż coś mi mówi, że mój dowód osobisty trafił w niepowołane ręce. Na szczęście wszystko zgłosiłam policji.

Zamykam laptopa i wkładam adidas. Idę pobiegać. Nie biorę telefonu.

**2 października 2012 rok, wtorek, g. 14:00**



– Angela, Paparazzi? – tylko się upewniam.

– Tak, ale tam w głębi, nie przy szybie, jak te głupie flądry. – Oj, słyszę ton złośliwości.

– Tam same snoby chodzą.

– No i co. Ja szukam snoba – śmieje się w słuchawkę.

– Dobra, daj mi kwadrans, zaraz tam będę.

Parkuję pod Arsenalem, wykupuję bilet parkingowy na dwie godziny. Powinno wystarczyć. Ruszam w kierunku rynku. Przestrzenny lokal nawet o tej porze jest pełny. Angela siedzi przy barze i jak zwykle prowadzi bardzo zajmującą dyskusję z barmanem, popijając mojito. Ona to ma słabość do rumu. Tak jak ja... kiedyś, to znaczy jeszcze kilka miesięcy temu. Ja przed terapią.

Długo nie mogłam dojść do siebie po śmierci Marka. Samotność była dla mnie czymś nie do zniesienia, a alkohol okazał się zadziwiająco skutecznym znieczuleniem. Godzinami prowadziłam dyskusję z wymyśloną osobą w lustrze. Czasami rozmawiałam z Markiem – tęsknił i mówił, że zaczeka, kilka razy zdarzyło mi się kłócić z dziadkiem – on akurat tylko słuchał, ale najczęściej w tej zaparowanej łazienkowej szybie widziałam matkę. To jej zaniepokojone



spojrzenie i łzy w oczach. Niestety to ona zawsze miała rację. Groziła palcem i błagała, by już przestać, by wreszcie żyć dalej. Tak jak ona. Później zemdlałam pod drzwiami. Sąsiadka wezwała pogotowie. Doświadczony lekarz na szczęście nie prawił mi morałów, tylko dał numer do znajomego z ośrodka dla uzależnionych. I to było najlepsze, co mogło mnie wtedy spotkać.

Odruchowo szukam pod koszulką swojego niewielkiego złotego wisiorka. Na szczęście jest. Mój amulet trzeźwości. Gładzę go bezwiednie.

Angela dostrzega mnie kątem oka i uśmiecha się jeszcze szerzej niż zwykle. Ona dobrze wie, że dla mnie wejście do baru, gdzie dziennie spożywane są litry alkoholu, to naprawdę wyzwanie. Jednak dzisiaj nie zamierza się nade mną litować. Wręcz wygląda na wyjątkowo rozbawioną opowieścią barmana. Chyba coś świętuje albo branża granitu zaczęła martwy sezon. Z tą uroczą zielonooką brunetką znamy się od czasów studiów, czyli jakieś osiem lat, a ona wciąż jest okresowo zakochana, szczęśliwa, tuż nad ziemią, by później znów leczyć zranione serce w szale pracy wśród ciosanego kamienia i prostych słów. Jest świetną szefową, ale i niezwykle empatyczną osobą. Bardzo pomogła mi po śmierci Marka. Jednak jej historia życia to nic w porównaniu z moją.

– No, wreszcie. Strasznie długo ci to zajęło. – Pretensja szybko znika w szczerym uśmiechu. – Niestety został nam bar.

– Mnie to nie przeszkadza. – Przytulam ją na powitanie, a stanowczo zbyt młody barman spogląda na mnie przyjaźnie.

– Co podać? – pyta.

– Dla mnie kawa, latte. – Siadam obok Angeli na wysokim krześle. Kurtkę rzucam obok, a na nią torebkę.

– Co tam, mała? – Angela jest bardzo bezpośrednia. – Tylko nie mów, że dziś też nie możesz?

– Przecież wiesz.

– Wiem, wiem, mobilna, jak zawsze. Kiedy się wreszcie pójdziemy upić? Już chyba najwyższy czas. – Dobrze wiedziała, że od roku nie wzięłam alkoholu do ust. – To nie wróci od jednego głębszego. No może dwóch... – mruga okiem porozumiewawczo.

– Ja wiem.

– Lidka, masz trzydzieści dwa lata, wyglądasz na dwadzieścia siedem. Czego chcesz więcej?

– Gorącego mężczyzny w łóżku i wygranej w totka – rzucam, a barman podaje mi w wysokiej szklance latte.

– Co tam? – przed nią trudno jest ukryć cokolwiek.

– Jestem idiotką, i to nie są żarty.

Angela wybucha śmiechem, chłopak za barem jej wtóruje. Wznosimy toast. Ona mojito, ja latte, barman wodą.

– To mi nowość! – Kpi, nadal nie mogąc się opanować.

Śmiejemy się dłuższą chwilę, jak dwie głupie myszy do sera. Ja z rozpaczy, ona w alkoholowym upojeniu. Wracają dobre wspomnienia.

– Ten przystojniak cały czas gapi się na twój tyłek – Angela przerywa nagle i udaje, że na nikogo nie patrzy, ale jej przenikliwy wzrok biegnie przez pół sali.

Za naszymi plecami paraduje rząd atrakcyjnych, wolnych kobiet. One przychodzą tu niby na lancz, jednego drinka, ale podobnie jak Angela, łowią wzrokiem każdy męski ruch, i to nie tylko przy barze. Znając jej gust, ten, o kim mówi, jest snobem w wymuskaney fryzurce na żel. Metroseksualny bóg o nieskazitelnej gładkiej cerze i idealnym wydęciu dwa razy poprawionych ust. Od którego dowiesz się wszystko na temat botoksu, kwasu hialuronowego, liposukcji, nowej kolekcji Louisa Vuittona, a nawet tego, że jest artystą. Albo co gorsze, jest po prostu jeszcze zbyt młody. Nie. Bardzo lubię Angelę, ale jej gust co do mężczyzn różni nas diametralnie.

– No i co? Skąd wiesz, że na mój? – ignoruję jej uwagę i nie zamierzam się obracać.

– Na pewno twój... – Wznosi toast w kierunku rzekomego wielbiciela. – Lidka, odwróć się.

– Nie – sięgam po słomkę do latte, by zamieszać tę kuszącą piankę. – Daj mi spokój.

– Jak sobie chcesz, ale on mi kogoś przypomina – fuka i odwraca się znowu do barmana, który poleruje kieliszek.

– Tak jak oni wszyscy – jestem zła, bo od ostatniego Sylwestra wszyscy moi znajomi na siłę chcą mnie z kimś wyswatać. Jakby to, że po prostu tego nie chcę, było zbyt banalnym argumentem.

Wydarzenia z ostatniej randki, a właściwie pierwszej od śmierci Marka, potwierdzają tylko moje obawy. Ja się do takich rzeczy już nie nadaję. Czuję się o wiele starsza niż głoszą to moje papiery. Tak, papiery, które muszę zanieść do urzędu... Nowy dowód... Kurwa! znów krzyczę w myślach, ale Angeli posyłam zadziorny uśmiech. Odwzajemnia się podobnym.

Długonoga kelnerka w stanowczo zbyt krótkiej, obcisłej spódniczce podchodzi do nas i nieśmiało chrząka.

– Tamci panowie zapraszają – mówi, odchylając głowę w kierunku jednej z sof. Akurat mam ich za plecami. Angela pierwsza lustruje, o kogo chodzi. Jej chytry uśmiech mówi sam za siebie. Trafili w jej gust. Karcę ją spojrzeniem.

– No co? – dziwi się. – Sama zobacz. – Kelnerka również uśmiecha się z aprobatą. – Przecież mówiłam, że gapił się na twój tyłek.

Odwracam się powoli, a w tym czasie Angela śmiało rusza w ich kierunku ze swoim zwyczajowym utykaniem na lewą nogę. Niedopite mojito zostaje na barze. To zły znak. Moje spojrzenie pada na około trzydziestoletniego mężczyznę

w ciemnozielonej taliowanej koszuli. Jego ciemne włosy związane są w niewielki kucyk na potylicy, a onieśmielający uśmiech paraliżuje moją prawą dłoń. Zamieram.

Angela siada naprzeciwko niego i wita się z jego towarzyszem, rudowłosym piegowatym mężczyzną, ale on tylko na chwilę spuszcza ze mnie wzrok, obdarzając ją szczerym zainteresowaniem. Instynktownie oczami szukam ucieczki. Niestety, on ma bliżej do drzwi.

– Czy jest tu tylne wyjście? – pytam, szybko odwracając się w kierunku barmana.

– Dla gości, nie.

– Czyli jest? – naciskam, a on widzi, że to nie kolejny żart jasnowłosej idiotki.

– Przez kuchnię.

– Pokaż mi, proszę... – wciągam powietrze, a on dostrzega nagły paraliż mojej ręki.

– Diana, zaprowadzisz? – rzuca do długonogiej kelnerki, która nadal jest zszokowana moją reakcją.

Przecież chyba każda kobieta w tym barze zwróciła uwagę na tego ciemnowłosego przystojniaka, licząc właśnie na takie zaproszenie, a później namiętny seks. Wymieniają nerwowe spojrzenia, ale chłopak daje jej jasne instrukcje.

Ruszam za nią. Kątem oka dostrzegam, że i on poderwał się nagle z sofy. Idzie za nami. Zmuszam kelnerkę, by przyspieszyła. Właściwie mam ochotę już biec. Na szczęście każda mijana przez niego kobieta reaguje podobnie jak Angela, skutecznie go opóźniając. Niby przypadkiem potrącając jego ramię. Zawsze trzeba się przeproszać, wymienić uśmiechy, mimowolnym dotykiem zaznaczyć swoje zainteresowanie.

Mijamy toalety. Drzwi do kuchni i jasne rażące kafelki. Mrużę oczy, ale ruszam między stołami.

– Gdzie? – pytam dziewczynę z jasnym naciskiem na szybką odpowiedź. Jej ręka wskazuje metalowe podwójne drzwi.

Ktoś z impetem wpada do kuchni. Podnosi się męski krzyk. Upada rząd przypraw i dwie patelnie. Kelnerka patrzy z przerażeniem. Nie czekam. Biegnę do wskazanych mi drzwi.

– Zaczekaj, do cholery! – Mężczyzna rusza za mną.

Popycham metalowe drzwi i wypadam na podwórze. Dienne światło oślepia mnie na moment. Po przeciwnej stronie widzę kolejne wyjście. Biegnę dalej. Słyszę go zaraz za sobą. Dopadam bramy, ale męska dłoń chwyta moje ramię i popycha na ścianę. Uderzam w nią plecami, na szczęście nie głową. Łapie moje dłonie i miażdży uściskiem przy twarzy.

– Idiotka – syczy przez zęby. – Myślałaś, że tak mi uciekniesz?!

– Nie – podnoszę wzrok.

– Czy ty na wszystkie moje prośby i pytania odpowiesz „nie”?

Jego twarz łagodnieje, a usta układają się w półuśmiech. Rozluźnia chwyt jednej z rąk, a jego prawa dłoń zaczyna macać mój pas, plecy, spodnie. Chyba czegoś szuka.

– Nie – wyrywam się, ale on znów popycha mnie na mur.

– Chodź, muszę ci coś pokazać. – Mocno chwyta moją rękę i ciągnie za sobą z powrotem do podwójnych drzwi, którymi wybiegliśmy z kuchni.

Dopiero teraz zauważam zebranych tam ludzi. Obserwowali całe zajście. Kelnerka stoi jak sparaliżowana z przerażonymi oczyma. Dwóch kucharzy też nawet nie drgnie. Długowłosa odpycha ich i wchodzi do kuchni, ciągnąc mnie za sobą. Zagryzam zęby i patrzę na nich błagalnie, ale nikt nie rzuca mi się z pomocą.

Zatrzymujemy się dopiero przy barze. Jego wzrok pada na wysokie krzesło, a ja odruchowo zabieram moją kurtkę i torebkę. Patrzy na mnie z niedowierzaniem i kręci głową. Chyba na końcu języka ma „idiotka do kwadratu”. Ruszamy do drzwi. Zatrzymuje się jeszcze przy sofie, gdzie Angela siedzi rozpromieniona obok jego rudowłosego kolegi. Przyjaciółka od razu spogląda na mnie pytającym wzrokiem.

– Zaraz wrócimy – ciemnowłosa stara się ją uspokoić i sięga po swoją skórzaną camelową kurtkę. Na jego ciemnozielonej koszuli dostrzegam mokrą plamę, zapewne przypadkowo wylanego drinka przez którąś z tych kobiet w przejściu.

– Lidka, wszystko ok? – Angela wyczuwa moje zdenerwowanie, bo chyba nietrudno zauważyć moje płonące policzki i trzęsącą się prawą dłoń.

Mężczyźni wyczekują mojej odpowiedzi, świdrując mnie wzrokiem. Nie mam złudzeń. Przecież nie będę jej w to wciągać. Ta dziwna gra już mi się nie podoba.

– Tak, wszystko ok – mówię przez zęby. – Zaraz wrócimy – próbuję się uśmiechać, ale chyba nikt nie dostrzegł w tym skrzywieniu ust szczerości.

– Robert – stojący obok mnie mężczyzna rzuca w kierunku siedzącego rudowłosego kolegi – w razie czego odwiedź koleżankę Lidię do domu. – Brzmi to jak rozkaz.

– Tak, oczywiście – rudowłosa uśmiecha się porozumiewawczo. Angela marszczy brwi. – O ile Angelika nie będzie miała nic przeciwko – łagodni ton wcześniejszej wypowiedzi i uśmiecha się do niej jak szelma. A ona jak zahipnotyzowana traci kontakt z rzeczywistością. Kurwa!

Długowłosa patrzy na mnie z podejrzanym uśmiechem i rusza w kierunku szklanych drzwi. Próbuję za nim nadążyć.

– Grzeczna dziewczynka. – Ton jego głosu nawiązuje jednoznacznie do

rozkazu, jaki przed chwilą w zawołany sposób wydał rudowłosemu.

Nie idziemy daleko. Mężczyzna bezceremonialnie otwiera drzwi czarnego nissana GT-R, który już wcześniej zwrócił moją uwagę. Widziałam chyba tylko jeden taki samochód na żywo i to właśnie wtedy, gdy mieliśmy okazję się spotkać w tym dziwnym klubie. Teraz stoi zaraz przy wejściu do Paparazzi. Nic nie mówię.

– Proszę – nacisk w jego głosie nie pozostawia mi wyboru.

Mam pełną świadomość, że zostawiłam tam Angelę, i tylko to powstrzymuje mnie od brawurowej ucieczki. Ten mężczyzna budzi we mnie tylko lęk. Boże, jak mogłam go nie zauważyć, wchodząc. Wiedziałam, że ta knajpa nie jest najlepszym wyborem.

Wsiadam, zwijając kurtkę na kolanach, a torebkę rzucam pod nogi. Sportowy profil siedziska jest mi dobrze znany. Zamyka drzwi, a ja zapinam odruchowo pasy. To auto od środka robi jeszcze większe wrażenie. Mężczyzna wsiada i odpala silnik.

– Chcę z tobą porozmawiać, ale nie tu – obraca w moim kierunku głowę i nagle wyjeżdża z zatoczki. Bada moją reakcję, sprawdza, czy się boję.

– Dobrze, skoro chcesz... – nie spuszcza z niego wzroku.

Rusza, a silnik wyje na wyższych obrotach. Kazimierza, Plac Dominikański, Most Grunwaldzki, Kliniki. Parkuje na zakazie.

– Wsiadaj – rzuca.

Uwieram kurtkę. Workowata torebka zawisa mi na ramieniu. I już po chwili schodzimy do piwnic szpitala. Na drzwiach czytam niechlujnie napisaną wiadomość „Zajęcia w prosektorium odwołane. Proszę pytać w sekretariacie”. Tym razem nie ciągnie mnie już tam siłą. Zatrzymuje się przy tabliczce z napisem SPALARNIA. Z impetem otwiera drzwi.

Surowe pomieszczenie razi swoją czystością. Metalowy stół na środku piwnicznej sali nie jest pusty. Biała poplamiona na całej długości płachta ukrywa czyjeś zwłoki. Długowłosa z beznamiętnym wzrokiem podchodzi do stołu i energicznie zrywa płócienne prześcieradło.

– Patrz! – Jego słowa znów paraliżują mi prawą rękę. – Do cholery, patrz!

Podchodzę bliżej. Nie starcza mi tchu. Wybiegam z tego przeklętego miejsca i wymiotuję. Ciemnowłosa od razu rusza za mną. Podaje mi chusteczki i nic nie mówi. Znów wymiotuję do kubła przy ścianie. Chyba nie ja pierwsza robię to w tym miejscu. Ta świadomość powoduje tylko kolejny skurcz w żołądku. Wycieram usta i czekam aż minie najgorsze.

– Chyba obie macie ze sobą coś wspólnego – mówi zimno, opierając się o przeciwległą ścianę, zaraz przy łuszczącym się ogromnym płacie farby olejnej. – Ona też nie chciała już brać udziału w tej grze.

Wyciąga papierosa i odpala go w ciszy. Zaciskam powieki, ale i tak cały czas widzę zmasakrowaną twarz tej dziewczyny. Twarz Darii.

Wciągam głośno powietrze i opieram o ścianę, odsuwając się od zabrudzonego kosza. Powoli osuwam się w dół. Nie mogę na niego patrzeć, ale mój wzrok mimowolnie skupia się na jego sportowych skórzanych butach z cienką podeszwą.

Kończy palić i zgniata peta butem.

– To jakiś koszmar – zakrywam dłonią twarz.

– Kurwa... – Kuca przy mnie. Jego dłoń chwyta moją twarz od dołu i zmusza mnie, bym popatrzyła mu w oczy. Robię to, zaciskając wargi. – Jeszcze mogę cię z tego wyciągnąć, ale musisz mi w tym pomóc. – Z wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki wyciąga znajomą kopertę z wizytówką.

– Wy nadziani durnie! – wręcz pluje mu tymi słowami w twarz. – Wam się wszystko wydaje takie proste. – Napieram na jego rękę, a on puszcza mnie ze złością. – Wszystko załatwicie swoimi pieniędzmi. Wypchaj się – krzyczę i podrywam się. Ruszam korytarzem do schodów.

– To twoja ostatnia szansa – mówi, doganiając mnie. Popycha mnie na ścianę, a jego przedramię poddusza moją krtani. – Nie bądź idiotką. Dorwą cię i to szybciej niż myślisz.

– Przestań – walczę z jego przedramieniem, ale on nie odpuszcza.

– Tu nie chodzi o te pieprzone pieniądze. Te dziewczyny zarabiają tam pięć razy tyle. Uwierz mi, nie angażowałbym się w to, ryzykując własne życie, ale teraz to ty jesteś jego przykrywką. I albo mi pomożesz...

– Albo co? – syczę.

– Albo... Tomasz wypadnie z gry. – Jego słowa nie do końca są dla mnie zrozumiałe, ale trudno uwierzyć w to, by był aż tak wprawiony w łgarstwach. Szaroniebieskie oczy mierzą się ze mną nieustępliwie. – I niestety, ty razem z nim.

Puszcza mnie i rusza schodami w górę. Odgłos jego kroków cichnie. Zostaję sama w mrocznym korytarzu przy szpitalnym prosektorium. A przed oczami znów pojawia mi się zakrwawiona twarz Darii. Jej zsiniałe usta szepczą. Słyszę to wyraźnie w głowie: „Nie pozwolisz im mnie znaleźć? Ja już nie chcę w to grać... Proszę. Pomóż mi”.

– Kurwa... – zakrywam twarz dłońmi.

Kolana łamią się pode mną jak harmonijka i osuwam się powoli na zimną posadzkę. Prawa dłoń drży i już nie mogę nad nią zapanować. Nie czuję połowy ciała. Ten atak jest silniejszy. Nie mam siły z tym walczyć. Lekki są w torebce, ale już ich nie sięgnę. Zaciskam powieki. Muszę to wytrzymać. Robi się coraz zimniej.

– Cholera, co ci jest? – Ktoś potrząsa moją głową. – Gdzie masz leki? Obudź się. Hej... Kurwa!

I znowu ból przeszywa mi kręgosłup. Coś trzęsie całym moim ciałem.

– Lekarza do cholery! Szybko!

– Co się stało? Padaczka?

– Paraliż pourazowy. Miała wypadek jakiś czas temu. Ucisk na nerwy.

– Aha.

Ktoś świeci mi po źrenicach i chcę, by przestał to robić. Macają mnie. Wkładają coś w usta. I znów ten piekący ból w mięśniu.

– Niech chwilę poleży. Po tym powinno odpuścić.

– Dobrze.

– Musiała się bardzo zdenerwować.

**2 października 2012 rok, wtorek, g. 20:30**



Robi się cieplej. Obracam się na łóżku i udaje mi się usiąść. Nie chcę tu zostać. Nienawidzę szpitali. Podnoszę się z bólem. Muszę wyjść z tej jałowej sali bieli i metalu. Wyczuwam woń spirytusu i Domestosu. Na szczęście jestem sama.

Moja powracająca świadomość tworzy sieć prostych skojarzeń. I pierwsze, co pojawia się w myślach, to plan opuszczenia tego budynku. Kurtka? Torebka? Rozglądam się i widzę je na krześle. Ubieram się i sięgam do paska torebki, zarzucam ją na ramię.

Na korytarzu mijam tłum studentów w białych fartuchach, kilka pielęgniarek, salową, a może sprzątaczkę, i jakoś docieram do wyjścia. Obijam się o ściany, ale staram się utrzymać pion. Obraz rozmywa mi się trochę. Musiałam długo spać, bo na zewnątrz zrobiło się już ciemno. Z trudem udaje mi się zapiąć zamek kurtki, ale i tak przykurczam z zimna ramiona.

Gdzie ja zostawiłam samochód? Arsenał. Pamięć wraca równie wolno, jak ustępujące częściowe odrętwienie. Idę powoli na przystanek. Jadę na gapę, bo nie daję rady precyzyjnie włożyć biletu do automatu. Przyklejam się do wolnego siedzenia i staram się o niczym nie myśleć. Nie mam siły.

To miasto nocą przechodzi niewyjaśnioną metamorfozę. Tonie w mrocznej poświacie ludzkiej obojętności i tylko z pozoru zachowuję zdrowy dystans. „Co się gapisz?!” – strofuje mnie czarno-biała wlepka na szkle. Zamykam oczy. Żałuję tylko, że dziś jest mi to tak obojętne.

– Żydowska gazeta. Żydy nami rządzą – ktoś nawołuje z końca wagonu. – Nie czytajcie jej! – szeleści cienkim papierem i rozrzuca kolejne strony na siedzenia. – Masoneria... Żydowska masoneria...

Nikt nic nie mówi. Nikt nie reaguje. Otwieram oczy, ale czas zwalnia. Mężczyzna w wełnianej czapce mija mnie, szurając zniszczonymi glanami o podłogę tramwaju. Drąc gazetę, rozsiewa antysemityzm i kwaśną woń moczu. Podaje mi jedną ze stron i patrzy z politowaniem. Biorę ją, a on podchodzi do najbliższych drzwi i wysiada, gdy tylko stajemy na przystanku. Niestety drażniący zapach uryny pozostaje. Tramwaj rusza dalej na zachód.

Światła układają się w rozwleczone smugi. Staram się nie zasnąć, ale i tak przegapiłam przystanek przy Ruskiej. Wstaję zdezorientowana, chwytam się mocno poręczy. Tramwaj znowu hamuje. Biorę wdech i wysiadam na Placu Jana Pawła. Październikowy chłód trochę mnie otrzeźwia. Zawracam.

Na szczęście niebieski ford fiesta ST stoi tam, gdzie stał. Z jedną małą różnicą – za wycieraczką dostrzegam foliowy woreczek, a w nim mandat Straży Miejskiej za nieopłacenie pełnego czasu parkowania. Tak. Wyjmuję go i sięgam po kluczyki. Czy coś jeszcze dzisiaj zrobię źle?

Słyszę wyraźny warkot mocnego silnika i nagle w tę wąską brukowaną uliczkę wjeżdża samochód. Sunie wzdłuż rzędu zaparkowanych aut. Czarny nissan GT-R hamuje raptownie na wysokości mojego auta, uniemożliwiając mi wyjazd. Odgłos silnika cichnie. Potwór na czterech masywnych kołach otwiera się, a zdenerwowanie ciemnowłosego jest wyczuwalne nawet z odległości paru metrów.

– Dlaczego nie odbierasz telefonu? – pyta podchodząc bliżej, a ja sięgam do kieszeni. Na porysowanym wyświetlaczu widzę dwadzieścia dwa nieodebrane połączenia. Zapomniałam, że wyciszyłam go, idąc do Papparazzi.

– Nie słyszałam, przepraszam. – Pokazuję mu na dowód telefon. Chcę otworzyć drzwi od kierowcy, ale on przytrzymuje je ręką.

– Szukałem cię w całym szpitalu. Ktoś wreszcie powiedział mi, że poszłaś na przystanek. Po tych lekach nie możesz prowadzić. Wsiadaj! – Jego stanowczość i jednoznaczny gest w kierunku nissana upewnia mnie tylko, że ten wieczór jeszcze się nie skończył.

– Ciekawe, jak mnie tu znalazłeś?

– To nie było takie trudne – mówi to tak, jakbym zadawała bezsensowne, przynajmniej dla niego, pytanie. – Tylko cię podwiozę. Na dziś nie mam już więcej trupów. Chciałem tylko, byś dobrze to zrozumiała. Gra kończy się w tym prosektorium, jeśli nie przestrzegasz jej zasad. Gwarantuję ci, że jutrzejsze gazety nie napiszą o tej dziewczynie. Nie będzie o tym nawet najkrótszej notki. Właściwie już jej nie ma, tak jak dowodów na to, co się stało.

– Ale dlaczego... – Chyba nie dociera do mnie to, co on próbuje mi powiedzieć.

– Lidio... Nie bądź naiwna. Wsiadaj.

Nie mam już siły. Zamykam fiestę i ruszam potulnie do nissana. Ciemnowłosa otwiera drzwi pasażera i czeka aż zapnę pasy. Sam siada obok. Odpala i wyjeżdża spod Arsenału. Nawet nie pyta o adres, ale jedzie dokładnie tam, gdzie powinien. I na pewno nie jest to adres mojego zameldowania wpisany w zaginionym dowodzie osobistym.

Przeglądam w międzyczasie komórkę. Zapisane są cztery nieodebrane połączenia od Katarzyny, sześć od Angeli i jeszcze pięć z różnych numerów.



Zapewne od klientek. Ale jest jeszcze jeden zastrzeżony numer, który próbował się ze mną połączyć siedem razy.

– Nigdy nie odbieram zastrzeżonych – mówię to, by wiedział.

– Zauważyłem – uśmiecha się, patrząc na jezdnię i sięga do wewnętrznej kieszeni kurtki. – Weź to, proszę – podaje mi tę przekłętą kopertę z wizytówką. – Tam jest mój numer.

– Muszę? – pytam, ale dobrze znam odpowiedź.

– Musisz – sięgam po kopertę z pieniędzmi i patrzę na numer wydrukowany na wizytówce.

– Jak mam cię zapisać?

– To znaczy?

– Jak masz na imię?

– Zapisz mnie pod A jak Adam – znowu się uśmiecha. – Lidio, w sobotę wchodzisz do gry. Będiesz musiała jeszcze porozmawiać z Tomaszem. On ci wszystko wyjaśni. W tej kopercie są pieniądze tylko dla ciebie. Jeśli ci zabraknie...

– Zabraknie? A na co mam je wydać? – kpię, bo jeśli dobrze zapamiętałam, było tak ponad pięć tysięcy. – Są miesiące, że nie zarabiam nawet połowy tej kwoty – wyrzucam mu, chociaż i tak mam świadomość, że to bez sensu.

– Tylko że teraz dużo się zmieni. I domyślam się, że nie wszystko ci się spodoba, ale to jedyny sposób, byście wyszli z tego żywi.

– Ty mnie tylko straszysz...

– Porozmawiaj z Tomaszem. On ci to wszystko wyjaśni. Obawiam się, że twoja niewiedza nie przekona w tej grze nikogo.

Milczę dłuższą chwilę, bo moje ciało znów domaga się snu. Podjeżdżamy pod nowy czteropiętrowy blok, gdzie razem z Katarzyną wynajmuję mieszkanie na Stabłowicach. Adam dłuższą chwilę szuka miejsca parkingowego, by w końcu po prostu stanąć w najmniej oświetlonym miejscu. Uśmiecham się sama do siebie i sięgam do klamki.

– Zaczekaj – wstrzymuje mnie. Obrzucam go pytająco, a on otwiera schowek i wyciąga z niego moją plecioną kopertówkę. – To chyba twoje – podaje mi ją.

– Dziękuję. – Nie udaję zaskoczenia i otwieram ją przy nim. Jest dowód, karta kredytowa, klucze, zapasowe pończochy, perfumy, błyszczyc, chusteczki, ale nie ma starego LG.

– Niestety, twój telefon nie przeżył tamtego wieczoru – mówi, bo widzi, że dość nerwowo przeszukuję zawartość torebki. Znów sięga do rozchylanej szafki i wyciąga pudełko ze znajomym logiem nadgryzionego jabłka. Uśmiechając się, podaje mi telefon. – To w ramach przeprosin i rekompensaty. Proszę, weź go... – widzi mój opór i kładzie go na moich kolanach. Zagryzam wargi i nie wiem, co mam powiedzieć. – Otwórz go – nalega.

Robi to za mnie i wyciąga telefon z pudełka. Nawet nie muszę go włączać.

– Ja nie mogę – wyduszam to wreszcie z siebie, próbując mu go oddać.

– Proszę... – naciska, wskazując palcem na ekran. – Wybacz, ale przerzuciłem ci już na niego film. Chciałbym, żebyś go obejrzała – przesuwam palcem po ekranie i już widzę pierwszy kadr.

Zamieram. Policzki mi płoną.

– Wiem, że to dużo jak na jeden raz, ale chcę, by było wszystko jasne – przyciska play. – W każdym pokoju tego klubu są kamery. Tam nic nie ukryjesz. Wolałbym, żebyś to wiedziała.

Patrzę w ekran telefonu jak zahipnotyzowana, ale chyba jeszcze nigdy nie widziałam takich scen ze swoim udziałem.

I znów ochroniarz wpycha mnie do tego pokoju, unieruchamiają mnie na łóżku, zastrzyk, on mnie rozbiera, osuwam się, leżymy na łóżku... Właściwie tu kończy się moja pamięć z tamtego wieczoru, ale film trwa dalej. Adam podnosi się, sprawdza mi puls i głaszcze po policzku. Ściąga spodnie i zupełnie nagi kładzie się przy mnie. Przytulam się do niego.

– Ja tego nie pamiętam – mówię to cicho, nie mogąc oderwać oczu od ekranu. Czuję, jak Adam śledzi najmniejszą reakcję mojego ciała. A mnie zaczyna robić się gorąco.

– Domyśliłem się, jak zaczęłaś uciekać z tej knajpy – mówi to bardzo spokojnie. – Nie pozwól sobie nigdy więcej zrobić takiego zastrzyku.

Na ekranie mijają minuty. Leżę wtulona w tego nagiego mężczyznę, a on tylko gładzi mój policzek i ramię. A niech to diabli, naprawdę jest na czym zawiesić oko. Za to ja dostrzegam wszystkie swoje wady i tym bardziej nie mogę w to uwierzyć. Dlaczego?

Podnosi się, zdejmuje mi szpilki i rzuca je na ziemię. Powoli zsuwa mi ramiączko body. Zaczyna całować okolice ust. Odwzajemniam się z początku niechętnie z zamkniętymi oczami, a później bez oporu pozwalam mu rozpiąć stanik od góry kremowej bielizny. Odślania moje piersi. Zawisa nade mną w jednej pozie, gdy ja leżę na plecach, wykazując raczej małą świadomość zaistniałej sytuacji. Zamykam oczy z uśmiechem dziecka, które po prostu chce iść już spać. Ale ciemnowłosy zastygł nade mną posąg tylko patrzy, gładząc delikatnie prawą dłońią mój policzek.

Minuta, dwie... jakby się zastanawiał, co ma ze mną zrobić. A może sumienie właśnie w tym momencie odnalazło wąską szczelinę w jego umyśle, bo za molestowanie półprzytomnej kobiety powinno iść się prosto do piekła, smażyć w garze z wrzącą smołą i błagać o litość samego Lucyfera. Na pewno on już powinien tam być i krzyczeć „Żałuję! Żałuję bardzo!”, bo widzę, jak pochyla się i zaczyna lizać skórę mojej szyi, a później dekolt. Dłonią gładzi moje piersi, przygryzając sutki na zmianę. Wędruje wyżej, uciskając piersi od dołu.

To naprawdę długo trwa, a ja wcale nie wyglądam na przerażoną. Moje usta

rozchylają się w jęku. Szarpię jego włosy, uwalniając z wiązania na potylicy, a prawie czarne pukle opadają ku policzkom. Zagarnia je odruchowo z jednej strony za ucho. Śmieje się. Odciąga moją głowę i wkłada swój palec pomiędzy moje rozwarte wargi. Ssę go zachłannie. Po chwili oplatom go ramionami na wysokości szyi, a on całuje mnie w usta. Diabli by go!

– My naprawdę? – pytam, zerkając spłoszona w kierunku Adama.

– Tak – odpowiada, dając mi znać, bym oglądała dalej. Ewidentnie czeka na moją reakcję.

Po chwili turlamy się po całej przestrzeni materaca. Siadam na nim, ale jakby nie mogąc utrzymać pionu, a jego ręce znów wędrują na moje piersi, a później pośladki. Dostrzegam jego pełne podniecenie. Pochylam się do niego i całuję go po szyi, schodząc niżej. Coś do mnie mówi. Zrzuca mnie z siebie i przygniata, rozchylając mi uda. Unosi lekko swoje biodra, a jego dłoń wędruje ku zapięciu body w kroczu. Nagle odchylam głowę na bok. On chwyta moją twarz i przekręca ją bardziej, tak jak całe moje ciało. Wymiotuję na łóżko.

– Ja tego w ogóle nie pamiętam. – Czuję wstyd i przerażenie. – Boże... – Nie chcę już tego oglądać. Wyłączam ten piekielny telefon. – Przepraszam.

– Ty mnie przepraszasz? Chciałem, żebyś to zobaczyła. Tamtej nocy do niczego nie doszło. Ale na szczęście wygląda to bardzo wiarygodnie. Wiem, że po tych lekach mógłbym zrobić z tobą wszystko, ale dostałaś zbyt dużą dawkę. Tomasz też już to widział. Zresztą nie tylko on... Na swojej liście masz już dwoje. To mocni gracze.

– Na jakiej liście? O czym ty mówisz?

– Tak... – wzdycha ciężko i kręci głową. – Kurwa, ty naprawdę nie masz o niczym pojęcia. Jak on mógł być takim idiotą?! – Uderza dłońmi w kierownicę. Wysiada i otwiera moje drzwi. – Chodź, to już za dużo jak na jeden raz, nawet dla mnie.

Nadal wyczuwam jego zdenerwowanie. Podaje mi rękę i pomaga wsiąść. Podchodzimy do bramy i wystukujemy kod domofonu. Otwieram drzwi.

– Adam... Skąd wiesz o moim wypadku? Gdzie mieszkam? Co robię? Ty wszystko o mnie wiesz. – Wreszcie to do mnie dotarło i czuję się jeszcze gorzej niż przed chwilą.

– Po prostu wiem. – Sięga dłonią do mojego płonącego policzka i gładzi go delikatnie. – Musiałem cię sprawdzić, chociaż Tomasz miał ogromne opory. On po tej ostatniej akcji z Darią strasznie zmiękł. Chyba się o to obwinia. Próbował ją z tego wyciągnąć na własną rękę i dzisiaj widziałas, jak to się skończyło. Nie można pomóc komuś, kto ci nie ufa. – Mówiąc to, przytrzymuje mój policzek i patrzy mi prosto w oczy. – W tej grze nie ma wygranych lub przegranych. W nią się po prostu gra lub ląduje na stole w prosektorium. I gwarantuję ci, że wizyta na policji tylko to przyśpieszy.

- Jak mam w nią grać, skoro nie znam reguł?
- Bo ich tak naprawdę nie ma – milknie, ale jego oczy tracą wcześniejszy ognisty wyraz. – Na razie idź się wyspać, odpocznij, bo te leki były naprawdę silne. Musisz na siebie bardziej uważać. Poza tym... – jego westchnienie niesie pewną nutę dezaprobaty – Tomasz cię polubił. I chyba żałuje, że nie jest na moim miejscu.
- A co to za różnica?
- A taka, że w tej partii jesteś moja. I zrobię wszystko, by tak zostało. Tylko musisz tego chcieć...
- A mam wybór? – odpowiadam trochę złośliwie.
- Raczej nie.

Znikam w cieniu schodów czteropiętrowego budynku, a on wraca do samochodu. Odjeżdża stanowczo zbyt szybko.

**3 października 2012 roku, środa, g. 16:30**



Wychodzę z bramy, której metalowe drzwi znów obijają mi łokieć. Dwie walizki i wielka torba to jednak dość dużo, nawet jak dla mnie.

Mimowolnie po prawej dostrzegam rowerzystę, który balansuje, wspierając się mocno na srebrnej wygiętej w dół kierownicy i przekręcając przednie koło to na jedną, to na drugą stronę. I to chyba cud, że nie leży jeszcze jak długi na asfalcie i nie błaga o pomoc przechodniów, bo na pewno nie zdołałby wyjąć stóp z mocno zaciśniętych pasków przy noskach.

Jest w czapce naciągniętej na uszy, polarowej bluzie i obcisłych ciemnoszarych wąskich spodniach. Zauważa mnie i obrzuca badawczym spojrzeniem. Przerywa swoją stójkę na cienkooponiastym rowerze i podjeżdża bliżej fiesty.

– Pani Lidia Pawłowska? – pyta, nadal trzymając stopy w noskach pedałów. Balansuje jak kot na płocie.

– Tak – odpowiadam zaskoczona i domykam bagażnik.

– Kurczę. – Jego szczupła twarz jaśnieje od uśmiechu. – Mam coś dla pani.

Robi małe kółko, by wreszcie wyjąć stopy z nosków i staje okrakiem nad ramą. Z pleców ściąga szeroką prostokątną torbę z napisem KURIER, a ja powoli uśmiecham się i patrzę na układ bez wolnobiegu.

– Fajny rower – rzucam, lustrując uważniej jego „ostre koło”, a szczególnie czerwoną ramę z napisem Colnago Master Pista. Dobra włoska stal.

– Ta pani z Odra-Trade kazała to oddać blondynce z niebieskiego forda na tej ulicy. Mówiła, że to ważne. – Wyciąga pomarańczową kopertę mieszczącą format A4. – Ale to na pewno pani? – upewnia się, podając mi przesyłkę.

– To zależy – uśmiecham się. – Od pana Tomasza? – pytam.

– Nie wiem. Sekretarka mówiła, że prezes prosił, bym jeszcze dziś wrócił do nich do biura, jeśli nie znajdę tego auta z żółtą bużką przy lusterku, bo nie pamiętał całego numeru rejestracji. – wskazuje brodą w kierunku fiesty. – Ale znalazłem!

– Tak, znalazł pan. To na pewno ja. – Biorę kopertę z jego rąk i kwituję odbiór.

– Zapłaciła za cały dzień, a czekałem tylko godzinę. – Półśmiechem świętuje koniec dnia pracy, a jego stopy znów klinują się w pedałach.

– To chyba dobrze. Przynajmniej szybciej będzie mógł pan coś zjeść. – Mój głód powoli przejmuję kontrolę nie tylko nad żarliwym bulgotem w żołądku. – Dziękuję. Do widzenia.

– Do widzenia – rzuca przez ramię i rusza wolnym rytmicznym tempem środkiem jezdni.

Wsiadam do auta, a pomarańczowa koperta ląduje na siedzeniu obok. Piecze mnie w żołądku, gdy pomyślę, co może zawierać. Na pewno nie mam ochoty otwierać jej w tym momencie, a nawet dziś.

Odpalam i zbyt szybko wyjeżdżam z zatoczki. Słyszę pisk opon i klakson. Niech to szlag, radiowóz. Ocieram dłońmi twarz i opuszczam szybę, przy której stoi już wysoka masywna postać w granatowym mundurze. Mina słodkiej idiotki może być mało skuteczna, bo ten jasny kucyk i miazdzący wzrok już chyba znam.

– To znowu pani – słyszę kobiecy policyjny ton. – Proszę dowód rejestracji auta, ubezpieczenie, prawo jazdy...

– Aż tak? – dziwię się, ale grzecznie wyciągam z torebki wszystko, o co mnie prosi. Podaję jej z miną niewiniątka, a ona tylko kręci głową z dezaprobatą.

– Pani Lidio... Prawo jazdy ma pani już od ponad czternastu lat. Jak tak można? – Ten beznamiętny ton nie wróży nic dobrego.

– Zamyśliłam się – tłumaczę się jak dzieciak.

Znajoma policjantka wraca do radiowozu i chyba mnie wyjątkowo dokładnie sprawdza, bo trwa to stanowczo zbyt długo. A bulgot w jelitach narasta i domaga się krwi. W tej chwili nawet nie mam siły na sprzeczki czy drobne dyskusje. Przyjmę, co mi da. Będę martwić się później. Po prostu przekroczyłam granicę, gdzie nie tylko smok wawelski czuje żołądek klejący się do kręgosłupa i żąda złożenia sytej ofiary, ale nawet otłuszczona kocica skusiłby się przy takiej pustce w jelitach na stare chrupki spod wycieraczki. To wyjątkowo mroczny moment nie tylko dla zasad moralnych, ale i kieszeni.

Jasnowłosa policjantka wraca nieśpiesznie, nadal kręcąc głową z dezaprobatą.

– No dobrze, pani Lidio. – Podaje mi moje wszystkie dokumenty, ale w dłoniach nadal trzyma dwa świstki. Czeka. Torturuje mnie każdą sekundą swojego milczenia. I chyba dobrze o tym wie.

– Zgadzam się na wszystko – wybucham z rezygnacją i sięgam po to, co ma

w dłoniach.

– Na wszystko? – Dziwi się z rozbawieniem, które pierwszy raz zmieniło jej rysy na bardziej przystępne. Wydaje się wręcz miła.

– Biorę i nie będę dyskutować, tylko niech mnie pani już puści, bo zejdem w tym samochodzie z głodu i będzie ze mną jeszcze więcej roboty. – Błagalne spojrzenie prawie doprowadza ją do łez.

– Dobrze. – Podaje mi jeden ze świstków. – Tu jest mój adres, telefon i data.

– Tak?

– Wychodzę za mąż i potrzebuję makijażystki. – Uff... – A kiedy do pani dzwoniłam w tamtym miesiącu, to nie miała pani już miejsc. Myślę, że w tym wypadku coś się jednak uda pani dla mnie znaleźć – uśmiecha się z pogodnym wyrazem twarzy. – Poza tym polecała mi panią Karolina z Główniej.

Szantażystka! Policyjna szantażystka! Świat schodzi na psy. A niech ją diabli! Dwudziesty piąty grudzień? Miałam mieć wreszcie wolne święta. Po co ja się na to godzę? Idiotka! Zwyczajna pretensjonalna idiotka!

– Dobrze. Zobaczmy, co się da zrobić, ale potwierdzę w przyszłym tygodniu. – Manewr zniechęcający i mina profesjonalistki.

– Tak, będę czekać. – Tu pokazuje mi wypisany mandat na osiemset złotych i osiem punktów karnych. – Nieprawidłowe włączanie się do ruchu, bez kierunkowskazu, bez świateł, bez pasów. – Macha nim na wysokości moich oczu, a ja gryzę się w język. – Wiem, że jak do dziś miała pani czyste konto. Bardzo szanuję takich kierowców. Dlatego zachowam go... tak na wszelki wypadek.

– Dobrze... – wzdycham ciężko. – Ma pani ten termin. – Za głupotę trzeba słono płacić. – Tylko niech pani mi się przypomni, bym zapisała to w kalendarzu.

– Oj, na pewno przypomnę – śmieje się. Zgina mandat na pół i wkłada go do kieszeni. – Ślub jest o 16:00. Bezpiecznej drogi. Do usłyszenia.

Odchodzi równie nieśpiesznie, jak przed chwilą, a ja już nawet nie czuję głodu. Teraz jestem tylko zła.

**4 października 2012 roku, czwartek, g. 19:30**



Zgrzyt zamka i szarpnięcie klamki drzwi wejściowych komunikuje mi powrót Kaśki.

– Mój projekt wygrał przetarg! – Staje pełna dumy w moim małym kwadratowym pokoju i wznosi butelkę szampana prawie pod sufit. – Lidka, musisz to ze mną oblać, bo Mateusz ma kupę roboty. I nie dbam o twój odwyk, od jednej lampki nic ci się nie stanie – mówiąc to, podaje mi pękatą butelkę rosyjskiego szampana. – Tani, ale chyba najlepszy – rzuca, uprzedzając moje ewentualne uwagi.

– Dla ciebie wszystko. – Zamykam laptopa, a chwilę zmierzania się z zawartością koperty oddalam o kolejne godziny. – Jadłaś coś? – upewniam się tylko, bo w lodówce i tak nie ma nic oprócz dressigu, łososia z pieprzem i mleka.

– Tak, tak... – wchodzi do kuchni i już walczy z wysuwającym się korkiem szampana.

Sięgam po kieliszki i słyszę małą eksplozję, wybuch śmiechu i spieniona fontanna zalewa kafelki. Przyjemna woń drażni moje nozdrza, a pieniaąca się ciecz wypełnia wysokie szkło. Od jednego nic mi nie będzie, słyszę podszept mojej podświadomości. Włączam radio. I sympatyczny głos z wrocławskiego RAM-u poprawia od razu mój nastrój.

– To za twój sukces! – Wznoszę pierwszy toast.

– Za pokaźną premię. – Kaśka nie ma złudzeń, ale walczyła o ten przetarg jak lew. – I oby dupa Goście zbieła, jak się jutro o tym dowie. – Mała uszczypliwość w kierunku zwierzchniczki przynosi jej zauważalną satysfakcję. – Do dna – patrzy na mnie badawczo, ale odpowiadam mrugnięciem oka i upijam połowę, a dopiero po chwili resztę. – No... i jeszcze stoisz – kpi, ale dobrze wiem, do jakich wydarzeń pije.

– Kaśka, nigdy więcej nie chcę, byś widziała mnie w takim stanie, jak wtedy. Do dzisiaj mi wstyd.

– Daj spokój. Było, minęło. Byłaś na małym zakręcie – dopija do dna i napełnia pośpiesznie puste kieliszki. – Sama nie wiem, co ja bym zrobiła na twoim miejscu. Pewnie do dziś bym nie wytrzeźwiała albo leciała na psychotropach. Najważniejsze, że stamtąd wróciłaś.

Siadamy naprzeciwko siebie przy ikeowskim drewnianym kuchennym stoliku. Widzę, że gryzie się w język, by nie wspomnieć słowem o Marku, dobrze wie, jak alkohol i wspomnienia o nim na mnie działają. Na pewno dziś nie chce towarzystwa milczącej melancholii.

– Mateusz chyba wczoraj coś planował – zagaduję, bo ewidentnie poczuł się spłoszony moim widokiem na kolacji. Nie do końca chyba tak wyobrażał sobie ich romantyczny wieczór. – W sobotę wychodzę i prześpię się u Angeli, więc będziecie mogli czuć się swobodnie. W poniedziałek nie mam roboty, więc jak mi się uda, to przedłużę swój niebyt w tej okolicy – śmieję się. – Zaproś go z noclegiem.

– Lidka... – Katarzyna mierzy mnie morderczo.

– No co, też mam swoje życie – udaję śmiertelnie poważną. – Idę trochę zaszaleć, jak duża dziewczynka – unoszę zadziornie brwi, popijając drobny łyk z kieliszka. – I wpłynęły mi pieniądze za ostatnie szkolenia. Chyba kupię ten nowy zestaw opon do fiesty.

– Zwariowałaś.

– Nie. Muszę to zrobić. Zima idzie. Ta kiecka może zaczekać. W razie

czego...

– Tak, w razie czego pożyczysz moją. Tylko że ostatnio kosztowało cię to drożej, niż gdybyś po prostu kupiła sobie tę, która tak dobrze eksponowała twoją talię, ale miała nieprzyzwoicie głęboki dekolt. Chociaż, jak dla mnie, wyglądałaś w niej po prostu zjawiskowo. – Nic nie odpowiedziałam. – Wychodzisz z tym Tomaszem od marynarki? – zapytała w końcu.

– Nie. I nie pytaj o szczegóły, bo to jedna wielka pomyłka, ale muszę to zrobić.

– Nic nie musisz, a tylko możesz. Pamiętaj o tym – trąca mój kieliszek do następnego toastu.

– To za co tym razem? – pytam.

– Za cholerny fart, a może po prostu szczęście. – Kaśka wznosi kieliszek i dopija do dna. – Myślałam nie tylko o kasie... Aczkolwiek ten wygrany przetarg uratuje dupę chyba całej agencji – rzuca z uśmiechem i trzeci raz napełnia swój kieliszek. – Wypłyniemy.

– Oby na powierzchnię – rzucam.

– Oj, ty to zawsze taka ironiczna.

– Oj, tam, oj, tam – uśmiecham się i biorę kolejny łyk masującego podniebienie szampana.

– Wiesz... – poznaję ten wzrok knującej coś lisicy.

– Tak?

– Mateusz ma przystojnego kolegę. Rok temu rozszedł się z żoną.

No tak, to już ten wiek. Do wyboru mam albo szybkie numerki, albo rozwodników. Wszyscy z ciężkim bagażem doświadczeń i zniechęceni do kolejnego związku.

– Pewnie przyjdzie na imprezę do Moniki i lepiej, byśmy się wcześniej spotkali?

– Skąd wiesz? – Chyba ją zaskoczyłam.

– A tak coś ptaszki ćwierkały... – kpię, ale nie udaję, że jestem wkurzona kolejną próbą swatania mnie z sympatycznym kolegą po przejściach. – I pewnie ma dzieci.

– Syna, siedem lat, ale...

– Kaśka, zapomnij. Nie idę na żadną cholerną imprezę. Właśnie pomogłam mi podjąć tę decyzję.

– Ale ja... – jej tłumaczenie gaśnie pod moim spojrzeniem. – No dobra. Poddaję się. Rób jak chcesz. Ale sama widzisz, że po trzydziestce trudno jest poznać kogoś takiego, jak Marek.

– Wiem – zaciskam usta i dopijam zawartość kieliszka do dna. Dolewam sobie sama, nie czekając, aż ona to zrobi. A Katarzyna od razu czuje, że popełniła błąd.



- Przepraszam.
- Nie masz za co. Dobrze wiem, że masz rację.

**5 października 2012 roku, piątek, g. 09:05**



Coraz głośniejszy dźwięk wwierca mi się w środek czoła. Nachalnie pustoszy senną przestrzeń. Na usta ciśnie mi się tylko jedno przekleństwo, a moje myśli koncentrują się na morderczym czynie rodem z tandetnych amerykańskich horrorów. Krwi!

Przez tę butelkę szampana poprawioną białym słodkim winem zapomniałam wyciszyć telefon. Teraz mam za swoje.

- Tak, słucham – mamroczę w słuchawkę z zamkniętymi oczyma.
- Dlaczego nie zadzwoniłaś? – Głos Tomasza dudni jak echo w głębokiej studni i czuję pulsacyjny przepływ krwi w skroni.
- Zasnęłam, przepraszam.
- Przeczytałaś to, co ci wysłałem?
- Właściwie tak... – O matko, jak ja uczę się kłamać.
- To jakie masz pytania?
- A mogę napić się najpierw kawy? – pytam, próbując rozładować jego złość.
- Daję ci piętnaście minut. Jeśli nie oddzwonisz...
- Oddzwonię.
- Lidio, to nie są żarty – jego ton jest bardzo karcący.

Rozłącza się. Wstaję i idę do kuchni. Nastawiam wodę na kawę. Dziś będzie rozpuszczalna. Nie mam siły na robienie espresso. Kaśka już dawno w drodze do pracy. Mam nadzieję, że bez kaca. Dla mnie ten poranek nie ma litości, ale mam za swoje. Jakaś część mnie rozumie, że łamanie zasad musi boleć. Inaczej nic mnie to nie nauczy. Talizman mojej trzeźwości został na biurku. Wstydzę się go ubierać.

Idę do łazienki. W lustrze wyłania się krajobraz po wojnie, a moje włosy chyba zapomniały, że rosną zwykle w dół. Chaotyczne wygięcia tylko potwierdzają mój stan, ale przynajmniej widzę w tym jakąś spójność. Płynność myśli i nieład na głowie. Myję twarz, zęby i już trochę lżej.

Wracam z kawą do mojego pokoju i sięgam po pomarańczową kopertę. Wyciągam jej zawartość. Szybko skanuję tekst. Cholera. Podkreślił te najistotniejsze informacje.

*Ta gra ma proste zasady. Najważniejsze to utrzymać się w grze...*

Pierwsze jego słowa wypisane rozkołysanym nierównym pismem na białej kartce bez zagnieć i przypadkowych odcisków palców przy rogach zniechęciły

mnie jeszcze bardziej do czytania reszty.

*Tu wszyscy zaczynają od zwykłej gry na pieniądze. Dla jednych to zabawa, a dla innych jedyna szansa na zabicie fortuny. Ale nie tylko decyduje tu szczęście...*

*...musisz jedynie zdecydować, czy chcesz być w Grze jako ta, która z kimś gra (maskotka), czy gracz. Właściwie już weszłaś jako ta, która z kimś gra, i chyba tak będzie dla ciebie w tej chwili najbezpieczniej.*

*...komuś bardzo zależało, byś weszła do gry, a Adam, próbując ratować sytuację, przywłaszczył sobie Ciebie oficjalnie jako maskotkę. Nie wiem, kto miał w tym interes i dlaczego akurat chodziło o ciebie.*

*Każdy z graczy jest oceniany i wycenia się go. To jest istotne, by móc wejść do dalszej gry. Każda twoja wygrana wpływa do puli, o jaką grasz. I z reguły pieniądze zdobyte w grze zostają w grze.*

*Ty też możesz obstawiać innych graczy. Stawki znajdziesz na podestłanym linku.*

*Adresy stron zmieniają się co czterdzieści osiem godzin. Stały jest jedynie gmail i numer telefonu. Nie ściągaj niczego na swój komputer. Adresy odbywających się rozgrywek będą podawane skrótami na telefon i dostaniesz je tylko wtedy, gdy będziesz zaproszona. Zwykle są to te same miejsca. Naucz się ich na pamięć. Listę dostarczy ci Adam.*

*...stać się samodzielnym graczem, musisz uiścić na wstępie pięćdziesiąt tysięcy w postaci wadium w kasynie lub puli wstępnej w innej formie gry. Płacisz gotówką. To tylko twój wybór.*

*Istnieje bardzo duża szansa, że nie wejdiesz wyżej. Jednak zawsze musisz się dostosować, bo zaproszenie od głównych graczy zwykle jest nobilitacją i wyrazem szacunku do twojego poziomu gry. Szczególnie w przypadku maskotek, które przecież praktycznie niczym nie ryzykują.*

*Muszę ci to napisać, chociaż sędzę, że wolałabyś tego uniknąć, ale kobieta w grze może płacić pieniędzmi lub usługą, temu, kto spłaci jej dług lub tylko jego część. To tylko kwesta układu, w jaki będziesz chciała wejść. Wymiany wzajemnych korzyści...*

Druga kartka nie była zapisana w całości, ale i tak neonowa żółć użytego markera rozpraszała skupienie z każdym kolejnym zdaniem. Musiałam mocno

trzeć powieki. Widziałam kropki, przecinki, niezliczoną liczbę rzędów wykrzywionych liter. Zlewały się i rozmywały, pozostawiając w głowie ulotne wrażenie, że jednak to ja popełniłam błąd, bo ten tekst nie pozostawił miejsca na złudne domysły, że to żart. Prześmiewcza ironia losu.

*Adam gra dla mnie i teraz jest twoim Opiekunem. On płaci twoje rachunki, a ty dorzucasz się do jego puli czy też grasz na jego konto. I to on poda ci kody, byś mogła kontrolować stan waszych wpływów, listy i pozycji w rankingu. Pamiętaj, gracie razem. Macie czysty układ i sami decydujecie, jaki masz dostęp do pieniędzy. On ponosi za ciebie odpowiedzialność, ale i ty za niego.*

*Pilnuj się, by nie narobić długów, które on będzie musiał spłacić. I miej świadomość, że to działa też w dwie strony, bo jego długi są twoimi.*

*Oczywiście, możesz zmienić Opiekuna. Zastanów się tylko dobrze, czy Ci się to opłaca. Bo tracąc Adama, postawisz się w o wiele trudniejszej sytuacji niż myślisz. Sama na początku nie dasz rady. Nawet nie próbuj.*

*Twoja Lista zawiera imiona graczy chętnych pożyczyć ci pieniądze, ale i tych, którzy chętnie staną się twoimi Opiekunami. Możesz z niej skorzystać w każdej chwili. Kontaktuj się z nimi za pomocą e-maila. Adresy dostaniesz na skrzynkę. Nie używaj nazwisk. Pamiętaj jednak, że to oni decydują, jak masz zwrócić swój dług i kiedy.*

*Jestem na twojej Liście dopiero jako nr trzy. Tak na wszelki wypadek. Na pierwszą pozycję wpisał się Władimir Rózenko, „Siwy”. Na drugiej pozycji jest Henry Green, „Anglik”. Uważaj na tego starego lisa.*

*Pamiętaj o telefonie. Musisz mieć go cały czas przy sobie. I odbieraj!*

*I jeszcze jedno. Graczy obowiązuje milczenie. Ciebie też. To, co się dzieje w grze, zastaje w grze. Nie ma wyjątków.*

Odręcznie zapisane kartki odkładałam na blacie biurka. To jakaś cholerna zabawa. Przewrotny rodzaj gry o kasę, w której biorą udział tylko ci znudzeni banalną formą zdobywania pieniędzy. Ci, którzy obracają kwotami z bezkresną linią zer i pożądamy już tylko wrażeń. Gra doznań dla ludzi o wyrafinowanych potrzebach i dziewczyn, które godzą się na „wymianę wzajemnych korzyści”. Ich młode ciała za ochronę, pieniądze i dostęp do świata graczy. Miejsc, gdzie układ gwarantuje satysfakcję tego, kto płaci. Dla niego, a nie dla niej.

Tak, to na pewno obcy świat. I może ludzie ci nie czują tylu ograniczeń, posiadają auta za miliony, spotykają się w intymnych i tylko im dostępnych

elitarnych klubach, a nawet mają rodzący się z poczucia władzy kompleks Boga. Zabijają w gniewie... A może raczej dla zabawy? Tak, zabijają...

Twarz Darii znów wyłoniła się z czeluści wspomnień ostatniego tygodnia. Jej oczy wpatrywały się w moje z tym nieukrywanym wyrzutem. „Oszukałaś mnie... – kobiecy głos wdarł się w moje myśli – przecież mi obiecałaś”. Ból skroni potęgowany uchodzącym z mojego organizmu alkoholem sprawił, że zacisnęłam powieki. Nadal nie mogłam, a może raczej nie chciałam w to wszystko uwierzyć. Tak, „to, co się dzieje w grze, zostaje w grze”. Nie ma wyjątków.

Dzwonek do drzwi zmusza mnie do otwarcia oczu, a Judasz zdrajca obnaża męską onieśmielającą twarz Tomasza. Poranek bez litości ma zamiar dzisiaj trwać w nieskończoność, tak bym dobrze zrozumiała kolejną lekcję. Otwieram i już zastanawiam się, jak strasznie muszę wyglądać. Przecieram policzki dłonią i odgarniam szalone włosy z czoła.

– Witaj – bez zaproszenia wchodzi do mieszkania i wręcza mi dwa pachnące prawdziwą kawą styropianowe kubki. Zamyka drzwi. – Pomyślałem, że się chętnie ze mną napijesz. – Zdejmuje jasny prochowiec i wiesza go na stojącym metalowym wieszaku.

– Cześć. – Gestem zapraszam go do kuchni.

Siadamy przy stole. Ja w piżamie, czyli bawełnianym przylegającym topie na grubszych ramiączkach i luźnych długich spodniach w paski, a on jak zwykle w świetnie dobranym grafitowym garniturze i jasnej koszuli. Boże, jak tu dyskutować z takim męskim ideałem, skoro on nawet o tak wczesnej godzinie wygląda świetnie! I pachnie świeżością, drzewem sandałowym i jeszcze czymś...

Milczymy chwilę, ale jego kawa z mlekiem smakuje sto razy lepiej od porzuconej w moim pokoju rozpuszczalnej. Pamiętał, że piję bez cukru. W końcu ściąga swoją marynarkę i odwiesza na oparciu krzesła obok. Ostentacyjnie zaczyna rozpinać mankiety i wywija je prawie do łokci. Próbuje złamać dzielący nas dystans. Patrzę na niego trochę zmieszana, ale on nadal milczy.

– Tomaszu, przepraszam – wreszcie wyrzucam to z siebie.

– Za co? – pyta zimno.

– Właściwie, nie wiem... – pokornie spuszcza wzrok. Przyglądam się uważniej palcom jego dłoni oplatającym styropianowy kubek. Z opuszków schodzi mu skóra.

– No właśnie – wreszcie się uśmiecha i bierze głębszy łyk kawy. – Nie masz pytań?

– Chyba nie – mówię to trochę niepewnie i wstaję. Idę do pokoju i wracam z dwoma stronami odręcznego pisma. Dopiero teraz znajduję żółtą samoprzylepną karteczkę, na której prosi mnie, bym do niego zadzwoniła. Zostawiam ją na łóżku.

– Tylko nie rozumiem, komu mogłoby zależeć akurat na mnie. Adam mówił, że to chodzi o ciebie... – z pojedynczym uśmiechem staję przy kuchennym blacie

i jakoś mi zimno, gdy mierzy mnie z góry na dół.

– Tego jeszcze nie wiem. Ale najważniejsze, byś nie próbowała teraz grać na własną rękę. Musisz nam zaufać – patrzy mi w oczy, wyczekując akceptacji. – Po prostu udawaj maskotkę Adama. Najlepiej gdybyś przegrała trochę kasy i wyszła jutro z kasyna kompletnie znudzona. Tylko tyle.

– A ile mam przegrać?

– Kilka... kilkanaście tysięcy – mówi to ot, tak, uśmiechając jak szelma.

– Ty chyba żartujesz!

– Lidio, to ty ciągle czegoś nie rozumiesz.

Znowu obrzuca mnie nachalnym oceniającym spojrzeniem. Zabiera ode mnie kartki. Wstaje. Zgniatą je w pięści i wrzuca do zlewu. Sięga po leżące obok kuchenki zapalki. Odpala jedną i rzuca na papier. W kilka sekund zlew zajmują płomienie.

– Wiesz... – patrzy na wzniecony przed chwilą ogień. – Nie napisałem ci tam wszystkiego, ale mam nadzieję, że rozumiesz – zerka tylko w moim kierunku.

– Adam był bardzo przekonujący.

– Lidio – wymusza swoim spojrzeniem moją uwagę. – To naprawdę nie jest tylko zabawa. Przynajmniej dla ciebie. Jestem w tym od kilku lat i nadal nie wiem wszystkiego. Nawet nie znam połowy z tych ludzi. A tych, których znam... Nie daj się w nic wciągnąć, bo dla mnie to tylko interesy.

– Czy ja w ogóle muszę w to wchodzić? – przerywam mu.

– Nikt cię nie zmusza – mówi, kręcąc głową. – Ale jeśli zagrasz z Adamem, to w dużym stopniu jestem w stanie przewidzieć, co się stanie. Będę mógł ci pomóc. Inaczej...

– Skończę jak Daria... – znowu mu przerywam.

– Inaczej... – kończy swoją wcześniejszą myśl – będziesz skazana tylko na siebie. I nawet nieświadomie wplądziesz się w coś, co doprowadzi cię do położenia tej dziewczyny. Ci ludzie nie uznają słowa „nie”. W ich mniemaniu już wchodząc do tego klubu i spędzając tam noc, powiedziałaś „tak”. W takie miejsca nie trafia się przypadkiem. Trzeba mieć zaproszenie. I ty je otrzymałaś. Po prostu miałaś w to wejść.

– Tomasz... tylko po co? Nie mam wielkich pieniędzy ani tych pięćdziesięciu tysięcy na wejście, nikt ze mną nie ubije interesu życia, a nawet nie jestem dziedziczką wielkiej fortuny. Po co ktoś chciałby mnie w to wciągnąć? To bez sensu – mówię bezradnie.

– Jest mnóstwo dziewczyn, które bez mrugnięcia okiem wejdą w taki układ.

– Bierze głębszy wdech, patrząc w dogasający pożar w zlewie. – Naprawdę zarabiają tam niemałe pieniądze. Stać je na dużo więcej niż to – obrzuca jednoznacznym spojrzeniem przestrzeń dość skromnie urządzonej kuchni. Dopiero po dłuższej chwili ponownie odnajduje moją twarz.

– Domyślam się, ale ja nie.

– Tylko że żadna z nich nie doczekała emerytury – milknie na moment. – Zbyt dużo widziały i zdążyły się dowiedzieć – dodaje ciszej. – Rozumiesz? – W odpowiedzi kręcę przecząco głową. – Aby z tego wyjść, musisz stać się graczem, i to cholernie dobrym graczem.

– Ale miałam być po prostu maskotką. – Już nic nie rozumiem.

– Tak, na początek to idealna rola. Ale, Lidio, musisz się jeszcze trochę podszkolić.

Wzdycha, a osmolony papier znika w prądzie wody spływającej w odpływ zlewu.

– Jesteś sama? – pyta, sprawdzając wzrokiem przedpokój.

Kiwam twierdząco głową, ale tak naprawdę nie rozumiem, o co on pyta. Podchodzi bliżej, a ja odruchowo robię krok w tył i już nie mam gdzie mu uciec. Ciemny kuchenny blat wbija mi się w łędzwie.

– Ale tak na marginesie. Ty naprawdę nie umiesz trzymać się zasad – mówi to, jakby był zły, a jego dłoń sięga mojej talii. Przyciąga mnie do siebie. – Prosiłem tylko o jeden telefon.

– Bałam się... – mówię zdezorientowana, a on bez najmniejszych oporów drugą dłonią sięga do niesfornego pukla moich włosów. Owija go wokół wskazującego palca, naciągając włosy do samych cebulek. Widzi moje onieśmienie, ale nie przestaje. Pociąga go mocniej w dół, aż do bólu i łączywie wpija się rozgrzanymi kawałkami wargami w moją szyję.

– Tomaszu...

– Tak, Lidio? – jego głos nie traci na dominującej sile, a koniuszek ciepłego język wędruje już koło mojego ucha.

– Dlaczego ty nie możesz być moim opiekunem? – próbuję trzeźwo myśleć, gdy zaczyna powoli ściągać moją i tak niewiele w tym momencie ukrywającą bluzkę. I chwilę później stoję już przed nim tylko w pasiastych szerokich spodniach.

– Bo Adam mi na to nie pozwoli – patrzy na mnie z góry, uśmiechając się z zadowoleniem. Jego dłonie od razu wędrują ku odsłoniętej napiętej skórze piersi. Czuję chropowatą nierówność jego palców. Ten facet w dotyku działa jak odurzenie. Pozbawia mnie logiki myślenia. – Zresztą... Tak jest dla ciebie bezpieczniej. – Patrzy jak drapieżnik na pochwyconą zdobycz. Upaja się momentem triumfu i już jego prawa dłoń wędruje po moim kręgosłupie, a lewa sięga rysującej się pod skórą kości obojczyka. Schodzi niżej, a mnie robi się zimno. Staram się pamiętać o oddechu. Ustami muska mój policzek przy uchu. Odchylam się bardziej do tyłu i moje palce wędrują ku jego jasnym włosom. – A czego ty chcesz, Lidio? – przestaje wgryzać się w moją szyję i podnosi wzrok.

– W tej chwili? – pytam zaskoczona.

– Tak.

Nie odpowiadam, ale moje usta wędrują ku jego wargom. Sama nie wiem, skąd mam tyle odwagi. Smakuje mocną kawą z cukrem. Trochę zbyt nerwowo zaczynam rozpinać mu koszulę. Pomaga mi, ale nie przestaje mnie całować. Chyba zwariowałam, we własnej kuchni?

Praktycznie sam zdiera z siebie koszulę i zaczyna rozpinać spodnie. Jeszcze te cholerne wiązane oxfordy. Przynajmniej teraz ma za swoje z tym nienagannym wyglądem. Jemu też się śpieszy. Spodnie opadają na ziemię łącznie ze skarpetkami i wreszcie widzę go całego. I naprawdę trudno jest mi patrzeć tylko w jego jasne oczy. Chyba się rumienię i trochę zbyt głośno łapię kolejny oddech. Naprawdę jego ciało nie przypomina typowego pana po czterdziestce. Wręcz wygląda lepiej niż niejeden trzydziestoletni mężczyzna.

– Bierzesz tabletki? – pyta, przyciskając mnie mocno do ściany, a pasiaste spodnie piżamy opadają mi z bioder.

– Nie. – Nie ukrywam zdziwienia.

– Dlaczego? – słyszę głęboki wyrzut przy uchu.

– Bo ja tego bardzo dawno nie robiłam – zaczynam się tłumaczyć, a głos więźnie mi w gardle.

– Co? – Jego przerażenie w oczach jest dla mnie jasną informacją. – A Adam? – kręcę przecząco głową i już mam pewność, że nici z seksu.

Idiotka, kompletna idiotka! Gdzie twoja kobieca intuicja, no, gdzie?

– Przecież wiesz o wypadku – mówię, kuląc ramiona, i schylam się po moje spodnie. Odsuwa się trochę, by mi to umożliwić.

– Tak... ale ty do tej pory z nikim? – Naprawdę jest w szoku.

– Z nikim – wciągam pasiaste spodnie i wzrokiem szukam mojej bluzki.

– Zaczekaj – powstrzymuje mnie przed wciągnięciem na siebie topu. – Po prostu nie spodziewałem się tego. Nie myślałem, że taka dziewczyna... będzie długo czekać.

– Długo? – spuszczam wzrok. – Ale to chyba dobrze.

– Cholera, no... – Nie ukrywa, że pokrzyżowała mu plany.

– Znowu to samo – patrzę na niego z lekką dezaprobatą. – Żadna cholera, tylko Lidka.

– No, tak – przytrzymuje mnie i całuje w usta z zaskoczenia. Robi to zachłannie, przypierając moje plecy do ściany. Wspinam się na palce wyczuwając nabrzmiałą męskość napierającą na moje podbrzusze. Nie mogę się powstrzymać, by go nie dotknąć. Chcę poczuć ciepło jego opalonej skóry, przygryźć jego wargę, zatopić palce w jego włosach, czuć go w sobie. Ale on przerywa. Gładzi mój policzek i włosy, ale jego spojrzenie nie ma już w sobie tyle przebiegłości. – Lidio... To mi się naprawdę rzadko zdarza – wzdycha, wypuszczając głośno powietrze ustami tuż nad moją twarzą.

– Mnie chyba rzadziej.

– Nie zrozum mnie źle. Lubię być zaskakiwany – powstrzymuje się przed kolejnym dotykiem. – Choć ostatnio, gdy zrobiła to moja była żona, nie byłem szczęśliwy – dodaje po chwili z powracającym lisim uśmiechem. Znowu zmienia temat. Tak, w tym jest perfekcjonistą. Próbuje zyskać na czasie, by ochłonać. – Rozwiodła się ze mną, wypowiadając tylko dwa zdania.

– Jakie? – pytam z ciekawości i patrzę, jak jego spodnie znów zakrywają chyba najbardziej tajemnicze miejsce mężczyzny. Ledwo dopina rozporek, patrząc z wyrzutem w moje oczy. Wzdycha boleśnie, gdy wciągam na siebie top pizamy.

– Już cię nie kocham. Chcę rozwodu.

– I pozwoliłeś jej tak po prostu odejść? – dziwię się, siadając przy stole. Od razu sięgam po kubek z kawą. Próbuję opanować drzenie w podbrzuszu i przyspieszony oddech.

– Tak, nie miałem wyjścia. Zakochała się... w naszym księgowym – milknie na moment. – A wiesz jak to jest z uczuciami. Nie wygrasz – kpi, dopinając swoją jasną koszulę i siada naprzeciwko mnie, poprawiając mankiety. – Zwłaszcza że miała prawo do połowy majątku i nie omieszkała z tego skorzystać. Ale nadal przysyła mi kartki na święta.

– Tomaszu, ja naprawdę... – urywam, bo nie wiem, jak mu to wszystko, co dzieje się teraz ze mną, wytłumaczyć.

– Lidio, jestem ci dłużny kolację. Przyjadę po ciebie jutro. Tylko proszę cię o jedno...

– Tak?

– Nie wpakuj się tam w żadne kłopoty.

– Postaram się, ale nie obiecuję.

– Lidio, proszę... – unosi się lekko, pochyla przez stół i całuje w usta. Kubek z kawą upada na podłogę, plamiąc mu nogawkę spodni.

**6 października 2012 roku, sobota, g. 22:30**



– Dasz sobie radę? – Adam odbiera żetony na dwa tysiące i praktycznie wpycha mi je w dłonie, jakby szybko chciał się pozbyć problemu albo – co gorsze – odbębnić rutynowe zadanie.

– Spokojnie.

Co mogłam powiedzieć, skoro on nie zamierzał spędzać tego wieczoru ze mną. Milczał w samochodzie całą drogę i zagryzał zęby. Nie wiedziałam, czy tak to miało wyglądać, a może raczej była to jego decyzja.

– To dobrze – mówi lustrując ukradkiem drzwi w końcu korytarza. – Wydadz to. Jak chcesz więcej, to mów. – Sugestywnie popatrzył mi w oczy, ale



zaprzeczyłam jednoznacznie. Chyba się nawet z tego ucieszył. – Jak już skończysz, to poczekaj na mnie. Napij się czegoś... porozmawiaj.

– Poradzę sobie – przerywam mu z wymuszonym uśmiechem.

Ewidentnie nie zamierzał negować mojej wypowiedzi, ale miałam dziwne przeczucie, że akurat on w tym hazardowym przybytku miał zupełnie inny cel. Sprawy, o których niekoniecznie powinnam wiedzieć.

Długowłosa wykonuje jeszcze teatralne skinienie głową i rusza korytarzem w przeciwnym kierunku niż główna sala kasyna. Nie zostawił mi wyjścia. Zaciskam dłonie na czterech żetonach, każdy z nominalną pięćset złotych. Po prostu muszę podjąć tę grę.

Na szczęście znieawidzona czerń mojej sukienki nie wyróżniła się na tle pozostałych graczy. Odpuściłam sobie fryzjera, żadnych drogich gadżetów, po prostu prostota w gładkim spięciu włosów i czerwone usta. Sukienka wydawała się trochę za ciasna, ale pilnowałam się, by nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów. Odbębnię to i znikam. Przynajmniej taki jest plan.

Proszę o wodę, bo dzisiaj naprawdę muszę trzymać się reguł. Chociaż widok smukłego kieliszka wypełnionego po brzegi żółtawą, buzującą jeszcze ciecżą kusi coraz mocniej z każdą upływającą w tym miejscu sekundą. Instyktownie gładzę swój dekolt wyczuwając znajomy kształt złotego talizmanu. Teraz potrzebuję go bardziej niż zwykle. Odwracam wzrok od kelnera. Woda smakuje jakoś jałowo i nie nasyca pragnienia.

Siadam na wolnej sofie w półmroku. Dobrze mi tu i właściwie mogłabym tak cały wieczór. Widok znudzonych bywalców i pocących się ze szczęścia farciarzy nie okazał się niczym nadzwyczajnym. Wiem, że muszę zagrać. Takie były zasady. Karty, kości czy szczęśliwy spin?

Ludzie krążą jak leniwe muchy w upalny lipcowy dzień, od stołu do stołu. Szukają szczęścia, jakby zostało utracone na jednym z tych wolnych miejsc. Jakby szczęście można było sobie wybrać lub kupić z puli na którymś ze stołów, a nie po prostu je mieć. Chociaż niektórzy ewidentnie wierzyli w taktykę i przeliczali w myślach, szacowali swój los. Przecież tu nie można było wpuszczać pecha do gry. Pech zostawał za drzwiami, bosy lub w dziurawych skarpetkach. Sam. Na pewno sam.

Po krótkim namyśle decyduję się na ruletkę. Odstawiam na stolik szklankę, wstaję i podchodzę do stołu w centralnej części sali. Przyjemne nienachalne światło oświetla zielony wydłużony blat z wyznaczonymi miejscami liczb lub kolorów na zakłady. Czarne, czerwone, a może któraś z liczb? Siadam na jednym z wolnych krzeseł. Grają tu już dwie osoby. Kłaniamy się sobie z grzeczności. Wymieniam u krupiera cztery żetony.

Obstawiam za pięćset złotych, dwanaście na czerwonym polu. Krupier wprawia koło w ruch i wykonuje spin. Kulka wpada w przedziałek. Patrzą i nie

wierzę.

– Dwanaście czerwone – mówi, a ja dopiero po chwili odrywam od niego wzrok. – Gra pani dalej? – żetony wędrują w moim kierunku. Zdejmuję jeden z nich i odkładam na bok z trzema, które nie weszły do pierwszej gry. Moje startowe dwa tysiące mam w zapasie.

– Tak, trzyma się za wszystko.

Dwie inne osoby, czarnowłosa krótko ścięta kobieta i patykowaty mężczyzna, obstawiają swoje. Od niechcenia przesuwając tysiące w plastiku. Krupier kontroluje układ i upewnia się co do kwot. W ostatniej chwili dołącza czwarty gracz. Koło zostaje wprowadzone w ruch. Słyszę sakramentalne „koniec zakładów”.

– Trzyma się czarne – krupier uśmiecha się, a pozostali jęczą z zawodem. Oprócz krótkowłosej. Obstawiła czarne.

– Tak, gram – odpowiadam, nim mnie zapyta. Stawiam wszystko, co mam. – Czerwone.

Reszta obstawia liczby.

– Widzę, że pani dobrze wie, czego chce – słyszę za sobą, ale postanawiam nie reagować.

Krupier spogląda na mnie i za moje plecy, jakby szukał aprobaty. I chyba ją otrzymuje, bo koło idzie w ruch. Kulka wpada w pole. A ja za plecami słyszę pomruk zadowolenia.

– Trzydzieści dwa czerwone.

Żetony wędrują w moim kierunku, a ja nawet nie mam pojęcia, ile to pieniędzy. Obstawiam, znowu za wszystko.

– Czarne – nie wiem, dlaczego to mówię.

– Jest pani pewna? – znów słyszę za plecami. – Niech się pani jeszcze zastanowi. – Ten męski nieznajomy głos zaczyna mnie drażnić.

– Nie, dziękuję – odpowiadam trochę przez zęby.

– Dobrze, to ja też obstawię – mówiąc to, zajmuje krzesło zwolnione przed chwilą przez patykowatego mężczyznę we fraku.

Siada i przenikliwie patrzy mi w twarz, a ja nie chcę, by to robił. Mimo swojej niepodważalnie oryginalnej urody, ujawniającej się nie tylko w krótkich włosach, które stanowczo zbyt szybko stały się całkowicie siwe, bo nie wygląda na więcej niż czterdzieści lat, i w wilczym spojrzeniu różnokolorowych tęczywek, ma w sobie coś z wulgarного tyra, któremu nigdy nie chciałabym nacisnąć na odcisk. Biały uśmiech, którym mnie obdarza, nie ma krzty szczeroci, ale akurat do niego pasuje. Kładzie swoje żetony na stół i podsuwa na czarne pole, tuż obok moich. Krótkowłosa kobieta szybko obstawia podobnie. Krupier uśmiecha się i kręci dwa razy mocniej niż ostatnim razem.

– Trzyma się czarne – nawet nie ukrywa zdziwienia.

– A jednak – siwowłosa uśmiecha się i nie dba o to, ile w ten sposób zarobił. Jest w posiadaniu niewiele mniejszej kupki żetonów niż ja. – Przepraszam za wcześniejszą uwagę, ale chciałem mieć tylko pewność. Gra pani dalej? – Dlaczego to on pyta, a nie krupier?

– Gram.

– Świetnie, to co obstawiamy? Mogę użyczyć pani moje żetony. Jeśli nadal jest pani pewna... – ten ton wzmógł moją niechęć, a ukryta propozycja pożyczki pieniędzy, połączona z nonszalancko rzuconym krupierowi napiwkiem w plastiku wręcz nastroszyła moje myśli jak igły jeżozwierza. Ten facet właśnie próbuje mnie wciągnąć do tej właściwej gry. Tomasz miał rację. Muszę się cholernie pilnować.

– Nie wiem, co pan obstawi, ale ja gram sama. – Podaję krupierowi żetony za dwa tysiące.

– Aha – udaje zdziwionego.

– Szesnaście. – Przesuwam tuzin ze swojej pozostającej na stole kupki, które nagle zmieniły kolor, zwiększając najmniejszy nominał do tysiąca za jeden. Obstawiam chyba za dwadzieścia tysięcy. Siwy waha się przez moment i wybiera tylko czerwone. Chyba nie ufa mi aż tak. Mam nadzieję, że zaraz tego pożałuje.

Wszyscy czekają w napięciu, aż krupier wykona spin. Kulka obraca się, długo nie wpadając w żadną z liczb. I chyba tylko ja mam ochotę wstać od tego stołu i zabrać swoje dwa tysiące, tak by nawet nie czuć złudzeń, że ślepy fart odmieni moje życie. Już nie wierzę w szczęście. Wyczerpałam jego limit jakieś dwa lata temu.

Wstaję i robię to, z premedytacją patrząc siwemu mężczyźnie w twarz, który nagle chwyta moją rękę i przytrzymuje ją na zielonym obiciu stołu.

– To jeszcze nie koniec – mówi równie zimnym tonem, jak jego wilczy wzrok.

– Może dla pana – wrywam swoją dłoń i odchodzę w kierunku kelnera.

Woda gasi moją niechęć i ruszam powoli do stołu, gdzie dobiega najgłośniejszy śmiech. Może tam zobaczę coś, co mnie wciągnie. Bo łut szczęścia to jednak za mało, by czuć się szczęśliwą i ciągle wracać w to miejsce.

Kości rzeczywiście są ciekawsze, ale nudzę się nimi równie szybko, jak ruletką. Dochodzę do wniosku, że odgrywanie znudzonej „maskotki” nie będzie takie trudne, a wręcz potrafię to robić perfekcyjnie.

Wracam na sofę i odliczam minuty do północy. Chyba właściwie mogę już stąd iść. Nie widzę Adama, ale nie dbam o to. Wezmę taksówkę. Podchodzę do kasy i oddaję swoje żetony, ale kasjer wstrzymuje mnie i wykonuje cichy telefon. Każe mi poczekać i przelicza nerwowo wypłatę.

– Ma pani ochronę? – pyta.

– Ale po co?

– No to raczej spora kwota. Chyba że chce pani część przechować w kasynie.

– Przechować... – faktycznie, coś musi zostać w puli na następny raz. – Tak, oczywiście. Tylko o jakiej kwocie mówimy, bo dwa tysiące...

– Trzy miliony osiemdziesiąt tysięcy złotych – głos kasjera jest zimny i pewny.

– Przepraszam, co? – zatkało mnie.

– Tak, pani Lidio. – Siwowłosy nie ukrywa zadowolenia. Podchodzi bliżej i bardzo nonszalancko podaje mi jakiś kwit. – Dzisiaj wygrała pani sporo pieniędzy. To chyba nazywa się szczęście początkującego.

– To na pewno żart. – Nie wierzę im.

– Proszę sprawdzić. Wydruk z ruletki na pani konto.

Rzucam spojrzeniem na kwit, który odruchowo wrywam mu z ręki. I nadal nie wierzę. 35:1, jak to możliwe? Cały czas sądziłam, że gramy 1:1. Trafienie cyfr to jak gra w totka za miliony. A niech to diabli, jestem bogata! Niestety tylko na tym kwitku.

– Dobrze, to ile mogę zabrać dziś bez ochrony? – pytam, bo na pewno odebranie tych pieniędzy nie będzie takie proste. Przecież to tylko ta piekielna gra.

– Do stu tysięcy złotych. – Jego wilczy wzrok znów przenika moją twarz.

– Dobrze, to ja poproszę o wypłatę tylko osiemdziesięciu tysięcy, tak dla równego rachunku – sprawdzam go, ale siwy kiwa tylko do kasjera, a ten przelicza szybko gotówkę. Dzieli banknoty na kupki i spina po dziesięć tysięcy.

– Pani Lidio, a co zrobimy z resztą? – pyta tak niewinnie, że bez ostrzeżenia może i dałbym się nabrać na ten ton.

– Chyba na razie zostaje w puli... Będzie o co grać – rzucam zadziornie i już żałuję. Chociaż sumienie woła „nie bądź naiwna”.

– Bardzo się cieszę. – Tak, ten uśmiech na pewno trudno nazwać szczerym.

– Chociaż szkoda, że nie zagrała pani o więcej. Zawsze służę pomocą.

– Dziękuję, ale zwykle gram na własny rachunek – kłamię, bo nigdy nie grałam w kasynie. To był mój pierwszy raz. – Nie jestem z tych, co lubią być dłużni. – Kasjer podaje mi pękata kopertę, do której przed chwilą włożył przeliczone pieniądze.

Kurcze, jest strasznie duża. Na pewno nie zmieści mi się do kopertówki. No nic, zostaje w mojej dłoni, trochę za bardzo zwracając uwagę. Ruszam powoli do szatni.

– Pani Lidio – siwy wstrzymuje mnie i dokłada kolejny plik banknotów – jeszcze te dwa tysiące. – Wkładam je do swojej czarnej lakierowanej kopertówki i wyjmuję numerki do szatni. – Rozumie pani, co oznacza taka wygrana? – pyta, pomagając mi włożyć płaszcz.

– Nie bardzo. – Znowu wyczuwam jakiś podchwytliwy zamysł z jego strony. Na szczęście mój wzrok wyławia nagle w półmroku wyjścia znajomą postać. Tomasz uśmiecha się i powoli podchodzi w naszym kierunku.

– Gra pani dalej, ale już na zupełnie innych zasadach. – Jego powieka nawet nie drgnie, a dwie różne tęczęwki wywołują we mnie nagły lęk. – I mam nadzieję, że następnym razem zagra pani o większą stawkę. Chętnie porozmawiałbym o możliwościach... – nie kończy, bo Tomasz łapie mnie w pasie i ostentacyjnie całuje w usta. Podejmuję jego grę, bo mnie też nie podobało się to, co siwowłosy próbuje mi powiedzieć.

– Dobrze, że jesteś – szepczę Tomaszowi przy uchu – bo zapomniałam komórki.

– Dobry wieczór.

– Witam. – Mężczyźni podają sobie dłonie do uścisku, ale po Siwym widać złość.

– Wybacz, Władi, ale porywam Lidię, bo nie chcę narażać cię na tak znaczące straty – Tomasz kpi.

– Tak, lepiej ją stąd zabierz, bo jeszcze ktoś dopisze się do jej listy.

– Władimir – czuję, jak ręka Tomasza sztywnieje w uścisku na mojej talii. – Lepiej znajdź sobie kogoś bardziej w twoim typie. Ona gra z Adamem.

– A to chyba się nawet dobrze składa... – jego atrakcyjna z pozoru twarz przybiera bardzo niemiły wyraz. – Bo dzisiaj przerznął dwa kawałki. Co za niefart.

– Dwadzieścia tysięcy? – pytam.

– Nie, ptaszyno, dwa miliony w ciągu dwóch godzin. To raczej jego kiepski dzień.

– Odbije sobie, na pewno – Tomasz uspokaja mnie.

– No nie wiem, ale od kiedy siedzi przy nim ta ruda, to jakoś stracił zainteresowanie grą.

– Ruda to kaprys, który szybko się nudzi. Przecież sam to wiesz.

– Kaprys nie kaprys, wisi mi dwa miliony.

– Weź je z mojej puli – rzucam ku pełnemu zaskoczeniu ich obu.

– Lidio, ty naprawdę rozbiłaś dziś bank – Tomasz uśmiecha się szeroko, a ja pokazuję mu pękata kopertę. Kręci głową i znów całuje mnie z dużą dozą ostentacji, ale czuję napięcie na jego wargach.

– Jest pani tego pewna? – Chyba Władimirowi ta decyzja nie jest zbytnio na rękę.

– Już raz się mnie pan o to dzisiaj pytał – rzucam. – Gram z Adamem, a w mojej puli zostaje milion. Powinno starczyć na dalszą grę.

– Być może.

Władimir przeczesuje dłonią włosy i ledwo zauważalnie marszczy brwi. Kiwa ręką na jednego z pracowników kasyna, szepcze mu coś do ucha, a ten znika gdzieś na moment. Tomasz ignoruje siwego, wpatrując się w moją twarz. Chłopak w czarnej kamizelce i śnieżnobiałej koszuli wraca z dwoma kartkami papieru, które Władimir szybko lustruje i wręcza mi do podpisu.

– To tylko formalność – mówi, a Tomasz podaje mi swoje pióro z wewnętrznej kieszeni marynarki z dziwną satysfakcją w oczach.

Podpisuję weksel i spłacam dług Adama. Władimir marszczy połowę twarzy, ale Tomasz odpowiada mu stoickim spokojem.

– Lidio, musimy już iść. – Tomasz zagarnia mnie do wyjścia. – Do widzenia, Władimirze. Pamiętaj, że pieniądze to nie wszystko – rzuca przez ramię, popychając mnie ku rozsuwanym drzwiom.

– Pamiętam, ale bez nich będziesz nikim, tak jak każdy z nas, kto wchodził dopiero do gry. Staniesz się niewidzialny.

– Może tobie to przeszkadzało, ale nie mi – Tomasz przerywa mu, a szklane drzwi zasuwiają się za nami.

**7 października 2012 roku, niedziela, g. 00:30**



Opadam z płytkim oddechem, wgniatając jego plecy w skórzany fotel. Nadal słyszę łomot serca i jego cichy jęk rozkoszy.

– Dziewczyno, ty nie masz litości – szepce, przytulając się do mojego policzka, gdy jego druga dłoń gładzi moje włosy. Nadal czuję go głęboko w sobie i mam pogryzioną szyję.

– Dla ciebie, nie mam – śmieję się, próbując wyrównać oddech.

– A to miała być tylko kolacja – mówi, jakby rzeczywiście w to wierzył. – Świece, muzyka, dobre wino. Chciałem zrobić na tobie wrażenie.

– Przecież wiesz, że nie piję – robię mu teatralny wyrzut.

– A tak, faktycznie – przyciąga mnie i znów całuje. – Lidio, chyba mam na ciebie jeszcze ochotę.

– Ja na ciebie też – gryzę go w dolną wargę i czuję jego dłoń na swoim pośladku.

– Jedziemy do mnie? – pyta, zaciskając drugą dłoń na moim udzie.

– Obiecałam współlokatorce, że wrócę dopiero w poniedziałek – mówię to, delikatnie unosząc się na kolanach. Wysuwa się ze mnie. Siadam na fotelu pasażera, poprawiając mocno podciągniętą czarną sukienkę. Nawet nie wiem, gdzie są moje figi. Tomasz ściąga prezerwatywę, a ja podaję mu chusteczki znalezione w kopertówce.

– To się nawet dobrze składa – śmieje się i poprawia spodnie. Chusteczka ląduje na dywaniku przy jego siedzeniu.

Przysuwa fotel na poprzednią pozycję. Kręci z niedowierzaniem głową. Chyba tego się po mnie nie spodziewał, a przynajmniej nie teraz. Bierze głębszy wdech i odpala silnik. Wyjeżdżamy powoli z parkingu przy kasynie.

Włącza radio, a ja powoli odpływam.

– Lidio.

– Tak?

– Czy ty na pewno chcesz być z takim starym osłem, jak ja?

To pytanie zaskakuje mnie, ale świetnie rozumiem jego obawy.

– Tomasz, ja nie mam szesnastu lat i raczej wiem, co robię.

– Tak, tylko chciałem się upewnić – odpowiada mi uśmiechem, a ja spontanicznie całuję go w usta.

Nawet nie protestuje, tylko odpuszcza gaz. Odrywam się od niego po chwili, by go nie rozpraszać, ale bliskość tego mężczyzny wywołuje we mnie niespodziewane reakcje. Boję się nawet myśleć, czego on oczekuje ode mnie, jaki jest jego plan.

– Nie pytaj mnie o to więcej – proszę go.

– Nie będę. A odpowiesz mi na jeszcze jedno pytanie?

– Tylko jeśli nie będzie dotyczyć czegoś równie głupiego, jak poprzednie – prowokuję go.

– Gdzie chciałabyś pojechać na dłuższe wakacje?

– Pytasz o kraj czy miejsce?

– Pytam o niespełnione marzenie – zerka na mnie badawczo.

– Niespełnione... Wiele mam takich – śmieję się. – W tej chwili nie wiem...

Ale może tam, gdzie nie ma tej przekłętej jesiennej pogody, można kąpać się nago w oceanie, podają mocne drinki z rumem i słyhać tylko szum fal. Tomasz, byle na południe.

– Właściwie wszystko się zgadza – śmieje się sam do siebie.

– Dlaczego pytasz?

– Nie powiem ci.

– Cholera, no...

– Lidio, tylko nie cholera – karci mnie spojrzeniem i powoli znów obnaża swoje białe równe zęby. – Tomasz mam na imię.

**7 października 2012 roku, niedziela, g. 17:30**



Natarczywy dzwonek domofonu przerywa nam drzemkę. Tomasz zmusza się i podnosi z sofy. Robi mi się zimno, mocniej naciągam jego koszulę i okrywam kocem, spod którego wyszedł w samych bokserkach. Nie chcę jeszcze wstawać.

– Co się stało? – mówi do słuchawki domofonu, obserwując jednocześnie obraz z bramy.

– Dobrze, wchodź na górę. – Odkłada słuchawkę, przekręca zabezpieczenie zamka i rusza drewnianymi schodami do garderoby. – Lidio, mamy gościa – słyszę jego przerywane słowa z góry, ale nadal nie motywuje mnie to do działania.

Tomasz schodzi do salonu w pośpiesznie naciągniętych dżinsach, a drzwi wejściowe otwierają się, z impetem uderzając w ścianę. Mierzy się z człowiekiem stojącym w wejściu i nie odzywa ani słowem. Za to drzwi zatrząskują się za kimś z równie niepohamowaną energią, z jaką zostały otwarte.

– Nie prosiłem cię o to – Adam mówi z bełkotliwym wyrzutem. – Nie chcę twojej kasy.

– Jesteś pijany. – Tomasz ma ostry ton.

– Kurwa, dwa miliony, wrobili mnie. – Adam wręcz wtacza się do salonu. I już nie mogę udawać, że mnie tu nie ma. Podnoszę się, owijając szczelnie kocem, a widok kompletnie pijanego długowłosego wzbudza we mnie konsternację.

– To nie ja – Tomasz oponuje. – Jak dla mnie, nie jesteś tyle wart.

– A niby kto? – Adam wpada wręcz na Tomasza, a ten chwytą go i usadawia na najbliższym fotelu koło sofy. Wzrok pijanego biegnie chaotycznie po salonie i dopiero po dłuższej chwili zauważa mnie tuż obok. – Kurwa! A ty co tutaj robisz? – Naprawdę jest zdziwiony moją obecnością. Wyciąga z kieszeni swój telefon i przesuwa palcem kilka razy po wyświetlaczu. – Przecież grzecznie siedzisz w swoim mieszkaniu. – Pokazuje mi ekran iPhone'a z aplikacją śledzącą innego użytkownika sieci. Ewidentnie widnieje na nim mój adres. A ja od razu rozumiem. Cały czas mnie śledzi, wykorzystując do tego moją kartę sim.

– Nocuję – mówię to, a Tomasz rusza do kuchni.

– Sypiasz z nim? – pyta.

– To chyba nie twoja sprawa.

– Grasz ze mną, to chyba mam prawo wiedzieć.

– To tylko gra. I nie jestem twoją własnością. Zresztą słyszałam, że wolisz rudowłose. – Nie mam skrupułów.

– Może – rzuca, mierzając mnie zimno. – Ciebie też bym wtedy przeleciał, ale ciągle prosiłaś, bym przestał. Udajesz taką kurewską cnotkę. – Zagryzam zęby, ale czuję na sobie wzrok Tomasza, więc nic nie mówię. – Masz fajne piersi i jak chcesz, to możemy zrobić to w trójkę – mówi to z takim prostackim wyrazem twarzy, że mam ochotę go uderzyć. – Zresztą pewnie już ci to proponował. Tomasz bardzo lubi, by się nim dobrze zająć.

– Po co tu przyszedłeś? – Przystaję być miła i już żałuję tych dwóch milionów. Moja podświadomość podsyła mi złośliwie obrazy z miejsc, które mogłabym zobaczyć za te pieniądze. Tych miejsc, o które pytał Tomasz. Rajska Wyspa Coocka, Karaiby i ich nieskazitelnie biały piasek plaż, Wielka Rafa ze stadem ludojadów, tajemnicza Nowa Zelandia. Kurwa! A ja wydałam je na tego pijanego durnia.

– Dowiedzieć się, komu wiszę kasę – mówi, a Tomasz podaje mu szklanekę z napojem w brunatno-czerwonawym kolorze.

– Pij, dobrze ci zrobi. Przynajmniej zamilknie.



– Nie martw się. Na pewno ten ktoś prędzej czy później się o nie upomni – nie ukrywam sarkazmu.

– Wołałbym wiedzieć to wcześniej. – Przełyka napój zrobiony przez Tomasza i krzywi się z niesmakiem. – Co to za gówno?

– Pij. Na zdrowie – Tomasz też powoli traci cierpliwość. – Lidio, idź na górę coś włożyć na siebie, a ja zamienię parę słów z tym pijanym pajacem – uśmiecha się i całuje mnie w usta, gdy do niego podchodzę.

Jego niebieska koszula ledwo zakrywa mi pośladki. Adam patrzy na mnie nachalnie. Nie dbam o to, bo nadal mam ochotę przyłożyć mu w twarz za to, co powiedział przed chwilą. Powoli wspinam się po schodach, a ich wzrok podąża moim śladem. Wchodzę do sypialni. Specjalnie nie domykam drzwi. Kucam przy ścianie. Dobrze ich tu słyszeć.

– Zwariowałeś?! Miałeś jej pilnować. Odbiło ci? – Tomasz szybko przestał być tak powściągliwy. – Podobno chciałeś z nią grać.

– Przecież widzę, że nic się nie stało. Dobrze się nią zająłeś. Siwy mówił, że ty wiesz, kto pożyczył mi kasę.

– Ale umoczyłeś. To do ciebie niepodobne. Opuść sobie tę rudą. To nie twoja liga. Następnym razem...

– Co następnym razem? – Adam warczy, dopijając napój ze szklanki. – Nic nie będzie. Właściwie jestem splukany. Tydzień temu splącałem ten cholerny samochód. Nie usiądę do stołu w najbliższym czasie. No chyba że znowu ktoś mi pożyczy lub dostanę grubszą robotę.

– I pociągniesz za sobą Lidię. Odbiło ci! Jeśli tylko wyczują, że kręcisz. Kto cię na to namówił? Gadaj.

– A jak myślisz?

– Tkacki.

– Aha... Ale zobacz, co zdobyłem. – Adam wyjmuje coś z kieszeni i podaje Tomaszowi. – Jeszcze mi za to podziękujesz.

Nie widzę dokładnie, ale to chyba plik zdjęć.

– Skąd to masz? – Tomasz jest zdenerwowany, a jego dłonie przerzucają jedno zdjęcie po drugim.

– Myślisz, że tylko dlatego pieprzyłem tę rudą – mówiąc to, odsłania podrapaną do krwi skórę szyi i torsu. – Ona ciągle ćpa i tylko za pierwszym razem jest to zabawne.

– Kurwa. Jak oni ją znaleźli?

– Widocznie o czymś zapomniałeś. Alicja jest cholernie atrakcyjną kobietą i raczej trudno jej nie zauważyć.

– Ty sobie nie pozwalaj. Niech ci nawet przez myśl nie przejdzie!

– Wiesz, co teraz się stanie.

– Nie dopuszczę do tego.

– Nie wiem, jak chcesz to zrobić.

– Muszę pomyśleć, ale ty wreszcie przestań pić, bo możesz mi być potrzebny. I pewnie w takim stanie prowadziłeś.

– A jak miałem tu dotrzeć?

– Dawaj kluczyki.

– Żartujesz?

Słyszę odgłos nagłej szamotaniny, a później cichy jęk bólu.

– Oddam ci je jak wytrzeźwiejesz – stanowczy ton Tomasza tłumi zarzewie protestu. – Chodź! – chyba ciągnie go na górę.

W popłochu zaczynam szukać swojej czarnej sukienki, która gdzieś tu musi leżeć. Znajduję ją przy oknie na ziemi. Zrzucam niebieską koszulę Tomasza i próbuję wciągnąć od dołu tę trochę ciasną małą czarną. Cholera.

– Lidio – słyszę otwierające się nagle drzwi sypialni. – O przepraszam – głos Tomasza mięknie na widok moich usilnych prób przeciągnięcia obcisłego wdzianka przez biodra. Za to Adam wkraczający do pokoju tuż za nim nachalnie gapi się na moją prawie nagą sylwetkę. Na szczęście stoję do nich tyłem.

– Ja tam bym jej za to nie przeprasział – rzuca z głupim uśmiechem.

I nagle słyszę dźwięk rozrywającego się szwu materiału. Kaśka mnie po prostu za to pokroi w plasterki grubości zaledwie trzech milimetrów, a moje nerki sprzeda na czarnym rynku. U niej jestem już na pewno skończona.

Sukienka podchodzi lżej do góry i wreszcie zakrywa mi nagie pośladki. Rumienię się, bo już zdążyło zrobić mi się gorąco. Ręce wkładam w rękawy i nerwowo szukam zamka na lędźwiach.

– Pomogę ci – Tomasz jest już za moimi plecami i łagodnie przesuwając dłoń po moim biodrze. Drugą dłoń łąpie materiał i układa go tak, by dobrze zapiąć. – Spokojnie. Nie tylko tobie on działa dziś na nerwy. – Obraca mnie do siebie przodem i gładzi po policzku. – Dajmy się mu tu przespać, a my skoczmy coś zjeść na mieście.

Nic nie mówię. Patrę tylko z niechęcią na Adama, który rzuca się na łóżko w sypialni z wzrokiem wyraźnie komunikującym „Dołącz do mnie, mała”. Nawet nie zdjął butów. Odruchowo chwytam czarne szpilki, bo resztę swoich rzeczy mam na dole. Z wyjątkiem jedwabnych fig, które zostały gdzieś w samochodzie. Wychodzę.

– Co ona taka spięta? – w połowie schodów słyszę jeszcze Adama.

– Jakbyś uważnie przeczytał to, co mi o niej znalazłeś, to nie zadawałbyś takich durnych pytań. Lepiej się prześpij – podchodzi do drzwi sypialni. – I nie ruszaj się stąd. Kupimy ci coś do jedzenia. Woda jest w lodówce.

– Tylko oddaj mi kluczyki.

– Śpij. Pogadamy, jak wytrzeźwiejesz.

**9 października 2012 roku, wtorek, g. 23:30**



Dariusz Jankowski po ponad ośmiu godzinach spędzonych w dusznym przedziale wreszcie wysiadł z pociągu. Stawiając niepewnie stopę na peronie lwowskiego dworca poczuł niewypowiedzianą ulgę. Wiedział, że będzie musiał tu wrócić. Kajać się i przeproszać za kłamstwa, kilkuletnie milczenie i fizyczną zdradę. Nie liczył na wybaczenie, ale to był jedyny bezpieczny teraz adres.

Ruszył do taksówki. Nie miał parasola, jedynie niewielki stary płócienny plecak z kilkoma rzeczami i łatwo nasiąkającą wilgocią zieloną kurtkę z kapturem. Deszcz, jak i męcząca podróż w zatłoczonym wagonie spóźnionego o ponad dwie godziny pociągu, skutecznie zniechęcił go do krótkiego spaceru. Taksówkarz wyglądał na zaspanego, mało mówił, ale bez najmniejszego problemu trafił na wskazaną ulicę. I nie zdarł z niego podwójnej stawki, chociaż Jankowski był na to przygotowany. Kierowca uśmiechnął się na widok sporego napiwku, ale nie podziękował. Za to brodacz wysiadł z taksówki, wpadając prosto obiema stopami w głęboką kałużę. Stare trampy od razu nasiąkły wilgocią, a wręcz coś zachlupało między palcami. Zapewne i to po tylu latach mu się należało.

Ponadpięćdziesięcioletni naukowiec, stając przed zniszczoną kamienicą, poczuł nagle obawy, bo na pewno nie znał właściwej procedury czy schematu postępowania, który w tym momencie powinien być zastosowany. To, co musiał zrobić, nie zostało opisane w żadnej z jego książek w grubej oprawie, czasopiśmie, gdzie nieraz publikował swoje artykuły, i setkach raportów, które czytał wnikliwie w trakcie swojej wieloletniej naukowej pracy. Nie analizował też tego w swojej doktoranckiej diagnozie, nie kierował się tym przy projektowaniu czy nadzorowaniu kolejnych odwiertów. Może dlatego teraz, gdy patrzył na drewniane drzwi do kamienicy, ogarnął go strach. Stanowczo lepiej czuł się w sytuacjach, gdy przy podejmowaniu tak istotnych i mających wpływ na ludzkie życie decyzji kierował się wynikami badań, opiniami ekspertów, dodatkowymi danymi czy ogólnie przyjętymi normami. Jednak dziś było to zupełnie niewłaściwe. Jedyne, co miał, to adres sprzed kilku lat i nadzieję, że dostanie drugą szansę, a przynajmniej zdoła się ze wszystkiego wytłumaczyć.

Zadarł głowę do góry, a strugi deszczu zalały mu policzki. W oknach mieszkania na trzecim piętrze było kompletnie ciemno. Nawet przez niedosunięte zasłony nie sączyło się światło żarówek. Może już spała, a może w ogóle jej tam nie było.

Pchnął ciężkie drewniane drzwi i stanął w ciemności bramy. Wziął głębszy wdech i kolejny raz do niego dotarło, że jest bliżej domu, wspomnień i spraw, których nie zdążył rozwiązać wiele lat temu. Przekreślił wymacany wcześniej włącznik światła, który zaczął od razu narastająco syczeć, by zasygnalizować, że za

moment trzeba go będzie jeszcze raz włączyć. Ale udało mu się wejść po dziurawych schodach aż na trzecie piętro, nim światło zgasło. Zapalił je ponownie i zapukał w jedne z czterech drzwi. Odpowiedziała mu kompletna cisza. Nacisnął dzwonek, ale ten nie wydał żadnego dźwięku. Znowu zapukał. Zdawał sobie sprawę, że jest już późno, i wcale nie miał gwarancji, że ten adres jest jeszcze aktualny.

Opadł z rezygnacją na schody, zrzucił plecak przy stopach i oparł plecy o odrapaną ścianę. Musiał się dobrze zastanowić, jaki miał wybór.

Nagle światło zgasło, a drzwi uchyliły się nieznacznie, trzymane w ryzach zamknięcia na może dziesięciocentymetrowym łańcuszku. W szparze dostrzegł zgrabną sylwetkę w szlafroku i długie kasztanowe włosy. Poznał ją.

– Ludmiła – zareagował od razu.

Kobieta w szparze drzwi pokręciła głową. Jankowski poderwał się ze schodów i podszedł bliżej. Światło z przedpokoju mieszkania padło na jego zmęczoną twarz.

– To ja, Darek – powiedział z uśmiechem przedzierającym się przez zbyt długi zarost. Przesunął brodę trochę na bok, wyprostował plecy, tak by prezentować szczupłą, ale nieatletyczną sylwetkę w kraciastej koszuli, dżinsach i dłuższej kurtce z kapturem.

– Darek? – kobiecy głos był pełen zaskoczenia. – Co ty tutaj robisz? Wiesz, która jest godzina? – zapytała po ukraińsku.

– Wiem, ale pociąg się spóźnił. Nie znam twojego nowego numeru telefonu, więc...

– Co ci przyszło do głowy, by do mnie przyjeżdżać? Wracaj, skąd przyszedłeś!

– Ja wiem... nie powinienem. Ale nie mam tu nikogo. Muszę gdzieś przenocować. Proszę – uśmiechnął się do niej błagalnie, jednak drzwi zatrzasnęły się z hukiem. – Proszę, Ludmiła... – powtórzył, opierając o drzwi głowę.

Zapadła długa przejmująca cisza. Jankowski zagryzł zęby, a zaciśnięta pięść oparła się o załamanie drewna. Wiedział, że nie odeszła, bo nie słyszał jej kroków. Czekala, czy on to zrobi.

– Ludmiła, przepraszam – wyszeptał, ale miał nadzieję, że to jedno proste słowo dotarło do jej uszu. – Wtedy nie mogłem inaczej – nadal mówił cicho. – Szukają mnie. Muszę się ukryć.

Nie pomylił się. Zamek zazgrzytał i łańcuch uderzył o drewno. Drzwi rozwarły się szerzej.

– Nawet sobie nie myśl, że tu zostaniesz. Tylko do jutra – to karcące spojrzenie dużych zielonych oczu samego diabła zmusiłoby do pokory.

– Dziękuję. – Jankowski chwycił plecak i wśliznął się jak zmokły szczur do mieszkania.

Ludmiła zamknęła drzwi na dwa zamki i wskazała mu leżankę w przedpokoju.

– Do jutra. Ma cię tu nie być, jak wrócę z pracy – dodała, odpychając jego rękę, którą próbował ją objąć. – Drugi raz się na to nie nabiorę – dodała, trzaskając drzwiami swojego pokoju.

I zgasiła światło.

**10 października 2012 roku, środa, g. 21:00**



– Dlaczego wczoraj nie odbierałaś? – To pytanie w ustach Tomasza zabrzmiało jak wyrzut.

– Bo myślałam, że to nie mój telefon. – Niestety moja stara nokia wyzionęła ducha. – A do niego nie mogę się przyzwyczać. – Sięgam do torebki i pokazuję mu znienawidzony dotykowy telefon od Adama. – Gubię się. I już kilka razy zadzwoniłam do kogoś zupełnie przez przypadek.

– Przyzwyczaisz się. – Gestem daje znać kelnerowi, że może zabrać talerze. – Deser?

– O nie, już nie dam rady – odruchowo sprawdzam, czy mój dość przylegający nowy kuszący nabytek oby na pewno wytrzyma to, co zniknęło w ciągu ostatnich minut z mojego talerza. Nie lubię jeść tak późno, ale najwidoczniej muszę się do tego przyzwyczać.

– Ładnie dziś wyglądasz. – No wreszcie to zauważył. Uśmiecham się jednoznacznie. Tomasz odwzajemnia uśmiech i ucieka wzrokiem w kierunku kelnera. – I trochę tego żałuję – dodaje ciszej, ale ewidentnie nie chce patrzeć mi w oczy.

– Dlaczego?

– Muszę wyjechać.

Próbuje przez stół złapać moją rękę, ale cofam ją. Zaczynam rozumieć, dlaczego był do tej pory taki milczący, nalegał na spotkanie w restauracji i nie chciał planować wypadu w góry.

– Ale dlaczego? – Nie ukrywam zaskoczenia, a cała radość ze wspólnej kolacji pryska na dźwięk jednego wypowiedzianego przez jego usta zdania. Moja prawa dłoń wędruje pod stół na kolano i zaciska się bezwiednie. W myślach pojawia się tylko jedno logiczne wyjaśnienie. On po prostu grzecznie próbuje mnie splawić i nie chce użyć jednego z tych oklepanych stwierdzeń „Chyba się nam to nie uda” czy „Powinniśmy trochę przystopować” albo, co chyba jest najgorsze, „Wiesz, poznałem kogoś”. Na boga! Nawet tak naiwna idiotka, jak ja, w końcu musi przejrzeć na oczy.

– Muszę się spotkać z córką, dopiąć do końca ten kontrakt z reńskim

holdingiem i jeszcze zrobić parę rzeczy. Trochę się nawarstwiło, ale tak jest zawsze przed końcem roku... – patrzy na mnie, jakby czegoś oczekiwał. – To sprawy służbowe. Zrozum.

Kłamie, ale co mogę zrobić. Milczę i nie podoba mi się to, co dostrzegam w jego oczach. Trochę odsuwa się na krześle do tyłu.

– Tomasz – słyszę nagle za plecami.

– Witam. – Jego twarz od razu zmienia wyraz i właściwie go nie poznaję.

Do naszego stolika podchodzi wysoki starszy mężczyzna w staromodnym fularze zamiast krawata, a spod subtelnie prążkowanego materiału jego marynarki wylania się dopasowana dwurzędowa kamizelka. Wygląda dosłownie jak typowy Anglik z tradycyjnej brytyjskiej rodziny i nawet jego chaotycznie rozrzucone włosy na czubku głowy informują o nieprzeciętnym podejściu do mody. Obrzuca mnie krótkim spojrzeniem i już po chwili jego wzrok pyta Tomasza, kim jest ta jasnowłosa niewiasta gapiąca się na niego z taką ciekawością.

Tuż obok niego staje długonoga piękność. Wspiera się z ostentacją na jego męskim ramieniu. Ciemne oczy, ciemne długie włosy, ponętne biodra, śniada karnacja, wiśniowe usta, bardzo skąpa czarna sukienka i znów te piekielnie czerwone niebotycznej wysokości szpilki. Dziewczyna uśmiecha się do Tomasza i wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Jednak on nie wstaje na jej widok. Zapomniał o manierach?

– Henry, to jest Lidia – przedstawia mnie Anglikowi. – Nowy nabytek Adama – dodaje, nie spuszczać oczu z ciemnowłosej towarzyszkii znajomego.

– A... – stojący obraca się w moim kierunku z niezrozumiałym zaskoczeniem, a dłoń dziewczyny nagle wodzi po moim ramieniu. – Bardzo mi miło, Lidio.

– Mnie też, Henry. – Podaję mu dłoń na powitanie, a on chwyta ją, przekreśla i całuje. Dziewczyna patrzy na mnie zadziornie.

– Tak to się chyba u was robi – już teraz na pewno poznaję akcent potwierdzający wyspiarskie pochodzenie. – I mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy. – Znów patrzy na mnie w ten dziwny sposób.

– Nie mogę niczego obiecać – mówię to z wymuszonym przyjaznym grymasem, a moja prawa dłoń, swędząca mnie od jego pocałunku, z powrotem wędruje na kolana.

– Za to ja jestem pewien. Do zobaczenia – Odchodzą w drugą część sali, a wzrok Tomasza jeszcze chwilę wodzi za obcierającymi o siebie udami długonogiej.

Dziewczyna obraca się jeszcze i niby ukradkiem posyła mu jednoznaczne spojrzenie „Chcę byś był następny”. Tomasz reaguje przygryzieniem dolnej wargi i bardziej grymasem niż uśmiechem. Mruga do niej jednym okiem. A we mnie buzuje złość na samą siebie. Od razu tracę konieczne w tym momencie

opanowanie.

– Muszę już iść – mówię to, podnosząc się z krzesła. – Jutro mam ważne spotkanie. – Ja też potrafię kłamać. – Zadzwoń do mnie, gdy wrócisz – odchodzę, nie czekając na jego reakcję.

Idiotka! Bezgranicznie głupia idiotka! Jak mogłaś dać się mu tak omotać? Ile on w tej piekielnej grze zaliczył takich ślicznotek? Dwadzieścia, pięćdziesiąt, sto...? Stać go na to.

Biczuję się myślami, idąc do szatni, i już wiem, że dziś jest właśnie ten dzień. Muszę się napić. Angela, Coolturka. Może być.

W tej chwili mało mnie obchodzi, co sobie obiecywałam na terapii i dlaczego nie powinnam w ogóle o tym myśleć. Po prostu czuję te diabelskie podszepty nałogowca, ale już z tym nie walczę. Poddaję się.

– Lidio, zaczekaj. – Tomasz zdążył zapłacić rachunek i łapie mnie za rękę. Wychodzący przede mną mężczyzna podtrzymuje drzwi. Uśmiecham się do niego i dziękuję za uprzejmość.

– Co jeszcze, Tomaszu? Ja naprawdę zrozumiałam. – Wyrrywam mu swoją rękę i popycham mocniej drzwi. Wychodzę.

– No właśnie chyba w ogóle mnie nie słuchałaś – wyrzuca to, idąc za mną.

– Przestań! – Zatrzymuję się, odwracam się do niego i patrzę w te jego zdradziecko jasne oczy. – Nie potrafię się aż tak zmienić.

– Ale ja tego wcale od ciebie nie chcę.

– To czego? Bo ja nigdy nie będę wyglądać tak jak ona w tych czerwonych szpilkach, nawet gdy bardzo będziesz tego chciał.

– A... to o to ci chodzi – rzuca szyderczo.

– Wiesz, co... Jedź sobie, gdzie chcesz, i nie dzwoń po powrocie.

– Lidio, muszę coś załatwić. I proszę cię, nie zachowuj się jak rozkapryszona dziewczynka. – Mocno zaciskam zęby. – Myślałem, że jesteś rozsądna.

– A ja... że nie jestem aż do tego stopnia naiwna.

– Chodź, jedziemy do mnie. Ochłoniesz.

A to drań! Kusi mnie na ostatni seks. Spuszczam głowę i nie panuję już nad słowami.

– Wiesz, mam coraz mniejszą ochotę być czyjąkolwiek maskotką! Chyba jednak wolę grać sama.

– Lidio, mam nadzieję, że wiesz, co robisz – jego ton staje się bardzo zimny.

– Do niczego cię nie zmuszam.

– Nawet jestem tego pewna, Tomaszu.

Ruszam na przystanek, a koronkowa bielizna uwiera mnie i gryzie. Mam ochotę szybko ją z siebie zdjąć i wrzucić w czeluść dolnej szuflady. A niech go wszyscy diabli!

**10 października 2012 roku, środa, g. 22:00**



– A jednak! – Angela dotarła do klubu przede mną i nawet nie ukrywa, że nie spodziewała się mnie tu tak szybko.

Wiedziałam, że chętnie wyrwie się dziś wieczorem z domu, bo samotność nie służyła jej ostatnio. Zresztą, komu ona w ogóle służy.

– Tak. – Siadam przy niej na sofie, na szczęście muzyka nie jest przytłaczająca.

Wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia, a ona już wszystko widzi w moich załamanych lekko oczach. Wzdycha głośno i głaszcze po głowie.

– Facet? – pyta od razu.

– Tak.

– Ten długowłose przystojniak.

– Nie.

– No to kto?

– Nikt.

– Aha... To lepiej się napijmy – zawsze proponuje rozsądne rozwiązanie.

– Mojito? – pytam z jednoznacznym uśmiechem.

– O tak.

Ściągam płaszcz i wieszam go na najbliższym wieszaku, a Angela idzie do baru. Spokojnie mogła poprosić o to kelnerkę, ale jak ją dobrze znam, to już kogoś tam wypatrzyła i tylko korzysta z okazji. Siadam z powrotem na sofie i zapadam się w miękki materac. Chcę o nim zapomnieć, i to szybko.

I co z tego, że kupiłam sobie tę błękitną drogą kieckę specjalnie dla niego, głodziłam dwa dni, by ta koronkowa bielizna maltretująca teraz mój tyłek, jak odzienie pokutne grzesznicy, leżała idealnie, kusząc do odważnego dotyku. Włożyłam te diabelsko niewygodne zamszowe szpilki, z których przed chwilą uwolniłam swoje obolałe stopy, a doskonale ułożone włosy po prostu zwyczajowo roztrzepałam z tyłu u nasady, by broń boże nie przypominać grzecznej dziewczynki. I jeszcze ten wyrazisty makijaż...

Tak, to wszystko miało być sexy. Tak... wszystko tylko po to, by najzwyczajniej w świecie pójść na drinka z przyjaciółką i rano obudzić się z kacem. O ironio losu. Czy tak mają wszystkie samotne kobiety po trzydziestce?

– Coś pani wypadło z kieszeni płaszcza. – Przechodzący obok mężczyzna podaje mi zgiętą na pół wizytówkę.

– Na pewno? – dziwię się, a on kiwa głową, patrząc na mnie dość nachalnie wzrokiem. Trójkątna szara twarz przypomina mi swoim wyrazem jaszczurkę. Zwinnie atakuje i z zaskoczenia, a akcent kraju pieriestrojki zgadza się z rysami. – Dziękuję – biorę ją i poprawiam kopertowy dekolt sukienki, bo jego uśmiech



wykazuje nadmierne zainteresowanie. Idzie dalej w kierunku baru.

A ja znowu widzę wytłoczony numer komórki i odręczne czarne pismo „Graj ze mną, M.”. Oni wszyscy zwariowali. Nerwowo wrzucam wizytówkę do pustej szklanki z niedopitym piwem i zaczynam szukać Angeli wzrokiem. Znów flirtuje. Promienieje, popijając drinka. Zupełnie o mnie zapomniała. Spokojnie idę ochłonać do toalety. Jednak gdy wracam, Angeli już nie ma przy barze ani jej rzeczy czy wiszącej obok mojego płaszcza kurtki, a na naszej sofie siedzi jakaś zapatrzona w siebie parka. Co jest?

– Nie widział pan, gdzie poszła ta ładna brunetka? Zielone oczu, uwodzicielski uśmiech... Na pewno zamawiała mojito... – próbuję wypytać barmana.

– Wyszła z jakimś rudowłosym mężczyzną, ale myślałem, że są razem.

– Aha... – Zapewne już są. – Dziękuję – wzdycham i ruszam po płaszcz. Przecież nie będę tu siedzieć sama.

I nagle moja dłoń odnajduje znajomy kształt zawieszki łańcuszka w kieszeni płaszcza. Talizman trzeźwości. Jednak go wzięłam. Już sama nie wiem, czy to opatrność, czy zwykły przypadek. W każdym razie – zadziałał. Trochę boleśnie, ale skutecznie zniechęcając mnie do zmiany planów tego wieczoru. Nie dane jest mi się dzisiaj nawet upić.

Wychodzę, mijając kolejne wchodzące pary. Objęci, młodzi i zakochani. Idę na przystanek na Plac Jana Pawła i czuję, jak te szare szpilki z każdym krokiem wznajają mi się w stopy. Na pewno już są pęcherze. Co za piekielny wytwór ludzkich rąk!

Zdążyłam już zmarznąć i kilka razy potknąć się o nierówne płyty chodnika. Jednak praktycznie od wyjścia z Coolturki czuję, że ktoś mnie śledzi. Wreszcie oglądam się i widzę wyraźnie zakapturzoną barczystą postać, która idzie parę metrów za mną. Przyśpieszam, ale on robi dokładnie to samo. Cholera. Już niedaleko, dam radę. Od przejścia na Nowym Świecie praktycznie biegnę ulicą Mikołaja, co w moich uciążliwych butach raczej nie oznacza nadmiernej prędkości. Ale ta postać jest tuż za mną. Dlaczego o tej porze jest tu tak pusto? Gdzie ci wszyscy ludzie, Wrocław tętniący nocnym życiem, grupki studentów, a może jakiś odważny dżentelmen? Nawet żaden pijak nie sika przy ścianie budynku.

Słyszę jadące auta, ale gdzieś dalej. Żeby choć jakaś rozklekotana taksówka się pojawiła. Staram się przyśpieszyć. Na wysokości uliczki Wszystkich Świętych obracam się za siebie, a w tym samym momencie czyjaś dłoń popycha mnie na kamienny przykościelny murek. Tracę równowagę i uderzam w niego głową. Upadam, a zakapturzona postać zawisa nade mną, trzymając coś w dłoni.

– Dokąd tak ci się śpieszy? – słyszę charkanie w szalik zasłaniający jego usta. Chyba się lekko zasapał. – Ktoś chce z tobą pogadać – mówiąc to, chwytam mnie za ramię i zmusza do wstania. Ręka napiera na moje plecy, a ja czuję dziwną

twierdzenie przy kręgosłupie. Kastet na jego dłoni wbija mi się w ciało. – Idziemy.

Próbuję opanować narastającą panikę, przełykam ślinę i przyglądam się zakapturzonemu. Ale widzę teraz tylko jego piwne oczy i zmarszczoną dupkę między nimi. Czuję pieczenie przy oku i coś mokrego spływa mi po policzku. Wbijając w moją prawą nerkę metal kastetu zaciśniętego na dłoni popycha mnie w kierunku krawężnika, przy którym hamuje nagle srebrny samochód, z trudnym do niezauważenia napisem POLICJA. Słyszę sygnał policyjnej syreny, a alarmowe światła zaczynają migać jak szalone. Zakapturzony odpycha mnie i rzuca się do ucieczki w stronę podziemnego przejścia. Znowu upadam na ziemię, ale tym razem nie tak boleśnie. Drzwi policyjnego radiowozu otwierają się z impetem. Ktoś do mnie podchodzi, a z drugiej strony słyszę oddalający się tupot butów. Odwracam głowę i jednak nie mogę powstrzymać grymasu ulgi. Wybawienie nadeszło.

– Nic pani nie jest? – Znajoma policjantka pomaga mi się podnieść, a jej partner goni napastnika i szybko oboje znikają nam z oczu. – Uuuu... – Anna marszczy brwi, patrząc nad moje lewe oko.

– Dziękuję, nic się nie stało. – W kieszeni płaszcza szukam chusteczki, bo czuję wyraźnie, jak lepka wilgoć zalewa mi oczodół i płynie dalej po policzku na brodę.

– Pomogę. – Jasnowłosa policjantka Anna przykładła mi mocniejszym uciskiem chusteczkę do skroni. – Oj, coś mam do pani szczęście, pani Lidio.

– Niestety, pani Aniu – dając jej jasno do zrozumienia, że pamiętam o moim zawieszonym mandacie.

– Niech pani usiądzie, bo to zbyt mocno krwawi. Trzeba będzie zszyć. Bez wizyty na Traugutta się nie obejdzie – otwiera tylne drzwi radiowozu. Potulnie siadam, przytrzymując kolejną chusteczkę. Wyłącza to piekielne wycie.

– Czego on od pani chciał? Torebkę? – pyta po chwili.

– Właściwie nie wiem. Gdzieś chciał mnie zabrać. Mówił, że chce porozmawiać.

– Aha... – policjantka wzdycha, a na jej twarzy oświetlonej migającym światłem koguta rysuje się pobłażliwy uśmiech. – Zboczeniec?

– Może... – nie ukrywam konsternacji

– Mam po kogoś zadzwonić, czy wzywamy karetkę? – pyta po chwili, gdy jej partner prowadzi skutego zakapturzonego bandziora w naszym kierunku. Ten wyrwa się mu nerwowo, ale policjant przytrzymuje go. Podchodzą bliżej w światło ulicznej lampy. Wstaję i przybliżam się do jasnowłosej w mundurze.

– Skurwiel próbował mnie opluć. – Policjant rzuca w kierunku Anny, popychając mężczyznę na maskę radiowozu, a ja patrzę i nie mogę w to uwierzyć.

– To nie on – mówię, zaskakując samą siebie, a twarz skutego wykrzywia się w odrażającym grymasie.

– Jak to? – Policjant patrzy na mnie z niedowierzaniem. – Przecież uciekał.

– Ale to nie ten. To nie ta kurtka, nie te oczy. Tamten był wyższy i bardziej rozbudowany – odruchowo pokazuję układ ludzkich ramion, a bandzior przygniety do maski wybucham śmiechem.

– Mówiłem ci, łysa pało! – sepleni do policjanta, a ten w odpowiedzi przygnieta mu twarz bardziej do maski.

– No nic – policjant wzdycha z rezygnacją. – Ale ten też pewnie ma coś na sumieniu. Anka, odstawimy go na komisariat.

– Dobra, dawaj go do środka.

Nie ten zakapturzony bandzior trafia na tylne siedzenie radiowozu, a ja mam dziwne wrażenie, że on sam chciał się tam znaleźć. Odwraca głowę i patrzy się w moim kierunku z szyderstwem. Robi mi się zimno. Światła radiowozu zaczynają razić mnie coraz bardziej.

– Pani Lidio, to jak? Wzywam karetkę? – policjantka zatrząskuje tylne drzwi samochodu.

– Nie, nie. Wezmę taksówkę. Będę tam szybciej – mówię to, ale mój wzrok nie może oderwać się od szyby radiowozu, przez którą widzę złowrogi wyraz twarzy złapanego bandziora.

Nagle za radiowozem staje czarny ford mondeo. Kierowca wysiada i podchodzi bliżej.

– Anka, co jest? – rzuca wysoki chudy mężczyzna w kierunku policjantki.

– O cześć, już nic. Skurwiel zwał, a tego musimy odstawić, bo coś za bardzo mu do śmiechu. Poradzimy sobie.

– To dobrze! – Mężczyzna rusza z powrotem do tajniackiego auta.

– A właściwie... – Policjantka patrzy nagle w moim kierunku.

– Tak?

– Podwieziesz panią Lidię na pogotowie? Wolalabym mieć pewność, że tam trafi. – Jednoznacznie wyraża swoją sympatię.

– Nie ma problemu. Zapraszam – mężczyzna gestem wskazuje mi drzwi pasażera.

– Dziękuję – mówię do jasnowłosej policjantki, a ona tylko wykonuje ledwo zauważalny gest dłonią.

– Ale i tak muszę przyjąć pani zeznania. Niech się pani zjawi jutro na Połbina. – I znika w radiowozie.

Odjeżdżają, włączając wyjący sygnał, który echem rozchodzi się wśród otaczających kamienic. Wsiadam do czarnego mondeo, a mężczyzna zmęczonym spojrzeniem obrzuca moją zakrwawioną twarz.

– To co tam się stało? – pyta, sięgając po swoje chusteczki do kieszeni, i podaje mi je. Widocznie zauważył, że te ścisane w mojej dłoni nie nadają się już do użytku.

– Właściwie nie wiem.

– No tak. To częste, gdy ktoś uderza nas w głowę. – Odpala, rusza dość nerwowo i zawraca na najbliższych światłach.

**10 października 2012 roku, środa, g. 23:45**



Ta poczekalnia chyba zawsze jest pełna, a obskurne meble i ściany pamiętają nie tylko Gierka. Cierpiący tłum licytuje się odniesionymi obrażeniami, ale i tak pijany kierowca z wypadku wygrywa, bo wjeżdża na noszach z karetki. Co tam wbity gwóźdź w stopę, połknięty zszywacz, nadpalona ręka czy ktoś prawie bez jednego oka? To wszystko mały pryszcz przy kimś z podobnym zakrwawieniem czoła jak moje.

Grzecznie siedzę dalej. Chociaż już kilka razy pojawiała się prosta myśl, by wezwać taksówkę i wracać do domu, a jutro iść na prywatną wizytę do przychodni. Ale jakaś leniwa część mnie każe mi tu nadal tkwić i przepuszczać kolejnych rodziców z małym dzieckiem lub staruszkę, która nagle poczuła duszności. No nic. Jeszcze dam radę.

Właściwie w momencie, gdy straciłam cierpliwość i już chciałam wychodzić, ktoś chwyta mnie za rękaw płaszcza.

– Teraz pani – słyszę starszy kobiecy głos. – Niech pani uważa. Ja im nie ufam. Zabili mi męża – dodaje cicho i z trwogą wypisaną na pomarszczonej twarzy.

– Tak, tak – dodaje starszy pan z prawej. – Oni szyją na żywca. Podobno nie ma funduszy na znieczulenie. Za co my płacimy?

– Babciu, przestań – młody mężczyzna odciąga starszą panią ode mnie. Jej sucha dłoń puszcza mój rękaw. – Ta pani chce wstać. My wchodzimy następni.

Wstaję i wchodzę w uchylone drzwi, które zamykam za sobą. W głębi dostrzegam mamroczącego pijanego mężczyznę, który usilnie próbuje się podnieść. Przywiązali mu dłonie do metalowego szkieletu łóżka bandażem, by im nie przeszkadzał. Przynajmniej tak ma za swoje. Pielęgniarka sprząta zakrwawione opatrunki. Ktoś wchodzi i wychodzi do sali obok.

– Proszę siadać – słyszę ostry męski głos, a czyjaś dłoń wskazuje mi krzesło.

Zdejmuję płaszcz i zawieszam go sobie na przedramieniu. Podchodzę, siadam, a snop światła lampy odbiera mi wzrok. Ktoś pochyla się, obraca mi głowę, a ja instynktownie odgarniam pokrwawione włosy z czoła.

– Siostrzo, to trzeba będzie zszyć – rzuca za siebie. – No nieładnie, pani Lidio, nieładnie... Ale mogło być gorzej, znacznie gorzej. Miała pani dziś dużo szczęścia.

– Kim pan jest? – pytam zaskoczona, bo nawet nie poprosił mnie o dokument tożsamości. Instynktownie odsuwam się z zasięgu paralizującego mój

wzrok światła i dopiero teraz rozpoznaję tę twarz. – To pan – wstaję i cofam się powoli w kierunku szafki.

– Spokojnie – mężczyzna o jaszczurczej twarzy mówi cicho z tym niezmiennym wschodnim akcentem. Obraca się nerwowo za siebie. – Proszę usiąść. – A za jego plecami wyłania się rudowłosa pielęgniarka ze strzykawką na metalowej tacy. Ta sama, którą widziałam w pokoju Darii. Ta, która zostawiła swoje włosy na marynarce Tomasza i krwawo upamiętniła noc z Adamem. Seksowna wampirzyca żywiąca się męskim pożądaniem. Tak, to na pewno ta rudowłosa wiedźma.

– O nie, nie tym razem – rzucam się w kierunku drzwi. Mężczyzna łapie mnie i przytrzymuje moje ramiona.

– Proszę się uspokoić, to tylko znieczulenie. Musimy to zszyć – mówi, siłując się ze mną, i daje znać pielęgniarzowi, który właśnie przechodzi obok. Mężczyzna pomaga mu i unieruchamia mi rękę.

– Nie! – zaczynam krzyczeć, ale silna męska dłoń zakrywa mi usta. Gryzę jego palce. Dlaczego nikt tego nie widzi?

Pielęgniarka z nieudawanym uśmiechem satysfakcji wbija mi igłę w odsłonięte przedramię i tłoczy całą zawartość strzykawki. Niech mnie tylko puszczą, a na jej głowie nie zostanie żaden rudy farbowany włos. Już ja jej się odwdzięczę, za Darię... Tomasza... Jakiego Tomasza? Idiotko, on cię już nie chce. Zostawił cię. Zresztą to wszystko jego вина...

Moje rosnące zdenerwowanie działa wyjątkowo na moją zgubę, bo krew jeszcze szybciej rozprowadza lek do wszystkich komórek. I już po chwili czuję przemożną potrzebę snu. Nie szarpię się, nie wrywam. Nawet ta rudowłosa zdradliwa mała przestaje budzić we mnie złość. Po prostu najzwyczajniej chcę zwiedzać krainę snu z przyjemnie kojącym śpiewem Orfeusza w tle.

Pielęgniarka puszcza mnie, a mężczyzna w lekarskim fartuchu sadza na wolnym łóżku w drugiej sali izby przyjęć. I gdy ja powoli zaczynam tracić świadomość, jego dłoń łagodnie gładzi mój policzek.

– Chyba jednak będzie musiała pani ze mną zagrać, pani Lidio.

– O nie, ja zawsze gram sama... – mamrocze w tonie pijanego na leżance obok.

A ostatnie, co udaje mi się zapamiętać z tej nocy, to atrakcyjna uśmiechnięta twarz zwieńczona siwymi włosami i oczy o dwóch różnych kolorach tęczówek.

**11 października 2012 roku, czwartek, g. 18:30**



– Lidio!

Ciężkie powieki rozwierają się z niemalym wysiłkiem. Światło

z rozłożystego żyrandola razi mnie i w pierwszym odruchu znów zamykam oczy. Po dłuższej chwili otwieram je ponownie. I właściwie od razu żałuję, że to zrobiłam.

– Lidio... Obudź się!

Siedzący na łóżku Władimir Rózenko klepie mnie delikatnie po policzku i gdyby nie świadomość tych wszystkich wydarzeń, mogłabym pomyśleć, że ma bardzo miły głos.

Próbuję się podnieść, ale strofujące mnie cmoknięcie siwowłosego szybko pozbawia mnie złudzeń. Nie dość, że nie mam na sobie nic oprócz tej seksownej czerwonozłotej koronkowej bielizny, która nadal uwiera mnie i gryzie, a moje skrępowane bandażem dłonie przywiązane są do drewnianych szczebelków szerokiego łóżka, i to dość boleśnie, to jeszcze ktoś zakneblował mi usta. Dranie. Jak można tak z bezbronną kobietą?

Szarpię się i próbuję wyswobodzić ręce, ale to na nic. Bandaż wżyna mi się mocniej w skórę, a moja skroń zaczęła pulsować dziwnym ciepłem. Dotykam ją delikatnie i czuję opatrunek. Chociaż tyle.

Rozglądam się, nerwowo szukając ewentualnych sposobów ucieczki, i szybko odkrywam, że ten pokój to ja już chyba znam. Chociaż wołałabym się mylić... Znowu widzę jeden z tych obrazów lubieżnych kobiet i bordowy kolor ścian. Ciemną podłogę z dębowych paneli. Ciężkie, mięsiste kotary przy wysokim oknie. Okrągły stolik z jednym krzesłem i – jak dobrze pamiętam – strasznie niewygodny fotel. Nie, to na pewno tu. Jeden z pokoi tego odnowionego dworu utrzymany na wzór domu uciech sprzed prawie dwóch wieków. Miejsce spotkań i realizacji skrywanych męskich fantazji. Miejsce wymiany wzajemnych korzyści, co nie dla wszystkich oznacza spełnienie.

– Już czas. – Władi przecina nożem bandaż przytrzymujące moje skrępowane dłonie. – Wstawaj.

Mierzymy się mniej przyjaznym spojrzeniem, ale jego lewa dłoń mocno zaciska się na pętli wiązania wokół moich nadgarstków. Sprawia mi ból, zmuszając, bym usiadła, a materiał jeszcze głębiej wżyna się w moją skórę. Końcem noża zaczyna wodzić po moim policzku, a te dwie różne tęczy emanują władczością i pożądaniem. Próbuję mu wrzucić parę szczerych słów, ale knebel skutecznie tłumi mój entuzjazm. Siwowłosa wybucha śmiechem, a ostrze schodzi niżej na szyję i dekolt między piersi.

– I nawet nie próbuj robić nic głupiego – mówiąc to, nadziewa mój mostek na czubek noża. Czuję, że przebił się przez skórę i oparł stal na kości. I znów płynie krew, a moja prawa dłoń zaczyna robić się zimna. – Podpisesz coś, bo cię o to grzecznie poproszę. I rozejdziemy się jakby nigdy nic, no chyba że... – obrzuca mnie nachalnym spojrzeniem, wodząc po odsłoniętej nagiej skórze i krawędzi koronkowego materiału bielizny, który stara się co nieco ukryć.

Jego lewa dłoń puszcza moje skrępowane dłonie i wślizguje się między moje uda. Instynktownie uciekam w tył, ale on znów łapie mnie za więzy i zmusza, bym przysunęła się bliżej. Ostrzem noża wodzi po skórze nagich ud z uśmiechem zwycięzcy. I dopiero po chwili powoli rozwiązuje mi knebel.

– Ile chcesz dziś zarobić? – pyta, chwytając mnie nagle za kark. – Podaj swoją cenę.

– Nie stać cię!

– Akurat tu się mylisz. – Napiera na szyję i przyciąga bardziej. Gwałtownie wpija się w moje usta, a ja gryzę go do krwi. – Dziwka! – odrywa się ode mnie i uderza z całej siły w policzek. Głowę odrzuca mi w bok i dwa razy mocniej czuję pulsującą skroń.

Wstaje. Ściąga mnie z łóżka, przy którym upadam, potykając się o niewielki dywan. Znów mnie szarpie, bym się szybciej podniosła, a na nadgarstkach czuję piekący ból. Sadza mnie pchnięciem na krzesło przy okrągłym stoliku, a przede mną kładzie częściowo zadrukowaną kartkę papieru.

– Podpisz – palcem wskazuje mi wykropkowaną linię i podaje długopis, a ja patrzę na niego z pogardą i dopiero po chwili przenoszę wzrok na wydrukowany tekst. Czytam go dwa razy. I powoli zaczynam rozumieć jego podstępny plan.

– Nie ma mowy. – Właściwie mam ochotę kopnąć go w pizszczel. – Nie podłożę tak Adama. To były moje pieniądze. Miałam do tego pełne prawo. Grałam według waszych cholernych zasad.

– Tak. A teraz ja chcę od ciebie kupić jego dług. To prosta transakcja. Podpisujesz, a do twojej puli wracają dwa miliony. Miło, prawda? – ewidentnie żąda aprobaty. – Ty przestajesz grać z Nerskim, a ja gwarantuję ci, że ze mną masz o wiele większe możliwości.

– Możliwości? – dopytuję zdezorientowana.

– Tak, Lidio, możliwości, o których Adam Nerski ci na pewno nie wspomniał – patrzy się nadal z tym drażniącym uśmiechem, a ja muszę mocno usztywnić ciało, by kontrolować symptomy narastającej paniki. – Podobno masz pewne zdolności. Taką naturalną umiejętność rozwiązywania problemów... naszych problemów – śmieje się, patrząc mi w oczy.

– Niczego nie mam.

– Oj, masz, masz... Tylko to teraz podpisz – znowu wskazuje wykropkowane miejsce. – A wszyscy będą szczęśliwi. Adam zrobi to, co miał zrobić. Dla ciebie z korzyścią i bezboleśnie. Przecież to nie wymaga takiego wysiłku, a wręcz dostrzeżesz wszystko z innej perspektywy. Tej właściwej. Rozumiesz? – swoim fałszywym uśmiechem próbuje mnie zwieść.

– Nie podpiszę tego – odsuwam się na krzesło w tył.

– Ptaszyno... – Jego ząbkowany z jednej strony nóż wbija się przy kartce. Szybko stracił cierpliwość. – Jesteś nikim w grze, więc nie przysparzaj problemów.

Po prostu to podpisz – mówi, jedną dłonią chwytając mnie za kark, a drugą wkładając długopis w palce prawej dłoni.

– Nie! – Czuję wyraźnie, że od tego podpisu bardzo dużo zależy. Inaczej nie robiłby sobie tyle fatygi.

– Dobrze – pozornie odpuszcza. – Myślisz, że jesteś taka twarda. Zaraz zobaczymy.

Zmusza mnie, bym wstała. Kartkę i długopis wkłada do kieszeni swojej marynarki. Wychodzimy z pokoju i schodzimy do holu. Ciągnie mnie w głąb długiego korytarza i otwiera ostatnie drzwi, za którymi widać schody i w dół, do piwnicy. Moje bose stopy stąpają po surowej kamiennej posadzce. Lodowaty chłód chwyta za kostki. Zęby zaczynają uderzać o siebie w krótkich wibracjach. Gęsia skórka stroszy skórę aż do bólu. Mam bardzo złe przeczucia. Bo niby dlaczego zadali sobie taki trud dla tego jednego podpisu? Po co Władimirowi dwumilionowy weksel na dług Adama? Czego Tomasz mi nie powiedział? W co Nerski musiał się wplątać?

W wąskim wyłożonym z cegieł korytarzu sączy się z sufitu mleczone światło rzędu nieosłoniętych żarówek. Władimir przyciąga mnie mocniej ku sobie. A po chwili dochodzimy do szerszego przejścia, gdzie piwniczny zaduch trudno nazwać wonią starości. Stajemy przed jednymi z kilku metalowych drzwi, a on popycha mnie do nich i otwiera niewielkie zakratowane okienko.

– Zastanów się, czy chcesz, by ją spotkało to samo, co Darię – rzuca oschle, a ja w mrocznym piwnicznym pomieszczeniu dostrzegam długowłosą półnągą kobietę z dłońmi unieruchomionymi w zardzewiałych łańcuchach zwisających z sufitu. Jest tylko w krótkiej halce. Zbyt krótkiej, by zakryć jej uda. Ma zasłonięte oczy, a jej głowa bezwładnie zwisa do przodu. Nabrzmiąte z bólu nadgarstki przejęły cały ciężar jej ciała, jakby nie mogła ustać na prostych nogach. Jednak praktycznie się nie rusza. I dopiero po chwili ją rozpoznaję. Robi mi się niedobrze.

– Ty draniu, jak mogłeś?! Ona nic nie wie – wrzeszczę zdenerwowana, widok Angeliki w tym miejscu zupełnie mnie zaskoczył.

– Jesteś tego pewna? – szepcze mi przy uchu, a z nieoświetlonego miejsca w korytarzu wyłania się ktoś jeszcze.

– Witaj, Lidio. – Rudowłosa Robert o piegowatej bladej cerze, znajoma twarz z Papparazzi, przygląda mi się beznamiętnie, a w dłoniach trzyma pejcz z luźno zwisającym mu do stóp zakończeniem. Skórzana zabawka jest poskręcana jak cienkie wiertło świdra i chyba każde jej smagnięcie zostawia bolesny ślad. – Angela dużo mi o tobie opowiedziała. Chyba zbyt dużo – śmieje się. – Bardzo ci zazdrościła. I uwierz mi, sama prosiła mnie, by w to wejść. Oczekiwała ekscytujących przeżyć. – Wykonuje niewielki zamach, a końcówka pejcza uderza o zimną posadzkę. – Tak jak wy wszystkie.

– Dranie! – mówię przez lekko drgające wargi, ale on się tylko śmieje.



– Ja tylko spełniłem jej życzenia. Zrobiłem dokładnie to, o co mnie prosiła – drzwi. – Chociaż ją ostrzegąłem, że tu są ostre zasady.

– Nie zrobicie tego. Nie wolno wam.

– Wszystko zależy od ciebie – rudowłosa podchodzi bliżej mnie, a koniec rączki swojego pejcza opiera o moją brodę. – To tylko kwestia twojego podpisu. Tak by nikt nie miał wątpliwości, że sama zmieniałaś zdanie. – Pejcz Roberta powoli z brody wędruje na mostek i chwilę przytrzymuje go dokładnie w naciętym przez nóż Władimira miejscu. Czuję pieczenie i kolejna kleista stróżka sunie leniwie ku pępкови. – Twój jeden podpis do kamery, a ona nadal będzie myślała, że to tylko zabawa – wykonuje krótki ruch głową w stronę unieruchomionej Angeli. – Tak, Lidio. To tylko twoja decyzja – układa wargi w wymuszony uśmiech i zaczyna okrężnymi ruchami wodzić pejczem po moich piersiach, zahaczając specjalnie o koronkowy materiał stanika.

Odpycham pejcz i zakrywam się rękami. Schodzi niżej i niby od niechcenia uderza o moje biodro i pośladek. Nie uciekam, ale boli piekielnie. Nie mam zamiaru pokazać mu swojego lęku. Widzi to i uderza ponownie, ale mocniej. W końcu przestaje, ale jego uśmiech i kolejne smagnięcie pejczem tuż obok mojego ramienia jasno sygnalizują, na co miałby ochotę. Bić do krwi, bić, aż będę błagać. Lubi zadawać ból. Najzwyczajniej czerpie z tego perwersyjną satysfakcję. Tak, to jego forma spełnienia. Na boga, co Angelę skłoniło, by w to wejść i dlaczego akurat z tym rudowłosym draniem?

– Wypuście ją, to porozmawiam – moje oczy mrużą się, a prawa dłoń drętwieje.

– O nie. – Władi odciąga mnie od drzwi, które mocnym szarpnięciem otwiera. – Wchodź – warczy, a rudowłosa wpycha mnie do sali.

Wtaczam się przez próg i upadam po potknięciu o wystającą nierówność kamiennej podłogi, ale Angela nawet nie drgnie. Rózenko chwytą mnie, wprowadzając głębiej, i zmusza, bym stanęła naprzeciwko Angeliki. Obejmuje mnie jedną ręką w pasie, a jego druga dłoń przytrzymuje mi twarz. Kiwa do rudego twierdząco głową, a on bierze zamach i uderza pejczem w kolana Angeli. Dziewczyna wydaje z siebie jęk, ale nie krzyczy. Jest czymś odurzona. Przekręca bezwładnie głową i rozwiera lekko usta. Kolejne uderzenie trafia w jej uda i pośladki. Następne tuż nad kolanem. A na jej delikatnej jasnej skórze zostają czerwone ogniste pręgi. Nie mogę na to patrzeć. Próbuję się wyrwać Rózence, ale nie dają rady przez te związane bandażem kończyny.

– Przestań, do cholery! Ona nic ci nie zrobiła – krzyczę, a siwowłosa tylko mocniej zaciska dłoń na mojej szczęce.

– Patrz, co ją spotka, gdy będziesz nieposłuszna. – Patrz i dobrze zapamiętaj! – Jego głos sprawia, że ciarki przechodzą mnie po całym ciele.

Rudowłosa uderza ponownie i ponownie, a skóra pejcza przecina ciało

Angeli. Zaczyna krwawić w kilku miejscach na udzie. Słyszę, jak jęczy coraz głośniej i znów odchyła głowę na boki. Szuka ratunku, ale nie może się wyrwać z pordzewiałych kajdan. Szarpie krótkim łańcuchem. Metaliczny odgłos unieruchamiających ją więzów odbija się wygłuszonym echem od ścian i więźnie w zimnej przestrzeni. Półmrok piwnicznych podziemi opanowuje moje myśli. Cały obraz przed oczami zaczyna tracić ostrość. Zaciskam powieki.

– Proszę, nie – łzy płyną mi z bezsilności. – Proszę... Podpiszę, co chcecie. Tylko nie róbcie jej krzywdy – błagam go.

– O tak, podpiszesz – Robert mówi to, patrząc mi w twarz. – I będziesz trzymać język za zębami, bo inaczej...

Znów uderza pejcem z całej siły w nogi Angeli, która ewidentnie mimo odurzenia, odczuwa ten rozdzierający ból. Znów krwawi, tym razem pejcz rozciął jej skórę na wysokości prawego biodra.

– Proszę... – błagam go i nie mogę powstrzymać łez.

– No, ptaszynko, chyba to już ci wystarczy, by podjąć mądrą decyzję. – Władimir popycha mnie w kierunku drzwi i wyciąga kartkę. – Podpisz. – Opiera ją o ceglana ścianę i podaje mi długopis. Już nic więcej nie mówi, a kątem oka dostrzegam, jak Robert kolejno uwalnia ciało Angeli z metalowych więzów. Jej nogi uginają się bardziej pod ciężarem ciała. Zawisa w dziwnej pozycji przechylona bezwładnie na jedną stronę. Rudowłosa przekręca kluczem kolejny uchwyt jej nadgarstka, a ona opada kolanami ku ziemi. Mężczyzna chwytą ją w ostatniej chwili, by nie uderzyła głową w kamienną posadzkę. Śmieje się, a ja nie mogę na niego patrzeć.

– Dobrze, ale robię to tylko dla niej – zaciskam zęby i podpisuję ten przeklęty wykup weksla. Teraz dług Adama przechodzi w ręce Władimira Rózenki.

– Widzisz i po co było się tak przed tym bronić, Lidio, to tylko gra. – Władi składa kartkę na pół i chowa do kieszeni marynarki. – Poza tym chyba musimy jeszcze porozmawiać o możliwościach... twoich możliwościach – uśmiecha się w ten fałszywy sposób, sięgając ręką mojego policzka, ale ja już go nie słucham. Odwracam się i widzę, jak Angela leży półprzytomna, a rudowłosa ogląda ją z góry, nerwowo uderzając swoim czarnym pejcem o udo. Jego wzrok jest pełen pogardy i obrzydzenia, a we mnie wzbiera nagle złość i już nie mogę się opanować.

– Tylko jeszcze jeden szczegół – odpycham Władimira i rzucając się w kierunku Roberta, a ten odwraca się do mnie przodem. Zaskoczyłam go. – To za Angelę – mówię, biorąc zamach związanymi rękami, a moje dłonie zaciskają się w pięść. Uderzam go z całej siły w twarz, miażdżąc mu nos. Tracę równowagę i upadam przy tym na kamienną posadzkę.

– Kurwa! – słyszę wrzask rudego i widzę, że krwawi. Ręką zasłania twarz, a jego pejcz uderza mnie w tył głowy.

Uderza i uderza, a ja zwijam się, by cały impet jego złości przyjęły plecy

i bok. Zasłaniam twarz, bo znowu uderza w głowę. Potem uderza niżej i czuję, że moja skóra zaczyna nie tylko piec, ale pęka od siły jego skórzanej zabawki.

– Do cholery, przestań! – Władimir podbiega do niego i chwytając jego dłoń. Powstrzymuje go przed kolejnym ciosem. Siłują się chwilę, ale Siwy zwycięża, odbierając mu pejcz. – Kurwa, nie słyszałeś, co mówił? Mieliśmy ją do tego zachęcić, a nie zabić! – Odrzuca pejcz pod ścianę.

– Ale ta kurwa złamała mi nos – rudowłosy sapie ze zdenerwowania.

– Też bym to zrobił na jej miejscu.

Władi kpi, ale jasno daje znać Robertowi, by mi odpuścił. Jednak piegowata twarz z gęstą ciemną krwią spływającą z otworów nosa nie wyraża ani krztyny aprobaty dla jego słów. On nie zamierza ustąpić.

– Zabieraj ją – wrzeszczy, pokazując na półprzytomną Angelę, gdy ja próbuję się podnieść z ziemi. – I zamknij za sobą drzwi – dodaje.

– Rudy, nie rób tego... Odpuść tym razem! – Ton Różenki staje się bardzo władczy, ale Robert podnosi Angelę i popycha w jego kierunku, tak że Siwy chwytając ją w ostatnim momencie, ratując przed upadkiem. – Daj spokój! Ona nie jest tego warta.

Udaje mi się wstać, ale z bólu zginam się wpół. Wręcz toczę się ku metalowym drzwiom, widząc, jak Władimir wyprowadza na korytarz Angelę.

– Gównu mnie to obchodzi. Ta dziwka dzisiaj mi za to zapłaci – słyszę za sobą, a ręka Roberta chwytając moje włosy i ciągnie mnie do tyłu.

– Rudy – siwowłosy kręci głową z niezrozumiałym spojrzeniem.

– Władi, spierdalaj! I wyłącz kamery – rudowłosy wrzeszczy, popychając mnie na ziemię. Upadam na kolana i związane ręce. Szybko staram się obrócić na bok. Słyszę odgłos zatraskiwanych metalowych drzwi i ciężki charkliwy oddech Rudego. Unoszę lekko tułów na łokciach i próbuję usiąść, ale on popycha mnie z powrotem na posadzkę. Zimno przenika mnie do szpiku kości, ale to nie dlatego trzęsą mi się ręce. Przekręcam głowę i w rozmazujących się coraz bardziej konturach półmroku widzę, jak mężczyzna stoi nade mną i mi się przygląda. Dłonią ociera nerwowo krew napływającą z nosa. Ze zawiązanymi rękami mam z nim małe szanse, ale moja wściekłość za brutalne pobicie Angeli nie mija.

– Zasłużyłeś na to – mówię to z pełną świadomością, że robi mi krzywdę, bo jego wzrok i zaciskająca się w pięść prawa dłoń informuje mnie o tym w nazbyt oczywisty sposób. Wyczuwam jego narastającą furię.

W odpowiedzi pluje za siebie krwią, a jego stopa ukryta w ciężkim bucie zgniata mi bok na wysokości brzucha. Czuję narastający lęk, a przed oczami staje mi zmasakrowana twarz Darii. „Ja już nie chcę w to grać...” – jej słowa znów wdzierają mi się w myśli, a pamięć przywołuje szczegóły jej okaleczonego okrutnie ciała. Rozcięty w kilku miejscach policzek, podbite nabrzmiące oko, spuchnięte, nienaturalnie ułożone usta, zakrwawiona od zaciskającej się pętli szyja.

Oskalpowana tuż nad czołem z lewej strony. Posiniaczone piersi, podbrzusze, czerwona plama na udach. Dłonie ze zdartą skórą do mięśni, połamane paznokcie. Przecięte ścięgna. Krew... dużo zastygłej krwi i poszarpane uderzeniami pejcza nogi. Ciekawe, ile czasu ten skurwiel ją bił? Ile miał z tego przyjemności?

– Dziwko, zaraz znowu będziesz błagać mnie, bym przestał. – Jego ton staje się bardziej opanowany, ale w dość nerwowy sposób zaczyna rozpinać gruby skórzany pasek swoich spodni. Jednym zdecydowanym szarpnięciem wysuwa go ze szlufek i chwyta za jeden z końców.

Przechodzi mnie kolejny paraliżujący dreszcz i odruchowo zaciskam powieki, gdy on robi zamach, a metalowa klamra jego paska wbija mi się w mój kręgosłup. Ostatkiem sił powstrzymuję się przed krzykiem. Ale on uderza kolejny i kolejny raz. Jednak nie wytrzymuję i krzyczę, próbując się zwinąć w kłębek. Związanymi rękami osłaniam twarz. A on z furją w oczach uderza w nerki, ramiona, kolana. Pluje spływającą z nosa krwią. Kopnięciem przewraca mnie na plecy i uderza w brzuch i przedramiona. Nie wiem, jakim cudem udaje mi się obrócić z powrotem na bok.

– Tylko na tyle cię stać, skurwielu? – krzyczę przez napływające łzy i staram się złapać oddech, otwierając usta.

Zadawany przez niego ból przestaje mnie przerażać. Jest już zbyt silny. Czuję, jak moja skóra nabrzmiewa, krew znów wypływa ze skroni i nie panuję nad drżeniem prawej dłoni. Drętwiejąca szyja nie pozwala mi na pełen obrót głowy. Pas znów z impetem uderza w brzuch, a później w biodro.

– Widzę, że tobie się to nawet podoba – mówi zdejmując swój but z mojego boku. Pas ląduje pod ścianą, a metaliczny odgłos uderzenia klamry o kamień przeszywa wilgotne piwniczne pomieszczenie. Echo powtarza je wielokrotnie, ogłuszając mnie całkowicie. – Ale zaraz na pewno zmienisz zdanie. – Nagle wyciąga nóż i rzuca się na mnie. Przygniata mnie do ziemi przodem, chwytając za włosy, i odciąga do tyłu moją głowę. A moje ciało rozrywa ból zgniatanych kręgow. Ostrze przykładła do moich ust. Nie mogę się ruszyć. – Szkoda, że ta twoja buźka ma zostać nietknięta, bo miałabyś naprawdę okazję zapamiętać mnie do końca życia. – Gryzie mój policzek, a jego ręka trzymająca nóż wędruje w dół.

– Darii też tak robiłeś? – pytam z nienawiścią i próbuję przełknąć ślinę. Ból paraliżuje mnie od środka.

W odpowiedzi słyszę śmiech, a ostrze noża wchodzi pod koronkowy materiał fig, który ustępuje mu z zadziwiająco łatwością. Nacina mi przy tym skórę na biodrze.

– Nie – nadal się śmieje przy moim uchu. – Ona jęczała inaczej.

Puszcza moje włosy i wgniata moją głowę w posadzkę. Nóż odkłada na ziemię i odpycha na bezpieczną odległość, tak bym na pewno nie mogła go sięgnąć, a jego wolna dłoń, która nie napiera na moje plecy, zdziera ze mnie

rozcięte koronkowe majtki. Moje własne związane dłonie duszą mnie, wbijając się w klatkę piersiową, a twarz ślizga się po lodowatej podłodze. Klaustrofobiczny lęk przechodzi w panikę. Zaczynam brakować mi powietrza. Jednak on skutecznie unieruchamia mi nogi. Walczę z nim, wykonując dość chaotyczne ruchy całym ciałem, ale i tak jest o wiele silniejszy. Przygniata mnie bardziej do ziemi. Miażdży mi żebra. Jego ciężar wywołuje ból przeszywający mnie w miejscach, gdzie uderzył przed chwilą, jak i paraliżujące zimno prawej strony. Obraz przed oczyma przybiera formę nierozpoznawalnych plam za szklaną grubą szybą. Zaczynam tracić władzę nad mięśniami. Na boga, tylko nie to, nie teraz. Ale połowiczny paraliż nie ustępuje. Odbiera mi głos, władzę nad własnym ciałem i już wiem, że tego nie powstrzymam. Powypadkowa pamiątka na całe życie znów stawia mnie na przegranej pozycji.

Rudowłosy w ogóle tego nie zauważa. Rozpina rozporek i palcami dłoni toruje sobie dostęp między moje uda. Czuję, jak wdziera się we mnie swoją brudną od krwi dłonią, a później napór jego członka. Jęczy z zadowolenia.

– I co, nadal ci się to tak podoba? – sapie nad moją głową, wykonując kolejne gwałtowne ruchy. Szarpie całym moim ciałem. – Wiesz, tamta dziwka przy tym krzyczała. Tak jej się to podobało.

Jego słowa są jak dodatkowe uderzenia w głowę, ale milczę, jakby ktoś odebrał mi głos. Robi mi się niedobrze i ledwo mogę oddychać. Ale coś w mojej podświadomości krzyczy „Nie waż się teraz wymiotować, udusisz się!”.

Wreszcie kończy, opadając mi na plecy. Jest strasznie ciężki. Śmierdzi krwią i ostrym alkoholowym potem. Wychodzi ze mnie, wstaje i zapina spodnie, a ja nadal nie mogę się ruszyć. Ogarnia mnie coraz większe zimno. Udaje mi się zamknąć powieki. Chcę, żeby to wszystko znikło, by to nie była prawda, bym obudziła się w białej pościeli przytulona do Marka, tak jak zawsze w wolny dzień, gdy nie trzeba było się śpieszyć do pracy. Chciałabym poczuć smak jego kawy z cukrem, którą zawsze myliłam ze swoją, lekko ugryźć go w ucho i dać się podrapać kilkudniowym zarostem. I znów się z nim kochać, nie wychodząc przez kilka godzin z pościeli. Chciałabym, by było to możliwe.

– Kurwa, coś ty jej zrobił?

– Nic, po prostu przestała się ruszać.

– Przynieś moją walizkę. Kurwa, szybko!

– Hej, obudź się.

Ktoś znowu mnie maca, potrząsa, zagląda do oczu, rozwiązuje ręce i robi kolejny zastrzyk.

**12 października 2012 roku, piątek, g. 18:30**



Słyszę walenie do drzwi.

– Spokojnie. – Katarzyna podnosi się z krzesła i odkłada książkę na biurko. Otwiera drzwi wejściowe. – Angela, ona jeszcze śpi – mówi, by powstrzymać jej chęć nagłego wtargnięcia do mojego pokoju.

– Nieważne. – Angela z impetem wpada do środka, a na mój widok jej oczy robią się mokre. Siada przy mnie na łóżku i głaszcze mnie po włosach.

– Do tej pory nic nie powiedziała. Telefon obudził mnie o czwartej rano. Jakiś facet dzwonił i pytał, czy znam tę pobitą blondynkę. Okazało się, że to jakiś ochroniarz w klubie, wygrzebał w jej torebce telefon. Kurwa, chyba go ruszyło to, co zobaczył, bo nawet portfel zostawił. Pomógł mi ją wnieść do mieszkania. Ona nie była się w stanie nawet sama umyć. – Kaśka wraca na krzesło, ale słyszę wyraźnie, jak nerwowo wypuszcza powietrze z płuc. – Jakbym dorwała tych skurwiele... I wiesz, co mi ten ochroniarz powiedział. Żebym się dobrze zastanowiła, czy chcę dzwonić na policję, bo ci, co jej to zrobili, to jakaś pieprzona mafia. Kazali wywieźć ją do lasu na Osobowicach albo nad Odrę i wołałby, by go w to nie mieszać.

– I co zrobiłaś?

– No nic. Czekam, aż ona coś powie. Gwarantuję ci, że to, co zrobili jej ci skurwiele, tak szybko nie zniknie. Będzie jeszcze czas, by złożyła zeznania.

– A to co? – Angela pyta na widok podawanej jej wizytówki.

– To zostawił mi ten ochroniarz. Powiedział, że ten lekarz jej pomoże. Podobno za nic nie będzie musiała płacić.

– Doktor Herman... Znasz go?

Kaśka kręci głową.

– Ale sprawdzałam w internecie. To jakiś neurochirurg. Sama nie wiem.

– To wszystko moja wina. To przeze mnie. – Angela kładzie mi twarz na ramieniu i czuję, jak zaczyna płakać.

– Co wyście znowu wymyśliły? Przecież ona poszła tylko na randkę z Tomaszem. I chyba wydała całą kasę, jaką miała na koncie, by mu się bardziej podobać. Myślałam, że po prostu została u niego.

– Tak. Tylko, że coś poszło nie tak, jak planowała, bo umówiła się ze mną później w knajpie. Ale znowu pojawił się ten rudy palant. Jaka ja byłam durna. Ten facet mnie kompletnie zaślepił.

– Nie on pierwszy – sarkazm Kaśki uchodzi jej jednak na sucho.

– Naprawdę nic nie powiedziała? – Angela pyta, podnosząc głowę.

– Nie, nic. Nawet nie płakała. Tylko śpi już od kilku godzin, a może tylko udaje.

– Naćpali ją. – Angela unosi mi jedną powiekę. – Skurwiele! – Sięga po telefon z torebki. – Wymiotowała?

– Nie. A ty do kogo dzwonicz? – Kaśka pyta nerwowo.

– Na pewno nie na policję – odpowiada od razu. – Trzeba ją pokazać jakiemuś lekarzowi. Mam znajomego. Przyjedzie chociaż spojrzeć na to rozcięcie na twarzy. Poznałam go kiedyś w hospicjum, można mu zaufać.

– Angela, gadaj, co wiesz!

– Kaśka, chyba lepiej byś tego nie wiedziała. I proszę cię, ty też przy nim trzymaj język za zębami.

– Ale przecież ja nic nie wiem. Do cholery!

– Tym lepiej dla ciebie.

**15 października 2012 roku, poniedziałek, g. 08:30**



Owijam się szalem najszczelniej, jak mogę, a Katarzyna wciska mi na nos swoje przeciwsłoneczne okulary. Nawet nie chcę widzieć odbicia w lustrze. Przemykam przez przedpokój, a buty wciskam na stopy za drzwiami. Zachwiało mną, ale w porę chwytam się klamki. Wiem, że to efekt sporej dawki leków przeciwbólowych i dziwnej serii zastrzyków z soboty. Nadal kręci mi się w głowie, a mdłości nadchodzą falami. Na szczęście wymiotowałam tylko po większej porcji jedzenia.

Schodzimy pod klatkę, a zamówiona taksówka jest trochę przed czasem. Katarzyna pomaga mi wsiąść i prosi o kurs do prywatnej kliniki. Taksówkarz sprawnie omija korki i nawet próbuje żartować. Po dwudziestu minutach jesteśmy na miejscu.

– Miałyśmy umówioną wizytę u doktora Hermana. – Katarzyna była moim głosem. – Lidia Pawłowska.

– A tak, faktycznie na dziewiątą. – Recepcjonistka wystukuje coś szybko w klawiaturę komputera. – Proszę chwilę poczekać. Zaraz ktoś do pani przyjdzie. – Dłonią wskazuje nam wolną sofę w poczekalni.

Ściągam kurtkę i opadam na siedzenie. Powoli zsuwam ciemne okulary z twarzy. Litość w spojrzeniu recepcjonistki szybko przekonuje mnie, że to nie był najlepszy pomysł. Mam ochotę po prostu stąd uciec. Katarzyna ściska moją prawą rękę, dodając mi odwagi.

– Pani Lidio, zapraszam – głos wysokiego mężczyzny w białym fartuchu popychającego inwalidzki wózek przywołuje mnie do porządku. Sugestia, bym usiadła na ten szary wehikuł, była większa niż moje zdezorientowanie.

– Ale panie doktorze, miał pan tylko to obejrzeć – dziwię się, wskazując na świeży szew na skroni, a Katarzyna już odbiera mi torebkę i wymienia porozumiewawcze spojrzenia z lekarzem. Teraz rozumiem, dlaczego nie dzwoniła do niego przy mnie.

– Tak, to też. – Siadam niechętnie, a on popycha wózek w długi korytarz.

Białe drzwi na jego końcu rozsuwają się same. – Tylko najpierw sprawdzimy, co tam z pani głową.

**15 października 2012 roku, poniedziałek, g. 12:30**



Czekając w barze na wyniki badań, słyszę znajomy sygnał odebranej wiadomości w telefonie.

Od: a.n.gra@gmail.com

Temat:

Data: 15 października 2012 12:31:42 CEST

Do: l.p.gra@gmail.com

Ale mnie załatwiłaś...

Mam nadzieję, że dobrze ci zapłacili.

Wysłane z iPhone'a

Od: l.p.gra@gmail.com

Temat:

Data: 15 października 2012 12:32:02 CEST

Do: a.n.gra@gmail.com

Adam, przepraszam. Zmusili mnie.

Wysłane z iPhone'a

Od: a.n.gra@gmail.com

Temat:

Data: 15 października 2012 12:34:22 CEST

Do: l.p.gra@gmail.com

Spierdalaj!

Nie grasz już ze mną.

Radź sobie sama.

A.

Wysłane z iPhone'a

**15 października 2012 roku, poniedziałek, g. 15:30**



Wracamy do poczekalni przy recepcji kliniki. Opadam bezwładnie na wąską sofę. Kolejny raz świat wali mi się na głowę, a ja kompletnie nie rozumiem dlaczego. Tylko przy Kaśce udaję twardą. Chwytam jej dłoń, szukając wsparcia. W odpowiedzi głaszczę mnie po głowie. Jednak to, co dzieje się we mnie w środku, pod tym z pozoru twardym pancerzem, trudno byłoby mi opanować bez otępiających środków przeciwbólowych. Sięgam po plastikowy kubek z wodą



i połykam kolejną tabletkę.

Mężczyzna w białym lekarskim fartuchu bezszelestnie przemierza korytarz, by zatrzymać się przy nas. Zawiesza swój wzrok na wysokości moich oczu. Wyczuwalnie tłumi westchnienie i dopiero po chwili uśmiecha się szeroko. Chyba tylko ja przyjmuję to obojętnie, bo Katarzyna aż rumieni się na jego widok, a recepcjonistka przestaje słuchać starszej pacjentki narzekającej na artretyzm. Obie odwzajemniają jego przyjacielski grymas.

Doktor Herman gestem zaprasza mnie do gabinetu. Mimo wszystko czuję się oszukana. Przecież to miała być wizyta pro forma. W sobotę lekarz nic nie wspominał ani o prześwietleniu kręgosłupa, ani o rezonansie magnetycznym.

Ruszam jednak za strzelistą męską sylwetką. Biały niedopięty fartuch Hermmana powiewa zgodnie z tempem jego kroku na wysokości połowy uda. Na szczęście tym razem nie proponuje mi już przejażdżki czterokołowym wózkiem, ale nadal ma ten pokrępowany wyraz twarzy. Dokładnie taki, jaki przybiera się w stosunku do dziecka przed wizytą u dentysty lub ciężkim egzaminem.

Szybko dociera do mnie, że będzie to poważniejsza rozmowa, bo nie jesteśmy w jego gabinecie sami. Mężczyzna w okularach, których grubość przekracza na pewno przy brzegach pół centymetra, zapewne kolega po fachu, siedzi i energicznie przerzuca kartki zawierające wykresy, tabele i chyba obraz mojej czaszki. Jego zachowanie upewnia mnie w tym, że z moją głową na pewno nie jest w porządku. Siadam przy biurku na twardym krześle. Obaj patrzą na mnie w ten dziwnie niepokojący sposób.

– To – lekarz od razu wskazuje długim palcem na ciemną plamę kolorowego obrazu przedstawiającego jakby jedną płaszczyznę w moim mózgu – trzeba będzie operować.

I już nie mam ochoty tego dalej słuchać. To samo mówiono mi po wypadku dwa lata temu. Straszili, zmuszali, ale ja i tak nadal żyłam.

– Nie! – Moja powieka nawet nie drgnęła. Podnoszę się z krzesła. – Naprawdę szkoda fatygi – dodaję, wychodząc z gabinetu.

– Pani Lidio, nie ma już innej opcji. Musimy to zrobić jak najszybciej.

Korytarz jest długi, ale na jego końcu widzę światło wyjścia. Mijam pusty rząd krzesel, starszego pana wspierającego się na kuli, małą dziewczynkę biegnącą do matki, pochłoniętą czytaniem kolorowej gazety Katarzynę i zdezorientowaną recepcjonistkę. Muszę złapać oddech.

Świeże powietrze uderza mnie w nozdrza i poraża. Nie pierwszy raz ktoś wmawia mi, że coś będę musiała zrobić ze swoją głową. To nic nowego. Na zewnątrz jednak świeci słońce, wiatr miota liśćmi i biegają dzieci. Tu wszystko trwa, niezmiennie poddane naturalnemu rytmowi codzienności i nadchodzącej zimy.

– Dlaczego nie zgodziłaś się na tę operację? On to zrobi za darmo – Kaśka

nie wytrzymała, a taksówkarz kolejny raz uważniej przyjrzał mi się w lusterku. I znowu zobaczyłam litość. – To podobno poważny uraz. Ten krwiak może pęknąć w każdej chwili.

– Takie samo jest prawdopodobieństwo, że się wchłonie – zamykam oczy. – To jest naprawdę ostatnia rzecz, o jakiej teraz myślę.

– Lidka, ja tego nie rozumiem. – Znowu głaszczcie mnie po głowie i próbuje przytulić. – Jedźmy po prostu na policję. Opowiesz im wszystko, a ten lekarz to potwierdzi. Ja to potwierdzę...

– Ja już nie mam po co tam jechać – mówiąc to, pokazuję jej ostatnią wiadomość od Adama. Katarzyna czyta ją dwa razy.

Od: a.n.gra@gmail.com Temat:

Data: 15 października 2012 12:45:50 CEST

Do: l.p.gra@gmail.com

PS: Tomasz nie żyje. Sprawdź wiadomości.

Wysłane z iPhone'a

– „Ten” Tomasz nie żyje? Ten twój? – chyba nie wierzy, a ja kiwam głową, odwracając się w kierunku szyby. – Co to za gra i kim tak naprawdę jest Adam? – dopytuje się trochę dezorientowana.

– Sama nie jestem pewna, kto jest kim i o co tu tak właściwie chodzi. Tego wszystkiego muszę się dowiedzieć.

**20 października 2012 roku, sobota, g. 09:30**



Parkuję blisko jednego z wejść galerii handlowej na Legnickiej. Wchodzę i zostawiam swój wełniany płaszcz w szatni. Idę na małe zakupy. Dzinsowe spodnie, bawełniana bluzka, kurtka z kapturem, trapery, czapka i dziewczęcy szalik. Płacę gotówką. Toaleta. Botki, sukienka i mój mały zdrajca telefon do papierowej torby po kurtce.

– Przechowa mi to pani? – pytam ponurą sprzątaczkę, podając jej stułotowy banknot. Pokazuję torbę z moimi rzeczami.

– Hm... – kobieta zdejmuje jedną lateksową rękawiczkę i wzdycha. Bierze pieniądze. Moje rzeczy sprawnie lądują na jej wózku i zostają przykryte workami na śmieci i papierem toaletowym. – Tylko do 16:00 – informuje, ostentacyjnie wkładając znów swoją rękawiczkę.

– Będę wcześniej – uśmiecham się, odchodząc w kierunku wyjścia. – A... zapomniałabym...

– Tak? – pyta, popychając swój srebrno-niebieski wehikuł.

– Może się pani z tym przejść chociaż raz po galerii? – uśmiecham się, owijając mocniej szalikiem. Czapkę naciągam na czoło.

- Ale tylko raz – odpowiada z rezygnacją w głosie.
- Dziękuję – mrugam do niej i ruszam w kierunku wyjścia na korytarz galerii.

Przemykam między leniwie snującymi się pracownikami. Kupuję kawę na wynos, kostkę sernika na zimno i znikam z zasięgu kamer. Drzwi wyjścia zasuwają się za mną, kaptur ląduje na mojej głowie, dodatkowo kryjąc cieniem fioletowo-żółty siniak pod okiem. Niestety nie udało mi się go całkowicie pokryć kamuflażem, sprawia mi to za dużo bólu. Ale podobno nie rzuca się już w oczy. Podobno...

I już niknę w szarości dnia za smugami deszczu, kierując się na najbliższą stację Wrocław Mikołajów.

**20 października 2012 roku, sobota, g. 11:00**



- Słucham – charakterystyczny, zniechęcający ton w słuchawce.
- Panie Wiesławie, to ja – liczę, że rozpozna mój głos.
- A! Tyle czasu... Boże, co u ciebie? Dlaczego nie dajesz znaku życia?
- Wszystko dobrze. Chciałabym się z panem zobaczyć.
- A pewnie, pewnie. Przyjeżdżaj, kiedy chcesz.
- Cieszę się. To będę za około godzinę. Kupiłam już ciasto. Proszę się o nic nie martwić.
- Hm – nieukrywana konsternacja. – Tak, tak, oczywiście. Czekam.
- Do zobaczenia.

Rozłączam się i chowam bardzo stary model aparatu telefonicznego z klapką do kieszeni mokrej kurtki. Niestety z powodu antycznego wyglądu i intensywnego niebieskiego koloru wzbudzał on ogólne zainteresowanie osób siedzących ze mną w przedziale. Cóż, potrzebuję go tylko na chwilę, tak jak tej nowej karty sim. Kupiłam ją za gotówkę i to już wczoraj.

Banknoty i garść bilonu schowałam od razu w kieszeni spodni. W torebce w galerii został iPhone. Miałam nadzieję, że pani sprzątającej nie podkusi, by mnie okraść, a nawet jak... Niech kradnie.

Dzięki uprzejmości konduktora, który po chwili zrekompensował ją sobie, doliczając marżę za brak biletu, udało mi się nawet zdążyć na wcześniejszy pociąg. Zaryzykowałam telefon do Wiesława dopiero z przedziału, ale wiedziałam, że mi nie odmówi.

Jakoś lżej mi się zrobiło, gdy minęliśmy Świniary. Ból głowy nie był już taki dokuczliwy, a mdłości nachodziły mnie tylko w momencie napływu wspomnień. Ale nie mogłam już dłużej czekać. Teraz czas nie był moim sprzymierzeńcem. Stać się niewidzialną... Dopiero dziś zrozumiałam te słowa. I czułam żal, że nikt mnie

przed tym nie ostrzegł.

Tego samego chciał Tomasz i może dlatego już go nie ma. Nie uwierzyłam w kraksę na A4, nie przy takich umiejętnościach jazdy, jakie posiadał. Ktoś po prostu zepchnął go z drogi, a jego samochód przeकोziołkował przez barierkę na drugą stronę autostrady, prosto pod tira. Oczywiście nie było świadków, a kierowca miał dwa i pół promila we krwi. Pogrzeb zaplanowano na poniedziałek. Przestałam wierzyć w oficjalne wersje. Jak to powiedział Adam, uświadamiając mi moją pozycję, Tomasz po prostu wypadł z gry.

**20 października 2012 roku, sobota, g. 12:00**



Dom ze sporym zaniedbanym ogrodem przy lesie wyglądał, jakby nikt w nim nie mieszkał, i chyba tylko precyzja niemieckich budowniczych spajała jeszcze tę kamiennie-ceglaną konstrukcję. Nie tylko omszony dach domagał się gruntownej odnowy. Skrzypiała stara metalowa bramka, drewniane schody i drzwi wejściowe. Okna niemyte od miesięcy brunatnymi zaciekami tłumiły dostęp światła do zakurzonych pokoi. Gruba gałąź gruszy przy walącej się drewnitni pękła i leżała na ziemi, a słoje drewna rozchodziły się poszarpanym wachlarzem, odstraszać wrony. Wysoka sosna napierała z lewej strony na elewację domu i przysłańiała dwa okna na pierwszym piętrze. Nawet ze skrzynki na listy przytwierdzonej do metalowej bramki z wyraźnym numerem siedem zszedł ostatni płat zielonej farby. Została jedynie rdza. A siódemka dyndała do góry nogami na gwoździu, a może bardziej na spinaczu włożonym przez listonosza. Nic się tu nie zmieniło od lat, co ani trochę mi nie przeszkadzało.

Siadamy od razu na starej kanapie w mrocznym, duszącym salonie, gdzie turecki dywan straszy nie tylko wzorem, ale i przetarciem w dwóch miejscach. Osmolony dymem kominek z cegły wieńczy zakurzone łowieckie trofeum. Popiersie jelenia z martwymi czarnymi oczyma, w których odbijają się smukłe żarówki okrągłego metalowego żyrandola. Dziurawe są też kwieciste obicia dwóch foteli stojących obok i szary sweter prawie siedemdziesięcioletniego, kompletnie siwego Wiesława.

Przez te ostatnie dwa lata postarzał się bardzo na twarzy. Jego skóra pomarszczyła się, tworząc matowy układ bruzd, a oczy spłwiałały z brązu do szarości. Jego usta stały się wąskie i wyrażały już tylko zgorzknienie. Dla Wiesława żałoba trwa nadal. Nie mógł, a raczej nie był w stanie zaakceptować tego, co nieodwracalne. Utrata syna, a dokładniej jego niespodziewana śmierć była czymś, co odebrało mu tę niespotykaną zbyt często u ludzi chęć aktywnego życia. Również wizualnie odbiło się to na nim bardziej niż wtedy, gdy parę lat wcześniej zmuszono go do zmiany pracy. „Śmierdzący ubek”, bo tak go tutaj niektórzy

nazywali, musiał ponieść karę. Teraz był już na emeryturze. Żył w samotności wśród starych nieodmalowanych ścian, odchodzących tapet, gnijących szafek w łazience, zakurzonych antycznych mebli w salonie, a swoich sąsiadów nie znosił, tak jak wrzeszczących dzieci.

– Potrzebuję pana pomocy – wreszcie wyduszam to z siebie, a Wiesław ledwo przełyka kolejny kęs sernika.

– Zauważyłem – nie kryje dezaprobaty z powodu tego, co zobaczył na mojej twarzy. – Rozumiem, że oglądał to lekarz?

– Tak. Szwy zdejmą mi pojutrze – odruchowo naciągnęłam bardziej rękawy bluzki, by zasłoniły moje ponacinane przeguby dłoni, a włosy wyjmuję zza ucha.

Nie mogłam na siebie patrzeć. Tylko Katarzyna przekonywała mnie, że nie jest już tak źle, a opuchlizna z twarzy zeszła szybciej, niż zapowiadał przerażony moim widokiem lekarz. Doktor Herman wciąż liczył, że zmienię zdanie, i dzwonił praktycznie codziennie do mojej współlokatorki, bo ja przestałam odbierać jego telefony. Tylko on widział całe obrażenia, które zostały po tamtej nocy. I niestety bardzo źle ukrył litość rodzącą się w jego myślach.

– To musiało boleć – Wiesław stwierdził, nie patrząc mi w oczy.

– Tylko trochę – uśmiechnęłam się do niego, ale nawet tak lekkie naciąganie szwów kończy się przykurczem mięśni policzka. – Co pan wie na temat tak zwanej gry?

– gry?

– Tak, gry. Tej prawdziwej gry, w której ludzie umierają naprawdę.

– A co chcesz wiedzieć?

– Wszystko.

Milczy i odkłada talerz z resztką ciasta, a jego trzęsąca się dłoń sięga po drewnianą laskę z wyślizganym rzeźbieniem uchwytu.

– Może przejdziemy się na cmentarz? Dawno nie byłem u Marka.

– Chętnie.

Nienawidzę cmentarzy, podobnie jak szpitalnych białych sal. Wiesław dobrze o tym wiedział. To martwe miejsca beznadziejnie odwiedzane przez żywych. Palące się znicze, zapach parafiny, gasnący knot i już po wszystkim. Zaduch śmierci nigdy nie wietrzeje, choćbyśmy starali się otworzyć wszystkie okna, i zawsze wsącza się w myśli. Dławi gnilnym zapachem rozkładu. Czymś, co czeka każdego z nas. Prędzej czy później. Zwłaszcza że bardzo trudno jest zapomnieć o osobie, z którą się było tyle lat. Wspomnienia wracają znienacka, chwytając za gardło, i próbują odebrać zaciągnięty u życia dług.

Odpalam czerwony znicz i kończę streszczać Wiesławowi wydarzenia z ostatnich tygodni. Słowem nawet nie wspominam o gwałcie, a jedynie o pobiciu. Nie umiem jeszcze o tym mówić, a może nie chcę jego litości. Chociaż i tak się pewnie domyślił. On zawsze czytał między wierszami. Dlatego był tak ceniony

przez swoich dawnych szefów. I z tych samych przyczyn później stracił niemal wszystko. Długo go nie rozumiałam, chociaż starał się być miły. Czasami patrzył w ten dziwny sposób, jakby wszystko o mnie wiedział, i tylko z grzeczności, a może słabości jego syna do mnie nie mówił tego głośno, by mnie nie zawstydzić. To było tak samo krępujące, jak pozbawione normalnych emocji ludzkie relacje.

Wiesław wysłuchał uważnie całej mojej opowieści i przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Za to bardzo intensywnie wpatrywał się w imię swojego syna i datę jego śmierci. Jakby te dwa fakty były odpowiedzią na moje pytania. Siedzieliśmy tak ponad godzinę na drewnianej mokrej ławeczce, a ja trzymałam czarny parasol nad naszymi głowami. Tylko on osłaniał nas teraz przed sączącą się z niskich chmur mżawką, ale na pewno nie chronił przed wilgocią i chłodem tego miejsca. I rozpaczą, którą oboje dzieliliśmy w milczeniu.

– Przestrzegałaś zasad? – pyta w końcu.

– Tak. Tak, jak zawsze mówiłeś. Nie mam przy sobie nic, co ich by tu mogło przyprowadzić.

– Domyślam się, ale nie o to pytam.

– A... – zaskoczył mnie. – Tak, trzymałam się ich pieprzonych zasad – zrozumiałam wreszcie, że pyta o grę. – Nawet po tym, co mi zrobili – odruchowo moja dłoń wędruje ku skroni. – Przecież nie mogę iść z tym na policję.

– To dobrze. Nie zabiją cię, przynajmniej nie tak od razu.

– Nie od razu?

Milcząco kiwa głową.

– Ale wszystko zależy od tego, jak to rozegrasz i komu twoja śmierć przyniesie korzyści lub kto na tym zarobi.

– Zarobi? – roześmiałam się głucho. – Obawiam się, że w tym momencie nikt. No, może jedynie Władimir, bo ogólnie te moje miliony to chyba nie tak wiele dla tych ludzi. Nawet nie wiem, czy ta kasa istnieje, czy jest tylko wytworem ich układów i dziwnych interesów, wirtualnymi liczbami w ich wymyślonym rankingu. Zresztą, kto kontroluje przepływ gotówki w kasynach czy takich klubach?

– Władimir to gracz z drugiej ligi. Nie robi nic bez zgody kogoś wyżej. A ten Adam, z kim on teraz gra?

– Nie mam pojęcia. Zostawił mnie i nawet nie odbiera ode mnie telefonu. E-maile wracają niedostarczone.

– Dziwne. A ta Angelika?

– Mówi, że wszystko będzie OK. Tylko... ten człowiek... – jego imię nie może przejść mi przez gardło. Lewa dłoń instynktownie odnajduje prawe przedramię i zaciska się, kryjąc cały mój strach. Wiesław udaje, że tego nie widzi.

– Boję się o nią.

– A o siebie się nie boisz?

– Już nie.

– A może powinnaś?

– Co mnie gorszego może spotkać – nie ukrywam, że właściwie zaczyna mi to być obojętne.

– Uwierz mi, może... – mówiąc to, patrzy mi prosto w oczy.

Takiego wyrazu twarzy jeszcze nigdy u niego nie widziałam. Sprawił, że pożałowałam swoich słów i tej szczerości. Chociaż w jego świecie była to zwykła zawodowa uczciwość. I nawet gdyby mógł mnie teraz najzwyczajniej przytulić, powiedzieć, że „Wszystko będzie dobrze”, to nie zmieniłoby faktu, że on już zna scenariusz dalszych wydarzeń. „To naprawdę nie jest zabawa...” – te słowa Tomasza nabierały w moich myślach przerażającej mocy. Oni wszyscy wiedzieli, co się stanie. Tylko ja byłam ślepa, nie zdawałam sobie sprawy, w co wchodzę, i nie chciałam wierzyć, że nie krzywdząc innych, wcale nie gwarantuję sobie bezpieczeństwa.

– Widzę, że nic się nie zmieniło – milknie na chwilę i ucieka znów w zamgloną przestrzeń przed nami, gdzie las otaczający cmentarz tonął w jesiennej niepogodzie. – Lidia...

– Panie Wiesławie, co ja mam robić? – przerwałam mu nagle, zadając najistotniejsze pytanie. A on wyrzuca z siebie tylko powietrze. Może w ten sposób chciał dać sobie czas na myślenie, a może wolał mi tego nie mówić. – Uciekać? Do cholery, gdzie?! – przed oczami zobaczyłam tylko jedno rozwiązanie.

– Nie tylko tchórze uciekają. Czasami nie masz wyjścia.

– Czasami? Na boga!

– Dziewczyno – przerwał mi szorstko, przywołując do opanowania. – Dowiem się wszystkiego, ale ty teraz siedź cicho. Rób to, co robiłaś. Nie wzbudzaj podejrzeń – fuknął i mocniej uderzył laską o ziemię. Błoto chlupnęło mu na buty. – Kilka dni. Rozumiesz? – wyczekiwał odpowiedzi.

– Rozumiem. – Co mogłam powiedzieć?

Zamilkliśmy na chwilę.

– I na co nam była ta cała pierdolona demokracja?! – Nagle Wiesław pluje z odrazą pod swoje nogi. – Kiedyś od razu wiedziałeś, kto jest po twojej stronie, a teraz... Dostaniesz w łeb i nawet nie będziesz wiedział, od kogo i za co. Pieprzeni zakłamanymi patrioci... przefarbowane komuchy...

– Ale... – próbuję mu przerwać, bo widzę, że wraca mu zwyczajowa postawa buntownika.

– Wiem, wiem – warczy. – Nie ma co się unosić. Jednak krew człowieka zalewa, gdy słyszy takie rzeczy. Żałuję, że nie jestem parę lat młodszy. Wtedy byśmy inaczej to załatwili – kończy z rezygnacją, chyba i jego myśli zawisły zbyt blisko ziemi.

– Może oni dadzą mi już teraz spokój?

Jego spojrzenie jasno komunikuje mi, że jestem bardzo naiwna.

– O twoim wejściu do gry zdecydował ktoś z góry, nie ten twój Tomasz Raczyński czy Adam Nerski – mówi z ciężkim westchnieniem po dłuższej chwili milczenia. – Komuś musiało na tym bardzo zależeć.

– Ale komu?

– Dowiem się – podnosi się i ciężar ciała wspiera na drewnianej lasce. – Mówi ci coś nazwisko Tkacki?

– Nie – kręcę przecząco głową, a on marszczy czoło w zdziwieniu.

Zaczyna swój chwiejny chód, zostawiając przy odciskach zniszczonych półbutów głęboki pojedynczy ślad po lasce. Milczy i pociąga nosem. Chociaż wolę, gdy mówi tym swoim trochę szorstkim tonem i groźnie łączy siwe brwi między oczami, bo wtedy wiem, o czym tak naprawdę myśli.

– Lidia? – pyta po chwili.

– Tak? – Idę jego śladem, trzymając nadal parasol, by nie mókł.

– Ty znowu pijesz?

Właściwie mogłam spodziewać się tego pytania.

– Skłamałabym, mówiąc, że nie mam na to ochoty.

– To dobrze – śmieje się. – Mam jeszcze tego twojego Ardbega.

– Przecież dałam go Panu na gwiazdkę w tamtym roku.

– No właśnie. Chyba już najwyższy czas. Szkoda marnować tak dobrą whisky – wzdycha znacząco.

– Nie ma jak szkocki single malt.

– Szkocka, nie szkocka. Dobry alkohol nie jest zły – kiwa głową. – Zawsze to mniejszy kac – krzywi się i pociera dłoń wspartą na lasce. – Chociaż ja też nie powinienem. Dali mi jakieś tabletki na nadciśnienie, a ja nadal nie mogę spać. Konowały...

– Panie Wiesławie, jakbym mogła panu odmówić?

Tylko on potrafił przywołać na mojej twarzy uśmiech i to tak oschłym tonem.

– Ja wiem, mam to zawsze przed czternastym listopada – odwraca się za siebie i patrzy na wyrytą na nagrobku datę śmierci syna. Jego dłoń mocniej zaciska się na rączce drewnianej laski.

– Tak. Ja też.

– Mam nadzieję, że przestałaś się wreszcie za to obwiniać.

– Nie.

– Dziewczyno, sama robisz sobie krzywdę – kręci głową.

Powoli kierujemy się w stronę cmentarnej bramy. Wracamy, a on podaje mi gazetę i idzie robić herbatę.

– Czytałaś? – pyta, pokazując mi po chwili palcem artykuł na pierwszej stronie.

– Nie, ja nie czytam gazet – uśmiecham się i zaczynam lustrować tekst i duże



kolorowe zdjęcie.

– To chyba powinnaś zacząć – mówiąc to, stuka opuszką w tekst, który akurat ominęłam: „Strzelanina w nocnym klubie. Zabójstwo w afekcie czy porachunki mafii?”.

– Ale co to ma ze mną wspólnego?

– Czytaj uważnie.

Wiesław wraca do kuchni po łyżeczki, a ja dopiero po chwili rozpoznaję na zdjęciu camelową kurtkę i źle ukrytą twarz długowłosego mężczyzny prowadzonego przez dwóch ludzi z brygady antyterrorystycznej w czarnych kominiarkach.

– Skąd pan wiedział? – pytam, gdy siada na sofie i zachęca mnie gestem do kolejnego kawałka sernika.

– To takie stare nawyki. Pij, bo wystygnie. A ty chyba zaraz idziesz na pociąg – mówiąc to, sięga po teczkę leżącą na półce czarnej ławy. Kładzie ją przede mną. – Przejrzyj to sobie w drodze powrotnej. Tu są artykuły tylko z tego roku. Zdziwisz się, ile można się dowiedzieć z gazet.

**22 października 2012 roku, poniedziałek, g. 21:30**



Burbon z porcelanowego kubka sączy się powoli w moje usta. Przyjemnie otumania słodkawym alkoholowym smakiem. Wanilia, gorzka czekolada, południowe owoce. Nie ma grubego szkła, ciężkich szklanek czy lodu. Profanacja. A ja znowu muszę się ukrywać. Oszukuję siebie, oszukuję innych. Nie chcę już przeciwbólowych, tak jest prościej.

Obojętność przychodzi, zasuwając mgłą wspomnienia. A każdy kolejny łyk oddala chęć wbicia głębiej paznokci w ramię. Słowa Różenki wracają do mnie zwielokrotnione, a właściwie dopiero teraz zaczynam je rozumieć: „Dostrzeżesz wszystko z innej perspektywy. Tej właściwej”. I już nie czuję bólu podbrzusza, zmiażdżonych kręgow. Już nie pulsuje mi w skroni. Chociaż nadal mam ochotę wymiotować.

Teczka Wiesława kipiała informacjami, ale to nadal był istny chaos. Potrzebowałam prawie dwóch dni, by przebrnąć przez połowę. Alkohol tylko dodawał mi odwagi. W wyciętych artykułach prasowych były zaznaczone istotne fragmenty i ciekawsze zdjęcia. Nie wszystkie dotyczyły mafijnych rozgrywek i niewyjaśnionych morderstw. Większość pochodziła z kolorowych czasopism. Krótkie biografie, wywiady, opinie ekspertów ze zdjęciami osób z elit nie tylko polskiego biznesu. Szklane stoły, metalowe kulki, wieżowce, plany wyjścia z kryzysu, twarde spojrzenia twarzy z pierwszych stron biznesowych miesięczników. Były też teksty w obcym języku. Nie wiedziałam, że Wiesław znał

francuski i niemiecki, ja w każdym razie nie znałam.

Jeden wrześnieowy wywiad z „Forbesa” jakby nie pasował do reszty, bo dotyczył nowo odkrytego złoża diamentów na terenie Rosji, a dokładniej wschodniej Syberii w rejonie udokumentowanych złóż Popigaj. Chociaż nie było ono znowu takie nowe, bo pierwsze dane pochodziły z początku lat siedemdziesiątych, ale dopiero teraz postanowiono odtajnić niektóre informacje. Wypowiadający się w artykule naukowiec pracujący dla moskiewskiego koncernu opisywał niebywałą twardość tych kamieni, bo przy zastosowaniu przemysłowym zwiększało to, i to znacząco, możliwości ich użycia. Miał to być mały gospodarczy fenomen, który gwarantował zasoby diamentów dla przemysłu na najbliższe trzy tysiące lat. Nie do końca w to uwierzyłam, bo Rosjanie często przy informacjach globalnych po prostu kłamią lub – jak kto woli – nadinterpretują.

I tak właściwie nie rozumiałam, po co Wiesław dołączył ten wywiad do reszty, przecież moja przygoda z geologią osiągnęła swój finał zaraz po studiach, ponad siedem lat temu. Proza życia czasami zmusza nas do nagłych zmian planów, podobnie jak idealistyczna wizja pójścia śladami tragicznie zmarłego ojca jakby zbladła i rozmyła się w konieczności opłacenia rachunków.

Chociaż zaciekał mnie opis impaktowego złoża o szacowanych zasobach przewyższających wszystkie częściowo wyeksploatowane afrykańskie kimberlity. Profesor, którego badania doprowadziły do tego odkrycia, nazywał się Strzymiński. Obecnie mieszkał w Sankt Petersburgu i był pracownikiem moskiewskiego koncernu MCE Holding. Przedsiębiorstwa, którego badania poszukiwawcze złóż kamieni szlachetnych stanowią zaledwie jedną z dopiero rozwijających się gałęzi. Chociaż ich kolejną inwestycją miało być opatentowanie nowych, mniej zawodnych pomp dodatkowo filtrujących biologiczne zanieczyszczenia wody i oczyszczalnie w Mińsku oraz Kijowie. Jeden z prezesów koncernu miliarder Kurylenko i jego wspólnik Dmitrij Warszczenko byli dumni ze współpracy i niebywałego na skalę światową odkrycia. Jednak ich świetnie prosperująca firma głównie utrzymywała się z handlu z Bliskim Wschodem i Ukrainą, ale czym handlowano, tego już nie napisano.

Mocno zastanowiło mnie to, czemu oprócz tego jednego artykułu sprzed prawie dwóch miesięcy w prasie była kompletna cisza na ten temat. Zdjęcia naukowca również nie zamieszczono. Chociaż widniała krótka notka: „Prof. Mariusz Strzymiński, geolog, urodzony w Wilnie, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, 48 lat, specjalizacja geologia poszukiwawcza, gemmologia, doświadczony wykładowca, liczne publikacje na łamach prasy międzynarodowej, członek Europejskiego Stowarzyszenia »Na rzecz Ziemi«, podróżnik, fotograf, speleolog”.

Tak, ten wycinek w papierach znalezionych u Wiesława na pewno nie pasował do reszty. Bo co mogło mieć wspólnego jedno impaktowe złożo ze

światkiem lewych interesów w Polsce? Jednak zdolności i kontakty Wiesława były moją jedyną nadzieją. Musiałam zawierzyć jego materiałom.

Ciche pukanie wyrwa mnie z zamyślenia.

– Mogę? – Katarzyna uchyla drzwi mojego pokoju i zerkła nieśmiało. Odruchowo odstawiam kubek z burbonem na stolik przy łóżku. Nie chcę jej dodatkowo martwić.

– Chodź, nie musisz pytać – zapraszam ją gestem i ściągam z narzuty papiery, ale ona patrzy na nie z ciekawością i sięga po jedno ze zdjęć.

– A to kto? – pyta, wskazując na obejmującą się parę.

– Moi rodzice. To zdjęcie chyba z ich ostatniego wspólnego sylwestrowego balu. Później już nigdy tak nie było.

Patrzę na fotografię i jakoś trudno mi uwierzyć, że dwadzieścia pięć lat temu byli tak szczęśliwi. Nie wiem też, skąd wzięła się w tych papierach i jak Wiesław ją znalazł.

– Nigdy mi o nich nie mówiłaś.

Kaśka uważnie przygląda się zdjęciu, gdzie uśmiechnięta może dwudziestoparoletnia długowłosa blondynka w kusej białej pielęgniarskiej szmizjerce z czerwonym krzyżem na ramieniu obejmuje kilka lat starszego od niej przystojniaka we fraku, który ewidentnie specjalnie zagląda jej w dekolt, a jego ciemne zaczesane do tyłu włosy lśnią od nadmiaru brylantyny. Obok nich stoi ktoś w umundurowaniu lotnika z czasów II wojny światowej, a w tle widać dobrze bawiące się towarzystwo i duży napis „Szczęśliwego Nowego Roku 1986”.

– Bo nie mam o czym. Ojciec zginął w wybuchu gazu na odwiercie, dokładnie w tym samym roku. Podobno nawet nie było co z niego zbierać. Do Polski wróciła tylko urna i list kondolencyjny. Nawet nie wiem, gdzie on wtedy pracował. Miałam sześć lat. A matka zginęła cztery lata po nim w wypadku samochodowym gdzieś pod Monachium. Wychowywał mnie praktycznie sam dziadek, bo u babci dość szybko wystąpiły przerzuty. Jakoś tak dziwnie wszystko się poukładało.

– Przepraszam, nie wiedziałam – obrzuca mnie współczującym spojrzeniem.

– Nie masz za co.

– Z twojego ojca był przystojniak. – Kaśka stara się szybko zmienić temat, nadal wpatrując się w zdjęcie.

– Ale i tak wszyscy mówili, że jestem podobna do niej – uśmiecham się, by przełamać ten narastający grobowy nastrój. – Poznali się, gdy on zaczynał doktorat, a ona wahała się między medycyną a prawem i za jego namową przeprowadziła się do Krakowa. Później były strajki, chyba nie do końca planowana ciąża, w efekcie ojciec musiał utrzymać całą naszą trójkę. Matka nie wróciła już na studia, a on często wyjeżdżał za granicę robić jakieś badania, na Uralu lub w Kazachstanie.

– A ten w tej czapce i goglach? – pyta, wskazując palcem na stojącego obok

nich mężczyzną.

– To przyjaciel ojca ze studiów. Bardzo się lubili. Ale on mieszkał na stałe gdzieś za granicą. Dokładnie nie pamiętam. To było tak dawno temu.

– Epoka dinozaurów.

– Tetrapodów – śmieję się i odkładam zdjęcie na stos artykułów. – Kasia, czy ja jestem po prostu pechowcem? – pytam, a ona zaczyna się śmiać.

– Nie, jeszcze nie upiłaś z tej w połowie pełnej szklanki – nie ukrywa nawet, że patrzy na mój kubek.

– A ja mam wrażenie, że ona jest już pusta.

– Puste są te butelki pod twoim łóżkiem, które tak przede mną chowasz – powiedziała bezlitośnie.

– Wiesz, ale wtedy mniej boli.

Wzdycha ciężko i nic więcej nie mówi, tylko przytula mnie mocno, a ja zagryzam zęby i powstrzymuję napływające łzy.

**23 listopada 2012 roku, wtorek, g. 15:30**



Wysiadam z taksówki przy rzędzie sklepików z wieńcami. Plastikowe kwiaty, szarfy z funeralną kaligrafią i rzędy zniczy. Bezwiednie pochłaniam trzy kolejne miętówki, ale i tak mój oddech zdradza narastającą słabość. Szeroka otwarta brama osobowickiego cmentarza prowadzi mnie w aleję do kaplicy. Przystaję, by złapać oddech. Wchodzący ludzie mijają mnie nieśpiesznym krokiem. Tu czas nie ma takiego znaczenia. A ja już żałuję, że w ogóle tu przyszedłam. W końcu przełamuję się i ruszam za bezimiennym konduktem bardziej na północ. Idę jako jedna z ostatnich.

Chwilę wsłuchuję się w zawodzenia i westchnienia znudzonych obowiązkiem obecności krewnych, by wreszcie zniknąć w labiryncie cmentarnych ścieżek. Niestety gubię się już przy trzecim skręcie. Po co ja tu w ogóle przyszedłam? Zawracam i znów błędzę. Wschód, zachód, północ. I nagle jest. Świeży grób ze stosem wieńców, bukietów i zmarłych róż. Znowu robi mi się zimno. „Ukochanemu mężowi... Wierni współnicy... Od załogi... Przyjaciele... Córka...”. Widzę tylko czarny napis na białym tle: „Tomasz Raczyński, AD 13.10.2012”.

Ptak o lśniących granatem piórach wpatruje się we mnie z pomnika na końcu alejki. Błyska ślepiami i szeroko rozwiera swój dziób do krzyku. Zwołuje gawrony i skrzekliwe wrony. A czarna horda zatacza kręgi nad cmentarzyskiem i niknie, kierując się na południe. Fatum, krzyczy coś w mojej głowie. Przeklęte fatum. Nigdy nie będziesz szczęśliwa. Nikt z tobą nie zostanie. Siadam na najbliższej ławce i wreszcie chcę się wypłakać. W samotności, przy nim. Tak by nikt mnie nie widział.

– Ja też uważam, że nie tak to się miało skończyć – słyszę nagle za plecami.

– Słucham?

Odruchowo wierzchem dłoni zbieram kolejne łyzy, by nie odsłonić się przed kimś obcym. Szukam chusteczki w kieszeni płaszcza, a gdy odnajduję jedynie pustkę, mężczyzna w czarnym wełnianym płaszczu przychodzi mi z ratunkiem. Siada obok mnie. Milczy. Dojrzałe ponadpięćdziesięcioletnie rysy jego twarzy przybierają wyraz obojętności, ale tak naprawdę widać, że walczą w nim emocje. Zdradzają go rumieńce i zagryzione wargi.

– Pan jest z rodziny Tomasza? – pytam.

W odpowiedzi unosi kącik ust, ale czerń zarostu na żuchwie i zbyt ciemne tęczęwki migdałowych źrenic wywołują nagle moją wzmożoną czujność i napięcie mięśni. Instynktownie odsuwam się na krawędź ławki. Zauważa to od razu. Marszczy czoło, a jego wzrok przenika mnie z dociekliwością doświadczonego prokurenta. Coś próbuje powiedzieć, ale zaraz milknie. Z minuty na minutę rośnie to złowieszcze napięcie między nami. On na pewno nie jest tu dla Tomasza. Zaczynam wszystko rozumieć. To oni go tu przysłali. Wstaję i chcę odejść, ale mocno chwyta rękaw mojej kurtki.

– Proszę zaczekać, muszę z panią porozmawiać – stanowczy ton zmusza mnie nie tylko do powrotu na ławkę, ale i zauważenia dwóch ochroniarzy stojących przy wejściu w cmentarną alejkę. Zasada jest chyba prosta: on ma przewagę, on będzie mówił.

– Kim pan jest? – pytam ostro.

– Kimś, kto jeszcze dba o pani życie – odpowiada bez zająknięcia, a jego palce ocierają łzę spływającą nadal z mojego policzka. Odgarnia moje włosy z twarzy, a na skroni zauważa świeże ślady po ściągniętych szwach i nie w pełni zakamuflowanego siniaka pod okiem.

– Życie kończy się dla wszystkich właśnie tu – przekręcam głowę i znów widzę stos martwych kwiatów na grobie Tomasza. – Tylko niektórym wydaje się, że mają nad nim władzę daną od Boga. A śmierć nie uznaje zwierzchników. Ona po prostu bierze to, co chce.

– Bierze to, co pozwolimy jej zabrać – polemizuje, zmuszając mnie, bym odwróciła się do niego. – Rozczarowuje mnie pani, a tyle o pani słyszałem.

– Ciekawe z czyich ust? Zdrajców czy popleczników. Z kim pan gra?

– Raczej powinna pani zapytać, kto gra dla mnie – uśmiecha się bardzo powściągliwie. Odsuwa moje włosy z szyi i na pewno dostrzega kolejne ślady. Tak, jakby chciał się tylko upewnić.

Powoli kładzie stojący kołnierz swojego czarnego płaszcza, a ja wyraźnie dostrzegam pod nim bordowy sweter na jasnej koszuli w drobną kratę i ciemnoszare spodnie. Dłonie składa razem, pociera je o siebie i chucha w nie, a para z jego ust opływa je łagodnie. Znowu widzę wypolerowaną czarną skórę

okxordów, klasyczny zegarek na metalowej bransoletce i złoty masywny sygnet. Ma prawie czarne włosy z mocno kontrastującymi pasmami siwizny i kilkudniowy zarost. Na jego cerze malują się trudne do ukrycia oznaki zmęczenia. Nierówne zagłębienia po dawnych ranach naszły mu dodającym lat cieniem, a ciemnobrązowe półkola pod oczami są jak dowód koronny, że nie spał zbyt wiele przez ostatnie kilka nocy. Trzyma jednak fason. Może tylko przy mnie, a może nie ma innego wyjścia. Niestety mam świadomość, że ten mężczyzna nie znalazł się tu przypadkiem. Gra nadal trwa, a on tylko przyszedł mi o tym przypomnieć.

– Czy my się znamy? – pytam, licząc, że się wreszcie przedstawi.

– Właściwie – uśmiecha się – wydaje mi się, że panią znam, i to od dawna.

– Dla was to takie proste.

– Pani Lidio, to tylko gra.

– Do cholery, już to słyszałam z ust tego, który zostawił mi to! – Podnoszę rękaw płaszcza, obnażając gojące się nacięcia na nadgarstkach i pręgi sińców na przedramieniu, a on patrzy milcząco. – A on o tym dobrze wiedział – palcem mierzę w biało-czarną tabliczkę na świeżym grobie. – I jak się domyślam, teraz moja kolej...

– Nie wystawiam cię na cel – przerywa mi, nie ukrywając lekkiego zniecierpliwienia, jakby nie przywykł do tego, że ktoś stawia mu opór. Przytrzymuje mi brodę. – Mam dla ciebie propozycję.

– Ja już naprawdę mam was wszystkich dość – mówię zniechęcona, ale on się tylko smutno uśmiecha.

– W obecnej sytuacji masz tylko dwa wyjścia. – Mężczyzna sięga do wewnętrznej kieszeni płaszcza, a potem podaje mi grubą kopertę. – Proszę, weź to w ramach rekompensaty za to, co musiałaś przejść. I nawet nie próbuj... – dodaje, widząc wzbierający we mnie gniew. Wciska mi ją w niedomkniętą torebkę.

– Kolejny raz ktoś płaci mi za moje upokorzenie. Powiedz mi, czy o to tu chodzi?

– Ot, tak, postanowiłaś przestać grać? – pyta z wyczuwalną nutą złości. – W kopercie jest też kupon. Zrób z tą wygraną, co chcesz, ale raczej nie chwaliłbym się posiadaniem takiej ilości pieniędzy. Sępy już tylko czekają.

– Pan oszalał! – Nie ukrywam, że ta sytuacja zaczyna mnie przerastać.

– Lidio, do cholery, wysłuchaj mnie – powstrzymuje mnie, gdy próbuję odejść, zostawiając mu swoją wypchną jego kasą torebkę.

– Nie chcę twoich pieniędzy! Nic od was nie chcę. Nie wciągaj mnie w to gówno. Proszę... – mój głos się łamie.

– Przykro mi, ale to już zaszło zbyt daleko. I tak, jak mówiłem, teraz masz już tylko dwa wyjścia – sięga po moją torebkę i wciska mi ją do rąk. – Bierzesz tę kasę i próbujesz uciec. Gdziekolwiek. Tylko że szkoda twojego życia. Jesteś jeszcze młoda...

– Albo?

– Albo dalej gramy razem. A ja naprawdę dbam o to, co moje. Nikt też nie będzie miał odwagi cię tknąć. Uwierz mi... To, co zrobił ci ten bydlak, już nigdy się nie powtórzy.

– Czemu ci nie wierzę? – rzucam mu w twarz.

– Lidio, nie masz już wyjścia – mówi to zimno. – Graj ze mną.

– Nie dajesz mi żadnego wyboru – kręcę przecząco głową i odpycham go, by ruszyć alejką, jak najdalej od niego i dwóch masywnych ochroniarzy.

– Posłuchaj... – dogania mnie i chwytą za ramię, a ja krzywię się z bólu, gdy jego dłoń zaciska się na obitym miejscu. Dostrzega to i puszcza mnie od razu. – Adam jest w areszcie. Jutro usłyszysz zarzuty. – Stara się delikatnie obrócić mnie w swoim kierunku.

– Podobno zabił kogoś w burdelu na oczach ponad dwudziestu ludzi. Trudno będzie się z tego wywinąć – mówię to przez zęby, a on wyciąga swój dotykowy telefon, w który uderza kilkakrotnie palcem i podaje mi go.

– W tym klubie była włączona kamera – mówi to, gdy ja wyławiam z kiepskiego nagrania poszczególne postacie.

I już po chwili rozpoznaję na jednej z klubowych półokrągłych sof Adama. Wpatruje się w siedzącego naprzeciwko niego mężczyznę z niewielkim opatrunkiem na nosie, który obejmuje roznegliżowaną dziewczynę, całują się, a on bawi się jej włosami. Zamawia coś u kelnerki. W tle dziewczyna w samych stringach wykonuje kuszące skłony, daje obmacywać się po udach i klepać po nagich pośladkach. Podciąga się na rurze i wiruje chwilę, wisząc do góry nogami. Banknoty wędrują za jej skąpe majtki, a ona zachęca siedzących przy okrągłym podeście swoim jędrnym biustem. Ich oczy ślinią się bardziej niż usta. Przy barze stoją kolejne półnagie dziewczyny w objęciach podstarzałych panów z brzuskami. Łechcą ich ego i kuszą do udania się za kotarę.

Kelnerka w czarnym stroju króliczka przynosi Rudemu szampana. Pękata butelka łąduje w metalowym pojemniku z lodem. Minuty nagrania płyną wyjątkowo wolno, jakby specjalnie, by mój lęk mógł sięgnąć nie tylko krtani, a prawa dłoń bezwiednie zniknęła w kieszeni płaszcza. Rudowłosy Robert ewidentnie dobrze się bawi w tym przybytku. Tylko Adam jakby mniej się uśmiecha. Nerwowo odrzuca zaloty tancerki, która próbuje usiąść mu na kolanach. Mówi coś do niej i wciska banknot. Dziewczyna fuka i obrażona oddala się do następnego stolika.

Rudowłosy wykonuje gest zdziwienia, odwodząc lewą dłoń na bok. Widzę, jak Adam śmieje się, nerwowo zaciskając i rozluźniając pięści. Słucha uważnie opowieści rozbawionego mężczyzny, a ręka Roberta wślizguje się między uda siedzącej przy nim dziewczyny. Nagle Adam wstaje z kanapy, sięga do tyłu za pas spodni i wyjmuje broń. Mierzy w Roberta. Coś krzyczy. Tamten odpycha

dziewczynę na bok i sam sięga do kurtki. Adam strzela trzy razy. Dwa trafienia w klatkę piersiową i jedno w twarz. Ofiara, jakby zdziwiona, upada do tyłu w konwulsjach, a Adam wrzuca swoją broń do metalowego pojemnika na szampana. Prosto w topiący się lód.

Wybucho panika. Ludzie z krzykiem biegną do wyjścia, a Adam po prostu siada z powrotem na kanapie i patrzy na martwe ciało rudowłosego. Po chwili wpada ochrona i unieruchamia go. Nie stawia oporu.

Dotknięciem zatrzymuję film.

– On to zrobił za ciebie. Rozumiesz? – kręcę przecząco głową i nie mogę wydobyć z siebie żadnego choćby najprostszego słowa. Opadam na najbliższą ławkę. Staje przy mnie, a jego dwaj ochroniarze podchodzą bliżej. – Dostał na to zgodę, ale miał zrobić to po cichu. Tak by Rudy po prostu popłynął z nurtem Odry. I wszystko poszłoby zgodnie z planem... Ale dureń nie wytrzymał, bo ktoś w końcu pokazał mu to nagranie z piwnicy, chociaż dostali zakaz – patrzy na mnie, jakbym to ja była temu winna. Jakbym nagle przestała być ofiarą, a powinnam leżeć tam w grobie zamiast Tomasza lub właśnie być tam, gdzie znajduje się teraz Adam. – Kazałem wpiery sprawdzić jego autentyczność, bo sam nie wierzyłem. Dostarczono mi ten film dopiero w dzień po wypadku Raczyńskiego – ciężko oddycha, a jego ton i wyraz twarzy powoli łagodnieje, jakby jego zdenerwowanie przeistaczało się w rezygnację. Prawy kącik warg lekko unosi się do góry. – Robert zasłużył na śmierć, po prostu zbyt długo z tym zwlekaliśmy... – mocno akcentuje ostatnie słowo. – I za to muszę cię przeprosić – milknie na moment. – Lidio, nawet Tomasz wcześniej nie dostał zgody na pozbycie się tego skurwiela. Rudy potrafił załatwić wiele ważnych dla nas spraw. Ktoś będzie musiał go zastąpić.

– To dlaczego ty tego nie zrobiłeś? Tobie chyba wolno o wiele więcej... – miałam już pewność, że on jest jednym z głównych graczy.

– Bo ja się oficjalnie do tego nie mieszam. Zresztą, jeszcze wtedy grałaś z Adamem i to chyba była jego decyzja.

– Adam nie zrobił tego dla mnie. Na pewno nie – wyrzucam mu to. – Wystawiliście go. I tam gdzie teraz trafi, na pewno się go szybko pozbędą.

– Nie pozwolę na to – mówi to, jakby chciał urwać rozmowę, i dopiero po chwili kontynuuje. – Prawnicy już nad tym pracują. Posiedzi kilka miesięcy, może rok. – Wyczuwam ton zdenerwowania. – Nie martw się, wyciągnę go z tego. Nawet tam go ochronię. Jestem mu to winny.

– Tak, pieniądze załatwią wszystko. – Mój wzrok nie ukrywa pogardy. – Tylko co z Darią, Tomaszem?

– Lidio, martwi nie grają w tę grę. Zrozum to.

– Tylko że ja już nie żyję.

– Ale jeszcze grasz. Zapadła decyzja. Wchodzisz wyżej – patrzy mi prosto w oczy. – Gwarantuję ci, że dopiero teraz poznasz prawdziwe zasady tej gry.



I lepiej, byś była z silniejszym od siebie. – Milknie i zaciska usta. – To Adam prosił, bym się tobą zaopiekował.

– To też jesteś mu winien?

– Nie, akurat to ty jesteś mu to winna.

**25 października 2012 rok, czwartek, g. 10:00**



Wchodzę do pomieszczenia z żółtymi ścianami i okratowanym oknem. Na środku stoi niewielki stolik i dwa krzesła. Skórzaną teczkę odkładam na jedno z nich. Czekam chwilę. Powoli rozluźniam węzeł paska i rozpinam ciemne plastikowe guziki. Nie zdejmuję płaszcza, bo to miejsce trudno nazwać przytulnym i czystym. Podchodzę do okna. Przez podwójne okratowanie i brudne szyby próbuję dojrzeć coś, co pozwoli mi uwierzyć, że jednak podjęłam słuszną decyzję. Ale widzę tylko puste podwórko i jedno suche drzewo. Pustka.

Zgrzyt zamka, skrzypnięcie i drzwi ustępują. Ktoś powoli wchodzi do sali, czując jego wzrok na sobie.

– Powiedzieli mi, że jakaś kolejna prawniczka „dupa” chce ze mną rozmawiać. – Chyba jest zaskoczony. – Sądziłem, że po tym wszystkim nie będziesz chciała mnie już widzieć – wyraźnie wyczuwam w jego głosie nutę radości.

– Jesteś wyjątkowym idiotą, wiesz o tym – uśmiecham się sama do siebie i powoli odwracam głowę w jego kierunku. Obrzucam go lustrującym spojrzeniem z góry do dołu. – Wyglądasz fatalnie.

Krzywię się na widok jego dresiarского wdzianka, ponadtygodniowego zarostu i strasznie przylizanych włosów. A on rozkłada ręce na boki i obraca się wokół własnej osi, prezentując ostentacyjnie trzy białe paski swoich czarnych spodni. Ma na sobie jeszcze granatową rozpinaną bluzę z kapturem i gładki czarny T-shirt. Zauważam też sportowe czarne buty z płaską podeszwą, te same, które utkwily mi w pamięci w czasie naszej wizyty w prosektorium. Buty do szybkiej jazdy samochodem, a nie do chodzenia w więziennej celi.

– Może nie leży to w moim guście, ale dostałem z przydziału – śmieje się i podchodzi do mnie bliżej, a światło dzienne obnaża na mojej twarzy to wszystko, co tak bardzo chciałabym przed nim ukryć.

– Przyszłam cię przeprosić... za ten podpisany weksel – spuszcza wzrok i pochyla głowę, bo widzę, jak na mnie patrzy, ale jego dłoń tylko lekko odsłania włosy nachodzące na mój lewy policzek. Ciężko przetyka ślinę.

– To już nieistotne – zmusza mnie, bym popatrzyła mu w oczy. Uśmiecha się i kręci głową, a ja nie mogę się powstrzymać i przytulam się do niego. Chociaż obiecywałam sobie, że tego nie zrobię.

Nie odtrąca mnie. Wręcz jego ramiona zaciskają się zbyt silnie, bo czuję wszystkie obolałości na rękach. Kładę głowę na jego obojczyku i czuję, jak całuje mnie w czoło i przytula swój ciepły policzek do moich włosów. Po chwili głaszcze mnie po plecach.

– Cieszę się, że jesteś – mówi to, patrząc mi w oczy. – Rozumiem, że rozmawiałaś z Jackiem?

– Jackiem? Wiesz, on mi się nawet nie przedstawił. Ale pokazał mi film z kiepskimi aktorami.

– A to akurat w jego stylu. Pewnie myślał, że po prostu wiesz, kim jest ta stara siwiejąca pierdoła – śmieje się. – I proszę cię, nie oglądaj takich filmów więcej. One nie są dla takich dziewczynek, jak ty.

– To ty przestań grać kiepskie role, wtedy nikt nie będzie mnie zmuszał do ich oglądania. Bo ten film... – kręcę głową karcąco.

– Jeszcze się nie skończył – przerywa i całuje mnie w usta. Zaskakuje mnie tym, ale nie uciekam. Przestaje po dłuższej chwili, ale tylko po to, by pozwolić złapać mi oddech. – Jeśli zagrasz z Jackiem, to jest szansa, że ci się ten film spodoba.

– Film? – pytam, trzeźwiejąc. – W jaki nowy układ próbujesz mnie wepchnąć? Adam... – zmuszam go, by popatrzył mi w oczy.

– Lidka, ja tu jednak zostanę przez jakiś czas. A tam – wskazuje ręką za okno – tam nie możesz grać sama. Rozumiesz?

– Dlaczego Tomasz zginął?

– A kto to wie – śmieje się nerwowo. – Może po prostu za wolno jechał.

– Nie powiesz mi? – kiwa przecząco głową i kolejny raz próbuje mnie pocałować, ale odsuwam się od niego. – Jaką mam gwarancję, że nie będę następna? – pytam, opierając się o ścianę przy oknie.

– Jacek jest twoją gwarancją. Innej nie mam dla ciebie. Ale podobno wygrałaś w totka? – pyta, ale ja jasno wyczuwam, że on już wszystko wie.

– Tak, to był traf, ale nie nazwę go szczęśliwym.

– Lidka... – podchodzi bliżej i nachyla się tak, by szeptać mi prosto do ucha. – Bierz tę kasę. Przyda ci się. Zresztą trzy miliony to wcale nie tak dużo. – I znów się śmieje, a jego usta przywierają do mojej szyi. Wpija się w nią, chwilę wodząc końcem języka przy moim uchu. Od razu robi mi się zimno. – Graj. Obserwują mnie – mówi to bardzo cicho, a ja udaję zadowolenie. Odchylam głowę do tyłu. – Ile dał ci w gotówce?

– Ćwierć miliona.

– Dobrze. Starczy ci.

– Na co? – patrzę mu w oczy zaskoczona, bo wyczuwam jakiś kolejny plan.

– Ktoś musi odebrać wreszcie moje autko z policyjnego parkingu. I to będzie trochę kosztować. Mam też kilka rachunków do zapłacenia.

– Wiedziałam – przerywam mu. – A ty nie masz w ogóle przyjaciół? – pytam złośliwie.

– A my nie jesteśmy już przyjaciółmi? – udaje idiotę. Rusza do stolika i sięga po moją skórzaną teczkę, którą dostałam od Jacka. Otwiera ją i szpera w jej przegródkach. Wyjmuje jakieś papiery i siada na krześle. – Masz coś do pisania – pyta w końcu, drapiąc się po czole.

– Proszę – wyjmuję stary, prawie wypisany długopis z torebki wiszącej na moim ramieniu.

Szybko skanuje tekst kilku zadrukowanych kartek i podpisuje je.

– Tylko go nie zadraśnij – mówi ostrzegawczo, podając mi oświadczenie upoważniające do odbioru jego samochodu z policyjnego parkingu. – Kluczyki znajdziesz w moich rzeczach, dlatego tu jest drugie upoważnienie, byś mogła je odebrać. Przy okazji... – ten uśmiech jest chyba bardziej chytry niż u lisa – weź też klucze do apartamentu. Ktoś musi podlać moje kwiatki.

– A ile ty ich masz? – pytam, czując, co się święci.

– Właściwie jeden. A i zapomniałbym... Trzeba jeszcze nakarmić kota. On już się nauczył, że często mnie nie ma. Sam sobie kradnie żarcie. Wie, jak i gdzie. Tylko tym razem może nie być mnie trochę dłużej niż zwykle.

– Adam, przecież jedna z twoich byłych może się nim zająć – rzucam, bo perspektywa sprzątanania kociej kuwety jakoś nie napawa mnie radością. – Na pewno lubiły twojego małego kotka.

– Mojego małego może i tak... – ten uśmiech jest jednoznaczny. – Ale ta czarna kocica każdą wyprowadzała z równowagi. Wręcz kilkakrotnie została nazwana „agresywnym potworem”. Bo ma taki niemiły zwyczaj rzucania się z pazurami na niewieście łydki. Tak więc idąc tam, lepiej ubierz spodnie – kpi, lustrując moje osłonięte ciemnobrązowymi rajstopami nogi.

– Dlaczego ja mam ci pomagać? – denerwuję się i wkładam te jego upoważnienia z powrotem do teczki.

– Bo w tej chwili nie mam nikogo innego. – Wstaje z krzesła i obchodzi stół. – Napisałem ci tam jeszcze adres. I małą instrukcję alarmu. Przy kluczach znajdziesz pilota do podziemnego parkingu. Uważaj na tym zjeździe. Zamieszkać u mnie – dodaje po chwili. I widać, że bardzo mu zależało, by brzmiało to naturalnie. Chyba pierwszy raz kogoś o to poprosił. – W sejfie masz pieniądze, rachunki są na stole i w skrzynce. Resztę wyjaśnię ci...

– Raczej nie... – przerywam mu i ruszam do drzwi. Pukam w nie trzy razy i słyszę, jak strażnik wstaje z krzesła.

– Lidka, teraz już nie rób nic głupiego – opiera się o krawędź stołu i krzyżuje ręce na piersi – dobrze?

– Postaram się – rzucam mu badawcze spojrzenie, a drzwi rozchylają się. – Ale nie siedź tu długo, bo nie lubię sprzątać kocich gówien.

– Ja też – śmieje się. – Ale czasami nie ma wyjścia.

– Tylko że ty mogłeś postąpić inaczej, a ja nie.

– Jesteś tego pewna?

Jego spojrzenie odprowadza mnie, nie oczekując odpowiedzi. I tak nie wiem, co mam mu powiedzieć.

Ruszam za strażnikiem do kolejnych drzwi. Poprawiam włosy, by lepiej zakryć lewy policzek. Schodami w dół i znów drzwi, długi korytarz wzdłuż rzędu okratowanych okien. I wreszcie normalny hol. Kolejne schody. Drewniane szerokie drzwi. Mijam kilka osób. Policjanci, tajniacy, prawnicy w garniturach i czarnych prochowcach, ktoś na widzenie. Dyżurka.

– Chciałbym odebrać rzeczy – podaję oświadczenie patrzącej z niechęcią kobiecie.

– To nie tu. Korytarz na pierwszym – wskazuje mi palcem – pokój dwieście pięć. Ale to i tak dopiero jutro. Zanim oni je znajdą...

– Dziękuję.

Zawracam schodami i wchodzę w źle oświetlony korytarz.

– O, to znowu pani.

Obracam się w kierunku dobiegającego mnie głosu z prawej i widzę, jak z jednego z pokoi wychodzi wysoki mężczyzna. Rozpoznaję go. To on podwiózł mnie na Traugutta tamtego wieczoru. Dzisiaj też wygląda, jakby był kompletnie niewyspany, z sińcami do połowy policzka i bezładem na głowie. Ma na sobie ciemnoszarą kurtkę z kapturem, granatowy sweter i poprzecierane dżinsy. Trochę przypomina mi drobnego pijacznę porzuconego przez zapobiegliwą kobietę. Takiego, co się samotnie szlaja po nocnych klubach w poszukiwaniu kompana do wódki i szansy na upojne zapomnienie w kobiecych ramionach. I chyba tylko jego wyjątkowo czyste skórzane czarne sportowe buty mówią mi, że mogę się jednak mylić.

– Witam – reaguję przyjaznym uśmiechem. – To mnie pan zaskoczył. Ale co ja się dziwię, w końcu pan tutaj pracuje.

– Jak głowa? – pyta z nieznikającym zaskoczeniem w oczach. – Mam nadzieję, że już nie boli – przygląda mi się uważniej, a ja włosami bardziej zakrywam policzek. – Niech się pani nie krępuje. Widziałem o wiele gorsze rzeczy.

– Domyślam się, ale ja nie mogę się do tego przyzwyczaić.

– Pani po rzeczy – mówi, niby przypadkiem lustrując dokumenty trzymane przeze mnie w dłoni. – Dwieście pięć – wskazuje mi dłonią następane drzwi. – Albo niech pani to da. Ja to załatwię.

– Naprawdę? – szczerzę się do niego jak małolata. – Byłabym wdzięczna.

– Aha... – Odbiera ode mnie kartki. Wzrokiem przebiega po kolejnych wersach upoważnienia. – Może umówimy się na jakąś kawę? – patrzy wyczekująco, a ja zastygam w lekkiej konsternacji. – Do niczego nie zmuszam –

dodaje, widząc moje zakłopotanie.

– Chętnie, ale pod jednym warunkiem.

– Tak?

– Pomoże mi pan odebrać auto z waszego parkingu – uśmiecham się z miną niewiniątka.

– To na pewno będzie kawa z dużym kawałkiem tortu.

– Ja zapraszam.

– No, mam nadzieję. – Naprawdę ta zmęczona twarz ma ładny uśmiech. – To do jutra. Będę tu na panią czekał.

– A mogę chociaż poznać pana imię?

– A tak, faktycznie, zapomniałem się przedstawić. Piotr – podaje swoją wizytówkę. – Starszy aspirant Piotr Duć.

– Bardzo mi miło – ściskam jego dłoń. – I do zobaczenia jutro, panie Piotrze.

– Do zobaczenia, pani Lidio.

Cholera, zapamiętał. Przynajmniej auto będę miała z głowy i na pewno odzyskam je szybciej niż drogą oficjalną.

Opuszczam ponury budynek i idę na parking. Ktoś znowu zablokował mi fiestę tak, że nie wsiądę od strony kierowcy. Ubiłabym! Pieprzeni egoiści.

Rzucam torebkę pod siedzenie i próbuję wsiąść z drugiej strony. W tym samym momencie słyszę charakterystyczny sygnał odebranego e-maila na iPhone.

Od: gracz@gmail.com

Temat:

Data: 25 październik, 2012 11:05:42 CEST

Do: l.p.gra@gmail.com

Odbierz tę przesyłkę. A.

Wysłane z iPhone'a

Głupi żart. Czytam jeszcze raz i wrzucam telefon do torebki. Ale mój wzrok zatrzymuje się na odbiciu w bocznym lusterku, gdzie balansująca postać w czerwonej nieprzemakalnej kurtce patrzy na mnie wyczekująco. A niech to diabli!

– Pani Lidia? – znajomy głos powstrzymuje mnie przed zniknięciem we wnętrzu samochodu. – Chyba mam coś dla pani. – Tak, to na pewno szczupła twarz kuriera „na ostrym”.

– Witam – trudno ukryć mi zaskoczenie. Ale wyciągam rękę po pomarańczową kopertę bez nadawcy. – Tym razem od kogo? – pytam.

– Właściwie nie wiem. Podobno dwa dni temu dostarczył nam to kurier i dokładnie dziś miałem pani to oddać do rąk – tłumaczy się.

– Dokładnie dziś? – śmieję się, bo sytuacja zaczyna być absurdalna. – A jak mnie pan znalazł?

– Pół godziny temu dostałem e-maila, że tu panią znajdę, więc... – uśmiecha

się, a ja nie mogę w to uwierzyć – ciągnęliśmy zapalki, kto tu przyjedzie, ale to znowu ja.

– To jest nawet zabawne – śmieję się. – No nic. Miłego dnia – rzucam kopertę na siedzenie.

– Do widzenia.

Kurier wpina się w noski i już rozpędza swój rower bez hamulców. Obraca się jeszcze w moim kierunku przed zakrętem, a ja nie spuszczam z niego oczu. Ale nadal uśmiech nie schodzi mu ze szczupłej jasnej twarzy.

**25 października 2012 rok, czwartek, g. 12:00**



Odkładam kopertę na bok i znów czuję mętlik. W środku było zdjęcie szpakowatego mężczyzny koło pięćdziesiątki. Ewidentnie jakiejś szychy w długim płaszczu wsiadającego do czarnego jaguara, którego drzwi otwierał mu ochroniarz lub szofer. A wszystko z podpisem: „On ma coś, co musisz mieć. Zapytaj Jacka. A”.

Kolejny diabelski plan. I zapewne A jak Adam. On nadal gra.

**26 października 2012 roku, piątek, g. 12:30**



Ponury dzień odbija się piętnem nie tylko na mojej twarzy czy przemokniętych butach, ale i na humorze wszelkich urzędników. Jedynie uśmiech czekającego na mnie starszego aspiranta Piotra nie miał w sobie frustracji.

– To tam – pracownik parkingu na Grabiszyńskiej wskazuje nam kierunek. – Na końcu. Pod tym starym drzewem.

– Aha. – Marszczę brwi i ruszamy we wskazane miejsce.

– A to ten. – Piotr nie ukrywa zaskoczenia zabrudzonym przez często przesiadujące na gałęziach wrony czarnym nissanem GT-R. Białe rozmoknięte smugi spływają nie tylko z jego maski, ale i szyb. Widok wywołuje mój śmiech, nie powstrzymuję się, nie widzę powodów. – Hm, fajne auto. Tylko trochę...

– Brudne.

– Tak. To chciałem właśnie powiedzieć... – przenosi wzrok na mnie, jakby o coś chciał zapytać.

– Chce się pan nim przejechać? – uprzedzam go, bo też nagle czuję lęk przed tym czarnym potworem. A słowo „zadrażnienie” urasta do sporego odprysku lakieru na każdym zderzaku, urwanego lusterka, przetarcia boku, wgniecenia maski bagażnika, przejechanego kota, potraconej staruszki. Nie! Podświadomość na pewno sprzeciwia się dzisiaj temu wszystkiemu.

– Właściwie tak – Piotr uśmiecha się, dostrzegając chyba mój nagły napływ lęku.

Otwieram samochód, a on energicznie wsiada od strony kierowcy. Idę jego śladem, ale z drugiej strony. Ustawia fotel, lusterka, kierownicę. Odpala przyciskiem i wyjeżdża bez najmniejszego problemu, a ja dziwię się sama sobie. Czego ja się bałam?

– To gdzie ta obiecana mi kawa? – pyta, naciskając pedał gazu. Mijamy szlaban. Ewidentnie ma sporą radochę.

– Byle dalej stąd – mówię, a on pokonuje kolejny zakręt.

– Tak, naprawdę fajne auto. Przydałoby mi się, i to dość często.

Jedzie płynnie, bez najmniejszego szarpnięcia do końca Graniszyńskiej. Skręca w Hallera. Wiśniowa. Zwalnia i parkuje pod Wieżą Ciśnień. Nie tłumaczy dlaczego. Chyba nie próbuje mi zaimponować.

Wysiadamy, ruszamy do wejścia, a on jeszcze raz przeczesuje rząd samochodów stojących na parkingu. Zatrzymuje wzrok na rejestracji czarnego roadstera BMW Z4. Mruży oczy w dziwnym zadowoleniu.

– Musi pani sama spróbować – rzuca, przytrzymując mi drzwi.

– Chyba nie mam wyjścia. – Chowam klucz do nissana w torebce i słyszę metaliczny dźwięk całego pęku kluczy od mieszkania Adama. Wchodzimy do środka.

Nie miałam pojęcia, że przychodzi tu tyle ludzi na lunch. Piotr ewidentnie czuje się nieswojo, ale wybiera stolik schowany w łuku wnęki ceglanej budowli. Ja zamawiam kawę i ciasto, a on obrzuca salę swoim z nawyku kontrolnym spojrzeniem. Uśmiecha się, widząc, że to zauważam.

– Przytulnie – mówi po dłuższej chwili milczenia.

– Sztywno – rzucam mu, pochylając się nad stołem, a on się śmieje.

Kelnerka podaje zamówioną kawę i spory kawałek ciasta. Przez nieuwagę strąca łyżeczkę. Odruchowo łapię ją, nim spadnie na ziemię, ale muszę przy tym mocno się pochylić i odkładam ją na talerzyk nietkniętą. Dziewczyna dziękuje mi spojrzeniem, bo jej zwierzchnik już krzywi usta. Przecież nic się nie stało. Staram się wyrazem twarzy przekazać mu tę informację, ale nagle po przeciwnej stronie dostrzegam Angelę kończącą posiłek z jakimś młodym mężczyzną w kolorowym swetrze, jasnych džinsach i białych adidasach. Siedzą do nas bokiem. Przyjaciółka chyba mnie nie widzi. Trochę zmieszana wracam wzrokiem na stolik. Sięgam po filiżankę i dopiero wtedy dostrzegam wbite we mnie oczy Piotra, jak i odsłonięte w połowie prawe przedramię. Szybko naciągam rękaw swetra, ale on nadal nic nie mówi.

– Potknęłam się – wyduszam to z siebie, przyciągając bliżej pysznie wyglądającą szarlotkę. Chociaż już nie mam na nią najmniejszej ochoty.

Nagle chwyta moją drugą rękę, marszcząc przy tym obrus, i podciąga rękaw.

Ślady po zaciskającym się bandażu, wiązania na nadgarstkach i posiniaczenia od uderzeń pasem są tu mniej widoczne, ale są. Wzdycha ciężko, patrząc na mnie z wyrzutem.

– Tak. A to kotek zadrapał.

– Jakoś tak – sama nie wierzę w to, co mówię.

– Pani Lidio, proszę nie traktować mnie jak kretyna.

– Nawet bym nie śmiała.

– Dobrze wiem, do kogo należy ten samochód, ale nie rozumiem, po co pani w to weszła.

– Nie wiem, o czym pan mówi. – Głos w mojej głowie krzyczy „kłam”.

– Nadal pani to robi. – Mocniej pochyla się ku mnie nad stołem. – Ci ludzie są cholernie niebezpieczni i boję się, że szybko znajdę panią w jakimś czarnym worku. I dla kogo to? – nadal przytrzymuje moją lewą dłoń. – Bo nie wygląda mi pani na taką karierowiczkę, a tym bardziej na prostytutkę. A to właśnie taki świat – milknie i wzdycha jeszcze ciężiej. Puszczą moją dłoń i oboje siadamy wygodniej na drewnianych krzesłach. Poprawiam rękaw i dekolt bluzki.

– Panie Piotrze, a nie pomyślał pan... – przerywam, bo z głębi sali dobiega nas wymiana ostrych zdań.

Odwracam głowę i widzę, jak młody mężczyzna siedzący z Angelą łaje młodzieńką kelnerkę. To chyba jej pierwszy dzień w pracy, bo tym razem upuściła talerz, a resztki posiłku wylądowały na spodniach towarzysza mojej przyjaciółki. Dziewczyna ma już łzy w oczach. Jej zwierzchnik zgrzyta zębami i zmierza do nich. Przeprasza w imieniu restauracji, oferując coś gratis, ale mężczyzna nagle podrywa się z krzesła i popycha kelnerkę na stolik obok. Angela próbuje go uspokoić, ale i ona zostaje odepchnięta na bok. Dziewczyna upada na ziemię, a resztki naczyń i kieliszki wywracają się razem z jej tacą.

W tym samym momencie widzę, jak Piotr zrywa się z krzesła i rusza w ich kierunku. Obraca mężczyznę przodem do siebie i uderza go pięścią w twarz. Tamten z zaskoczenia traci orientację, a Piotr popycha go na stolik nosem prosto w spory kawałek czekoladowego tortu i krępuje mu ręce na plecach. Przytrzymuje go i wyciąga spod kurtki kajdanki. Zakleszcza je na jego przegubach. Mężczyzna zaczyna przeklinać i szarpie się, Angela wstaje i odchodzi na parę metrów od ich stolika. Jest przerażona, ale wreszcie mnie zauważa. Instynktownie przywołuję ją gestem do siebie. I idę w jej kierunku.

– No, Zygi, dałeś się podejść jak dupa – Piotr syczy mu nad głową.

– Spierdalaj! – Odpowiedź godna filozofa wywołuje tylko uśmiech na niepozornej twarzy starszego aspiranta.

– A ja myślałem, że nie będziesz miał odwagi wrócić do Wrocławia.

– I tak ci spierdolę. Kurwa, zobaczysz.

– Umoczyłeś, stary, i teraz pójdiesz prosto do pierdla – dopiero po chwili



Piotr pokazuje mu swoją odznakę i wygłasza oficjalną formułkę. Sięga po telefon i wzywa wsparcie. – Sądziłeś, że nie bywam w takich miejscach? No to się grubo myliłeś. Ostatnio mnie awansowali – mówi to z głębokim szyderstwem.

Ktoś wreszcie pomaga wstać kelnerce. Zapłakana dziewczyna ucieka do kuchni. Główny kelner jakby zastygł odlany z wosku, tylko mruga oczami. Obejmuję Angelę, bo jest roztrzęsiona, i sadzam ją na najbliższym krześle. A kolejne przekleństwo Zygi wywołuje u Piotra politowanie. Policjant mocniej przyciska do stołu głowę agresywnego mężczyzny, z satysfakcją wgniatając ją w rozpływającą się czekoladową masę. W końcu odszukuje mnie wzrokiem i posyła dziwny uśmiech. Kręci głową, jakby chciał powiedzieć: „Tak, pani Lidio, właśnie w taki świat pani weszła”. Wreszcie słychać hałas policyjnego radiowozu i tupot wpadających dwóch policjantów.

– Zabierzcie go od razu na główną – Piotr rzuca w ich kierunku i pozwala jednemu z umundurowanych ściągnąć skutego mężczyznę ze stołu. – Zaczekajcie na mnie chwilę.

Policjanci wyprowadzają towarzysza Angeliki z restauracji i to w mało delikatny sposób. Piotr chce iść za nimi, ale w ostatnim momencie chyba coś sobie przypomina. Podchodzi do nas bliżej.

– Nic się pani nie stało? – pyta, lustrując przerażoną twarz Angeliki.

– Nie – kręci przecząco głową. – Ale ten sku... – milknie nagle pod wpływem bólu, jaki zadała jej moja dłoń zaciskająca się na jej ramieniu, a mój wzrok jasno ją ostrzega przed dalszą wypowiedzią.

– Ale co? – Piotr próbuje to z niej wydobyć, ale Angelika już pojęła, że nie ma nic mówić. – Tak... – policjant nawet nie udaje, że zrozumiał jej powściągliwość. Powoli podnosi wzrok i patrzy mi w oczy. – Pani Lidio, my się jeszcze zobaczymy. Nie dokończyliśmy naszej rozmowy.

– Nie wiem, czy mamy o czym rozmawiać, panie Piotrze.

– Obawiam się, że mamy. – I szybko przekonuje mnie, że jego szare oczy potrafią przybrać bardzo nieprzyjemny wyraz. – Poza tym pani nadal wisi mi kawę z tortem – śmieje się i rzuca spojrzeniem na nietknięte przez nas zamówienie. – Ale następnym razem ja stawiam, a pani wybiera miejsce – kończy, kłaniając się teatralnym półukłonem, i znika w cieniu korytarza.

**26 października 2012 roku, piątek, g. 14:30**



Parkuję na zakazie, ale nigdzie indziej się nie zmieszczę. Angela od wyjścia z restauracji milczy. Chyba nadal jest przerażona. Mam tylko nadzieję, że nie moim sposobem jazdy. Staralam się jak mogłam, by nie szarżować, ale ten samochód nie potrafi jechać pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Po prostu się dusi.

– Angela, kto to był? – pytam ją wreszcie, bo sama mi chyba nic nie powie.  
– Lidka, nie wiem – rzuca zdenerwowanym głosem.  
– Jak to nie wiesz?  
– Jakiś Damian – krzyczy. – Podobno teraz jestem mu coś winna. Pytał, czy mam bardziej seksowne łąszki albo kasę.  
– Co?  
– Powiedział, że mam czas do końca tygodnia, bo jak nie...  
– I ty z nim przyszedłaś do tej restauracji? – Kompletnie mnie zaskoczyła.  
– Chciałam załatwić to na spokojnie. Wybadać, o co chodzi.  
– Pożyczałaś od niego pieniądze?  
– Nie ja. On powiedział, że to za Rudego, bo tyle mu wisiał. A jeśli nie mam kasy, to mam dla niego pracować. Mówił, że z taką buźką szybko odrobię ten dług.  
– O jaką kwotę chodzi?  
– Sto tysięcy.  
– A ile masz?  
– Jakieś czterdzieści.  
– Dobra. Pożyczę ci resztę, ale Angela...  
– Wiem – urywa naszą rozmowę i wysiada z auta, trzaskając drzwiami. Zagryzam zęby i odjeżdżam spod jej mieszkania.

**28 października 2012 roku, niedziela, g. 15:00**



– No nie wiem. Jej źle z oczu patrzy – Kaśka lustruje ze mną kota wciśniętego w kąt pod moim łóżkiem, a z mroku wyłaniają się tylko te jego żółte, błyszczące oczy.

– Proszę cię – błagalny uśmiech – tydzień. – Staję w obronie tej czyhającej na kobiece łydki bestii. Może dlatego, że akurat na moje się nie rzuciła, choć to chyba tylko z wycieńczenia głodem.

– No dobra, ale jak mi gdzieś naleje.

– Biorę to na siebie.

Wstajemy z klęczek, a ja dopiero teraz dostrzegam trzy połączenia z około jedenastej godziny od Wiesława widniejące na starym ericssonie. Trzy oznaczają tylko jedno. Przyjeżdżaj od razu i nawet nie dzwoń. Nie chciałam tam dzisiaj jechać, ale najwidoczniej nie miałam wyjścia.

– Kasik, to jest koperta dla Angeli – wyjmuję ją z komody i kładę na biurku.  
– Zaraz po nią przyjdzie. Powiedz jej, żeby do mnie zadzwoniła dopiero wieczorem, a najlepiej jutro – mówiąc to, ubieram się i pakuję niezbędne rzeczy do torebki. iPhone zostaje obok koperty.

– A ty gdzie jedziesz? – pyta, bo widzi, że zabieram kluczyki do fiesty.

– Odwiedzić Marka.  
– Aha, ale...  
– Mogę wrócić późno lub dopiero jutro. Dam ci znać. Tylko nie dzwoń od razu na policję – śmieję się i puszczam do niej oko.  
– Lidka...  
– No?  
– Może pojedę z tobą? – pyta, a ja waham się z odpowiedzią.  
– Nie, muszę to załatwić sama. – Nie mogę jej w to wciągać, chociaż dzisiaj wolałabym mieć towarzystwo. – Poza tym ktoś musi mieć oko na tego agresora spod łóżka – uśmiecham się do niej porozumiewawczo. – Postaram się szybko wrócić.

**28 października 2012 roku, niedziela, g. 16:30**



Parkuję przy obornickim cmentarzu, który obleka już wieczorny półmrok. Parę zniczy przypadkowo rozsianych po nagrobkach tworzy jakąś tajemniczą mapę tego miejsca. Mapę świata dusz nieobecnych. Ale tylko na chwilę przekraczam cmentarną bramkę. Wiatr szumi w czubkach wysokich sosen i gasi płomień nieosłoniętych knotów. Jakoś wyjątkowo dzisiaj czuć tu zapach śmierci.

Wiesława na pewno nie było na grobie Marka od naszej ostatniej wizyty, bo nikt nie sprzątnął zniczy i zwiędłych kwiatów. Przemykam mroczną alejką do drugiego wejścia i narzucam kaptur kurtki na głowę. Niknę na nieoświetlonej ścieżce przy lesie.

Dom Wiesława razi brakiem symptomów życia. Nie pali się nawet najmniejsza żarówka. Wchodzę zwyczajowo przez skrzypiącą bramkę i kieruję się do drzwi wejściowych. Pukam, bo i tak dzwonek nie działa. Pukam ponownie i ponownie. Chyba nie słyszy. Obracam się za siebie, bo kątem oka widzę, jak czarny terenowy samochód ruszył spod podjazdu dwa domy dalej i bardzo wolno jedzie w tym kierunku. Mija dom Wiesława, ale przyciemniane szyby jeepa nie pozwalają na rozpoznanie kierowcy. Przyśpiesza nagle i z lekkim przechyłem wchodzi w zakręt najbliższej uliczki wiodącej wzdłuż lasu.

Naciskam klamkę. Drzwi ustępują. Dziwne. Ale wchodzę. Kompletna ciemność. Macam włącznik światła w przedpokoju i dopiero dostrzegam bałagan. Idę dalej do salonu i nawet nie muszę szukać włącznika, by wiedzieć, że jest pusty. W starym kominku dogasa drewno.

– Panie Wiesławie, to ja. Jest tu kto? Halo...

Odpowiada mi głucha przejmująca cisza. I nagle ten dom zaczyna mnie przytłaczać swoją starością i historią. Znów czuję cmentarny zapach, a cień za plecami jakby mnie przerasta. Dotykam kaloryfera i czuję w nim ciepło.

Wiesław na pewno niedługo wróci. Światło z palącego się drewna w kominku migocze nerwowo w załamaniach starych mebli, odchodzącej przy suficie tapecie i w rozrzuconych na ziemi gazetach. Ale i tak robi mi się zimno. Staram się nad tym zapanować. Ruszam w kierunku kuchni. Macam po starych kafelkach, szukając kolejnego włącznika. Tu też jest pusto.

Wracam na korytarz i próbuję zapalić światła na schodach prowadzących na pierwsze piętro, ale bezskutecznie. Cholera. Wchodzę na górę praktycznie po ciemku. Drewniane stopnie skrzypią przeraźliwie. Skupiam się mocno, by się nie potknąć. Wiesław nawet jak przysnął, to teraz na pewno musiał się obudzić.

– Panie Wiesławie, to ja. – I znowu cisza.

Na pierwszym piętrze są cztery pomieszczenia, w tym jedna łazienka i niewielki schowek. Ale ja kieruję się prosto do sypialni. Trochę po omacku szukając wyciągniętą dłonią przed sobą, odnajduję klamkę. Te drzwi też skrzypią. Macam włącznik. Sztuczne światło razi mnie intensywnością. Mrużę odruchowo oczy, które zdążyły przyzwyczać się do półmroku. Wchodzę do środka, a widok wiszącego bezwładnie ciała odbiera mi oddech. Wykrzywiona w bólu twarz siwego starca wpatruje się we mnie, rozpaczliwie wołając o pomoc. Ma zaciśnięte dłonie i poplamiony krwią szary sweter. Czuć wyraźny zapach moczu.

Cofam się i opieram o ścianę. Tracę czucie w stopach i osuwam się po niej na stare drewniane panele. To nie może być prawda. Dlaczego? Jak? Kurwa! Co jest? Nie zdążyłam.

**28 października 2012 roku, niedziela, g. 21:30**



Wynoszą ciało w czarnym plastikowym worku. Skrzypią schody, drzwi i bramka, a ja wciąż siedzę wpatrzona w dogasający żar w kominku. Chodzi tu sporo osób. Robią sobie podśmiejki z połamanymi meblami, syfu w łazience, odpadającego tynku i grubości kurzu na zasłonach. „Stary esbek sfiksował. Nie wytrzymał po śmierci syna. Ciekawe, kto przyjdzie na jego pogrzeb? Ten dom to ruina”. Staram się tego nie słuchać, walcząc z pokusą sięgnięcia do barku antycznego kredensu i upicia chociaż krztyny z tej dziesięcioletniej islayowskiej whisky, którą Wiesław trzymał na specjalną okazję. Może nie dokładnie taką miał na myśli, ale lepszej już nie będzie.

Nie wierzę, że starzec sam się powiesił w swojej sypialni. To na pewno nie było samobójstwo. Zwłaszcza że jego drewniana laska stała opata o fotel tu w salonie. Nie wierzę, bo widziałam wyraźnie strącone w szamotaninie rzeczy, ślady wiązania dłoni. Ewidentnie ktoś przeszukiwał jego sypialnię, a tam zawsze miał porządek. Ciekawe, czy mordercy znaleźli to, czego szukali? A może Wiesław zabrał swoją tajemnicę do grobu?

Czas zgonu oszacowano na 14:00-15:00. I tylko przybyły z ciekawości młody praktykant patomorfologii śmiał zauważyć, że to dość rzadka godzina dla samobójców. Jednak nikt go nie słuchał. Był zbyt świeży. Po tych informacjach poczułam się jeszcze gorzej. Dlaczego wcześniej nie spojrzałam na ten pieprzony niebieski telefon? Powinnam była szybciej tu przyjechać. Zdążyłabym.

Znowu zaczęło padać. Ból głowy rozsadza mi czaszkę, a za szybą kredensu widzę rzędy pękatych szklaneczek, ciosanych literatek i smukłych kieliszków. Szkło mieni się w obłych załamaniach, muszlowych ubiciach i drażni wzrok tęczowym światłem. Kusi nieodparcie. Mówi to, co chcę usłyszeć. Obiecuje. Słyszę szum nalewanej złotawobrunatnej cieczy. Jej cichy chlupot na ściankach i wzburzone fale po wymuszonym przechyle w kierunku wargi. Wodospad w mojej krtani i pieczenie na dziąsłach. Niesmak leżakowanej latami mocy i powoli przychodzący błogi spokój. Muszę mocno trzymać się fotela. Ostatkiem sił odwracam głowę, a paznokcie łamią się na kwiecistym dziurawym obiciu.

Chwytam pogrzebacz i zaczynam nerwowo przerzucać dogasające drewno w kominku i dopiero po chwili zauważam te nadpalone kartki. Schyliłam się i biorę je. To dwa kupony lotto i osmolone sadzą zdjęcie. Zgniatam je w dłoni, bo nagle do salonu wchodzi starszy policjant.

– Może panią odwieźć? – pyta, sugerując, że jednak powinnam się stąd wynieść.

– Nie, dziękuję. Jestem samochodem – sięgam po kurtkę. W kieszeni ukrywam znalezione w palenisku kartki.

– Na pewno da pani sobie radę? – dopytuje, gdy mijam go, wchodząc w korytarz.

– Na pewno – mówię, oddając mu drewnianą laskę Wiesława, którą instynktownie chwyciłam, wstając z fotela. Odbiera ją ode mnie zaskoczony.

– A, zapomniałabym o czymś... – uśmiecham się do niego krzywo i zawracam pod kredens. Sięgam do barku po ciemnozieloną butelkę 0,7l whisky i dopiero wtedy wychodzę. – Do widzenia – domykam skrzypiące drzwi i idę w kierunku cmentarza.

Mżawka powoli przechodzi w ciągły opad, który zamiast łez zalewa mi oczy. Zarzucam kaptur kurtki na głowę, a latarnie wyznaczają jedyną rozsądną trasę. Przyśpieszam i już po chwili wsiadam do auta. Kryję się przed strugami deszczu w suchym siedzisku. Butelkę whisky wsadzam do schowka. Zapinam pasy i odpalam silnik, a czarny jeep wtacza się przed maskę fiesty. Robi to tak nagle, że w pierwszym odruchu naciskam mocno pedał hamulca. Szarpię samochodem, a silnik gaśnie.

Mijają kolejne sekundy, a może i minuty, a jeep nie ustępuje mi z drogi. Deszcz zalewa szyby, oddzielając nas trudną do rozsunięcia kurtyną. W tej mglistej ciszy słyhać tylko rytmiczne uderzenia o karoserię i mój przyśpieszony

świszczący oddech.

Włączam silnik. W odpowiedzi szyba od kierowcy czarnego jeepa rozchyła się dosłownie na grubość dwóch palców, a przez ścianę deszczu przebija się papierosowy pet. Uderza w szkło tuż na wysokości mojej głowy i spływa powoli na niebieską maskę. Mam wrażenie, że syczy, dogasając w zalewającym go strumieniu wody.

Szyba domyka się powoli, a terenowe auto odjeżdża. A ja nagle dostrzegam wsadzoną kartkę za wycieraczką. Zupełnie już przemokłą. Opuszczam szybę i sięgam po nią. Rozprostowuję jej mokre zagięcie. Jest na niej jedno zdanie napisane czarnym długopisem: „Nie wtrącaj się, bo będziesz następna”. Trudno im odmówić siły sugestii.

Opuszczam parking, rozglądając się na boki. Pusto. Jak najszybciej chcę być już w domu. Wycieraczki zmuszam do krótszych cykli, bo zaczęło padać intensywniej. Wyjeżdżamy asfaltową uliczką z miasteczka wśród lasów porastających Kocie Góry. Kończą się latarnie i zapada deszczowa nocna ciemność. Mgliste powietrze wisi tuż nad drogą, zacierając kontury krajobrazu, a ciężkie ledwo dostrzegalne mięsiste chmury jakby obniżyły swój pułap, zrównując się z czubkami przydrożnych topoli. Wyprzedzam tira, a w lusterku dostrzegam zbliżające się światła wyższego samochodu. Jest kilka metrów za mną. Włączam radio i jadę bardziej środkiem drogi, omijając zalane wodą koleiny. Muszę się mocno skupić, by dostrzec coś przez zasnuwane spływającymi kroplami deszczu szyby.

Samochód za mną zaczyna podjeżdżać bliżej. Chyba chce mnie wyprzedzić. Przestaję jechać środkiem. Spokojnie, ma miejsce, bo nikt nie jedzie z przeciwka. Tylko że on tego nie robi i zaczyna siedzieć mi na plecach. Miga długimi i trąbi. O co mu chodzi? Chce, bym przyspieszyła? Robię to, ale w zagarnianych strugach z szyby naprawdę mam kiepską widoczność. Mijamy wzniesienie, a on cały czas napiera. Lekko uderza w tylni zderzak. Na szczęście samochód trzyma się mocno drogi. Przyśpieszam mimo wszystko.

W końcu jeep zrównuje się ze mną i jedziemy tak spory kawałek. Przez te przyciemniane szyby nie widzę, kto prowadzi. Wycofuje się, by minąć się z autami z przeciwka. Ale po chwili znów jedzie obok, zmuszając mnie do odbicia bardziej na prawo. Zwalniam, bo jadę prawie poboczem, a on wyprzedza mnie z dźwiękiem głośnego klaksonu, zagłuszając odgłosy deszczu i rozbryzgując kałużę z koleiny prosto na moją przednią szybę. Hamuję.

Chyba chciał się upewnić, czy zrozumiałam.

– Skurwiele – mówię sama do siebie, próbując zapanować nad drżeniem prawej dłoni.

Jeep szybko znika na horyzoncie, a ja zjeżdżam w następnej miejscowości na parking pod sklepem. Muszę ochłonąć, bo w tym stanie nie przerzucę biegu.

Zapalam lampkę nad lusterkiem i roztrzęsioną ręką sięgam do kieszeni kurtki. Te dwa nadpalone kupony lotto z tej soboty okazują się praktycznie identyczne. Różni je jedynie godzina wydruku. Ciekawe, na ile opiewa wygrana?

Przekręcam głowę, a na szyldzie razi mnie żółty neon z napisem LOTTO. Wsiadam z samochodu i wchodzę do sklepu. Nie ma kolejki, jest wręcz pusto. Sprzedawczyni odstawia trzymaną butelkę Tyskiego na półkę, a jej spojrzenie mówi ewidentnie „Czego tu o tej porze szuka?”.

– Czy mogę dostać wyniki Dużego Lotka z tej soboty? – pytam grzecznie.

Niewysoka kobieta w klapkach kołysze biodrami, podchodząc do automatu. Żuje gumę i mlaska. Dzwonek przy drzwiach komunikuje nadejście kolejnego klienta. Na pierwszy rzut oka dwóch miejscowych żuli.

– Jolka – słyszę podпиты ton jednego z nich. – Dawaj, dawaj, bo nam się trochę śpieszy – rechocze, trącając lizaki stojące przy kasie.

– Chwila! Stoi i czeka. Widzi, co robię – sprzedawczyni jasno ustala reguły, nadal przeżuwając balonową. – Proszę – podaje mi wydrukowany świstek, a ja łapię powietrze, czytając kolejne cyfry. – Podobno wygrały dwie osoby – dodaje i rusza w kierunku kasy.

– Dziękuję – mówię i wychodzę ze sklepu.

– Broniu, Broniu, nie ma już na zeszycik, nie ma. Skończyło się. Podobno nabroiłeś – słyszę jeszcze za sobą.

Te dwa kupony to w sumie około sześciu milionów. Cholera, czy tyle było warte to jedno ludzkie życie?

Wracam do fiesty. Kupony lądują w kieszeni kurtki, ale zaraz wpada mi w ręce to nadpalone zdjęcie. Zapewne pierwotnie przedstawiało trzy osoby, ale teraz tylko jedną można rozpoznać. Uśmiechnięty łysy staruszek w zgniłozielonej marynarce i żółto-brązowym krawacie obejmuje ramię stojącego obok człowieka w szarym swetrze, któremu płomień odebrał popiersie. Uwieczniona na zdjęciu trzecia postać uległa praktycznie całkowitemu zwęgleniu, ale też musiał to być mężczyzna, sądząc po ciemnych spodniach i fragmencie wyciągniętej ręki.

Lampka przy lusterku gaśnie. Odpalam ją ponownie i przyglądam się uważniej szczegółom. Jedyne, co udaje mi się odczytać z drugiego planu, to fakt, że są to najprawdopodobniej uczestnicy zjazdu naukowców lub konferencji w Mińsku. Przynajmniej tak mówiły zachowane napisy cyrylicą w rogu. A na plakietce przypiętej do zgniłozielonej marynarki łysiego naukowca widnieje drukowanymi literami „prof. Józef Wiśniewski”. U mężczyzny obok też dostrzegam identyfikator. Litery są o wiele gorzej zachowane. Podnoszę zdjęcie bliżej światła. Przecieram palcem i zdmuchuję sadzę. Ledwo udaje mi się odczytać to nazwisko. Strzymiński.

To na pewno nie był zbieg okoliczności. Wiesław coś musiał odkryć i to niestety wiązało się z tymi naukowcami ze zdjęcia.

**31 października 2012 roku, środa, g. 17:09**



Od: j.gra@gmail.com  
Temat: jubileusz  
Data: 31 październik 2012 17:09:36 CEST  
Do: l.p.gra@gmail.com  
Zagramy?... sobota 21:30.  
Black tie.

J.

Od: l.p.gra@gmail.com  
Temat: jubileusz  
Data: 31 październik 2012 18:45:30 CEST  
Do: j.gra@gmail.com  
Zagramy;)

L.

**3 listopada 2012 roku, sobota, g. 22:00**



Szofer, a może raczej ochroniarz, Jacka nawet nie ukrywa, że się na mnie gapi w wewnętrznym lusterku. Zmusza mnie do ucieczki wzrokiem za szybę. Ocenia kolejną maskotkę szefa. Tylko że zapewne wyglądam na mniej szczęśliwą niż te poprzednie i nie przypominam długonogiej dwudziestolatki. Mówi tylko jedno zdanie „Będziemy na miejscu za dwadzieścia minut”. I jakoś mnie to wcale nie odpręża.

Siedząc z tyłu obok Jacka na skórzanym, głębokim siedzisku, wpatruję się w miasto pogrążone w mroku. Światła mijanych samochodów atakują mnie natarczywie. Czuję wyraźnie tę niezaspokojoną suchość w ustach i mrowienie opuszków palców. Przymykam powieki, ignorując niepokojące sygnały, które płyną z mojego organizmu. Nie chcę słyszeć tych ostrzegawczych szeptów sumienia. Dłonią instynktownie szukam zawieszki poniżej linii obojczyka, ale tu jest tylko rząd sztucznych pereł. Amulet trzeźwości został na uchwycie szafki w moim pokoju. Przy próbie założenia go na szyję parzył moją skórę. Dobrze wiedziałam dlaczego. To była kolejna noc, gdy nie mogłam się powstrzymać od płaczu i dokończenia butelki Ardbega, którą po pogrzebie Wiesława napoczęłam z Katarzyną. Niestety jak zwykle nie przyniosło to oczekiwanej ulgi, a jedynie ból głowy kojony lodem i powtórным przeglądaniem zgarniętej z jego mieszkania prasy. Co się kryło za tym wszystkim? I dlaczego ta wiedza pozbawiła go życia?



I kto tak skutecznie próbował mnie zniechęcić do dalszych poszukiwań?

Kant z Lotto wydał mi się zaledwie czubkiem góry lodowej. Za łatwo można było to odkryć. Wygranej z tych dwóch nadpalonych kuponów nie mogłam odebrać sama i chyba nawet tego nie chciałam. Te pieniądze nie były tego warte. Przecież z góry było wiadomo, kto, ile i za co ma je dostać. W ten sposób podpisałabym na siebie wyrok.

Jacek milczy, nerwowo wystukując treść wiadomości w swoim telefonie. On jest jeszcze w pracy. Pisze i czeka na odpowiedź. Odpowiada i czeka. Fuka wkurzony i pisze ponownie. W ciągu tych dwudziestu minut zdążył zadzwonić jeszcze pięć razy. Przekaz ustny Nerskiego w języku angielskim i rosyjskim jest jasny i konkretny. Nie usłyszałam sprzeciwu. Jemu chyba nikt się nie sprzeciwiał. Z tego, co rozumiałam, to chodziło o jakiś transport marmuru z Brazylii, który utknął w Szczecinie. Celnicy dopatrzyli się braku jednej pieczętki z właściwą datą. Bardzo istotnych cyfr na dole kartki w rogu. Jednak Nerski zdenerwował się tylko tym, że zrobili mu w ten sposób dwudniowe opóźnienie w dostawie, a nie łapówką w kwocie stu tysięcy złotych. Z gotówką nie było problemu. Widocznie ten marmur był cenniejszy niż każdy inny.

Ogarnia mnie osobliwy stan obojętności. Teraz mogę się jedynie uśmiechać, gdy ten ciemnowłosy nienagannie ubrany mężczyzna w czarnym garniturze, a raczej smokingu z białą plisowaną z przodu koszulą, zwieńczoną połyskującą muchą, i w lakierkach rzuca kontrolne spojrzenia w moim kierunku. Nawet jego zmarszczki na czole wyglądają dziś szlachetnie. Chyba zaaprobował mój powściągliwy wieczorny strój składający się z dość zabudowanej ciemnozielonej trapezowej sukienki z przeplatającą się w materiale złotą nicią w długości do kolan i półprzeźroczystym rękawem zakrywającym nawet nadgarstki. Rozumiał dlaczego. Suknia pełniła taką samą funkcję, jak gładkie, opadające z jednej strony na czoło włosy i mocniejszy makijaż. Może siniak spod oka zniknął, ale tego, co pozostało w ukryciu pod ubraniem, nie chciałam komukolwiek pokazywać.

Jacek ma do mnie ogromny dystans i nie odpowiada na moje pytania o tożsamość mężczyzny z podesłanego mi zdjęcia. Nie ufa mi, tak jak ja jemu.

Samochód mija bramę i podjeżdżamy praktycznie pod same schody Pałacu Aleksandrów. Z aut przed nami wysiadają już kolejni goście. Panowie w czerni, a panie w głębokich szlachetnych odcieniach.auta parkują przy dawnych stajniach. Nie muszę wysiadać, by poczuć zapach drogich perfum i dostrzec grymas ostentacji. Luksus i przepych aż razi.

Ani po schodach, ani w recepcji Jacek nie odzywa się słowem, zajęty kończeniem pisania. Widzę, że czeka na znajome piknięcie w telefonie zwiastujące odpowiedź. Musi być po jego myśli, bo jego twarz łagodnieje.

– Nie pij zbyt dużo szampana – rzuca i z dezaprobatą kręci głową. Dobrze wyczuwa źle ukrywany miętówką zapach i to zaledwie dwóch drinków na odwagę.

Ktoś odbiera od nas okrycia w holu i odnosi do szatni, zwracając w zamian numerki.

– A co to za okazja?

Mijający nas ludzie są nie tylko elegancko ubrani, ale i każdy dzierży w dłoniach pudełko lub kwiaty. Kobiety olśniewają biżuterią, fryzurami i makijażem. Smokingi i wieczorowe garnitury panów podkreślają niezwykle charakter spotkania. Słysząc skrzypce i trącanie strun harfy. Subtelny zapach posiłku kusi do wejścia głębiej.

– Jubileusz – Jacek odpowiada zdawkowo i poprawia ułożenie moich włosów na czole. – Lidio, wiem, że ostatnio dużo się wydarzyło, ale dziś musisz dobrze wypaść. Nie daj się sprowokować – mówi to, jakby te słowa miały być moją tarczą obronną w każdym starciu. Jakby tylko to gwarantowało mi bezpieczeństwo. – Lśnij cieniem... – dodał po chwili i już wiedziałam, że on po prostu boi się kompromitacji, jaką byłam gotowa mu zafundować przed tym całym wytwornym światkiem. Światem dystygowanych twardzieli z okładek miesięczników i pięknych opłacanych kobiet.

– To po co ja tu w ogóle jestem? – ścisnęłam mocniej czarną kopertówkę.

– Bo chyba zależy ci chociaż trochę na Adamie... – Właściwie to było bardziej pytanie niż stwierdzenie.

Na jego owalnej twarzy wreszcie pojawia się uśmiech, a jego koścista dłoń znów protekcyjnie gładzi mój policzek. Odnoszę wrażenie, że potrafi maskować się lepiej niż kameleon. Aczkolwiek imię Adam wzbudzało w nim trudne do ukrycia emocje.

Wchodzimy do głównej sali. Kelner wskazuje nam jeden z okrągłych stolików na osiem osób. Siedzą już tam dwie pary. Przywitanie, pozdrowienia, prezentacja, uśmiech. Sympatyczny siwy pan od polskich azotów, pani z Warszawy o twardych pośladkach, gotowa ugryźć za każdy niesymetrycznie ustawiony kieliszek, nadawałaby się do sejmu, ktoś z prawej od rurociągów, ma dziwny zwyczaj pocierania palcem wskazującym po paznokciu kciuka. Z lewej dołączyły wąskie usta i wysokie czoło pociągłej twarzy prezesa banku. Jakiego, nie pytam, bo dla mnie nie ma to znaczenia. Kolejne powitalne gesty, uściski dłoni. Kobieta z przepastnym dekoltem ze stolika obok kusi Jacka do rozmowy. Wymieniają spojrzenia. Nie ulega, a może tylko mi się tak wydawało.

Tak wygląda pierwsza godzina. Lustrujące spojrzenia, zaciskane wargi, półuśmiechy, lekka kpina. Bardzo trudno jest się tu chociaż na moment poczuć swobodnie. Nawet ta odrobina wypitego wcześniej alkoholu nie była w stanie zachęcić mnie do prostej konwersacji o niczym z siedzącymi obok ludźmi. Ignorowaliśmy się z uprzejmymi uśmiechami, zajadając się łososiem i owocową sałatką.

– Zatańczymy? – Jacek chyba w ten sposób chciał mi pomóc, ale ta

propozycja przeraziła mnie jeszcze bardziej. Mój wzrok błagał o litość, ale on już stał nade mną z silną sugestią wypisaną na twarzy.

Ruszamy między gwarnymi stolikami do sali w głębi, skąd dochodzą bardziej jazzowe rytmy. W międzyczasie Jacek pozdrawia znajomych i znów komuś mnie przedstawia. Korowód przesuwających się przede mną osób jest zbyt duży, by zapamiętać nawet połowę z nich. Przy dziesiątej osobie wszyscy zaczynają mi się mylić, ale nadal uśmiecham się – mam nadzieję – bardziej szczerze od nich.

– Martin!

Jacek nagle zaczepia kogoś stojącego do nas tyłem przy kolejnym stoliku. Zaskoczony mężczyzna odwraca się w naszym kierunku, a ja od razu rozumiem, dlaczego Jacek to zrobił. Tajemnicza postać ze zdjęcia na pewno na żywo wyglądała jeszcze bardziej dystygowanie i władczo. A może też go gdzieś już widziałam. Tak, to przy nim dopiero można się było poczuć zbyt mało znaczącym i szarym. Świetnie dobrany smoking z połyskującą klapą kremowej marynarki kontrastował z czernią spodni, kamizelki, butów i muchy, ale przy szpakowatych włosach i bladym spojrzeniu naprawdę dobrze to na nim grało. Widocznie odróżniał się od reszty zebranych i to nie tylko wyrazistą powierzchownością, ale czymś, co dało się tylko wyczuć.

– No witam, Jacku. Jednak znalazłeś czas. – Mężczyźni podają sobie dłonie.

– Takie półwiecze! Nie mógłbym sobie podarować. Wszystkiego najlepszego.

– Usłyszałem chyba małą złośliwość. – Martin emanuje dobrym nastrojem, a jego akcent potwierdza, że polszczyzny nie wpajano mu od narodzin.

– Gdzie tam. Ja już swoje przeżyłem dwa lata temu. Gwarantuję ci, świat nie kończy się po pięćdziesiątce. Może trudniej o piękne kobiety i kondycja spada, ale poza tym nic się nie zmienia. – Jacek rozładowuje każde napięcie uśmiechem, po czym przyciąga mnie, ujawniając moją obecność.

– O, widzę, że z tymi kobietami to jednak przesadziłeś. – Mężczyzna odwzajemnia mój powściągliwy uśmiech.

– Wszystkiego najlepszego, panie Martinie – wyciągam do niego rękę.

– Dziękuję, pani... – Martin podaje mi dłoń, ale uściskiem też akcentuje swoją pozycję.

– Lidia – przedstawiam się, patrząc mu prosto w oczy.

– Bardzo mi miło, pani Lidio. Ale myśmy się już kiedyś spotkali.

– A tak... – oświeciło mnie nagle. – Odra-Trade, winda.

Mężczyzna przytakuje.

– Cieszę się, że i pani przyszła. – Widać, że w jego głowie rodzi się właśnie wiele pytań.

– Tak, Lidia jest bardzo spontaniczna – Jacek mówiąc to, mocniej przyciąga

mnie do siebie.

– Ale mi to nie przeszkadza. Wręcz często jest to kobieca zaleta. Ale słyszałem o Adamie... – przeniósł spojrzenie na Jacka.

– Tak. Niestety.

– Ta młodzieńcza porywczość. – Ton głosu Martina na pewno nie niósł współczucia, chyba jednak bardziej dozę reprimendy. – Pozdrów go ode mnie. I mam nadzieję, że niedługo będę miał okazję porozmawiać z twoim synem. Odwołałem też ostatni wyścig, bo teraz nie mam konkurencji. A bez tej odrobiny niepewności jakoś wszystko traci urok. Prawda, pani Lidio? – mówiąc to, właściwie oczekiwał tylko mojego potwierdzenia. Kiwnięcia głową z uśmiechem nic nierozumiejącej maskotki. Sprawiał wrażenie kogoś, kto nie przywykł nawet do słowa sprzeciwu. Tylko że ja nie zamierzałam utrzymywać go w tym przeświadczeniu.

– Nie ukrywam, że doceniam urok rywalizacji, ale niekoniecznie za cenę życia – zauważyłam w bardzo naturalny sposób, jak na zaistniałą sytuację.

– Pani naprawdę myśli, że byłbym do tego zdolny?

Kciuk Jacka nagle wywiercił mi dziurę w boku.

– Zdolny do tego? – lekko odchyłam swoją dłoń z kopertówką, obnażając pręgi na nadgarstku. Szpakowaty śledzi mnie uważnie wzrokiem. Jacek pochmurnieje. Ale ja już dawno zrozumiałam, że ten ze zdjęcia jest kimś więcej niż tylko drobnym celem. – Czy do tego? – odgarniam lekko włosy z lewej skroni, ukazując linię szycia skóry nad okiem. – Bo ja do końca nie rozumiem, co pan ma na myśli przez „porywczość”.

– Czasami cierpią niewinni. Wierzę, że rany się szybko zagoją.

– Tylko co zrobić z bliznami?

– Usunąć. – Martin nie spuszcza ze mnie wzroku, a jego ręka wspiera się odruchowo na oparciu krzesła i powoli zaciska na obiciu.

– Tak, w tym jesteście świetni. – Nie czuję przed nim strachu, chociaż może i powinnam. Tym razem w odpowiedzi milczy. – Jeszcze raz wszystkiego najlepszego, Martinie. Spełnienia marzeń. Chociaż może lepiej, by nie wszystkie nasze pragnienia były tak proste w realizacji.

Poprawiam włosy i rękaw sukienki. Chwytam mocniej kopertówkę. Właściwie też nie mam mu już nic do powiedzenia. Jacek nie pochwała mojego zachowania. Jego wzrok ewidentnie komunikuje „Cholerna alkoholiczka!”.

– Musisz nam wybaczyć, Martinie, ale porywam Lidię na parkiet. Bo to chyba jedyna okazja. – Jacek ratuje sytuację.

– A tak, bawcie się dobrze. – Wymieniamy pozornie uprzejme uśmiechy i już czuję mocniejszy nacisk dłoni Jacka na plecach.

Wchodzimy do mniejszej, dyskretnie oświetlonej sali. Muzyka nadal jest spokojna w ten bardzo pociągający sposób. Kobięcy głos wprowadza dość

sentymentalny nastrój. Jacek wyciąga do przodu prawą rękę, a drugą chce mnie objąć ramieniem. Poddaję się mu. Widzę zaciśnięte usta i karcące spojrzenie jego ciemnych oczu, ale milczę. Skąd mogłam wiedzieć, że trochę mnie poniesie?

Kilka par tańczy obok, wśród nich podstarzały grubas i może dwudziestoletnia krągła blondynka. Jej wysokich szpilek trudno nie zauważyć, jak i szwu na czarnych rajstopach biegnącego przez całą długość odsłoniętych nóg. Dziewczyna bez zahamowań przyciska się do mężczyzny. Wpija się w jego szyję, ręką sięgając krocza mężczyzny. Śmieją się przy tym rubasznie. Jego otłuszczona twarz zlewa się jeszcze bardziej z podbródkiem, gdy obmacuje jej piersi. Po chwili znikają z sali. Pozostali udają, że tego nie widzą.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Adam jest twoim synem? – nie wytrzymuję.

– Sądziłem, że wiesz – odpowiada z udawaną powściągliwością. – Zresztą, to już nie ma znaczenia. Gramy przecież razem.

– To Martin kazał mi to zrobić?

– Lidio, on albo nie on. Na pewno nie chciał, by to tak daleko zaszło. Dlatego pozwolił sprzątnąć Rudego. To był jego człowiek. I trochę zbyt szybko się odsłoniłaś – kwituje to bardzo mało przyjaznym grymasem swojej atrakcyjnej twarzy.

– Władi też dla niego pracuje?

– Jak i wielu innych. Takie są tu zasady.

– A ty, Jacku, z kim tak naprawdę grasz?

– Lidio, mam autonomię – mówiąc to, patrzy mi w oczy, bym miała pewność. – Mogę sobie na to pozwolić. Tomasz też ją miał, dlatego Adam, grając z nim, był bezpieczny. Tylko że teraz wszystko się zmieniło. Rozumiesz?

– Co będę musiała wydobyć od Martina?

– Jeden dokument, dokładnie mapę i kilka plików z dysku – przyciąga mnie bliżej do siebie. – I jeszcze jedną małą rzecz.

– To chyba będzie trudne. – Wtulam się w jego ramię. Kołysujemy się w lekkim obrocie, a jego dłoń schodzi powoli z moich pleców w kierunku pośladka. Mogłam się tego spodziewać.

– To zależy, jak blisko podejdziesz – uśmiecha się znacząco, a dłoń w ostatniej chwili zmienia kierunek i zaciska się na moim biodrze.

– Rozumiem, że mam być bardzo blisko.

– Na pewno już kazał cię sprawdzić, więc teraz się pilnuj podwójnie.

– I nie ma innego sposobu? – chcę się upewnić.

– Gdyby był prostszy niż ten, to gwarantuję ci, już bym to zdobył. Ale taki, niestety, nie istnieje, a nie mam już tyle czasu, by czekać kolejny rok czy dłużej. Lidio, to musi się udać, rozumiesz? – mówi to cicho przy mojej wtulanej w jego szyję twarzy. Z boku wyglądamy na zatraconą w tańcu parę.

- Co ja z tego będę miała?
- Wolność. I to nie tylko swoją.
- Jacku, o co tu tak naprawdę chodzi? – podnoszę wzrok na jego uśmiechniętą twarz.
- Tylko o kasę – odpowiada, zmuszając mnie do wykonania spokojnego obrotu.
- Nie wierzę – rzucam z kpiącym uśmiechem, wracając w jego przyciągające mnie mocno ramię. Kolejny raz przekonuję się, że pachnie zniewalająco.
- Nie myśl tyle o tym – jego twarz wreszcie pogodnieje. – Podobno zabrałaś tego nieznośnego kota do siebie – ewidentnie chce zmienić temat.
- Teraz straszy moich sąsiadów – rzucam żartobliwie, a jego wręcz szpiegowska wiedza na mój temat już mnie nie szokuje.
- Adam pytał ostatnio o ciebie. Dlaczego nie zgodziłaś się u niego zamieszkać? I tak za wszystko ja teraz płacę.
- A co ja bym miała w tym wielkim mieszkaniu robić? Ja i Adam... my nie... – próbuję mu to wytłumaczyć.
- Ja wiem. Dlatego trochę mnie zaskoczył. On ma dwadzieścia dziewięć lat i może rzeczywiście wreszcie coś do niego dotarło. Chociaż jak dotąd... – ucieka wzrokiem gdzieś w przestrzeń sali – wszystko mu się udawało. Takie dziecko w czepku urodzone. I chyba nawet zdążył mnie do tego przyzwyczaić. Wychodził już z gorszych opresji, ale nigdy nikogo nie zabił... dla nikogo i za nic... – mówiąc to, przyciąga mnie bliżej do siebie, a jego usta szepczą prosto do ucha: – Rozumiesz? Nigdy nie był do tego zmuszony.
- Jacku...
- Lidio, ja już spłaciłem ten dług, bo Adam z więzienia i tak nie wykona tych zleceń.
- Zlecenie?
- Ktoś próbuje ustalać nowe zasady. I nie jestem pewien, czy to na pewno Martin. Adam miał zabić – dodaje z naciskiem na drugie słowo. Wyczuwam nagle napięcie mięśni jego ramion. Przyciska mnie bardziej do siebie. – Tego od niego żądali, ale nie chodziło o Rudego, o nie.
- Zabić za dług?
- Zabić i przejąć ludzi, towar, dziewczyny, kontrakty... wszystko. Miał pracować dla Martina. Ale uwierz mi, Adam był ostatnią osobą, która się do tego nadawała. Na pewno chodziło tu o coś innego.
- Na boga, co to za gra?
- Lidio, to gra emocji, złudzeń i zwykłej ludzkiej zachłanności. Jeśli masz pieniądze, to grasz, ale jak ich nie masz... Naiwni idą zawsze na pierwszy ogień. Tylko że Adam nie jest naiwny.
- Ja nie chcę twoich pieniędzy. Ja w ogóle ich nie chcę – bronię się, ale on

nadal trzyma mnie mocno, zmuszając do kontynuowania tańca. To on tu teraz decyduje. – Nie chciałam, by tak się to skończyło. Skąd mogłam wiedzieć?

Odpowiada mi wymownym milczeniem. Skinieniem głowy pozdrawia kolejne znajome twarze. Chyba ja też je rozpoznaję. To ktoś ze zdjęć od Wiesława. Smukły szkielet kończyn, spojrzenie z zacięciem i źle ostrzyżone włosy. Deweloper namiętnie skupujący grunty na wybrzeżu i jego dwadzieścia lat młodsza kochanka.

– I jak myślisz, kto przywłaszczył sobie pozostawioną pulę pieniędzy Raczyńskiego? – Nerski pyta już spokojniej, a jego uścisk łagodnie na moich plecach.

– Adam? – pytam, chociaż kompletnie w to nie wierzę.

– Nie! – Żrenice Jacka zwiężają się prawie do wielkości ziarna piasku. – Adam może jest głupcem, ale nie jest pazerny. Jemu nie chodziło o kasę.

– To dla kogo to zrobił?

– No właśnie. Tego będziesz musiała się dowiedzieć – uśmiecha się, jakby mówił „Dziecinko, to takie proste”.

– Czego ty ode mnie chcesz? Wiesz, że mogę nie dać rady? – stoję w miejscu.

– Myślę, że się nie doceniasz – jego dłoń wędruje na mój policzek. Pochyla się i próbuje mnie pocałować.

Zdaję sobie sprawę, że to tylko gra pozorów. Gra dla tych, którzy ukradkiem śledzą nas wzrokiem z rogu sali, dla tych, którzy powinni to zobaczyć i ustawić nas w hierarchii. Dla tych, którzy żądali od Jacka dowodu przyjęcia ich zasad, mojego dostosowania i uległości. Przecież z tego powodu musiał mnie tu przyprowadzić. By udowodnić im, że ma nade mną kontrolę. Zrobił to dla tych, którzy w cieniu rozgrywają najważniejsze partie i podejmują ostateczne decyzje.

– Proszę nie! – nie wytrzymuję, odwracam głowę i wyrywam się z objęć Jacka. Uciekam przed jego dłońmi.

– Lidia – karci mnie i chce zatrzymać.

– Daj mi chwilę – rzucam, powstrzymując jego dłoń przed ponownym przysunięciem się do mnie. Dostrzegam złość w jego oczach. – Idę do toalety. – Milczę dłuższą chwilę. – Muszę – naciskam.

– Dobrze – odpowiada, mrużąc oczy – tylko się nie zgub. Z grzeczności odprowadza mnie do drugiego wyjścia prowadzącego prosto do holu. – Będę się gdzieś tutaj kręcił.

Najchętniej bym stąd uciekła. Nie chcę wchodzić w ten świat. Nie chcę poznawać tych ludzi. Nie chcę, by kierowali moim życiem. Muszę się uspokoić i pomyśleć.

Wchodzę głębiej w korytarz. Przy toalecie jest kolejka, jak to zawsze przed damskim przybytkiem. Wiem, że nie ustoję cierpliwie. Te kobiety w bardzo

drogich sukniach i jeszcze droższych fryzurach po prostu miażdżą siebie wzrokiem, oskarżają o zdradę męża, kradzież kochanka, wydrapują w myślach oczy. I tylko dwie szczebioczą o ostatniej wizycie w SPA i poprawionym biuście koleżanki. Implant wypadł jej w trakcie wspólnych ćwiczeń na treningu i okazał się większym rozmiarem niż mówiła.

Ruszam na schody. Wchodzę na pierwsze piętro. W korytarzach panuje półmrok. Sprawdzam kolejne drzwi pokoi, bo przecież w każdym z nich jest łazienka. Tu są zamknięte. Korytarz z drugiej strony. Dziwne jęki. Klęcząca blondynka w tych niebotycznych szpilkach i ten obleśny grubas z farmacji ze spuszczoneymi portkami. Do cholery, ona zrobiła mu to ustami, a teraz cała jej broda spływa jego nasieniem. Odwraca głowę w moim kierunku. Wygląda jakby była naćpana. Trochę mi niedobrze. Jednak jeszcze zbyt mało wypiałam, by ten widok po prostu wydał mi się zabawny.

Od razu zawracam. Idę piętro wyżej. Sprawdzam klamki. Jedne drzwi ustępują. Wiedziałam! Wchodzę do środka i też nie domykam drzwi. Pokój jest przestronny i pusty, a przez wysokie okna wpada jedynie smuga niebieskawego światła. W półmroku dostrzegam po chwili ogromne łóżko, dwa fotele i drzwi łazienki. Wybawienie. Tu już zapalam światło przy lustrze i z wyraźną ulgą korzystam z toalety. Myję ręce, jak każdy z zawodową obsesją czystych dłoni, ale jeszcze nim zdążę je wytrzeć w złożony miękki ręcznik frote, moich uszu dochodzą kolejne odgłosy czyjejś namiętności. Gaszę światło i zastygam w bezruchu, bo ktoś wpada do pokoju. Zatrzaszkuje drzwi za sobą. Po ciemku objaja się o kolejne meble. Ewidentnie jest ich tam więcej niż dwoje. Diabli by to!

Namiętne odgłosy pocałunków, ściąganego ubrania i sprawianej przyjemności nie cichną, a wręcz są coraz bliżej. Po chwili docierają chyba na łóżko. Stare drewno trochę skrzypi, gdy ciała opadają na pościel. Teraz dostrzegam ich cienie przez szparę niedomkniętych drzwi łazienki. Dwie długowłose dziewczyny rozbierają mężczyznę. A on obłapia je i przyciąga co chwili do siebie. Są rozbawieni. I gdy tylko mężczyzna wreszcie jest nagi, to jedna z nich polewa go szampanem, a druga zaczyna go zlizywać, wodząc językiem po jego skórze. Powoli kieruje się do krocza. Resztką szampana spływa już po drugiej dziewczynie, a mężczyzna liże jej brzuch i piersi. Butelka ląduje na ziemi.

No tak. Trochę trudno się będzie stąd wydostać niezauważoną, ale może zaraz skończą. Słyszę odgłos intensywnej pracy ust dziewczyny, gdy druga całuje mężczyznę po torsie i twarzy. Ten odpycha ją nagle, zmuszając do położenia się obok, i jęczy w rozkoszy spełnienia. Dziewczyna podnosi się znad jego krocza i po chwili wypluwa zawartość trzymaną w swoich ustach prosto na piersi leżącej. Jego nasienie spływa z jej śliną, a on powoli dłonią wciera to w skórę kobiety. Okrężne ruchy pocierają jej sutki i zgniatają piersi, sięgając pępka. Dziewczyna jęczy z udawanym zadowoleniem, a on wkłada w jej usta swoje dwa palce. Ssie je, wijąc



się z przyjemności. Jego ręką sięga jej policzków, czoła i włosów. Cała się już klei, gdy w końcu daje znać drugiej dziewczynie, a ta wchodzi między jej nogi i szeroko rozwiera leżące uda. Zanurza się głęboko i drażni łechtaczkę. Druga dłoń mężczyzny powoli schodzi na szyję jęczącej i zakleszcza swój uścisk. Dziewczyna wydaje charkliwe odgłosy, ale nie przestaje jęczeć. Po chwili szczytuje w cichych konwulsjach, ssąc nadal palce mężczyzny. No ładnie, teraz to już mam pewność, że szybko się to nie skończy. Oni tak mogą do rana. Podejmuję męską decyzję. Ewakuacja. Rozchyłam drzwi bardziej, zdejmuję szpilki i po prostu wychodzę. Bezszelestnie stąпам po dywanie kocim krokiem, licząc, że jednak uda mi się opuścić ten pokój.

– Ooo, Lidia? – Niech to szlag! – Może się jednak do nas przyłączysz? To mój prezent od znajomego. Też miałem niedawno urodziny. Może nie pięćdziesiąte... – mężczyzna śmieje się, gdy jedna z dziewczyn wkłada mu język między wargi i przygryza je.

Obracam się, nie ukrywając lekkiego skrępowania sytuacją, ale męski głos zgadza się ewidentnie z obliczem obnażonym przez żółte światło zapalanej nagle lampki przy naprawę sporym łóżku z baldachimem.

– Nie chciałam przeszkadzać, Władimirze. Szukałam tylko łazienki.

Widok trzech nagich osób i skonsternowanej blondynki zasłaniającej się kopertówką i szpilkami zapewne z boku wydaje się nawet bardzo zabawny. Robię krok do tyłu, bo w mojej głowie płaczą się teraz bardzo skrajne myśli.

– Ależ, proszę, nie wychodź. Może jednak się czegoś napijesz? Zaraz zamówię – mówiąc to, unosi się na łóżku, obnażając swoją nagą sylwetkę. Cały czas jest podniecony. Odpycha przy tym zachłanne dłonie dziewczyn, które próbują go powstrzymać przed ich opuszczeniem. To chyba dwie wyjątkowo młode i niepodważalnie atrakcyjne Ukrainki.

– Nie, dziękuję – uciekam wzrokiem i zaczynam się szybciej wycofywać w kierunku drzwi. – Jacek pewnie mnie już szuka.

Ale on wstaje z łóżka i idzie w moim kierunku. Drzwi są tuż obok. Odwracam się i naciskam klamkę. Słyszę, jak biegnie.

– Lidio... – jego dłoń naciska na drzwi. Znów się zamykają z hukiem, a mężczyzna nie pozwala mi ich otworzyć. – Nalegam... – patrzy na mnie z góry, gdy ja walczę z jego siłą nacisku na drewno.

– Władi, proszę – odpuszczam sobie walkę z klamką, bo i tak na nic się to zda. – Te panie się tobą dobrze zajmą. Szkoda, by taki prezent się zmarnował.

– Prezent jak prezent. Zaraz je odeślę.

– O nie, szkoda fatygi – słodki obiecujący uśmiech i już chyba bardziej naiwnej z siebie nie zrobię. – Władi, naprawdę aż tak ci na tym zależy?

– Wiem, że źle zaczęliśmy naszą znajomość...

Uciszam go, kładąc palec na jego ustach, a on po chwili zaczyna go ssać,

blagając spojrzeniem o jeszcze.

– Daj mi chwilę – wyciągam swój palec z jego ust z odgłosem odkorkowywania wina, ale to, co pojawia się w mojej głowie, na pewno nie będzie dla niego mile. Nawet nie wiedziałam, że perwersyjne myśli mogą mnie tak podniecić. – Zaraz przyjdę. – Zawracam do łazienki, ale nie wchodzę tam sama, bo jedna z dziewczyn wzrokiem prosi, bym ją przepuściła.

I owszem, przepuszczam ją przodem, ale wchodzę zaraz za nią. Długowłosa płucze usta pod kranem, a ja domykam drzwi i sięgam po kubek postawiony na półce pod lustrem. Dziewczyna obmywa twarz i patrzy na mnie pytająco, a ja pokazuję jej, by oddała mocz do tego kubka. Robi się podejrzliwa.

– Uwierz mi, on to uwielbia – jestem wyjątkowo przekonująca. I jeszcze w drugi kubek zbieram odstającą wodę z muszli klozetowej. Skapuję też coś ze szczotki czyszczącej wewnątrz sedesu. Ukrainka oddaje mi w połowie wypełniony moczem kubek, a ja nie mogę się powstrzymać. – A nie masz może ochoty się wypróżnić? – kiwa przecząco. No nic, to byłoby zbyt wiele szczęścia naraz.

Tak. Moje perwersyjne myśli na temat Władimira są bardzo podniecające. Sprawdzam tylko, czy oby na pewno moja awaryjna prezerwatywa znajduje się w kopertówce. I na nieszczęście dla niego są nawet dwie. Zlewam fekalną wodę razem z moczem. Kubek odstawiam na półkę. Powoli rozpinam sukienkę. Czarna gładka bielizna może nie jest tak seksowna, jak ta ostatnia, w której miał okazję mnie widzieć, ale cóż. Nie planowałam tego i to na pewno dzisiaj. Wychodzę i widzę jego pożerające mnie tęczęwki w dwóch różnych kolorach. Śmieję się, a on ślini usta.

– Wład, ale trochę się zabawimy, dobrze? – uprzedzam go.

– Jak tylko chcesz. Od razu wiedziałem, że z ciebie to taka purytanka, jak ze mnie prawiczek. Rób ze mną, co tylko sobie życzysz.

– Dobrze – podchodzę bliżej. Wchodzę na łóżko i staję nad nim okrakiem. – Tylko się nie ruszaj. Rozumiesz? – W odpowiedzi kiwa głową. – I mnie nie dotykaj! – Ta władczość nawet mi się podoba.

– Lubię zaborcze dziewczynki.

Moją prawą stopę w czarnej szpilce stawiam na jego klatce piersiowej. Naciskam i chyba bardziej jęczy z bólu wywołanym miażdżeniem dwunastnicy obcasem, niż z podniecenia. Powoli opuszczam pończochę. Bardzo powoli zwijam ją, pochylając się nad nim. Nadal się ślini i próbuje macać mój tyłek, ale w zamian dostaje policzek.

– Co mówiłam? – warczę. I już nie próbuje. Za to pomaga mi nawet zdjąć pończochę, przytrzymując szpilkę. Rzucam mu ją w twarz, a moja stopa od razu wraca do buta. Podobnie robię z drugą. Wącha je jak stary fetyszysta, a ja skinieniem daję znać jednej z dziewczyn, by je mu zabrała. – Przywiążcie mu ręce do łóżka. Tylko mocno – mówię bardzo opanowanym głosem, a Ukrainki robią to

bez większych oporów.

Władimir poddaje się z pełnym zadowoleniem wiązaniu nadgarstków. Chyba nawet go to jeszcze bardziej podkręca. Dziewczyny dodatkowo drażnią jego twarz spływającymi im z ramion włosami. Odgryza im końcówki i wypluwa na bok.

Schodzę z łóżka i sięgam po jego odrzucony na bok krawat. Będzie cierpiął tylko dlatego, że nie znał ogólnie przyjętych zasad „black tie”. Oj, będzie... Ale znowu muszę odrzucić skrajne rozwiązania pojawiające się przed oczami. Nie mam technicznych możliwości. Dziwię się, z jaką łatwością panuję nad tym, co dzieje się w mojej głowie i żołądku.

Wracam do łazienki po kubek i stawiam go bliżej łóżka. Czuję już wyraźny zapach alkoholowej uryny. Dziewczyna dobrze się spisała.

– Władi, chcę cię trochę ukarać – ponownie staję nad nim okrakiem, a on się tylko śmieje. – Ale wiem, że ty to bardzo lubisz.

– Oj, lubię, lubię.

– Chcę, byś dobrze zapamiętał nasze spotkanie.

Patrzę na dziewczyny. Chyba rozumiemy się bez słów, bo wystarcza moje skinienie, by ten czerwony tandetny krawat skrępował mu nogi na wysokości kostek. Zrobiły to wyjątkowo mocno i z dziwną satysfakcją. Władimir jęczy zniecierpliwiony. A one uśmiechają się w ten perwersyjny sposób, jakby dokładnie widziały, do czego zmierzam. Zdecydowanym kiwnięciem głowy proszę je, by wyszły z pokoju. Nie potrzebuję świadków. Robią to trochę niechętnie, posyłając skrępowanemu mężczyźnie ostatnie pocałunki. Zabierają też swoje ubrania.

– Zmieniłaś zdanie? – Władi pyta, nie dowierzając.

– Troszeczkę – śmieję się, pokazując mu ukrytą wcześniej w moich figach prezerwatywę.

– No dawaj malutka, bo oszaleję.

– Być może...

Powoli zsuwam z bioder swoje czarne figi. I widzę, że najchętniej ugryzłby mnie w tyłek, bo podrywa się do góry niczym lew trzymany w dybach pończochy. Szarpie dłońmi materiał, ale on się lekko naciąga i tylko mocniej zaciska na nadgarstkach. A ja w tym samym momencie patrzę na swoje ciemnobrązowe pręgi od bandaży, które sam mi wiązał. Co prawda rany się zagoiły, ale trudno jest nie dostrzec poprzecznych śladów czyjegoś bestialstwa na lędźwiach, łopatkach, blednących siniaków na biodrach, udach i skórze ramion. Naprawdę trudno ich nie zauważyć nawet w tym półmroku.

Pochylam się nad skrępowanym i patrzę mu w te zdradliwe oczy.

– Chcę, byś sobie coś wyobraził, byś poczuł to bardziej – szepczę mu przy uchu, naciągając swoje figi na jego głowę, tak by nic nie widział.

Siwowłosa poddaje się temu, napawając się ich zapachem, co tylko utwierdza mnie, że to, co chcę zrobić, zaboli go bardzo. Niech cierpi. Niech ma

czas zrozumieć.

I dopiero teraz siadam na jego udach i patrzę na ten wzwód sterczący z jego krocza.

– No... – niecierpliwi się. – Zrób to wreszcie. Weź go najpierw w usta.

Rozrywam opakowanie i wyciągam lateksowy zwój. Rozwijam go i kładę obok. Trochę ślizga mi się w palcach.

– Lidio.

– Tak, Władi?

– Co jest?

– Zastanawiam się.

– No nad czym tu myśleć. Po prostu to zrób!

– Może masz rację.

Sięgam po prezerwatywę, owijam ją wokół jego jąder i zaciskam mocniejszym supłem. Władimir reaguje w przewidywalny sposób. Krzyczy z bólu i zaczyna się wić, ale siedzę na nim, przytrzymując mu uda.

– Kurwa, popierdoliło cię! Zdejmij to zaraz, dziwko!

– O nie. Nie ma mowy Władi. Męcz się. Tak jak ja musiałam, gdy on mnie bił i gwałcił, a ty się temu przyglądałeś.

– Kurwa! – wyje z bólu.

– Tak, dokładnie tak. – Schodzę z łóżka, na którym mężczyzna wije się i krzyczy jak poparzony. Rzuca się, ocierając o pościel, ale to tylko zakleszcza lateksowe kajdany.

Mam te parę chwil tylko dla siebie. Dla swojej perwersyjnej satysfakcji. Niech cierpi. Wracam do łazienki i ubieram nieśpiesznie sukienkę. Wychodząc, przypominam sobie jeszcze o kubku. Podchodzę bliżej do jego prawie purpurowej spoconej twarzy owiniętej w moje figi. Udało mu się odsłonić jedno oko. Patrzy na mnie z nienawiścią. Chwytam jego szczękę i rozwieram ją siłą. I tak musi w ten sposób łąpać oddech, bo ból nie pozwoli na spokojny przepływ powietrza. Przechylam kubek. Bulgocze, gdy wlewam mu całą fekalno-urynową zawartość. Dławi się, ale w części połyka.

– Grzeczny chłopiec – klepię protekcjonalnie jego policzek. Wycieram dłonie o bordowy materiał narzuty. – To była i tak z mojej strony grzeszność – kubek ląduje na szafce. – Zawsze mogłam zrobić to żyłką. – Tu pokazuję mój naszyjnik ze sztucznych pereł, który byłabym w stanie poświęcić dla małej zemsty. – I nie szarp się tak, bo zrobisz sobie krzywdę.

– Popierdolona dziwka!

– Nazwij mnie tak jeszcze raz, to będziesz tu jęczał do jutra.

Nagle przypominam sobie coś i podchodzę do jego rzeczy rozrzuconych na podłodze. Tak jak się spodziewałam, w wewnętrznej kieszeni marynarki znajduję nóż. Zawsze gardziłam takim sposobem załatwiania spraw, ale z tymi ludźmi chyba

inaczej nie można. Wracam na łóżko, a obnażone ostrze zatrzymuje się dokładnie na jego mostku.

– No, Władi, a teraz jak każdy grzeczny chłopiec powiesz mi, kto kazał się ze mną wtedy tak zabawić. – Nadziewam go na czubek, a on wiję się. Płynie krew. Ale on milczy nadal, szarpiąc się w bólu. Chyba już nawet nie ma siły na przekleństwa pod moim adresem. Ucisk na jądrach powoli odbiera mu chęć do walki. Widzę błaganie w jego oczach.

– Nic ci nie powiem – syczy po chwili, spływając potem. Podkula nogi.

– Jak sobie chcesz... – mówiąc to, wstaję z łóżka i zaczynam zbierać jego rzeczy. Ruszam do drzwi i sięgam po zawieszkę NIE PRZESZKADZAĆ.

– Kurwa, zaczekaj... – Jednak mięknie.

– Czy to był Martin? – pytam, nawet nie odwracając się w jego kierunku. Zawieszka ląduje na klamce.

– Nie – jęczy.

– To kto? – rzucam rzeczy na podłogę. Do łóżka mam trzy kroki, instynktownie przysuwam nóż do jego krtani. – Gadaj! – Napieram nożem bardziej, tak że z ledwością przelżyka ślinę.

– Ktoś z Moskwy.

Odsuwam ostrze i patrzę w jego załzawione oko. Wątpię, by kłamał.

– Gdzie go znajde?

– To tak nie działa – jęczy, błagając jednym okiem o litość. – On daje zlecenia i płaci.

– Władi, rozetnę to – wskazuję na jego schwycone w lateksowy uścisk jądra – a ty mi wszystko grzecznie opowiesz. Dobrze? – kiwa nerwowo głową, a ja naprawdę żałuję, że jednak muszę to zrobić. – Tylko się nie ruszaj. – Czubek noża zahacza o krawędź prezerwatywy, a lateks pęka, uwalniając jego bardzo cenną część ciała z potrzasku. Można tylko lekko krwawi. Władimir wydaje z siebie bardzo głęboki odgłos ulgi, ale chyba nadal czuje rozsadzający podbrzusze ból. Ostrze na wszelki wypadek trzymam przy jego kroczu. – No to teraz gadaj, łajzo, i to od samego początku. Wszystko.

Ściągam mu z głowy swoje majtki, ale widzę, że Władimir zaczął się wahać. Nóż dźga go dość boleśnie w opadły członek. Chyba potrzebował tej motywacji.

– Poker był ustawiany. Adam miał po prostu przegrać wszystko, co miał, z pomocą Wiktorii – wyrzuca to z siebie i odczuwa nieukrywaną ulgę. Może to sumienie przestało go piec, bo na pewno nie można.

– Tej rudej? – przerywam mu.

– Tak. I wszystko szło zgodnie z planem, dopóki nie okazało się, że masz takiego cholernego farta. Nie powinnaś była pożyczać mu tej kasy. Nie od ciebie miał ją dostać. Nie powinnaś była się w ogóle w to wtrącać. A Tomasz był naiwny, sądząc, że gdy będziesz z Adamem, to nikt nie dobierze ci się do dupy.

– Władimir.

– Trzeba było podpisać ten pierdolony weksel i przejść pod moją opiekę, jak cię prosiłem, to nic by się nikomu nie stało. Ta sprawa akurat ciebie nie dotyczyła. Rozumiesz? – Kręcę przecząco głową. Chcę wyjaśnień. Chcę wiedzieć wszystko. Do cholery! – Rudy ostatnio był nie do opanowania. Zresztą chyba nigdy go nie kontrolowaliśmy. Robił, co chciał i kiedy chciał. Ale skurwiel był skuteczny – kontuuje spokojniej. – I nie myśl, że ta dziewczyna, Daria, była pierwsza, że ty byłaś wyjątkiem. On już wcześniej robił takie akcje. Zawsze trzeba było po nim sprzątać. Kurwa – znowu milknie na moment. Brzydzą go jego własne myśli. – Dwa razy zamiatałem po nim. Dwa razy, bo Tkacki kazał uciszyć jego sprawę, by gliny nie węszyły tam, gdzie nie potrzeba. A nie ma nic gorszego niż nadgorliwy „pies” bez smyczy. Rudy zbyt wiele wiedział. Był jak tykająca bomba. Wiedzieliśmy, że kiedyś wybuchnie.

– Tak... I za jednym zamachem pozbyliście się Rudego i Adama – kpię.

– Mylisz się – reaguje od razu. – Adam miał robotę do wykonania. Martin już wcześniej złożył Adamowi propozycję szybkiego awansu. W grę wchodziło sprzątnięcie łysego i jeszcze paru. Chodziło o zdobycie mapy od Ukraińców. Ale Adam zmiękł. On nie nadaje się na głównego gracza.

– Nie to co ty.

– A żebyś wiedziała – mówi dość hardo, jak na sytuację, w jakiej się teraz znalazł, i bliskość ostrza, które w każdej chwili mogło pozbawić go perspektywy tych drobnych przyjemności w życiu. – Martinowi się nie odmawia, bo jak zauważyłaś on i tak dostaje swoje. Zbyt wiele od niego zależy. Za to ktoś z Moskwy ostro rozdaje karty i jedna z nich wskazała na Adama Nerskiego.

– Przestań mydlić mi oczy. Kim jest człowiek, który kazał mi to zrobić? – pytam, a ostrze znów przeprowadza małą dywersję na jego krocze.

– Nie wiem, do cholery! – wrzeszczy, ale ja nie odpuszczam, czując, że tym razem jednak kłamie. Znów popłynęła krew. – Już ci mówiłem – warczy. – Chodzą plotki, że to ktoś od Kurylenki z MCE Holding. Może jeden z jego „chłopców”. I do cholery nie wiem kto. Działa pod przykrywką, ale ma kasę. Nie można go ignorować – dodaje zimno. – To on sporo oferował za przekonanie Nerskiego, że jednak Martin ma rację, zlecając mu te zabójstwa, a ci ze Wschodu mają grać według jego zasad.

– Czyli?

– Dzielić się kasą i słuchać tego, co się im mówi. Ci z Kijowa już od dawna kombinują coś z Turkami. Stąd też na własną rękę próbowali zdobyć tę mapę. Ale durnie się przeliczyli... – fuka z odrazą. – Kombinowali, i to ostro, bo nie wszystko trafiało od dostawców na statki, część w ogóle nie opuszczała Rosji. Martin szybko się w tym połapał.

– Przemyt na Ukrainę?

– Nie, Kijów, Odessa, Sewastopol to tylko miejsca kontaktowe. Wszystko idzie dalej na Zachód. Zamawiane są konkretne ilości. Z Krymu odpływają dwa kontenerowce w miesiącu i albo jest na nich towar, albo go nie ma. To kurewsko ryzykowna operacja. Ale na Ukrainie można dużo więcej. To tylko kawałek Rosji, a że chcą się nazywać inaczej...

Nie wiem, czy o takie informacje chodziło Jackowi Nerskiemu, ale ja nadal nic z tego nie rozumiem. Władimir od razu zauważył moje wahanie i jednoznacznie patrzy na nóż trzymany przy jego kroczu. Sugestywnie wykrzywia usta. Odsuwam się od niego.

– A co ma do tego Adam?

– Adaś zna bardzo dobrze język, a te małe kamyczki to jego specjalność. Sam przemycał większe okazy dla kogoś z Londynu. Ma już stałych klientów. Na Ukrainie miał pilnować jakości towaru i dostawców. Mieliśmy współpracować, by zapobiec ewentualnym problemom – milknij na moment. – Szykują się jakieś większe dostawy. A Jacek miał mu w tym pomóc.

– Jacek też w tym siedzi?

– Próbuje być neutralny, ale jak długo mu się to uda? Powiedzmy, że sytuacja Adama miała mu trochę jaśniej uzmysłowić jego pozycję. Ostatnio wszyscy umoczyli. Jedni bardziej, drudzy mniej. Teraz każdy ratuje swoją dupę, jak potrafi. Kryzys nie jest wymysłem prasy. On po prostu jest.

– Co to znaczy „umoczyli”?

– Kiepskie inwestycje. Odpływ sporej gotówki. Stąd nacisk na Ukraińców. Brakuje kilku miliardów.

– Ze wspólnych interesów na Wschodzie?

– Z giełdy. I nagłego skoku ceny złota i ropy. Ktoś ostro manipuluje rynkiem. Opłacalne są tylko kamienie.

– Diamenty... – mówię to właściwie sama do siebie.

– Też...

– Inne kamienie szlachetne... – dopytuję, bo wreszcie Władimir powiedział mi coś, co miało sens i wiązało się z informacjami podsuniętymi mi przez Wiesława, a dokładniej z syberyjskimi złożami.

Nie daje mi odpowiedzi. Tylko się śmieje porozumiewawczo.

– Ale od września jest mały przestój – odzywa się dopiero po chwili. Już nie wygląda na kogoś, kto ma opory, by wszystko mi powiedzieć. Trochę zaskakuje mnie swoją chęcią współpracy, a może liczy też na moją wiedzę.

– Od września... – teraz ja się śmieję. Wszystko się zgadza. Ten wywiad z „Forbesa” musiał im trochę namieszać.

– Jakiś nadgorliwy naukowiec postanowił ogłosić w prasie, jak duże są to złoża, a później jego kumpel zwał z ważnymi informacjami. Ktoś chyba chciał obniżyć hurtowe ceny i wyeliminować konkurencję z Europy. Dużo przez to

straciliśmy. Na szczęście w dobie wirtualnego bełkotu i internetowych anonimowych komentatorów można wszystkiemu zaprzeczyć i wyśmiać. To akurat było proste. Nikt już nie wierzy w to, co oficjalnie mówią Rosjanie.

– A co mają do tego Ukraińcy?

– To cholerni sprytni przemytnicy. Załatwią ci wszystko, co chcesz. Mówisz i masz. Najważniejsze jest to, że posiadają, tak jakby, wyłączność na plany dostaw z Norylska. Wiedzą, komu zapłacić, co jest w którym wagonie i ile z tego może wyparować, by się nikt nie w temacie nie połapał. Może dlatego ostatnio zmienili stawki. Wywierają presję, nie są już tacy tani. Próbują się uniezależnić. Wydawało im się, że tylko oni mają te pieprzone mapy.

– Mapy?

– Bardzo cenne mapy – te jego dwie różne tęczówki wpatrują się we mnie karcąco. – Ty zupełnie nic nie rozumiesz – śmieje się. – Lidio, na tym świstku papieru zaznaczone są konkretne miejsca. I to o nie nam chodzi. Tam są te właściwe diamenty, te inwestycyjne, w których ulokujesz połowę swojego kapitału i wyjedziesz z walizką na Kajmany. Na tym się nie traci. Są jak pewna emerytura. A najważniejsze, że nie ma z nimi tyle problemu, bo łatwo zmieniają właściciela. Lidio, tu nie chodzi o przemysłowy hurt drobnicą. To poboczna sprawa – mówiąc to wzdycha pobłaźliwie, jakby musiał dziecku tłumaczyć znaczenie tabliczki mnożenia. – Martin kazał oszlifować parę próbek. Są lepsze niż przypuszczaliśmy. Już przyszły spore zamówienia.

– Ale każdy diament, czy inny kamień szlachetny w sprzedaży musi mieć certyfikat. Jak chcecie wpuścić je na rynek? – nagle odzywa się we mnie trzeźwa ocena tego, co mi powiedział.

– O to się nie bój – przymyka powieki. – Powiedziałem ci i tak sporo, ale nawet się nie łudź, że akurat tego dowiesz się ode mnie. Zresztą, Lidio, po co ci to? To już na pewno nie twoja sprawa – mówiąc to, zmienia ton. – No chyba że chcesz wejść w ten interes. Właściwie to nie takie głupie...

– Czysta ciekawość – tłumaczę, a on się znowu śmieje. Nie mam zamiaru naciskać, chociaż trochę mnie korci.

– W tej grze ciekawość czasami bardzo źle się kończy – polemizuje, próbując kolejny raz uwolnić swoje nadgarstki. Kręcę tylko głową i cmokam, by zrozumiał, że musi mi dać coś jeszcze, aby odzyskać wolność. – Ten geolog, który nam uciekł na Ukrainie, ten dobry znajomy nadgorliwego profesorka, miał cholernego farta – kontynuuje po chwili. – Znalazł coś jeszcze. Ale Kurylenko to kompletny analfabeta. Gaz łupkowy, kurwa... Durnie! Kto im to powiedział? Chyba jakiś zdesperowany umierający kretyn. Bo na pewno nie ten łysy profesor, Wiśniewski, któremu najpierw poderżnęli gardło we Lwowie, a później zorientowali się, że nic nie mają oprócz paru świstków papieru i setek danych z odwiertów.



– To co tam jest? – pytam zaskoczona szczerością jego wypowiedzi.

– A skąd mam to wiedzieć? Ale na pewno wie to ten doktor, Jankowski. To chodząca skarbnica wiedzy. Bardzo kosztownej wiedzy – mruga nerwowo oczami.

– Dlatego trzeba się go pozbyć? – Nietrudno zauważyć moją konsternację.

– Nie, dlatego szukają go już dwa miesiące. Zniknął. Przepadł jak kamień w wodę zaraz po wrześniowej konferencji w Moskwie. A może już znalazł kupców na swoje informacje i siedzi na Seszalach – rechocze. – Przecież nikt nie odważyłby się teraz tak po prostu go zabić.

– Władimir, wy to na wszystko macie jedno rozwiązanie.

– Lidio... – obdarza mnie uśmiechem politowania i cmoka głośno ku mojej twarzy. – Przecież już sama w tym siedzisz i chyba nawet nie zdajesz sobie sprawy jak głęboko.

Odpowiadam mu zimnym uśmiechem. Nie mam zamiaru dać się wciągnąć w te gierki.

– Kto przejął kasę z puli Tomasza?

– A co ciebie tak to interesuje?

– Władi, po prostu mi odpowiedz.

– Nie wiem. Może jego córka, a może Adam.

– A może to ty Władi.

– A może ja – jego uśmiech powiedział mi wszystko.

– Władimir, jesteś głupszy niż myślałam – odwiązuję jeden ze sznurów spinających półprzezroczyste zasłony łoża.

– Co ty robisz? Rozwiąż mnie. Przecież powiedziałem ci wszystko. – Władi reaguje paniką na widok zbliżającego się do jego twarzy sznura. Szybko wpycham mu go między usta i udaje mi się go związać z tyłu.

– Nie wysilaj się. – Zakneblowany mężczyzna rzuca się w więzach i chyba przeklina. – Przecież nie mówiłam, że cię po prostu puszczę.

Wstaję i poprawiam sukienkę. Jego nóż zostawiam na łóżku, niedaleko twarzy. I tak nie sięgnie, ale niech chociaż próbuje. Kierując się do drzwi pokoju, ponownie zbieram jego części garderoby. Nie zamierzam ich tu zostawiać. Niech cierpi i niech czuje się upokorzony. Pokuta musi boleć. Po czym gaszę światło w pokoju.

– Władi... – odwracam się jeszcze, nim wyjdę. – Nawet nie próbuj o tym komuś pisać słówka, bo twój przydomek przyjmie zupełnie inne znaczenie. Siwy jeszcze może brzmieć godnie... – otwieram drzwi i już jestem praktycznie za progiem, ale jego niezrozumiałe charkanie w ciemności przypomina mi jeszcze o czymś. – Aaa, przekaż Wiktorii, że ją gorąco pozdrawiam. I jeśli jeszcze raz wejdzie mi w drogę lub Adamowi, nie będę tak miła, jak dzisiaj dla ciebie. Domykam drzwi i dopiero czuję ulgę. Zawieszczę NIE PRZESZKADZAĆ

zakładam na klamkę i niknę w półmroku korytarza. Nie, nie czuję satysfakcji. Adrenalina jeszcze mi na to nie pozwala.

Ubranie Władimira wrzucam do kosza z brudną pościelą zostawionego przez panią sprzątającą.

Czuję się właściwie pozbawiona złudzeń, a uwikłanie w tej sytuacji powoduje kompletny chaos w myślach. Diamenty, Norylsk, przemytnicy, Kurylenko, Adam, Odessa, mapa... Co jeszcze?

Po co Nerski mnie w to wciąga? Jeśli liczył, że pomogę mu w tym przemyście, to się cholernie pomylił. Skoro Martin Tkacki jest w posiadaniu mapy tego cennego złoża, to czemu po prostu nie zrobią z niej użytku? Dlaczego mam ją mu ukraść? Coś tu ewidentnie nie gra. I kolejny raz pojawia się w myślach jedyne logiczne rozwiązanie, które podsuwa mi intuicja. Ucieczka. Tylko dokąd i z czym paszportem? Do diabła!

Schodami wracam na parter. Kelner z szampanem praktycznie sam na mnie wpada, a ja nie odmawiam sobie całej lampki i jeszcze jednej. Od razu lepiej. Wracam do stolika nastrojowo przygaszonej sali. Siadam na krześle, a szampan buzuje mi w ustach. Jego słodkawy zapach miło drażni i rozbudza ochotę na więcej. Serce powoli zwalnia rytm, a przepona zmniejsza amplitudę skurczów.

Srebrne sztucce połyskują teraz w ciepłym świetle świec wysokich lichtarzy stojących na środku stołu, biel talerza zadziwia swoją głębią, a obrus bez żadnej plamy wydaje się wręcz nieludzko czysty. Dziwne, nie zauważyłam tego wcześniej.

Naprzeciwno dosiada się para. Wymieniamy uśmiechy. Muzyka płynąca z sali obok uspokaja i koi. Moje myśli krążą przy decyzji o podejściu do baru na szota z tabasco, ale wzrok nie może oderwać się od srebrnej patery. Jedno nadgniłe grono może tyle popsuć. Jedno w całej jędrnej i zdrowo wyglądającej kiści winogron. Jedno... jedyne...

– Ty rzeczywiście potrafisz lśnić cieniem – głos Jacka przywołuje mnie na ziemię. Uśmiecha się i siada obok na krześle. Łokcie wspiera o oblat i obraca tę idealnie owalną twarz w moim kierunku. – Lidio, twoje oczy płoną. – Jego słowa wywołują dodatkowy rumieniec na moich policzkach. – I chyba nie chcę wiedzieć, z kim byłaś tyle czasu. Po prostu mu zazdroszczę – patrzy na mnie wyczekująco.

– O nie, na pewno nie chciałbyś być na jego miejscu – uśmiecham się i wzdycham z chwilowym poczuciem ulgi. Wyrwał mnie z bardzo nieprzyjemnych krain mojej podświadomości. – Uwierz mi – dodaję.

– Jednak chciałbym, by oczy kobiety płonęły na mój widok, dokładnie tak, jak twoje teraz – milknie i sięga do mojej dłoni bawiącej się szyjką kieliszka od szampana. Palcami gładzi jej wierzch bardzo delikatnie. – Przepraszam cię, jeśli byłem nachalny.

– Po prostu o tym zapomnijmy – przerywam mu i upijam resztkę szampana.

– W tej grze zbyt wiele rzeczy nie rozumiem.

Mój głodny wzrok biegnie w kierunku baru, gdzie barman w białej koszuli podaje mężczyźnie drinka. Alkohol kołysze się w grubej szklance. Lód kuszaco obija się o ścianki i topi, pływając na powierzchni. Hipnotyzuje mnie. Jacek zauważa to i kręci przecząco głową. Przytrzymuje moją dłoń na stole i zaciska wokół niej palce, jakby chciał mnie przy sobie zatrzymać.

– Lidio – czeka aż oderwę wzrok od barmana. – Nie rób tego – czyta z moich oczu jak z otwartej księgi. – To niczego nie rozwiąże. Potrzebuję cię. I gdybym nie miał pewności, że sobie poradzisz...

– Jacku, pozwól mi to zrobić na moich warunkach – znowu mu przerywam. Nachylam się w jego kierunku i całuję go miękko w usta. Patrzy na mnie zaskoczony i odwzajemnia się z uśmiechem obnażającym białe zęby. Jest trochę zbyt zachłanny. Ale może i wie, co robi, bo szpakowaty mężczyzna w kremowym smokingu przy barze cały czas śledzi nas wzrokiem. – Właściwie to chciałabym już wracać – przerywam i mówię cicho Jackowi przy uchu.

– Dobrze, skoro nie chcesz zobaczyć fajerwerków. – Widać, że sam ma ochotę stąd zniknąć.

– Może nie tym razem – uśmiecham się i sięgam po kopertówkę.

Wstajemy i ruszamy do wyjścia. Ta noc i tak wydaje się trwać zbyt długo.

**5 listopada 2012 roku, poniedziałek, g. 15:30**



Coś wolno stąpa po kraciastym kocu i swoje chybotliwe kroki kieruje ku mojej twarzy. Dostrzegam czarny puchaty ogon i żółte rozwarte szeroko ślepie. Przyczajone ciało pręży się, starając się kontrolować równowagę ruchu. Koci Dracula szykuje się do napaści na kolejną śpiącą niewiastę. Zaskakuję go, mrugając okiem.

Po lekach zapisanych przez doktora Hermana nieustannie jestem senna, ale rzeczywiście przynoszą oczekiwaną ulgę. Ból głowy minął i nie czuję otępienia. Wróciła też ostrość w źrenicach. Kontury rysują się łagodniej, ale przynajmniej nie zlewają w plamy. Kot włazi mi na poduszkę i trąca nosem policzek. Mruczy przyjemnie do ucha. W końcu zwija się w czarny włochaty kłębek. Mordkę kładzie na mojej szyi. Pozwala się głaskać i drapać. Co za zaskakująca odmiana u tego pazurzastego potwora. Dosłownie jak pluszowa przytulanka. Może kocica poczuła wreszcie do mnie sympatię, a może to głód objawiający się pustostanem misiek prowokuje spryt w działaniu. Dobrze wie, jak mnie podejść, ale i tak ulegam jej czarowi. A niech mruczy jeszcze przez chwilę. Znowu zasypiam.

**5 listopada 2012 roku, poniedziałek, g. 17:30**



Siadam powoli ku oburzeniu kota. Sięgam po telefon, bo chcę sprawdzić godzinę. W iPhone padła bateria. Szukam ładowarki. Została w samochodzie. No trudno. Świat przetrwa nawet bez mojej obecności. Te parę godzin nic nie zmieni. Otwieram MacBook'a z nawyku, a kocica siada i liże łapę na biurku.

Od: a.n.gra@gmail.com

Temat: ;)

Data: 4 listopad 2012 23:05:42 CEST

Do: l.p.gra@gmail.com

Pilnuj się mała.

Włącz telefon. Nie można się z tobą skontaktować.

Jacek musiał wyjechać, będzie dopiero w przyszłym tygodniu.

Od jutra jest poza zasięgiem.

Jeśli czegoś potrzebujesz, to daj mi znać.

A.

Ps: Mam nadzieję, że J. był dla ciebie miły?

Wysłane z iPhone'a

Od: l.p.gra@gmail.com

Temat: ;)

Data: 5 listopad 2012 17:45:02 CEST

Do: a.n.gra@gmail.com

Dzięki za ostrzeżenie.

Ps: Był, a może raczej... bardzo się starał.

Zamykam klapę laptopa i leniwie ubieram kurtkę. Idę do samochodu po ładowarkę.

**5 listopada 2012 roku, poniedziałek, g. 20:45**



– Lidka, ten telefon dzwoni i dzwoni! – w głosie Katarzyny słycać irytację.  
– To go odbierz – krzyczę, zakręcając wodę. Wychodzę spod prysznicą i owijam się ręcznikiem.

– Na pewno wkurzona sekretarka pani Lidii Pawłowskiej, słucham – śmieję się, słysząc, że zrobiła to naprawdę. – Tak już daję, ale musi pan poczekać.

Otwiera drzwi do łazienki i z ostentacją podaje mi telefon, a między jej nogami czmycha czarny futrzak. Kocica wskakuje na pralkę i siada. Teraz obie patrzą się na mnie karcąco.

– Woda leciała – bronię się, odbierając od niej telefon. – Tak słucham.

– Pani Lidio – ten głos powoduje gęsią skórę na moim całym ciele – ktoś

po panią przyjedzie za dwadzieścia minut. – Rozłącza się.

– Co się stało? – Kaśka przestaje głaskać kota i patrzy się na mnie zaskoczona moim bezruchem.

– Jeszcze nie wiem. – Nie przypuszczałam, że jedno zdanie tego człowieka będzie w stanie wywołać we mnie tyle obaw. – Zrobisz coś dla mnie? – pytam Katarzynę, patrząc na zadowoloną minę drapaną po szyi kocicy.

– Tylko nie karz mi znowu wybierać ci koloru pończoch – śmieje się.

– Nie. Jeśli nie wrócę do północy, to zawiesz komuś wiadomość...

**5 listopada 2012 roku, poniedziałek, g. 21:30**



Czarny jaguar zatrzymuje się na nieoświetlonym parkingu. Kierowca gasi silnik i wysiada. Po chwili drugie tylne drzwi otwierają się, a do środka wsiada szpakowaty mężczyzna w czarnym długim kaszmirowym płaszczu. Wyraźnie czuć jego perfumy i woń tytoniu. Patrzy na mnie władczo. I trudno mi nawet powiedzieć, czy bardziej czuję do niego niechęć, czy po prostu się go boję. Od niechcenia rzuca na siedzenie gazetę zwiniętą w dłoń.

– Patrz, co jutro ukaże się w prasie. – Powoli odwraca się w moim kierunku, a ja sięgam po szeleszczący papier. – Jacek ci nie mówił, że tu nikt nie umiera bez mojej zgody? – Martin warczy przez zaciśnięte zęby i na pewno rzadko bywa tak zdenerwowany.

A ja czytam czarny nagłówek: „Morderstwo w pałacu. Ciąg dalszy porachunków wrocławskiej mafii?”. Na dużym kolorowym zdjęciu widać zakrwawioną pościel hotelowego łóżka, rozcięte pończochy i ten tandetny czerwony krawat. Nie mogę w to uwierzyć. Kręcę przecząco głową i zaczynam czytać artykuł: „Znaleziony nad ranem... zakneblowany... związany... cztery rany klute na klatce piersiowej...”. Że co? „Władimir Rózenko, właściciel sieci hoteli i kasyn, mógł mieć wielu wrogów. Kto przejmie po nim spadek? Śledztwo w toku. Są liczne poszlaki, bo w hotelu było wielu gości... Morderstwo z zimną krwią... torturowany...” Hm... „Policja nie wydała jeszcze oficjalnego raportu. Wszystko wskazuje na ciąg dalszy porachunków z rosyjską mafią... Czy to już koniec wendety gangów?” Co za bzdury!

Łapię oddech, ale i tak robi mi się gorąco. Prawa ręka powoli zaczyna drgać w niekontrolowany sposób. Zaciskam powieki.

– Nie wrobiecie mnie w to zabójstwo – mówię to, zgniatając papier gazety.

– Te dziewczyny potwierdziły, że tam byłaś. Już je przesłuchiowano. Opisały szczegółowo ślady pobicia na twoich plecach i to, że kazałaś jednej sikać do kubka. Wiesz, co się teraz stanie?

– On żył, gdy wychodziłam z tego pokoju. Może nie miał się najlepiej, ale

żył. – Zaciskam dłonie w pięści.

– Jak to udowodnisz?

Coraz bardziej zdaję sobie sprawę ze swojej sytuacji.

– Martin – odwracam głowę i patrzę w jego przeszywające mnie teraz z niechęcią oczy.

– Policja już na pewno ma twoje odciski palców, bo ta spanikowana sprzątaczką od razu ich wezwała. I nawet jeśli nie ty wbiłaś mu nóż w serce, to jednak byłaś w tym pokoju i jako ostatnia oprócz mordercy widziałaś go żywego. – Sięga do kieszeni płaszcza i rzuca mi coś czarnego na kolana. – To chyba twoje. – Poznaję czarne figi i zakrywam twarz dłońmi. – Rozumiem, że mieliście mały zatarg.

– To jakiś koszmar.

– Nie. Koszmar to dopiero się zacznie.

– Ja go nie zabiłam. – Tylko że na jego nożu są na pewno moje odciski. – Nie potrafiłabym... To jakiś absurd.

– Lidio, co powiesz policji? – Martin przechodzi od razu do konkretów.

Milczę, bo nie mam pojęcia, jak z tego wybrnąć. Martin każe mnie uciszyć, gdy będę chciała pisnąć choćby namiastkę prawdy, a policja wsadzi mnie na podstawie poszlak, a raczej odcisków palców na narzędziu zbrodni. Cholernie się komuś przysłużyłam, a dokładniej mordercy. Jednak mściwość nie leży w mojej naturze, a przynajmniej nie ta dokonywana moją ręką. Z rezygnacją opadam na skórzany fotel. Tak, i kto tu teraz będzie cierpieć.

– Zaprzeczę. – Właściwie nie mam wyjścia.

– Do cholery nic im nie powiesz. Będę twoim alibi, rozumiesz. – Martin wysiada z samochodu, a na siedzeniu ląduje wizytówka salonu medycyny estetycznej. – Jutro, 7:30 pod tym adresem i masz być trzeźwa. – Zatrzaskuje za sobą drzwi. Zapada głucha cisza.

**7 listopada 2012 roku, środa, g. 9:30**



Droga po bułki i mleko do kawy okazała się dłuższa i bardziej skomplikowana niż zazwyczaj. Domyślałam się, że aresztowanie podejrzanej o morderstwo nie będzie przyjemne, ale żeby przyjechać po mnie aż dwoma tajniackimi samochodami, i to z taką agresją. Oskarżenia, krzyki, kajdanki, odczytane prawa. Myśleli, że będę uciekać, skakać przez płoty, kraść już odpalone auta? A tu wielki policyjny zawód.

Nie stawiałam oporu, bo nie widziałam w tym najmniejszego sensu. Starszy aspirant Piotr Duć ze swoim krzywym uśmiechem na ustach zapakował mnie na tylne siedzenie tajniackiego mondeo i usiadł obok. Byliśmy sami.

– Hm... – Chyba czekał aż zacznę.  
– Żądam adwokata – szybko odpowiedziałam na jego przeciągłe westchnienie.  
– Pani Pawłowska, a nie lepiej współpracować?  
– Ale ja nie odmawiam współpracy.  
– To po co pani adwokat?  
– Dla formalności.  
– Aha, a nie sądzi pani, że tym razem powinna pani czuć większą skruchę?  
– Nikogo nie zabiłam – mówię stanowczo.  
– Tylko że my już mamy świadków. Jeszcze tylko zgodność odcisków palców i właściwie mogę zamykać sprawę. – Moją reakcją był głuchy śmiech. – To takie zabawne?  
– Nawet... – Mój wzrok ucieka na opuszki palców, które wczoraj przeszły bardzo bolesny zabieg. I właściwie o jego skuteczności mogę się tylko raz przekonać, bo drugiej szansy nikt mi nie da. Mam szczerą nadzieję, że ten lekarz wiedział, co robi. – Panie Piotrze, ja tego nie zrobiłam.  
– A to ciekawe. Bo z tego, co mi doniesiono, to ktoś ostatnio panią brutalnie pobił i zgwałcił. Nie zgłosiła pani tego na policji. – Próbuje patrzeć mi w oczy, ale ja widzę tylko moje palce. – I jak się domyślam, temu pani też zaprzeczy.  
– Hm...  
– Tak myślałem – bierze głęboki wdech i wysiada z samochodu. – Niech pani jeszcze pomyśli, proszę. Bo dla mnie to wystarczający motyw – dodaje, zamykając drzwi, i odpala papierosa.

**8 listopada 2012 roku, czwartek, g. 20:30**



– Sprawdziliście już jej bilingi? – Starszy aspirant Piotr Duć zawisł nad biurkiem swojego podwładnego. Jego wzrok oczekiwał tylko twierdzącej odpowiedzi.

– Cały czas ją sprawdzamy. – Niebieskooki brunet podnosi swoją wychudzoną twarz znad monitora i patrzy na zwierzchnika. – Chcesz zobaczyć? – zadaje to pytanie wyjątkowo beznamiętnie.

Piotr Duć obchodzi biurko i staje mu za plecami, a na monitorze młodszego aspiranta widzi w małym okienku trochę rozmazany obraz z damskiej łazienki aresztu. Naga kobieta stoi pod wodą spływającą z prysznicą z rękami wspartymi o popękane w wielu miejscach kafelki. Ponad trzy minuty nie zmienia pozycji.

– Czy wyście powariowali?! Jak się stary o tym dowie... – oburza się, ale tylko pro forma.

– A niby skąd? To wszystko idzie nieoficjalnie. Tak jak kazałeś. Mam taką

też w jej celi.

– Co masz jeszcze? – dopytuje.

– Niewiele. Grzecznie płaci podatki, zero niezapłaconych mandatów nawet za parkowanie, zero notatek, zero oskarżeń, donosów... Konta bankowe prawie puste, nieregularne wpłaty, bez przelewów powyżej dziesięciu tysięcy. Tylko jedna lokata założona na nią przez kogoś z rodziny. No i tu by się można przyczepić, bo kwota ta na dziś przekracza osiemset tysięcy. Ale poza tym po prostu czysta.

– Nie wierzę. A te ostatnie dwa lata?

– Tylko ten wypadek, z którego podobno wyszła cudem. No i to niezgłoszone pobicie. – Na ekranie kobieta odrywa dłonie od kafelek i gładzi spływające wodą włosy. – Ktoś ją nieźle urządził.

– I może dlatego nie żyje. – Głos starszego aspiranta jest zimny, ale wnikliwie lustruje obraz z monitora. Kobieta zakręca wodę i sięga po wiszący na haczyku ręcznik.

– Ale na nożu były odciski trzech osób, z tego jedno należały do Różenki, a żadne do niej.

Kobieta wyciera się, obwiązuje włosy ręcznikiem i zaczyna wkładać bieliznę.

– Wiem, że nie było zgodności, ale, do cholery, ona tam przecież była. Musi być coś jeszcze. Coś przeoczyliśmy. – Piotr uderza pięścią w blat biurka. – Co wyciągnęliście z jej laptopa?

– Niewiele. Poza tym, że ma biblioteczkę nielegalnych filmów i kilka seriali. Ma też romans z tym przemytnikiem, który siedzi u nas w areszcie od kilku tygodni, Adamem Nerskim.

– Tak, wiem – Duć wzdycha ciężko. – Koleś pójdzie siedzieć.

– Ale podobno ktoś mocno grzebie przy jego sprawie. – Podwładny Ducia drapie się nad uchem. – Trzech prawników, znikające nagrania, opłaceni świadkowie. – Mężczyźni wymieniają gesty pocierających o siebie palców dłoni. Kasa, kasa, kasa.

– Tak. Są pewne naciski z góry. – Starszy aspirant krzywi się. – Jego też trzeba pilnować, ale wątpię, by tym razem się z tego wywinął. Aczkolwiek... – wzrok Piotra wraca powoli na monitor – akurat on może się nam bardzo przydać.

– Tylko że ona – siedzący policjant wskazuje palcem na kobietę opuszczającą zaparowaną przestrzeń z obrazu kamery – spotyka się też z jego ojcem, seniorem Nerskim. – Widok na monitorze przeskakuje po kliknięciu w przycisk myszki i już widać okratowany korytarz z rzędem wejść do aresztanckich pokoi.

– Czemu mnie to nie dziwi? – Pięść Piotra wgniata się ponownie w sklejkowy blat biurka, a jego głowa pochyla się. – Albo mi coś na nią znajdziesz...



– Chłopie, wyluzuj! – Młodszy aspirant wyłącza podgląd kamery. – I tak ich dorwiemy. Poza tym skoro próbowali ją sprzątnąć, to ona może być już bezużyteczna. Komuś się po prostu już znudziła.

– Albo właśnie o nią tu chodzi. Dlatego lepiej będzie dla niej, jak tu trochę posiedzi. Zróbcie małą dywersję, bo inaczej jutro będę musiał ją wypuścić. I już niczego się nie dowiemy, a przynajmniej od niej.

– Pobicie, kradzież, wymuszenia? – Niebieskooki rzuca z entuzjazmem, a jego policzki kraśnieją na samą myśl.

– Kurwa, po prostu opóźnisz dostarczenie wyników z laboratorium.

– Przecież żartowałem.

– I przestań mi uprawiać darmową pornografię w godzinach pracy. Nie zamierzam cię kryć, jak dobiorą się do ciebie wewnątrzni. Poza tym Anka mnie zabije, jeśli się o tym dowie.

– Od kiedy ty taki zasadniczy? – Zdziwienie młodszego rangą kolegi jest szczere.

– Od teraz – Piotr Duć ostro kończy rozmowę. – Tkacki zapowiedział się na jutro.

– Wiesz, co to oznacza?

– Kolejny stek kłamstw, które będą zapisane w protokołach. Nie mam wyjścia. Trzeba będzie podejść do tej sprawy w inny sposób.

– Co chcesz zrobić?

– Muszę jeszcze raz porozmawiać z panią Pawłowską.

– Ale ona idzie w zaparte. Zresztą nie możesz przesłuchiwać jej bez obecności prawnika. Sąd nie uzna ci takich dowodów. Oskarżą cię o wymuszenie zeznań.

– Gównu mnie obchodzą przepisy. Po prostu przyprowadź ją do mnie na 14:00.

– Piotr, mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Ty się lepiej ucz, jak załatwia się takie sprawy.

**9 listopada 2012 roku, piątek, g. 12:15**



Piotr Duć wzdycha ciężko oparty o ścianę. Po drugiej stronie lustra w szarym pokoju widać siedzących przy stole dwóch mężczyzn i płomiennowłosą prawniczkę w kucyku z kanciastymi czarnymi okularami na nosie. Ewidentnie nikt w tej sali nie ma złudzeń, że padnie tam choćby słowo prawdy.

Martin siedzi obok kobiety, a inspektor wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej wrocławskiej policji przesłuchuje go przy włączonym dyktafonie. Ten krótko przystrzyżony może trzydziestopięcioletni mężczyzna wykazuje już

jawne symptomy zniecierpliwienia. Marszczy płuwe brwi i wydyma z niesmakiem usta. Przypomina w ten sposób karpia wydającego z siebie niemy krzyk tuż przed wigilijnym mordem.

Martin Tkacki, szpakowaty mężczyzna o kanciastej twarzy jest zimny i twardo powtarza kolejny raz swoje zeznania. Policjant atakuje go pytaniami. Ale ten nie daje się podejść. Jest do perfekcji przygotowany i kontroluje nawet drgnięcia powieki. Łatwo zrozumieć, dlaczego tak chętnie przyszedł złożyć swoje zeznania.

– Mam panu opisać szczegóły? – Martin pyta zaskoczony.

– Tak – policjant naciska.

– Ile razy to robiliśmy i w jakiej pozycji? – kpi.

– Tak, dokładnie.

– Nie dziwię się, że pan ciągle jest bez kobiety – Martin ostentacyjnie patrzy na dłoń policjanta. Dobrze wie, że nie znajdzie tam obrączki. – Dżentelmen nie zdradza tajemnic alkowy.

– Tak, zwłaszcza gdy głównie sypia z prostytutkami.

– Proszę uważać na słowa! – prawniczka przerywa mu ostro. – Czego dotyczy to przesłuchanie?

– Ustalenia prawdy.

– Sąd ustali winnych, a panowie niech nie łamią przepisów. Mój klient wyraził dobrą wolę współpracy.

– Tak. Jesteśmy wdzięczni – wzdycha. – Panie Martinie, to podsumujmy pana zeznania. Od godziny 01:00 do godziny 08:30 w niedzielę 4 listopada bieżącego roku był pan z panią Lidią Pawłowską w pańskim opłaconym z góry pokoju w Pałacu Aleksandrów, tak?

– Zgadza się.

– I w tym czasie pani Lidia Pawłowska nie opuszczała tego pokoju.

– Zgadza się

– Co państwo robili, to nie będę wnikać.

– Ależ czemu, panie inspektorze? Mogę panu powiedzieć. Jesteśmy przecież dorośli.

– Rozumiem, że odbyli państwo stosunek płciowy.

– I to nawet cztery razy, na piąty zabrakło mi już siły. W końcu skończyłem właśnie pięćdziesiąt lat, a Lidia jest trochę wymagającą kobietą.

– Jestem pełen podziwu, ale to nie zmienia faktu, że recepcjonistka widziała, jak pani Pawłowska opuszcza hotel około godziny 01:45 w towarzystwie zupełnie innego mężczyzny niż pan, panie Martinie. Jak mi to pan wyjaśni?

– Recepcjonistka musiała być już bardzo zmęczona, bo o tej godzinie byłem z panią Pawłowską pod prysznicem. Myła mi plecy, jeśli to pana interesuje.

– Ciekawe... – policjant kręci głową i właściwie zdaje sobie sprawę, że to

przesłuchanie nie ma najmniejszego sensu. – Czy ktoś jeszcze może potwierdzić pana zeznania?

– Panie inspektorze, zwykle jeśli uprawiam seks z kobietą, nie potrzebuję do tego świadków ani wspomagaczy.

– No tak, mogłem się domyślić takiej odpowiedzi.

– Czy to już wszystko? – Prawniczka niecierpliwi się, chowając dokumenty do teczki.

– Tak, na dziś to już wszystko, panie Tkacki. Dziękuję, że się pan sam do nas pofatygował. Będziemy w kontakcie. Możliwe, że będzie musiał pan powtórzyć zeznania w sądzie.

– Jeśli zajdzie taka potrzeba, mogą państwo na mnie liczyć.

Kamienny wyraz twarzy Martina towarzyszył wyciągniętej sztywno dłoni do pożegnalnego uścisku z inspektorem wrocławskiej policji. Tylko jeden z nich miał na niego ochotę.

I nawet gdy Martin opuścił pokój przesłuchań, chłód jego wypowiedzi przeszywał przestrzeń całego pokoju. On był urodzonym aktorem.

**9 listopada 2012 roku, piątek, g. 14:00**



– To nie będzie potrzebne – Piotr sugeruje strażnikowi, by zdjął mi kajdanki.

– Procedury – strażnik jest stanowczy, a moje nadgarstki nadal oplatają metalowe więzy.

Dużo uśmiecha się krzywo i idziemy dalej korytarzem w asyście strażnika. W końcu korytarza starszy aspirant otwiera jedne z drzwi i gestem zaprasza mnie do środka. Strażnik wchodzi tuż za mną i w dość mało delikatny sposób sadza na metalowym krześle przy prostokątnym stole.

– Zaraz wracam – Piotr mówi to trochę od niechcienia i znika. Za to stojący nade mną strażnik sapie ze zdwojoną intensywnością, a na jego twarzy maluje się czytelna niechęć. Mam nadzieję, że to tylko zawodowe przyzwyczajenie.

To pomieszczenie jest podobne do pokoju, w którym przesłuchiowano mnie dwa dni temu. Tylko że tu zamiast weneckiego lustra są dwie kamery w rogach przy suficie i mikrofon przytwierdzony do krawędzi stołu. Chcą mieć na wszystko dowód. Tu każde nierozważnie wypowiedziane słowo może być jak kolejny rok w orzeczonym przez sąd wyroku. Będę musiała bardzo uważać na to, co mówię. Jedno przesłuchanie już przeszłam. Zaprzeczyłam wszystkiemu, o co próbowali mnie oskarżyć. Mimo to znowu się denerwuję. Dopiero po chwili dociera do mnie, że właśnie o to im chodziło. Testują moją odporność. Przecież Tkacki na pewno nie dał się podejść. Zapewnił mi alibi, które zaprzeczyło zeznaniom tych dwóch Ukrainek. Zresztą, kto uwierzy prostytutkom. A Martin przecież ma

nieposzlakowaną opinię, a przynajmniej nikt nie był w stanie mu nic udowodnić. Tak tłumaczyła mi to ta rudowłosa prawniczka. Prawdopodobnie będą musieli mnie wypuścić na wolność. Nie mają wyjścia. Chociaż z punktu widzenia przedstawicieli prawa każdy podejrzany prędzej czy później się przyzna. Pęknie. Wyśpiewa całą prawdę. Tylko trzeba go do tego odpowiednio zmotywować.

Piotr wraca po czterdziestu minutach z dwoma plastikowymi kubkami i papierową teczką wciśniętą pod pachę.

– Wpierw napijemy się kawy, chyba jestem ci to winny, a później utniemy sobie małą pogawędkę – informuje mnie, dając znać strażnikowi, by wyszedł z pokoju. Trochę niezdarnie odstawia kawę na blacie stołu i siada na drugim krześle. – Jest kilka niejasności w twoich wcześniejszych zeznaniach – podsuwa mi jeden z kubków.

– Powiedziałam już wszystko – staram się nie dać sprowokować. – Nikogo nie zabiłam. Gdzie jest mój prawnik?

– Tak. – Na pewno mi nie wierzy, ale mimo to wyłącza mikrofon przytwierdzony do stołu. Wiem, że to tylko psychologiczna zagrywka, bo w tym pokoju na pewno jest drugi mikrofon. Tutaj wszystko zostaje zarejestrowane. – Porozmawiamy sobie tak nieoficjalnie. – Chwilę nic nie mówi, tylko otwiera teczkę. – Robię to trochę wbrew zasadom. – Wymieniamy ostre spojrzenia. Dobrze wiem, że wszystko, co zamierza zrobić zaplanował już wcześniej. Nikt ze śledczych nie łamie procedur ot, tak sobie. Widocznie bardzo zależy mu na wyciągnięciu ode mnie paru informacji, a może chce oskarżyć mnie o kolejne przestępstwo. – Przyjrzyj się im. Może jednak kogoś z nich pamiętasz?

Z teki wyjmuje zdjęcia. Układa je w nierównych rzędach. Są na nich martwe osoby lub miejsca zbrodni. Część zgadza się z wycinkami Wiesława, ale nie wszystkie. Ponad tuzin twarzy ludzi pozbawionych życia.

W końcu wyjmuje też zdjęcia zasztyletowanego siwowłosego Władimira. Świadek mordy, o który jestem przecież podejrzana.

Ten widok nie cieszy mnie z żadnego, chociażby najmniejszego powodu. Władimir Rózenko nie należał do ludzi bez skazy, ale żeby tak niehumanitarnie pozbawiać go życia. Zabrakło naboju, a może sprawnego tłumika? Przecież każdy z nas ma sporo za uszami. A to dźgnięte kilkakrotnie ciało musiało cierpieć, i to długo. Z owłosionej, srebrzącej się podobnie jak głowa, klatki piersiowej sterczy znajoma rękojeść noża, a krew spływająca po bokach plami białą pościel. Na zbliżeniu dobrze widać zakneblowane usta.

I może gdybym nie popatrzyła uważniej, umknąłby mi ten szczegół. Równoległe linie zadrapań na szyi Władimira są dla mnie jak neon czy lampa błyskowa z samowyzwalaczem, łypiąca przy każdym kolejnym mrugnieniu powieką. To ewidentnie ślady paznokci. Nie miał ich, jak opuszczałam ten pokój.

W moich myślach nagle budzą się demony, ale zagryzam zęby. To nie czas

i miejsce, by emocje przejęły kontrolę. Trzeba to rozegrać na zimno.

Dużo obserwuje mnie uważnie, rejestrując każdą moją najdrobniejszą zmianę mimiki. I chyba nie do końca uzyskał to, na czym mu zależało. Mruży oczy. Widzę, że się waha, ale w końcu ku mojemu kolejnemu zaskoczeniu na stole pojawia się też zdjęcie długowłosego mężczyzny wspinającego się po schodach do samolotu. Na ramieniu zwisa mu czarna torba na laptopa. Od razu rozumiem, że on zamierza zagrać ze mną w niezbyt czysty sposób. Na pewno dowiedział się już sporo na mój temat. Dlatego staram się być twarda i mam nadzieję, że wiarygodnie odgrywam znudzenie widokiem kolorowej odbitki.

– Naprawdę nic na mnie nie macie – stwierdzam, powracając wzrokiem na Piotra. Udaję obojętność.

– Właściwie po potwierdzeniu twojego alibi...

– Chyba już nie macie podstaw, by mnie tu przetrzymywać.

– Używasz takich? – pyta, ignorując to, co powiedziałam, i rzuca na biurko przezroczysty zamykany worek z rozerwanym różowym opakowaniem pojedynczej prezerwatywy w środku. Jeden z dowodów w prowadzonym śledztwie. Ma nawet swój numer.

– Smakowe – przyglądam się uważniej. – Nie, to nie w moim stylu. – Już wiem, do czego zmierza.

– Pan Rózenko jeszcze przed śmiercią odbył oralny stosunek najprawdopodobniej z kobietą, bo wstępne wyniki badania DNA na to wskazały.

– To nie ja.

– Czy ja coś mówię?

– Ale tak patrzysz, jakbyś pytała: „Pieprzyłaś się z nim, czy nie?”. Odpowiedź brzmi NIE.

– Musiałem.

– Kiedy mnie wypuścicie?

– Akurat o tym zdecyduje prokurator – mówi przez zęby.

– To co jeszcze chcesz wiedzieć?

– Już nic. Wiem wszystko. Bo pewnie z panem „mogę pięć razy” też nie odbyłaś nawet jednego stosunku tamtej nocy? – A jednak nie daje za wygraną.

– Domyśl się – mówię, próbując kawy, którą mi przyniósł. Jest okropna i z nadmiarem cukru. Nie mogę jej przełknąć i wypluwam zawartość z ust z powrotem do kubka. Odsuwam kawę od siebie na krawędź stołu. Ewidentnie ten widok bawi Piotra. – Ja nie słodzę – tłumaczę.

– Na twoim miejscu raczej bym nie wybrzydzał – mówi to mało przyjaznym tonem.

– Po co Tkacki miałby kłamać akurat dla mnie?

– Bo może to ty jesteś jego alibi, a nie on twoim. Nie pomyślałaś o tym. – Bierze kolejny łyk swojej kawy. On przełyka ją bez oporu.

– Nie. – Jakoś kompletnie mi to umknęło.

I wtedy wyciąga z teczki zdjęcia dwóch zamordowanych kobiet. Nagie, katowane, zgwałcone ciała. Nie rozpoznaję w nich Darii, ale dostrzegam te same ślady wiązania na szyi, nadgarstkach i krwawiące pręgi po uderzeniach pejcem. Dobrze wiem, czyja to robota. Mimowolnie zaciskam dłonie w pięści. Zahaczam kajdankami o krawędź stołu. Duć śledzi moje reakcje i czeka, co powiem.

– Mam tego więcej – ma świadomość, że trafił mnie w czułe miejsce.

– Dlaczego mi to pokazujesz? – pytam.

– One nie miały tyle szczęścia – mówiąc to, patrzy mi prosto w oczy.

Milczę.

– Wiesz, gdzie był Tkacki podczas waszej upojnej nocy? – pyta po chwili.

– Spał obok mnie – odpowiadam pewnie. Starszy aspirant kwituje moją odpowiedź ironicznym uśmiechem.

– Wiem, że się boisz – mówi i z premedytacją przesuwa na środek stołu jedno ze zdjęć zamordowanej dziewczyny. – Ale ja też nie lubię oglądać takich zdjęć.

– Ja nic nie wiem.

Piotr Duć kręci głową. Otwiera przyniesioną ze sobą teczkę i wyjmuje z niej jedną z kartek. Udaje, że czyta zapisany na niej tekst, ale tak naprawdę stara się znowu mnie sprowokować.

– Przyjmijmy, że nie do końca mówisz prawdę – wzdycha ciężko. – Jeśli opuściłaś ten pałac około godziny 02:00 tamtej nocy z soboty na niedzielę i to w towarzystwie mężczyzny, bodajże niejakiego pana Jacka Nerskiego, który od tego czasu jest nieuchwytny i podobno zostawia sowite napiwki – jak napomniała mi szatniarka – to i tak nie mogłaś zabić Władimira. No chyba że wróciłaś niepostrzeżenie na górę, umykając recepcjonistce, odbyłaś stosunek oralny z przywiązany do łóżka panem Rózenko, a między 03:30 a 04:30 wbiłaś mu kilka razy jego własny nóż w klatkę piersiową i dopiero przy trzeciej próbie trafiłaś w serce. No nie wiem, pani Pawłowska... To też potwierdzą testy genetyczne, a nie linie papilarne, i dopiero wtedy poczujesz smak wolności. Ale do tej pory... – karcące spojrzenie i krzywy uśmiech znad kubka najgorszej kawy na świecie potwierdził tylko moje przypuszczenia.

– Panie starszy aspirancie... – Chyba jasno dał mi do zrozumienia, że zeznania Martina w ogóle nie były potrzebne. Chciał tylko sprawdzić, do czego się ten człowiek posunie, a może jak mocną ma pozycję – niech się zastanowię... I zapytam tak hipotetycznie, skoro nie ja to zrobiłam, a może nawet nie Tkacki...

– No właśnie... – marszczy nos i pociera o niego kciukiem. Odchyła się na krześle do tyłu i powoli zakłada ręce za głowę. – Właściwie liczę w tej kwestii na ciebie. Zawsze pewne dowody i świadkowie mogą dopiero pojawić się w tej sprawie. I może coś jednak potwierdzi twoją zupełną niewinność, zagwarantuje

ochronę lub wręcz przeciwnie. Lidka, mogę wsadzić cię do pierdła na długo – nie powiedział tego rozbawionym tonem, a wyraz jego twarzy świadczył o jego niekoniecznie dobrych zamiarach. – Pomyśl, co ci się bardziej opłaca.

– Panie aspirancie!

– Straszy aspirancie – poprawia mnie.

– Szantażuje mnie pan.

– Tylko trochę – uśmiecha się krzywo.

– Ja nic nie wiem – odpowiadam mu zimno, urywając dalsze próby wyciągnięcia ode mnie zeznań. – Żądam obecności mojego adwokata.

W odpowiedzi znowu wzdycha i zagarnia zdjęcia do teczki.

– Lidka, w tym budynku jestem w stanie zapewnić ci ochronę – gani mnie spojrzeniem. – Tak jak Adamowi Nerskiemu – odsuwa krzesło do tyłu i wstaje. – Prokurator naciska, by przenieść go z aresztu do więzienia na Kleczkowską, bo podobno dowody przeciwko niemu są nie do podważenia. Tylko ja wiem swoje. Też mam informatorów. Nerski po czterdziestu ośmiu godzinach wyjedzie stamtąd nogami do przodu. Nawet nie dojdzie do procesu. To będzie kolejny nieszczęśliwy wypadek.

– Piotr...

– Zastanów się, co ci się bardziej opłaca – przerywa mi i wychodzi z pokoju przesłuchań.

**10 listopada 2012 roku, sobota, g. 22:00**



Odrywam wzrok od kryminału pożyczonego od strażnika. Metalowe drzwi celi skrzypią, otwierając się na oścież. Do wnętrza wąskiego pomieszczenia wpada smuga intensywnego sztucznego światła z korytarza. Nagle przysłania je cień masywnej sylwetki, która wchodzi do środka. Drzwi domykają się za nią z hałasem. I znowu zgrzyt zamka informuje, że stąd nie ma ucieczki. Chyba że się jednak jakoś przecisnę przez to okratowane podwójnie okno.

Ciemnowłosa gładko zaczesana do tyłu w kucyk kobieta o twarzy zniszczonej i w bliznach nie tylko po ospie, jak u prawdziwie doświadczonej przez los zapewne niesłusznie osądzonej zbrodniarki, patrzy na mnie z odrazą. Jej wzrok mówi jasno: „Jesteś nic nieznaczącą gnidą, więc nie podskakuj”.

Ja zaledwie kątem oka mam okazję zlustrować jej przydziałowy szary dresik w rozmiarze XXL i to do wysokości półdupka. Mogę łatwo zgadnąć, że ma czarne oczy i równie mroczne myśli. Kładzie swoją masywną rękę na górnej pryczy i pociera zewnętrzną częścią lewej dłoni o dziurki swojego szerokiego nosa. Widzę gąszcz wystających włosów i przekrzywione usta. Pluje na ziemię na wysokości mojej twarzy, a ja muszę powstrzymać się od komentarza, chociaż czuję

narastającą niechęć do tej pani.

Kobieta po chwili niemego ustalania zasad między nami wdrapuje się na górną pryczę, a jej ciężkie korpulentne ciało wygina stelaż łóżka. Ta pojawiająca się brzemienista wypukłość nad moją głową świadczy raczej o około stukilogramowej wadze. Zapada milczenie i już nie potrafię skupić się na czytanych wcześniej akapicie. Nie dowiem się, kto zabił. Do diabła, ile oni mają zamiar mnie tu jeszcze trzymać?!

Kobieta sapie rytmicznie, jakby miała katar. Przekręca się na bok, a stelaż łóżka ledwo to wytrzymuje. Co będzie, jak ona na mnie spadnie? Naiwnie sądziłam, że będę w tej celi sama, a jutro po prostu mnie wypuszczą i wrócę potulna do domu. Opowiem Katarzynie, jak to zostałam niedoszłą kryminalistką, morderczynią i gwałcicielką. I jak cudem z tego wszystkiego wyszłam. Oj, marzę już o wolności, wygodnym łóżku, czystej pościeli, o własnym ubraniu, gorącym prysznicu i mocnej parzonej kawie. Nawet mam ochotę przytulić tego wrednego czarnego kota. Jednak człowiek docenia niepozorną doskonałość swojego życia, gdy mu ją ktoś odbierze.

„Kruszynka” szybko zapada w błogi sen, wydając z siebie różne odgłosy. Nie tylko jej chrapanie nie pozwala mi zasnąć, i to długo. Jednak nawet w śnie, który nadchodzi dopiero nad ranem, prześladują mnie powykrzywiane nieludzko twarze ze zdjęć, które pokazywał mi ten policjant. Zalane krwią, pozbawione oczu, z podejrzytym gardłem lub z otworem po kuli na środku czoła, jak zlokalizowane trzecie oko umysłu. „To nie seryjny morderca. To pani nowi przyjaciele”, echo policyjnej reprimendy obija się o ścianki czaszki. Rykoszetem trafia mnie w serce. Nikogo nie rozpoznaję. Nikogo nie pamiętam. Nic nie chcę wiedzieć.

Coś zeskakuje z góry i rzuca się na mnie, kołysząc całą konstrukcją dwupoziomowej pryczy. Małe trzęsienie ziemi w środku nocy. Ten sen jest jak tortura szatańskich demonów budzący mnie zawsze około godziny trzeciej. Dezorientuje zmysły i pozbawia szans na ucieczkę. W zaskoczeniu zapominam, gdzie jestem. Próbuję się podnieść, ale szybko czyjś impet uderzenia w moją głowę przywraca mnie do leżącej pozycji.

– Żeby twój tatuś wreszcie zrozumiał – babsko syczy nade mną, opluwając mnie drobinami śliny.

Halo, o czym ona mówi?! Łokieć miażdży mi żebra, a poliestrowy materiał wgniata mi się w twarz. Nie mogę złapać powietrza. W tej chwili żałuję, że jednak udało mi się zasnąć. Nie dałabym się tak zaskoczyć. Chwytam nadgarstki rąk, które napierają na poduszkę, próbując je odciągnąć, ale to na niewiele się zdaje. Kobieta przypiera mnie do pryczy, a metalowe zawiasy aż jęczą pod tym ciężarem. Chce mnie zabić, a ja nie mam już nic do stracenia.

Po omacku uderzam od dołu w jej żuchwę i nawet udaje mi się trafić. Później wbijam niewyglądzone paznokcie w te brutalnie napierające na moją twarz



przedramiona. Wchodzą do krwi. Staram się rozszarpać jej ciało w tym miejscu. Słyszę satysfakcjonujący mnie w tej chwili syk bólu. Odpuszcza na moment nacisk, a ja w tym samym momencie lewą zaciśniętą w pięść dłońią trafiam ją w oko. Znowu słyszę bolesny odgłos.

Odrzucam poduszkę, a nad sobą widzę zajadłe oczy „kruszynek”. Jej przedramiona krwawią, ale i tak te masywne dłonie zaczynają zakleszczać się na mojej szyi. I znowu się duszę. Charczę, walcząc o każdy oddech. Próbuje odciągnąć jej ręce. Zaczynam kopać i wykonywać chaotyczne szarpnięcia całym ciałem. Ciśnienie w oczodołach rośnie. Czarnowłosa śliniąca się trochę „kruszynek” zakleszcza jeszcze bardziej swój uścisk i napiera na moją klatkę piersiową z siłą swojej prawie stukilogramowej masy. Twarz jej tężeje z wysiłku, a usta rozwierają się szeroko, prezentując jej brudne zęby.

Już nawet nie czuję odoru z jej żołądka, a żółte tytoniowe plamy na szklawie nie wzbudzają odrazy. Powoli tracę siły i wiarę, że zdołam wygrać to starcie. Moja twarz robi się purpurowa, a oczy wytrzeszczają się same. Cholernie boli mnie w płucach i skroni. Jej kciuki miażdżą mi tchawicę. Powoli odpuszczam, kończyny zaczynają drgać w konwulsjach. Brakuje mi tlenu. Mijają długie bolesne dziesiątki sekund. Nawet nie wiedziałam, że czas potrafi tak wolno płynąć. Tak, rachunek sumienia...

Nagle coś odrzuca na bok tę przylizaną głowę, a zajadły uśmiech na jej twarzy znika. Gałki oczne bledną i uciekają do góry. Zakleszczone palce masywnych kobiecych dłoni rozluźniają się na mojej szyi, a ja chwytam rozpaczliwie powietrze, które nie chce przejść przez moją gardziel. Ból rozsadza oskrzela, oczy wracają na swoje miejsce, a tchawica chyba krwawi. Kruszynek opada bezwładnie do przodu. Przygniata mnie swoim cielskiem. Łokciami spycham ją na bok i przysuwam bardziej do ściany. Przez otwarte usta łapię krótkimi łapczywymi chęłstami powietrze. Chyba jeszcze się duszę. Podkulam nogi i kurczowo przylegam do zimnej ściany tuż przy wydrapanym w tynku napisie **PIERDOLIĆ POLICJĘ i CHUJ WAM WSZYSTKIM W DUPE**.

I z przerażeniem patrzę w ten cień z pistoletem w ręku, który pochyła się na wysokości dolnej pryczy. Ledwo rozpoznaję jego rysy. Na korytarzu robi się hałas. Słyszę nadbiegających ludzi. Do celi wpadają dwaj strażnicy i ściągają z mojego łóżka ogłuszoną kobietę. Właściwie bardziej ją ciągną korytarzem niż niosą. Piotr Duć kuca obok i wlepia we mnie nachalnie te swoje szare niewyspane oczy.

– Skoro ty nie zabiłaś Rózenki, to dlaczego oni chcą cię zabić? – pyta, wyciągając do mnie rękę, ale moje plecy instynktownie jeszcze mocniej wgniatają się w ścianę. – Nie bój się. Nie spuszcze cię już z oka, ale chyba nie mam podstaw cię tu dłużej zatrzymywać.

Udaje mi się wreszcie przełknąć ślinę, ale prawa dłoń trzęsie się w ten paraliżujący sposób. Skurcz podciąga do góry ramię. Gęsia skórka oplata całe

ciało. Czuję, że znów nadchodzi atak. Przeznaczenie promieniujące lękiem od szyi. Przestaję nad tym panować. Prawa strona ciała znów przejmuje kontrolę nad moim losem. Osuwam się na bok i zastygam bez czucia. Ślina spływa mi z rozwartych ust, którymi wciąż próbuję chwycić powietrze. Powieki opadają spokojnie. Czekają, aż to wszystko minie.

– Kurwa, lekarza!

– Wezwijcie ambulans! – słyszę, ale już z bardzo daleka.

**12 listopada 2012 roku, poniedziałek, g. 13:30**



– Dokąd pani się wybiera? – ostry ton ordynatora oddziału na Borowskiej przerwa mi dokładnie w momencie, gdy udało mi się wepchnąć prawą stopę w chiński śmierzący gumą trampek.

Stoi nade mną z zawieszonym na szyi stetoskopem, a w dłoniach ścisną podpisany przed chwilą przeze mnie wypis z podkreśleniem stwierdzenia „na własne żądanie”. Widocznie pielęgniarka była nadgorliwa.

– Do domu – odpowiadam mu równie niemiłym tonem. – Nie może mnie pan tu siłą zatrzymać. Wiem, co wykażą wasze badania. – Druga stopa grzęźnie w trampku. Dopinam jeszcze szarą bluzę. Niestety mam ze sobą tylko te więzienne ciuchy.

– Ale... – próbuje mi przerwać, a ja odwracam się w jego stronę. I chyba widzę się podwójnie w tych jego grubych cylindrycznych szklach okularów. Kręci mi się w głowie.

– Tylko że pan nie zagwarantuje mi tu bezpieczeństwa, a mnie tak jakby ktoś usiłuje zabić – tłumaczę mu z uśmiechem, który ewidentnie jest dla niego w tej sytuacji niezrozumiały.

– Tam stoi dwóch policjantów – wskazuje za drzwi szpitalnej sali.

– To dobrze. Przynajmniej ktoś mnie podwiezie. – Wymijam go, starając się nie potknąć o własną stopę, i otwieram drzwi pomalowane na pastelowy kolor.

– Pani Lidio, proszę chociaż wziąć te leki. – Wyciąga dwa znajome opakowania z kieszeni. – Doktor Herman prosił mnie, bym panią tutaj zatrzymał do jego przyjazdu. Będzie o piętnastej. Proszę na niego poczekać.

– Do widzenia, panie profesorze – chowam lekarstwa, wychodząc na korytarz. – I niech pan pozdrowi w moim imieniu doktora Hermana. Tylko, że moja odpowiedź nadal brzmi NIE – dodaję, domykając za sobą drzwi szpitalnej sali.

Ruszam korytarzem w kierunku windy, a dwóch policjantów dopiero po chwili orientuje się, co zaszło. Przestają flirtować z młodą stażystką. Dziewczyna odgarnia zalotnie kosmyki włosów z czoła.

– Zaczekaj!

Jeden z nich biegnie za mną, ale drzwi windy szybko się zasuwiają. Słyszę, jak uderza pięścią w metalową powierzchnię. Krzyczy coś do kolegi. I tak będę pierwsza. Niech przynajmniej się trochę wysilą. To tylko trzy piętra. Drzwi windy rozsuwają się i już ruszam szerokim korytarzem do holu. Jest tu naprawdę sporo ludzi. Grupki studentów w białych fartuchach, chorzy szurający o kafelki podłogi klapkami, odwiedzający i czekający na wizytę w przychodni. Nikt mnie nie ściga, ale i tak chyba muszę na nich poczekać. Na dworze jest zaledwie kilka stopni, a ja nie mam kurtki. Nie mówiąc już o rzeczach niezbędnych, by dotrzeć do mieszkania czy po prostu wezwać taksówkę.

Kieruję się w najlepiej oświetloną strefę holu, tuż naprzeciwko wejścia, tak by nie utrudniać moim stróżom pracy aż nadto. Ale przechodzący niby przypadkiem barczysty mężczyzna w czarnym przylegającym garniturze chwytając mnie po prostu za ramię i prowadzi do wyjścia. Rozpoznaję go i przez chwilę nie wiem, co mam robić.

Znajomy czarny jaguar czeka praktycznie zaraz przy wejściu. Właściwie mogłam się tego spodziewać. Krótko przystrzyżony ochroniarz z niesymetrycznie odstającymi uszami bez słowa otwiera tylne drzwi. Słuchawka nadal tkwi w jego uchu. Mierzy mnie badawczym wzrokiem, jakby chciał zapytać, czy wszystko ok. Oddaję mu powściągliwy uśmiech i po prostu wsiadam do środka. Samochód rusza, a ja przez szklane rozsuwające się szpitalne drzwi dostrzegam wpadających do holu dwóch umundurowanych mężczyzn. Rozglądają się nerwowo na boki. Niestety, tym razem będą musieli się ostro tłumaczyć zwierzchnikom.

**12 listopada 2012 roku, poniedziałek, g. 15:00**



Jaguar mija bramę. Wjeżdża w serpentynę wśród wysokich sosen wyłożoną granitową kostką. Otacza nas senna atmosfera gęstego lasu, którą przecinają wdzierające się pomiędzy iglaste gałęzie promienie światła. Pierwsze w tym roku płatki śniegu opadają niczym rozrzucone pierze z poduszki. Rażą mnie trochę swoją bielą. Uchylam lekko okno i słyszę pojedyncze ptaki. Zapach gnijącej ściółki i chłodny powiew na twarzy. Ale za kolejnym zakrętem znów jest tylko dzieńne światło i bielejący trawnik. Szutrowy podjazd, staw, kamienny mostek i więcej przestrzeni. Dwupoziomowa willa wylania się na lekkim wzniesieniu. Podjeżdżamy bliżej. Trochę surowa konstrukcja betonu, szkła i drewna zaskakuje w dziewiczym otoczeniu ogrodu, który płynnie przechodzi w szatę prawie monokulturowego lasu. I od razu widać, że wszystko zaplanowano tu z precyzją. Istotna była nawet gra wydłużających się cieni. Cieni, które wdzierały się w tę idealnie dopracowaną przestrzeń.

Ochroniarz podjeżdża pod samo wejście. Sięga po telefon. Przytakuje chwilę do słuchawki. Patrzy na zegarek i rozłącza się.

– Pan Martin prosił, by się pani rozgościła. – Ochroniarz odkłada telefon i wysiada. Otwiera tylne drzwi. – Jego dzisiejsze spotkania niefortunnie mogą się przedłużyć – wyjaśnia mi, gdy stoję na kolejnym stopniu schodów prowadzących do przestrzennego domu Tkackiego, a właściwie nowoczesnej rezydencji.

– Tylko ja nie mam nic na zmianę – oponuję, szczypiąc materiał szarego dresu.

– Tak, faktycznie. Część musiałem pani kupić. – Chyba nawet nie udaje zmieszanego i z bagażnika wyciąga kilka pakunków, w tym jednym z nich na pewno jest moim nowym telefonem, bo logo nadgryzionego jabłka trudno nie zauważyć. – Mam nadzieję, że będą pasować – podaje mi rzeczy i idzie przede mną w górę schodów. Otwiera szerokie dębowe drzwi i gestem zaprasza do środka. – Niestety poprzedni pani numer telefonu został spalony i zbyt łatwo będzie go namierzyć, więc pozwoliłem sobie zakupić nową kartę. Reszta pani rzeczy jest już przygotowana na górze. Maria panią zaprowadzi – dodaje, wskazując na starszą uśmiechniętą niewiastę w schludnej szarej sukience, która stoi zaraz przy schodach.

Podchodzę do niej, a ona bez słowa prowadzi mnie na pierwsze piętro. Stąpa ciszej od gejszy. Powściągliwie drobi krok w korytarzu i prawie nie rusza tułowiem. Brakuje jej tylko zdobionego jedwabnego kimona, zaczesanych wysoko włosów i wybielonej skóry twarzy. Aczkolwiek szybko odkrywam, że jej uśmiech brązowych ust zwyczajowo jest wymuszony.

– Tam jest sypialnia pana Martina – wskazuje piętnująco ostatnie drzwi po lewej, jeszcze nim otworzyła te, przed którymi zatrzymałyśmy się przed chwilą. Od razu pojmuję dlaczego. – Jeśli czegoś będzie pani potrzebować, to wystarczy mnie zawołać. – Wchodzimy do środka, a ona sprawdza przestrzeń pokoju kontrolnie. Chyba wszystko się zgadza, bo znów patrzy na mnie. – Kolacja będzie przygotowana na godzinę dwudziestą – kończy i rusza z powrotem na korytarz.

– Dziękuję – odprowadzam ją wzrokiem.

Czekam, aż wyjdzie i zamknie drzwi za sobą. Odkładam pakunki przy łóżku i sięgam po wrzucone do jednej z toreb lekarstwa. Wyraźnie czuję narastający ból głowy, przytępienie ostrości wzroku, drętwienie palców dłoni i pulsującą potylicę. Doktor Herman wszystko przewidział, wyceniając moje marne życie na zaledwie kilka niepewnych tygodni, ale dla mnie pozostawanie dłużej w szpitalu było jednoznaczne z podpisaniem na siebie wyroku, mimo wszystko przedwczesnej śmierci. Chociaż już i tak, nie tylko w koszmarach sennych, czułam na plecach ten zimny oddech, a jej cień z dnia na dzień wyraźniej zaznaczał kontury tuż obok. Zawsze towarzyszył jej ten piekielny zapach sterylnej białej sali i dziwnie pociągające uczucie wolności.

Wchodząc do łazienki, zapobiegawczo wyjmuję z pudełka dwie tabletki. Piję

łapczywie wodę z kranu, by przepchnąć je przez podrażnione gardło. Udaje mi się to chyba psim śwędem, bo narastające mdłości i odruch wymiotny utrudniają mi w tej chwili nawet zwykły oddech. W końcu osuwam się na miękki dywan koło okna sięgającego od sufitu po samą podłogę, a przez drewniane niedomknięte żaluzje sączy się tu jeszcze dzienne światło. Staram oprzeć się o szafkę i opanować płytki oddech, szerzej rozwierając usta.

Podgrzewana podłoga po chwili koi ból mięśni. Wraca spokój, ale wyjątkowo powoli. Mam czas. Poznaję to miejsce, gdzie ciemniejsze drewno wiśniowych mebli świetnie współgra z jasnymi kafelkami trawertynu, a wszystko dopełnia obszerna wanna na pozłacanych lwich nóżkach ukryta za parawanem. Dwa kryształowe lustra pogłębiają wnękę ze stertą równo złożonych ręczników. Zestaw drogich mydeł, szamponów, szklanych dekoracji i perfum. Wszystko bez grama kurzu czy plam po kropli wody. Jakby nikt tutaj nigdy nie wszedł, a jedynie pani Maria z wpojonego od dziecka poczucia obowiązku przecierała gładkie powierzchnie, nadając im ten idealny połysk. Wzrok mimowolnie biegnie za okno, gdzie widzę bezkresny ogród niknący w lesie otaczającym budynek. Mur wyznaczający granicę posesji oplata ciemnozielony bluszcz. Ogrodnik okrywa młode drzewka przy alejce. Dwa duże psy płaczą się przy nim. Rzucił im znaleziony patyk, a one biegną za nim, ścigając się między ogołocionymi z liści krzewami. Zamykam oczy.

Chwilę zajmuje mi powrót do świata normalnych ludzi. Świata, gdzie nic nie boli tak bardzo. Na zewnątrz listopadowe słońce powoli znika między czubkami srebrnych świerków i sosen. Niebo obleka się niskimi chmurami. Drobne płatki śniegu opadają leniwie na ziemię. Naprawdę nie spodziewałam się, że tak szybko będę musiała zrealizować plan Jacka. Plan, w którym nie było miejsca na pomyłki czy wahanie. Według niego Martin złapał przynętę, jak wygłodzona po długiej mroźnej zimie ryba. Trochę łapczywie i bez zastanowienia. Ja nie byłam tego taka pewna, zwłaszcza po tej dość brutalnej próbie pozbawienia mnie życia. I to w więziennej celi, gdzie dość mały krąg ludzi miał do mnie dostęp. Ciekawe, czego jeszcze Nerski mi nie powiedział? I czy na pewno jego plan przewidywał wszystko?

Wstaję. Rozbieram się powoli i podchodzę do wanny, przekręcam kurki. Sięgam po jedną z butelek na półce z płynem do kąpieli. Wlewam niewielką ilość w topiel przejrzystej cieczy. Mieszają się, uwalniając subtelną kwiatową woń, która wypełnia powoli całą łazienkę. Lustro wody podnosi się ku obłym krawędziom. Spieniona powierzchnia chlupocze o brzegi i moczy jasne kafle, gdy zanurzam się w ciepłej cieczy po samą szyję. Tak, tu pachnie wolnością i dzikimi kwiatami. Może i Martin jest po tej ciemnej stronie, tej niewłaściwej, ale w tej chwili spełnia moje marzenie i korzystam z jego niecodziennego sposobu okazywania zainteresowania kobiecie. Zaczynam odczuwać senność.

**13 listopada 2012 roku, wtorek, g. 07:00**



Nawet nie zdążyłam się przebrać i nadal owija mnie ten puchaty brązowy ręcznik. Po kolejnej dawce lekarstw po prostu zasnęłam, przytulając głowę do poduszki, i to w mokrych włosach, których pozwijane pukle sterczą teraz na boki. Ale czuję się już znacznie lepiej. Chyba potrzebowałam tego snu bardziej niż kolacji.

Wstaję. Szperam po torbach i odnajduję najnormalniejszą na świecie bawełnianą bieliznę, ale nie mam ochoty wkładać tej mocno wydekoltowanej sukienki. Ktoś powiesił mi ją na krześle. Owijam się w jedwabny szlafrok z motywem kwiatów japońskiej wiśni i przewiążuję go w pasie. Leżał tuż obok satynowej nocnej halki wykończonych złotą koronką z jeszcze nieoderwaną metką. Może kupiono to specjalnie dla mnie, a może po prostu tu było. Na pewno nie ja pierwsza nocuję w tym wielkim pokoju.

Siadam z powrotem na łóżku i oglądam swój nowy telefon i kartę. Mam wiele wątpliwości. Zmiana numeru telefonu, to jak zmiana oficjalnej tożsamości w grze. Tylko na jak długo i dla kogo z korzyścią? Czy to na pewno mnie ochroni? I jak skontaktuję się z Jackiem?

Wychodzę cicho na korytarz, zabierając nowego iPhon'a. Schodzę po schodach do holu i rozglądam się. Kieruję się na prawo. Promienie wschodzącego słońca przedzierają się przez okna w pustym salonie, ale w kominku nadal tli się drewno. Zawracam i dopiero po trzeciej próbie odnajduję kuchnię. Pachnie już świeżo parzoną kawą i ciastem francuskim, a w moim żołądku robi się głębszy odwiert bezdennej studni. Już prawie dobę nic nie jadłam, bo trudno szpitalny wikt nazwać sytym. Zaczynam grzebać po wypolerowanych szafkach w poszukiwaniu kubka, a ta pajda chleba sama wpada mi w ręce. Ssę skórkę i połykam pszeny wypiek. Błogostan. Jeszcze tylko kawa z mlekiem. Przerywa mi stanowcze chrząkanie.

– Ja tylko kawę... – tłumaczę się, odstawiając na blacie odnaleziony wreszcie porcelanowy kubek z kolekcji bolesławieckich wyrobów.

– Niech pani usiądzie w jadalni. – Chyba pani Maria nie przywykła do ingerencji obcych w jej królestwie. – Zaraz pani przyniosę.

Wymiana naszych spojrzeń razi sztuczną uprzejmością, ale grzecznie jej ustępuję. Stół w jadalni faktycznie zastawiony jest na dwa nakrycia, ale tylko moje jest puste.

– Dzień dobry – mówię, siadając na swoim krześle, a Martin domyka klapę laptopa i odsuwa go trochę na bok. Poprawia swój ciemny szlafrok. Giełdowe indeksy i wykresy spadków – wzrostów znikają sprzed jego oczu. I trudno wyczuć,

czy dzisiaj sporo zarobił, czy stracił.

– Dosłownie spałaś jak dziecko – uśmiecha się do mnie i sięga mojej lewej dłoni. Gładzi ją lekko. Ale nawet tak prosty gest ma w sobie więcej z aktu dominacji niż ludzkiej empatii. – Nie śmiałem ci przerywać.

– Czy to jest konieczne? – pytam, odkładając trochę na bok nowy telefon.

– Niestety – zabiera swoją rękę i sięga po filiżankę z kawą.

Pani Maria pojawia się, drobiąc kroki, i stawia kolejny dzbanek na stole. Martin uśmiechem dziękuje kobiecie i sam nalewa do mojej filiżanki.

– Kto chce mnie zabić? – przechodzę do sedna, dolewając sobie mleka i upijając spory łyk przepysznej kawy.

– Nieudacznicy – wybucha śmiechem. – Wiesz, niektórzy sądzą, że to jednak ty zabiłaś Władimira i zaczynasz grać ostro o kasę. A nawet, że jesteśmy kochankami – mówi to z dziwnym uśmiechem. – I na razie niech tak zostanie – dodaje beznamiętnym głosem, ale ja wiem, że to ukryty rozkaz. – Dlatego będzie lepiej jak rzeczywiście zaczniesz grać ze mną.

– A Jacek? – pytam bez namysłu.

– On przecież nic dla ciebie nie znaczy. A tym bardziej ty dla niego – dziwi się, nachylając się mocniej w moim kierunku nad stołem.

– Ale on jest dla mnie dobry – bronię się.

– Tylko, gdzie on był, gdy potrzebowałaś pomocy? – pyta ostro, a jego dłoń wędruje pod moją brodę i zmusza do uniesienia w górę. Czerwone ślady odcisniętych kleszczy dłoni nasłanej „kruszynki” tylko potwierdzają zasadność jego dalszych pytań. – Jak myślisz, kto opłacił twoich lekarzy i operację, na którą się nie zgodziłaś? – pozwala opaść mojemu podbródkowi, a jego dłoń wędruje na policzek. – Kto kazał cię pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo wiedział, jakie będą konsekwencje zabójstwa Róženki? Kto dla ciebie podstawia się gliniarzom? Komu tak naprawdę zależy, byś przeżyła? – mówi to tylko po to, by zobaczyć moje zaskoczenie na twarzy. – Lidio, od samego początku miałaś grać dla mnie.

– Dlaczego? – nadal nie rozumiem.

– Ty naprawdę nic nie wiesz? – dopytuje się. Kręcę przecząco głową. – Nie domyślasz się?

– Nie – kręcę nadal przecząco.

– Ten stary esbecki lis nie powiedział ci tego?

– Chyba nie zdążył. – Czuję narastające napięcie w mięśniach mojej twarzy, a jego kciuk zatacza powolne okręgi na moim policzku.

– Jeździsz konno? – pyta po dłuższej chwili milczenia, a jego twarz perfekcyjnie, jak u mima, nie wyraża żadnych emocji. Zabiera swoją dłoń i znów sięga po filiżankę.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – naciskam.

– Muszę jeszcze gdzieś zadzwonić – mówiąc to, podnosi się z krzesła. Staje nade mną i całuje mnie w czoło. – Dokończ śniadanie, bo wczoraj nic nie jadłaś. – Całkowicie zmienia temat, dosuwając swoje krzesło do stołu. – I przebierz się – dodaje, a ja mam pewność, że tylko on zdecyduje, kiedy będzie stosowna chwila, by mi wszystko wyjaśnić.

– Tylko w co? – pytam, zaciskając palce na filiżance stygnącej kawy.

– Ubrania masz w szafie. Wszystko powinno pasować.

– A gdybym chciała wrócić do swojego mieszkania? – pytam z czystej ciekawości.

– Lidio, przecież wiesz, że to nie jest możliwe – patrzy na mnie z pobłażaniem. – Bądź rozsądna – pochyla się do mnie, jakby sam chciał się przekonać, czy nie żartuję. Jego dłoń powoli ślizga się po moich włosach, a twarz zastyga w mrozącym mnie milczeniu. Jego rysy pozbawione są emocji. – Oddech czyjejs śmierci towarzyszy ci na każdym kroku. Gdziekolwiek pójdziesz... – dodaje ciszej. – Każda twoja decyzja jest błędna. Na razie zostaniesz tutaj.

– Nie zostawię Jacka. – Te słowa padają przez zaciśnięte zęby.

– Kto nie gra ze mną... – śmieje się złowieszczo. – Idź się przebrać. Dzisiaj jedziemy do stadniny. Szykuje się kolejny zakup. Obejrzymy piękną arabską krew. Może ta klacz nawet coś dla mnie wygra. Jutro rano wyjeżdżam do Wenecji i rozumiem, że nie chcesz ze mną jechać... – to było bardziej pytanie. Kręcę przecząco głową. – Wrócę za kilka dni – dodaje. – Dam ci czas, byś to wszystko przemyślała. I proszę, byś jeszcze raz spotkała się z doktorem Hermanem.

– Nie chcę.

– Erwin cię zawiezie – mówi dalej, jakby w ogóle mnie nie słyszał. – Podobno z tą operacją nie można już zwlekać.

– Nie.

– Lidio! – ostry ton domaga się większej uwagi. – Popatrz na mnie – warczy, kładąc dłonie na oparciu krzesła. Zaciska je. Podnoszę wzrok. – Jesteś cholernie uparta, ale i w tej kwestii się mylisz – wzdycha. – Nie jestem twoim wrogiem.

– A kim? – pytam, patrząc mu prosto w oczy.

– Sama zdecydujesz – odwraca się i odchodzi.

Zostawia mnie. A na moim ramieniu siada czarna postać wielkości dorosłego kruka. Rozpościera skrzydła szeroko. Macha nimi, jakby chciała strzepać nadmiar pyłu na piórach. Przekrzywia głowę i wpatruje się w odchodzący cień sylwetki. A jego ostre rysy nagle stają się tak znajome. Demon ociera twardym szpiczastym nosem o moje ucho i szepce „To on to zaczął, to jego wina. Uważaj”. Zaciskam oczy i próbuję nie czuć tego zimna. Ale demon nie ustępuje, nie znika. On nie czuje lęku. Mocniej zaciska szpony odnóży i zaczyna rechotać. Śmieje się skręklawie. A ja ocieram łzy napływające mi do oczu. W końcu odlatuje.

Na szczęście nawet najlepszym graczom nie można odmówić chwili



słabości. Tylko że słabość Martina właśnie leży na blacie stołu, tuż na wyciągnięcie ręki i włączenie łączy bluetoothem. Nie waham się, otwierając srebrną kłapę laptopa. Znalezienie tych plików nie jest wcale takie trudne, a może nawet zbyt łatwe.

**14 listopada 2012 roku, środa, g. 20:00**



Wystukuję kolejną kombinację w panel sejfów, tym razem zaczynam od cyfry 9. Znowu nic. Zamek nie ustępuje, tak jak przy kilku poprzednich próbach. Szczęście może mam w grach losowych, ale szyfrantem nie jestem. Nie znając właściwej kolejności liczb zabezpieczającego sejf kodu, nic nie zrobię. Chociaż nie mam pewności, że diamenty ukradzione temu profesorowi we Lwowie są akurat w tym miejscu. Nerski też nie był tego pewien. Po prostu miałam to sprawdzić. Trudno o bezpieczniejsze miejsce niż niedostępna metalowa puszka w ścianie domu, do którego nie tak łatwo się dostać, a jeszcze trudniej z niego uciec.

W korytarzu słyszę szelest potrąconych sztucznych kwiatów w wazonie, a później szybkie kroki przy ścianie. Nie zastanawiam się dłużej. Kopia Rembrandta w gabinecie Tkackiego wraca na swoje miejsce. Obraz bezszelestnie zawisa tuż nad masywnym dębowym biurkiem. Chwytam jeszcze mój niebieski porcelanowy kubek z blatu i schylam do szafki biurka. Otwieram ją.

– Czego pani tu szuka? – ostry ton postaci w szarej sukience przerywa mi poszukiwania między rzędami butelek w ukrytym barku gabinetu Martina.

– Czegoś do picia – odpowiadam z radosną nadzieją w głosie i mocniej zaciskam palce na przezroczystym kubku. Zdążyłam.

– Dla pani nic nie ma – Maria odpowiada oschle.

– W takim dużym domu ani kropelki? – dziwię się, a coś w mojej głowie szepce, że to cholerny podstęp.

– Powtarzam. Dla pani nie ma w tym domu żadnego alkoholu. Pan Martin kazał wszystko schować. Ostrzegał mnie przed pani słabościami.

– Schować? – dopytuję.

– Wszystko jest pod kluczem w piwnicy. To dla pani dobra.

– Dobrze to mi zrobi, jak znajdzie się choćby małe pół litra i to nawet żytniej.

– Nie ma mowy! – warczy.

– Pani Mario, mój organizm już do tego przywykł – podchodzę ją, ale coś czuję, że to nienawistne zacięcie na jej twarzy nie ustąpi.

– Pani bierze leki.

– Drobne pastylki na gardło – kłamię, a ona spogląda na mnie z pogardą jak to na alkoholika. – To mi tylko pomoże.

– Lepiej zrobię pani herbaty z melisą, to zawsze działa na znerwicowane osóbkę – rzuca, kierując się do wyjścia z gabinetu. – To naprawdę dla pani dobra. Przecież pani wie, co stało się z panią Justyną – dodaje, obracając się w moim kierunku, a mi odbiera mowę. – To wszystko przez to, że tyle piła. Nie chciała nikogo słuchać.

– Skąd pani może o tym wiedzieć? – pytam, podchodząc do niej bliżej. Pusty barek i sejf ukryty pod rembrandtowską reprodukcją przestają być już istotne. – Mów, do cholery! – warczę z rodzącą się we mnie nienawiścią.

– To na pewno pani matka – wymija mnie i podchodzi do biurka przy oknie. Otwiera górną szufladę. Szuka w niej chwilę i wyjmuje zdjęcie w ramce. – Uderzające podobieństwo – mówi, podając mi kolorową odbitkę. – Pan Tkacki naprawdę o nią dbał, ale ona nie potrafiła tego docenić. Niczego nie szanowała. Nawet życia.

Biorę ramkę i nie mogę w to uwierzyć. To oni razem. Ona, moja matka, i on, Martin Tkacki, tylko o jakieś dwadzieścia lat młodszy. Obraz jak z innego świata. Słoneczna przestrzeń na tle turkusowego morza, poszarpane fragmenty skalistego brzegu, Morze Śródziemne. Tacy nieprawdziwi, a zarazem pasujący do siebie. Wyglądają na szczęśliwych. Matka w letniej białej sukience ma rozwiane jasne włosy i piegi na nosie, a on zupełnie naturalny uśmiech, zapatrzone w nią oczy. Na boga, jak to możliwe?!

– Pani ją znała? – pytam, nie odrywając oczu od zdjęcia.

– To było dawno temu, ale ją akurat pamiętam. Często ze mną rozmawiała, bo byłam jedyną Polką wśród pracowników. Pan Martin strasznie przeżył jej wypadek – milknie, a ja podchodzę do fotela i opadam na niego, nie czując nawet, że łokieć uderza w drewnianą rzeźbioną poręcz. Właściwie, to ja już nic nie czuję. – Mieszkali razem ponad trzy lata. Pod Monachium. Pan Tkacki ma tam posiadłość. Przywiózł ją późno wieczorem i oznajmił, że z nim zamieszka. Prosił, by mieć dla niej wyrozumiałość. Nie mogę o niej nic złego powiedzieć, bo o zmarłych nie wypada tak mówić. Ale pani Justyna ciągle była nieobecna, brała jakieś leki uspokajające. Niby po śmierci męża. Tylko, że ja wiedziałam – wzdycha ciężko. – Dwa razy robiła aborcję, a potem udawała poronienie. Pan Tkacki szalał za nią. Oświadczał jej się kilka razy, ale ona odmawiała. Potem zaczęła mieć koszmary i jakieś urojenia. Mówiła, że widziała swojego nieżyjącego męża. A nawet raz przyznała mi się, że zostawiła swoją córkę w Polsce, bo bała się o jej życie. Była tak pijana, że trudno było ją zrozumieć. Błagała mnie, bym nikomu nie mówiła. I nie powiedziałam, ale pan Martin i tak znalazł przypadkiem w śmieciach test ciążowy, a później był telefon z kliniki. Wybuchła wielka awantura. Pani Justyna spakowała rzeczy, wsiadła do samochodu i po prostu mu uciekła.

– Wtedy był ten wypadek? – pytam oszołomiona jej słowami.

– Niestety. Wszystko potoczyło się tak szybko – wzdycha, wyciągając rękę

po ramkę ze zdjęciem. Oddaję ją niechętnie. – Lepiej to odłożmy, by nie widział. On nie lubi wracać do tych wydarzeń.

– Ale wciąż trzyma jej zdjęcie? Po tylu latach? Przecież powinien ją znienawidzić za to wszystko.

– Powinien był, ale niektórzy kochają tylko raz w życiu – zasuwa szufladę i milknie, wymownie patrząc na obraz nad biurkiem. Nawet ja zauważam teraz, że wisi trochę krzywo. Maria poprawia go i powoli odwraca się w moim kierunku. – Pani bardzo ją przypomina.

– Tylko że to ona zostawiła mnie, swoją siedmioletnią córkę, dla niego. Umiałaby pani tak zrobić? – pytam, czując narastającą falę tłumionych latami emocji.

– Nie chcę jej oceniać.

– No tak. Pani nie wypada. Przecież o zmarłych się źle nie mówi. – Zaciskam dłonie na oparciu fotela.

– Może to zbyt surowy osąd. Ona naprawdę za panią tęskniła. Cały czas nosiła pani zdjęcie w portfelu. Co miesiąc wysyłała paczki do Polski. Mówiła, że to dla teściów, że im jest ciężko, ale ja widziałam tam zabawki, ubrania dziecięce, słodycze.

– Czy coś jeszcze po niej zostało? – mój zimny ton trochę studzi jej pogodny uśmiech.

– Nie. Wszystko kazał spalić lub rozdać biednym. Od razu też wyprowadził się z tamtego domu do Włoch. Poznał jakąś kobietę, tylko to już nie było tak samo. Zmienił się bardzo. Pochłonęła go praca.

– Pani Mario, ale ja nie jestem moją matką – mówię to, patrząc w jej ciemne nieufne oczy. Podnoszę się z fotela.

– Ale ja tego nie powiedziałam. Pani jest tylko do niej podobna. I ma nieakceptowany w tym domu nałóg – stara się uśmiechnąć, ale tym razem jej nie wychodzi. – Dopóki ja tu odpowiadam za porządek.

– Nie będę pani błagać i nie chcę, do cholery, pani herbatki! – Nawet na nią nie patrzę, wychodząc z gabinetu.

Oby ją piekło pochłonęło! Tak jak Martina i moją matkę! Ich wszystkich! Ten brudny świat układów, matactwa i lepkie ręce. Tę ich cholerną grę, której zasady wyłaniają się cieniem z przeszłości. Ich przeszłości, nie mojej. Przecież Tkacki właśnie to próbował mi wczoraj powiedzieć.

Odwracam się jeszcze za siebie, ale Maria wychodzi za mną i domyka drzwi gabinetu. Milczy ze smutkiem w oczach. Może żałuje, że to ona mi to wszystko powiedziała. Ale przecież ktoś musiał to zrobić. Chociaż już sama nie wiem, czy niewiedza nie była rozsądniejszym stanem. Dziadek oszczędził mi tego przed laty. Stworzył historię o wyjeździe synowej za pracą, a nie porzuceniu dziecka przez matkę zakochaną ślepo w mężczyźnie. Historię, w którą łatwiej było uwierzyć

dziecku.

– On nie wiedział, że pani żyje – Maria jeszcze próbuje coś mi powiedzieć.

Odwracam się od niej. Już nie chcę tego słuchać. Nie chcę wybaczyć matce. Ruszam powoli do holu. Uciekam przed Marią. Już naprawdę myślę tylko o jedynej czynności, która przyniesie mi ulgę. Pomoże zapomnieć i rozluźnić napięte do bólu mięśnie. Zamroczy w najprostszy z możliwych sposobów i pozwoli szybko zasnąć. Oddali to wszystko, z czym przyjdzie mi się zmierzyć po powrocie Martina, z tym, czego on ode mnie oczekuje. I w jednej chwili zdaję sobie sprawę, że plan Jacka nie wypalił, a ja będę musiała stąd jak najszybciej uciec. Nie dam rady grać potulnej maskotki przed Tkackim. Nie ukryję swojego żalu, pretensji i nienawiści. Przecież to on odebrał mi matkę. Zawłaszczył dla siebie, a później pozwolił jej umrzeć. Może nawet sam kazał jej się pozbyć, tak jak Wiesława, który zaczął zadawać zbyt wiele pytań. Niewygodnych pytań o przeszłość, o ich interesy. Nerski też musiał o tym wiedzieć. Stąd ta pewność, że Martin będzie mną zainteresowany. Pieprzony manipulant. W tej grze rzeczywiście nie ma zasad, przynajmniej tych moralnych, a uczucia obnażają twoją słabość.

Czuję narastającą we mnie wściekłość, a plan Nerskiego coraz mniej mnie interesuje. Niech szuka innego sposobu, by wydobyć od Tkackiego te próbki diamentów. Ja w to dalej nie wejdę. Chociaż udało mi się zdobyć te dane z mapą. I tyle byłam w stanie mu oddać za ochronę, którą przecież mi obiecał.

Podchodzę do dwuskrzydłowych drzwi frontowych i naciskam metalową kutą klamkę, ale zaraz ją puszczam. Coś mi mówi, że to nie może być takie proste. Chcę zawrócić, ale jeszcze zatrzymuję się przed wąskim oknem po lewej od drzwi wejściowych. Odślaniam przejrzystą firankę, a na oświetlonym podjeździe tuż przy marmurowych schodach dostrzegam mężczyznę. Zauważa mnie kątem oka i obraca się w kierunku domu. Patrzy mi w oczy, przeszywa spojrzeniem i niby naturalnym ruchem dłoni poprawia marynarkę. Zasłania dokładniej broń ukrytą pod sercem. Mówi coś do słuchawki w uchu. Nic nie słyszę. Domyślam się, że informuje jeszcze kogoś z ochrony o tym, co robię. Tak, to na pewno nie będzie takie proste. Tędy nie ucieknę. Żeby ich ominąć, musiałbym stać się niewidzialna. W tej chwili nie mam wyjścia. Odchodzę w nieoświetlony korytarz. Wyraźnie czuję narastający ból w skroni, który rozchodzi się obręczowo ku potylicy. Nie chcę brać kolejnej tabletki, nie chcę znowu tracić kontroli. Ośmiogodzinne periody upływają coraz szybciej.

Instynkt z każdym krokiem popychał mnie głębiej w labirynt budynku. Muszę znaleźć jego słabe punkty, bo wątpię, by Tkacki aż tak przejmował się moim życiem, gdy się dowie, że robię to wszystko dla Jacka. Mijam kolejne przejścia, drzwi i schody. W końcu zatrzymuję się i trochę niepewnie staję przed jednym z pokoi. Słucham chwilę drobnych chrząknięć, ruchu palców po klawiaturze i w końcu szelestu cichej rozmowy przez komórkę. Poznaję go. To na

pewno Erwin jest za tymi drzwiami. Zdaję sobie sprawę, że ochroniarz Tkackiego raczej nie należał do wylewnych rozmówców. Tak jak reszta tych napakowanych mięśniaków, którzy przemierzali przestrzeń wokół domu. Wykonujących tylko rutynowe czynności, trzymających się procedur. I dbających, bym nie zniknęła z tego domu. Dlatego jeszcze dłuższą chwilę wpatruję się w cienką smugę światła przy swoich stopach. Staram się uspokoić. Nie mam pewności, czy dobrze robię. Niewytłumaczalnie i raczej wbrew logice coś każe mi zaufać temu człowiekowi. Pukam nieśmiało.

– Proszę.

– Mogę? – otwieram powoli drzwi jego pokoju i wchodzę z niewinnym uśmiechem.

Mężczyzna podnosi się nagle z fotela i zamyka trzymany na kolanach laptop. A mi tylko przez chwilę miga obraz nagiej kobiety wyginającej ciało w bardzo jednoznaczny sposób. Oglądał chyba portal z „kobietami aktami”.

– Aaa...

Musiałam go jednak zaskoczyć. Spodziewał się kogoś innego.

– Przepraszam, że tak późno.

– Czy coś się stało? – pyta zaniepokojony, przeczesując ręką swoje krótko przystrzyżone włosy. Pierwszy raz widzę go bez słuchawki w uchu, po prostu w czarnych spodniach od dresu i T-shircie z nieregularnym napisem „Vintage”. Tak, i te białe adidas.

– Nie, nie... nic strasznego. Właściwie, to nie powinnam panu przeszkadzać – wycofuję się, bo chyba mój pomysł spalił na panewce. On pewnie też dostał jasną instrukcję od Martina.

– Proszę mówić – podchodzi do drzwi, a ja mocno trzymam się zimnej klamki.

– Ja w takiej banalnej sprawie.

– Tak?

– Głupio mi pytać.

– Proszę – zachęca mnie szczerym uśmiechem.

– Panie Erwinie, ja muszę się napić – staram się przy tym uśmiechnąć, ale jakoś krzywo mi to wychodzi. I właściwie spodziewam się kolejnej reprimendy. Ale ochroniarz wybucha śmiechem.

– Proszę – gestem wskazuje miejsce przy stole w głębi pokoju. – Coś na to zaradzimy – drapie się po głowie i podchodzi do jednej z szafek w rogu. – Mam tylko finlandię – moje oczy rozpalają się na widok półlitrowej butelki.

– Tak po prostu? – pytam, nie dowierzając, i siadam na jednym z krzeseł przy drewnianym kwadratowym stoliku.

Erwin stawia przede mną kieliszek i drugi obok. Odruchowo stuka w dno butelki i odkręca granatową nakrętkę. Banderola pęka z łatwością. Mężczyzna

polewa prawie do brzegów.

– Tylko niech mnie pani nie wyda – mówi to z udawaną powagą. – Pani Maria powiesiłaby mnie za jaja. A jej lepiej nie stawać na odcisk.

– Tak – śmieję się, wznosząc kieliszek. – Nie ma nic gorszego niż ciepła wódka i ból głowy kobiety. Tak mawiał ojciec mojego przyjaciela. To już cholernie długie dwa lata, odkąd mój narzeczony nie żyje. A teraz i jego ojciec do niego dołączył. – Mam nadzieję, że Erwin mnie zrozumie, chociaż zdaję sobie sprawę, że to Martin maczał palce w zabójstwie Wiesława, a Erwin niekoniecznie może o tym wiedzieć. – Rocznicę śmierci wpisują się głębiej w mój życiorys niż daty narodzin, a dzisiaj wołałabym szybciej zasnąć. – Ochroniarz chyba rzeczywiście rozumie.

– Oj, są gorsze rzeczy. Niech pani mi uwierzy. Ciepła wódka to czasami konieczność.

– Coś czuję, że pan mógłby mi wiele opowiedzieć – krzywię się, czując pięćdziesięcioprocentowy alkohol przepływający przez gardło.

– Oj, mógłbym. Ale wołałbym o tym nie mówić.

– To może nie dzisiaj... Lidka – podaję mu rękę do uścisku nad stołem, a on się waha tylko przez moment.

– Erwin – odwzajemnia uścisk z uśmiechem i znowu drapie się po głowie.

– Miło mi – mówię, a on polewa następną kolejkę. – Ale soku malinowego i tabasco to pewnie nie masz? – pytam z naiwnością dziecka, a on znowu wstaje i podchodzi do szafki. Stawia na stole kolejne dwie buteleczki.

– Lidka, ale to tylko tak między nami. – Dolewa soku i kropi sporo tabasco. – Poza tym czekam na kogoś.

– Rozumiem. Lepiej, by Martin się nie dowiedział.

– Lepiej, by nikt nie wiedział.

– Tak. – Druga kolejka wchodzi mniej agresywnie. Po twarzy przebiega mi jedynie grymas domykający lewą powiekę. Rozgrzewające ciepło zalewa żołądek i policzki rumieńcem. – Często pijesz z jego maskotkami? – pytam, odstawiając kieliszek na stole, a on znowu polewa i kończy szota.

– On rzadko kogoś tu przywozi. Głównie korzysta z klubów lub burdeli. We Florencji ma jakąś przyjaciółkę.

– No tak. Chyba na tej pozycji nie może pozwolić sobie na nic innego.

– Kazał cię pilnować jak oka w głowie. Dziewczyno, ty masz po prostu kurewskiego farta. Powinnaś już nie żyć.

– A jednak – wznoszę kolejny toast. – Za to, że jeszcze żyję.

– Tak. – Wznosi kieliszek. – Za tych, co potrafią przechytryć śmierć.

– Tak, za to się napiję – uśmiecham się, mimo palącej potrzeby popicia tego niebiańskiego napoju, który coraz łagodniej spływa do mojego żołądka. – Na kogo czekasz? – pytam dość spontanicznie.

– Na znajomą. Trochę się spóźnia – patrzy na zegarek w telefonie

odłożonym na blacie. Ja też patrzę na to małe plastikowe urządzenie i już wiem, co będę musiała zrobić. – Lidka...

– Tak?

– Ja mam do ciebie tylko małą prośbę. Nie próbuj mi uciekać, dobrze?

– Nawet o tym nie pomyślałam – zastrzegam się niezbyt uczciwie. – Ale skoro prosisz...

– Tkacki wraca dopiero w przyszłym tygodniu. Wolałbym nie stracić w tym czasie roboty. – Patrzy na mnie badawczo.

– Erwin, nie wglądasz mi na takiego, co się łatwo da przechytrzyć – śmieję się. – Tylko w piątek zawieszysz mnie na jeden wykład i dam ci spokój.

– W piątek?

– Na 16:00, główny gmach uniwersytetu.

– No dobrze – mówi, polewając następną kolejkę. – Ale włożysz wreszcie tę kartę sim do telefonu, bym nie musiał siedzieć ci na plecach.

– Wiesz, trudno jest przywyknąć do tego, że ciągle cię ktoś śledzi. Czy wszyscy w tej grze tak mają?

– Godzisz się na to, wchodząc w ten układ. Część nawet o tym nie wie. Ty się cholernie szybko w tym połapałeś.

– To ty wyciągnąłeś mnie wtedy z samochodu Raczyńskiego? – pytam, trąc kciukiem o szkło kieliszka. – Chcę tylko ustalić kilka szczegółów.

– Takie dostałem polecenie.

– Od Martina?

– Tak. Ten klub należy do niego. Miałem zaczekać, aż Tomasz Raczyński wejdzie do jego gabinetu, i wprowadzić cię do środka.

– I to na jego polecenie odwiozłeś mnie nieprzytomną do mieszkania po tym, jak kazali podpisać mi ten pieprzony weksel? – nadal nie piję, a on wzdycha głośno.

– Tak – mówi to i sam upija kolejny kieliszek. Polewa sobie tylko czystą i próbuje patrzeć mi w oczy. – Ale to nie Tkacki mi kazał. Rózenko spanikował, bo nie mógł wyczuć twojego pulsu. Naszprycował cię morfiną i czymś jeszcze. Chciał pozbyć się ciała, tak by wyglądało to na przedawkowanie. Myślał, że Rudy załatwił cię, tak jak tę Ukrainkę i dwie poprzednie. Martina nie było wtedy w Polsce. Sam podjąłem tę decyzję. Chociaż miałem wątpliwości, czy przeżyjesz.

– Ja miewam takie ataki, gdy się zdenerwuję lub czegoś boję. Dlatego cały czas mam przy sobie lekarstwa.

– I chyba nie powinnaś tyle pić – uśmiecha się, a ja podnoszę kieliszek i upijam do dna. Robi podobnie. Polewa, sobie czystą, mi robi szota z tabasco.

– Muszę ci podziękować. – Pukanie do drzwi przerywa mi wpół zdania. Erwin patrzy na mnie i drapie się po prawej brwi. – Rozumiem – mrugam do niego. – Już sobie idę – przechylam kieliszek i kończę szota. Cholernie dobrze mi zrobił.

On dopija czystą i chowa praktycznie pustą butelkę z kieliszkami do szafki. Od razu pojmuję, że to jedyny stosowny moment i kiedy obraca się do mnie tyłem zabieram jego telefon ze stołu. Ukrywam go w kieszeni spodni. Robię to trochę niezgrabnie, ale on i tak niczego nie zauważa. Chyba jest lekko oszołomiony alkoholem, a może bardziej skrępowany tą spóźnioną wizytą przyjaciółki.

Wstaję, wyczuwając tak upragnioną lekką bezwładność, a on odprowadza mnie do drzwi, po których otwarciu pojawia się nieokiełznana burza ciemnych loków i twarz spalona solarium. Dziewczyna jest ubrana dość wyzywająco, cała w czerni i ćwiekach. Minispódniczka, błyszczące kozaki za kolano na dwunastocentymetrowym obcasie, krótka skórzana kurteczka sięgająca pasa i smoliste czarne oko. Torebka na dwóch metalowych obręczach, niby gwóźdź wystający z ucha, kolczyk w dolnej wardze i chyba języku. Pachnie odurzająco ciężką wonią pościelowych perfum.

– Cześć – mówi, powoli ślizgając językiem po dolnych zębach. – Widzę, że masz już towarzystwo. Mnie to nie przeszkadza. Tylko w trójeczkę to będzie trochę drożej. – Wchodzi do środka, przeciągając palcem z niekończącym się czarnym paznokciem po moim policzku.

– Może nie tym razem – uśmiecham się, stając na jej poprzednim miejscu. Wycieram policzek. – Miłego wieczoru – dodaję, patrząc na trochę zawstydzonego Erwina.

Prostytutka rzuca torebkę na fotel i uwiesza się na jego szyi. Znikam w półmroku korytarza.

**14 listopada 2012 roku, środa, g. 21:40**



Telefonu Erwina używam praktycznie od razu. Nie jestem pewna, ile czasu zajmie mu ta płatna randka. Staralam się brzmieć wiarygodnie, chociaż kłamstwa wychodzą mi z niebywałą łatwością. Ułatwiał mi to lekki stan upojenia. Dopiero po dziesięciu minutach ktoś wreszcie łączy mnie z właściwym numerem.

– Duć, słucham – starszy aspirant warczy poirytowany w słuchawkę. Na szczęście jest jeszcze w biurze.

– Mam mało czasu – mówię szeptem.

– Gdzie ty do cholery jesteś? Sporo ludzi cię szuka – poznaje mnie bez najmniejszego problemu.

– Dobrze wiesz, że ci nie powiem – mówię to trochę rozbawiona jego zdenerwowaniem. Ale on ewidentnie nie podziela mojej radości.

– Nadal jesteś podejrzana o morderstwo...

– Tak, jak ty nadal nie masz na to dowodów – ripostuję.

– Nie bądź tego taka pewna. – Milknie, ale wyczuwam jego złowrogie myśli.



– Rozumiem, że przemyślałaś moją propozycję? – pyta po chwili.

- Myślę, że możemy dokonać pewnej wymiany.
- Teraz stawiasz warunki? – udaje niezainteresowanego.
- Grzecznie proponuję. Bo jakbyś nie zauważył, to są ludzie mało przebiegający w środkach.
- Nie układam się z przestępcami – milknie ponownie. Słyszę jak świszający podmuch powietrza z jego nosa uderza w słuchawkę. Chce dać mi jasno do zrozumienia, że ta decyzja nie przychodzi mu łatwo. – Ale dla ciebie chyba uda mi się zrobić mały wyjątek – dodaje spokojniejszym tonem. – Co za co?

Wiedziałam, że się skusi. Przecież o to mu chodziło.

- Dostaniesz zabójcę Władimira Róženki i Tkackiego „na tacy”.
- Za?
- Za drobną przyjacielską przysługę. Mały program ochrony świadków? Ja też mam pewne zobowiązania i rachunki, które jeszcze muszę wyrównać.
- Mówisz o tym przemytniku? – chce się tylko upewnić.
- Przecież wiesz.
- Teraz to powinnaś się martwić tylko o siebie.
- Piotr...
- Lidka przerywa mi – ten facet chyba nie jest tego warty. Nie możesz tym razem odpuścić? – pyta, ale zna przecież odpowiedź.
- A ty byś odpuścił?

głowę Nie, nigdy.

- No właśnie – śmieję się. – Dlatego poszukaj wśród znalezionych dowodów długich farbowanych na rudo włosów. A ja doprowadzę cię do właścicielki.

Słyszę, że i on się śmieje, a jego myśli błądzą gdzieś daleko po półkach z dowodami nie tylko tej jednej zbrodni. Nie mam wątpliwości, że ta informacja wystarczy mu, by znaleźć Wiktorię.

Rozłączam się, kasuję ostatnie połączenia i chowam z powrotem telefon Erwina do kieszeni spodni. Zawracam w korytarz. Nie mogłam ryzykować użycia własnej karty sim, bo Tkacki na pewno kazał mi na bieżąco sprawdzać. Miałam nadzieję, że akurat Erwin był w oczach Martina poza kręgiem podejrzanych. Mijają kolejne minuty, a ja koncentruję się już tylko na tym, jak oddać ten mały plastikowy przedmiot. Siadam na ziemi w korytarzu, zaraz przy drzwiach pokoju ochroniarza. Wyraźnie słyszę ciche westchnienia i jęki. Tylko że jakoś w tej chwili nie mam ochoty czekać, aż prostytutka będzie chciała opuścić jego lokum. Nie zastanawiam się dłużej. W klęczącej pozycji delikatnie naciskam klamkę, a drzwi ustępują łagodnie. Nawet nie pomyśleli, by się zamknąć. Rozchyłam je zaledwie na szerokość dłoni. Telefon kładę na podłodze. Popycham go mocniej, a on sunie praktycznie bezgłośnie po wykładzinie. Zatrzymuje się koło drewnianego stołu. Niech Erwin pomyśli, że po prostu upuścił go na ziemię. Para na łóżku pod oknem

nie przerywa nawet na sekundę. Zmieniają kolejną pozycję. Sama jestem zdziwiona, że było to takie proste. Ale co się dziwić, skoro odgłosy, które docierają moich uszu, są jasną informacją, że ochroniarz jest teraz zajęтым człowiekiem. Bardzo zajęтым i szczęśliwym.

**15 listopada 2012 roku, czwartek, g. 23:40**



Gdy tylko zdeptali ognisko, zauważył migotliwe snopy światel dwóch latarek.

– Psy! – Ukrainiec w skórzanej kurtce od razu rzucił się do ucieczki. Zapomniał o wbitym obok nożu.

– Dawaj – drugi pociągnął za rękaw Jankowskiego i wtopił się w cień krzaków.

Brodacz poderwał się z pnia jako ostatni. Chwycił płócienny plecak i zaczął biec na ślepo przed siebie. Dwóch pozostałych uciekinierów rozpierzchnęło się w przeciwną stronę. Niedokręcony termos z parującą kawą został przy wygaszonym ogniu. Teraz decydował łut szczęścia. Straż graniczna zawsze miała ograniczone fundusze, więc na pewno więcej niż trzech na tym patrolu nie było.

Jankowski po prostu miał pecha. Pies wyczuł akurat trop jego starych traperów. Strażnicy nawoływali się po polsku. Brodacz przeklął siarczyście pod nosem i pożałował, że w ogóle się tu zatrzymał. Chciał się tylko napić gorącej kawy i w ludzkim odruchu poczęstował tych dwóch kawałkiem podsuszanej kiełbasy. Byli spod Żytomierza.

Płócienny plecak uderzał go czymś ostrym po żebrach. Na pewno miał już siniaki. Chrzęściły aluminiowe sztucce i kubek. Przemoknięte buty obcierały pięty i uciskały na powstałe pęcherze, a wełniana czapka piekła teraz w rozpalone od zmęczenia uszy. Biegł w ciemności, zapadając się w grząskie podłoże. Z Przemyśla chciał złapać pociąg do Krakowa. Tam miał jeszcze przyjaciół. Pośliznął się na mokrej ściółce. Zjechał z boczem kilka metrów i uderzył o wystające korzenie drzewa. Nie miał szans.

– Stój! Stój, bo strzelam!

Dopadło go dwóch umundurowanych mężczyzn i unieruchomiło przy ziemi. Dłonie skuli kajdankami na łędźwiach. Pies ujadł przy udzie powstrzymywany przed atakiem na leżącego. Obnażał długie ostre zęby i ślinił się. Obmacali go i szybko znaleźli dokumenty.

– Jankowski – powiedział jeden ze strażników, mrużąc oczy w świetle latarki. Drugi cały czas trzymał go na muszce. Brodacz milczał z twarzą przygniecioną do ziemi.

– Kolejnemu śpieszy się do Polski – splunął. – Pieprzeni Ukraińcy! Wam się

wszystkim wydaje, że to ziemia obiecana. Że tu kokosy rozdają.

– Dobra – przerwał mu trzeci – dawaj go do środka. Tam może być ich więcej. – Otworzył tylne drzwi starej łady nivy i czekał zniecierpliwiony, przestępując z zimna z nogi na nogę. Pies ciągle warczał.

Mundurowi popchnęli Jankowskiego w kierunku samochodu, gdzie wpadł na tylne siedzenie. Nawet nie jęknął. Kierowca odpalił silnik i ruszyli gąszczem wyboistej drogi. Prowadziły ich długie światła okrągłych reflektorów. Pies, który cały czas patrzył na Jankowskiego, eksponując prawy kieł, sprawiał, że naukowiec czuł się jeszcze bardziej jak zdrajca, oszust i kompletny dureń. Przecież już było tak blisko. Do Przemyśla zostały tylko cztery kilometry. Miał nadzieję, że nie wrzucą jego danych w międzynarodowy system.

Mylił się bardzo.

– Erwin, wierzysz w Boga? – zapytałam, przerywając narastającą ciszę między nami. Ochroniarz lustruje mnie kolejny raz w lusterku i uśmiecha się, pokazując mocne długie zęby.

– Dlaczego pytasz? – odzywa się dopiero po dłuższej chwili, jakby nie przywykł do konwersacji z pasażerami z tylnego siedzenia.

– Tylko tak... – śmieję się i wracam wzrokiem za szybę. Mijamy odnowiony budynek dworca Wrocław Główny i wjeżdżamy na Kołłątaja. Rząd samochodów ślimaczy się coraz bardziej. – Ten wykład jest na szesnastą. Zdążymy?

– Na pewno – włącza migacz i przyciska trochę pedał gazu, tnąc torem przeznaczonym tylko dla tramwajów, a za nami już plac Dominikański.

– To może ja tu wyskoczę, a ty zaparkuj pod Arsenalem – sugeruję, gdy mijamy po prawej Most Uniwersytecki, kierując się na trasę WZ. Zatrzymuje się na światłach.

– Lidka! – strofuje mnie, gdy otwieram drzwi i wysiadam.

– To jest tu zaraz w Auli Leopoldina. Znajdziesz bez problemu – pokazuję mu palcem górne piętro głównego budynku. Zatrząskuję drzwiczki i ruszam na pasy.

Jaguar odjeżdża, ale bystre oczy kierowcy śledzą mnie w lusterkach. Czekam aż zniknie za zakrętem i zawracam. Idę na wykład, który na pewno nie odbywa się jednak w tym budynku. Karta sim znika z mojego telefonu.

**15 listopada 2012 roku, piątek, g. 18:00**



Wykład profesora Mariusza Strzyńskiego o kimberlitowych złożach w południowej Afryce kończy się prawie trzydzieści minut po czasie. Tyle jest pytań. Uniwersytecka sala przy placu Maksa Borna, gdzie mieścił się już od kilkadziesiąt lat wrocławski wydział geologii, pustoszała. Schodzę powoli

między kolejnymi rzędami krzeseł, kierując się do centralnie umieszczonego stolika wykładowcy. Razem ze mną czeka tu jeszcze kilka osób.

Profesor nie zdążył nawet pozbiierać swoich notatek ani wyłączyć pliku PowerPointa, który wciąż jawił się na białej planszy jako ostatni slajd z pozycjami polecanej słuchaczom literatury, bo kolejne dwie zauroczone studentki trzeciego roku oczekują dodatkowych wyjaśnień. Czerwienią się przy tym niespełna pięćdziesięcioletnim naukowcu, co jego napawa dumą. Dojrzałe i bystre spojrzenie wodzi po rozpalonych młodzieńczym zapalem twarzach, pomarszczone usta układają się w szczery uśmiech, a dłonie gestykują szeroko. Mówi płynnie, choć z charakterystycznym dla Wschodu przeciąganiem sylab. Zagarnia przy tym palcami powietrze, jakby chciał wycisnąć z niego esencję swojej wcześniejszej wypowiedzi, a dziewczęta przytakują trochę onieśmiałone. Strzymiński na pewno należy do nielicznych osób, które w młodym wieku osiągnęły najwyższy stopień naukowy, i właśnie w tej chwili odczuwa z tego powodu pełną satysfakcję.

Stoję trochę z boku i przyglądam się mu uważnie, ściskając telefon. To niesamowity zbieg okoliczności, że gdy szukałam dodatkowych informacji na temat złóż diamentów, wyskoczyła mi notka o jego dzisiejszym wykładzie. Tylko on mógł mi to wszystko wreszcie wyjaśnić, odpowiadając na najistotniejsze pytania o autentyczność zdobytych informacji i mapy dla Jacka. Mapy przedstawiającej obszar złoża bez współrzędnych lokalizujących ją na globie, bez skali, ale za to kilkunastoma numerami odwiertów.

Oprócz tego foldery, o których mówił Nerski, zawierały dziesiątki danych opisanych za pomocą tajemniczego systemu oznaczania głębokości oraz nawierconych zmian litologii i poziomu zwierciadła wody. Typowy polowy bełkot bezpośrednio z poszukiwawczych odwiertów. Tyle że dla mnie z tych informacji nie wynikało nic oczywistego, nie było łączącego je spójnika. Był to raczej kompletnie przypadkowy zbiór cyfr i oznaczeń, jakby z różnych miejsc na ziemi.

Profesor żegna ceremonialnie studentki i już następni głodni wiedzy słuchacze czekają w kolejce. Ich pytania są przyjęte równie miło jak poprzedniczek. A naukowiec odpowiada z żywszą gestykulacją, marszcząc wysokie czoło.

Wtedy do sali wykładowej wchodzi elegancko ubrany mężczyzna w jasnoszarym garniturze. Wygląda ewidentnie na starszego od profesora Strzymińskiego i dumnie prezentuje błyszczącą skórę głowy na głębokich zakolach. Na pewno jego wtargnięcie ma jasny cel – ocalenie zaproszonego gościa z Uniwersytetu w Petersburgu przed natarczywymi studentami.

– Proszę państwa, pozwólmY profesorowi odpocząć. – Strażnik dobrego samopoczucia Mariusza Strzymińskiego staje przed czekającymi na swoją kolej słuchaczami i rozkłada szeroko ręce. – Przyjechał do nas prosto z lotniska. Na pewno jest już zmęczony. Przypominam, że jutro będzie miał jeszcze jeden wykład

na Politechnice Wrocławskiej, gdzie zapraszamy państwa serdecznie. Wtedy odpowie na wszystkie państwa pytania – informuje, pokazując drzwi wyjściowe z sali.

Stojący przy otwartym laptopie naukowiec nie podważa tej wypowiedzi. Widocznie rzeczywiście ma już dosyć. Uśmiecha się szczerze, ale ja nie zamierzam tak łatwo dać się spławić. I gdy gospodarz z sukcesem pozbywa się studentów z sali, moje chrząknięcie przerywa profesorowi strzepywanie drobnych okruszków łupieżu z klap beżowej marynarki. Jest zmieszany, ale uśmiecha się dość zachowawczo.

– Czy udzielał pan wywiadu dla „Forbesa”? – pytam zniecierpliwiona.

– Tak – odpowiada niepewnie, patrząc na mnie badawczo, i odruchowo chwyta się krawędzi blatu, przyjmując bardziej dostojną pozycję. – Ale dzisiejszy wykład...

– Tak, nie dotyczył tego złoza, ale dotyczył pańskich badań – postanawiam od razu przejść do rzeczy.

– Nie rozumiem, do czego pani zmierza – szybko się opanowuje, a jego twarz traci swój wcześniejszy promienny wyraz. – Obawiam się, że jestem już zmęczony.

– Chciałabym panu coś pokazać. Proszę na to spojrzeć. – Palcem powiększam ekran telefonu, by pokazać mu mapę.

– Proszę pani! – oburzony starszy naukowiec próbuje mi przerwać, ale dłoń Strzymińskiego powstrzymuje go od razu.

– Staszku, ja zaraz przyjdę. – Widać, że profesor właściwie prosi, by jego obrońca opuścił salę.

– Dobrze, tylko my u rektora czekamy już prawie godzinę. Nie może pani przyjść jutro? – rzuca do mnie, głośno wydychając nosem powietrze. I staje przy profesorze jak sierżant z dłońmi splecionymi na wysokości krocza.

– Zaraz, zaraz skończymy. – Profesor daje mu jasno do zrozumienia, by nie nalegał. – Idź, zaraz przyjdę – uśmiechem odprowadza go do wyjścia z sali.

– Wie pan, co to za złoże? – Marszczy brwi, próbując odczytać małe cyferki. – Niech pan włączy bluetootha, tak chyba będzie szybciej.

Krótkie palce sięgają myszki i już po chwili mężczyzna widzi mapę na ekranie swojego laptopa.

– Skąd pani ją ma?

– Niech pan lepiej nie pyta. Nie chce pan tego wiedzieć. Potrzebuję tylko informacji, czy to na pewno mapa syberyjskiego złoza. I czy na pewno diamentów?

– Nie – kręci głową przecząco. – To na pewno nie ta numeracja otworów. Coś tutaj nie gra. To nie tak, nie te głębokości. Widzi pani – wskazuje mi kolejne z zaznaczonych punktów na czarno-białej mapie. – Nie wiem, co to jest, ale na pewno nie to, o co pani pyta. Nawet nie wiem, czy to w ogóle istnieje, tu wszystko

jest w innym systemie.

– Ktoś podrobił tę mapę? – pytam, przyglądając się mu trochę nachalnie.

– Możliwe, ale tak na pierwszy rzut oka trudno mi to stwierdzić. Niech pani mi ją zostawi. Muszę się jej przejrzeć. A może ma pani coś jeszcze, dane z odwiertów, badania geofizyczne, wstępne analizy? – pyta zaciekawiony, ale w jego oczach dostrzegam coś dziwnego.

– Mam, ale panie profesorze, lepiej, by nikt o tym się nie dowiedział. – Mam nadzieję, że wyrażam się jasno.

– Rozumiem, rozumiem – uspokaja mnie gestem. – Ale inaczej nadal będziemy zgadywać. I tak będę musiał to skonsultować. Muszę zadzwonić do Petersburga.

Wysłałam mu kolejne pliki, a on drapie się nerwowo po czole. Mruga oczami i wodzi palcem po pojawiających się na ekranie oznaczeniach i cyfrach.

– Profesorze – odrywam go stanowczym tonem od omiatania danych z ekranu. – Tylko niech pan się tym nie chwali.

– Nie, nie. To przyjaciel. Zresztą to on prowadzi tam badania. Będzie wiedział – tłumaczy się, wracając wzrokiem na ekran. – Umówmy się najlepiej na telefon. Jak tylko będę coś wiedział, to zadzwonię. – Notuję mu numer telefonu, a on wkłada swoje notatki do teczki. – Jakby jeszcze pani coś miała, to zatrzymałem się w hotelu Park Plaza. Tu niedaleko.

– Tak, wiem. Znajdę pana. Tylko panie profesorze... – właściwie mówię do ściany, bo jego oczy wciąż błędzą po monitorze laptopa. – Potrzebuję tych informacji jak najszybciej. To może być dość ważne.

– Tak przypuszczałem. Spróbuję. Do zobaczenia.

Zapinam płaszcz i idę na autobus.

**15 listopada 2012 roku, piątek, g. 20:30**



Katarzyna wcale nie cieszy się, widząc mnie na schodach klatki.

– Wróciłaś – rzuca oschle, otwierając drzwi naszego mieszkania.

– Nie wiem na jak długo.

Wchodzimy, a ona trzaska drzwiami tak, że sąsiad odpowiada jej podobnym walnięciem we frontową futrynę. Widzę, że ma zaciśnięte wargi. Jej kurtka ląduje na podłodze. Nerwowym krokiem przemierza przedpokój i ponownie trzaska drzwiami, tym razem do swojego pokoju. Podnoszę jej kurtkę i odwieszam na wieszak.

Zapada cisza przerywana powszechnie obecnym, nie tylko przy budce z piwem czy u panów wciągających kolejne wiadra z tajemniczą zawartością na trzecie piętro budowy, ekspresyjnym „kurwa”. A jeszcze później przeszywającym

złowieszczą ciszę „Ja pierdołę!”. Zaraz po tym słyszę spadającą doniczkę, a z łazienki wyłaniają się przerażone oczy czarnego kota. Zwierzak instynktownie przywiera do mojej nogi, co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że szybko muszę się dowiedzieć, co się wydarzyło podczas mojej nieobecności.

Wchodzę do swojego pokoju. Byli tu, bo wszystko stoi inaczej niż zwykle. Szuflady komody są niedomknięte. Rzeczy upchane na półkach. Nigdzie nie ma laptopa, kopert ani telefonu. Zostawili mi chociaż kluczyki do nissana i to specjalnie na biurku.

– Kaśka, co się stało? – wracam na korytarz i pukam do niej. – Rozmawiaj ze mną.

– O twoim aresztowaniu? – Kaśka decyduje się jednak wyjść do mnie. – Czy o tym, że podobno przespałaś się z jakimś kolesiem, a później go zabiłaś? – To był cios. – A może chcesz mi wyjaśnić, skąd masz tyle kasy? Bo skoro przestałaś ostatnio w ogóle brać zlecenia, to może jednak ktoś ci sporo zapłacił za to morderstwo? I dlaczego pożyczasz pieniądze Angeli?

– Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć – uśmiecham się jak blondynka w różowej frotce na włosach i mam szczerą nadzieję, że ona tylko żartuje.

– Czy o tych ze śledczej, którzy przyszli do mnie do pracy i przesłuchiwali mnie w poniedziałek?

– Kaśka, mogłaś odmówić zeznań.

– I po co? – warczy. – Przecież ja i tak nic nie wiem – rzuca we mnie zgniecioną kartką. – Dałaś jej idealny pretekst – dodaje, gdy ja trochę niepewnie rozwijam papier. Znajduje się na nim drukowany dużymi literami nagłówek „WYPOWIEDZENIE”.

– Kaśka, ja... Na boga, to nie tak! – tłumaczę się, choć właściwie nie mam ku temu żadnych powodów.

– Po prostu dzięki – mówi to przez zaciśnięte zęby. – Mam dwa tygodnie na znalezienie roboty. Jak myślisz, McDonald czy stacja benzynowa? – zjadliwość jej pytania sprawia, że czuję się jeszcze mniejsza niż jestem. – I do cholery zabieraj stąd tego wrednego kota! Nie chcę go tu widzieć – wrzeszczy, ponownie trzaskając drzwiami swojego pokoju.

– Kasia – staję przy prostokątnym szkle imitującym pajęczynę. – To naprawdę nie moja wina. Pójdę i wyjaśnię to z twoją przełożoną. Ja go nie zabiłam.

– Zapomnij! I tak każdy myśli, że jestem w coś zamieszana. Wszyscy czytają gazety. Nie mogę reprezentować tej firmy na zewnątrz, to psuję jej dobre imię – krzyczy, ale nie otwiera. – Daj mi spokój. Tylko spieprzysz coś bardziej.

– Kasia, proszę...

– I skoro masz tyle kasy, to zapłacisz za cały czynsz do końca roku. Ja od jutra nie mam pracy. A w ogóle to wolałabym, byś się stąd wyniosła. Zamieszkać z Mateuszem – kończy z hardością, której nigdy nie słyszałam w jej głosie. – Nie

chcę mieć z tobą nic wspólnego.

– Ja naprawdę nie chciałam.

– Zmieniłaś się cholernie.

Zagryzam wargi. Mam ochotę krzyczeć. Piotr Duć właśnie awansował do bycia durniem wszech czasów. Drań kazał mnie szukać i sprawdzał. Nie uwierzył mi ani trochę. To był odwet za ucieczkę ze szpitala. I pewnie jeszcze myśli, że nie dotrzymam układu.

– Dobrze, wyprowadzę się – sama nie wiem, co mówię. – Zostawię ci tę kasę. – Mój spokój mnie szokuje. Chyba tym razem nie mam wyjścia. – Jakbyś zmieniła zdanie...

– Lidka – drzwi do pokoju Kaśki rozwierają się z nagłym impetem. – Wolałam cię, gdy piłaś.

– Niedawno mówiłaś inaczej.

– Teraz cię nie poznaję. I wiesz, co jeszcze mi powiedzieli? – patrzy na mnie pogardliwie. – Że sypiasz z facetami za pieniądze. Wiedzą to podobno od Angeli. Wyśmiałam ich wtedy, ale później przypomniałam sobie, ile ty masz kasy w tych białych kopertach. Prawie dwieście tysięcy.

– Szperałaś w moich rzeczach?

– Nie, chciałam pożyczyć tę czerwoną bluzkę. Same wpadły mi w ręce.

– Kaśka, nie spodziewałam się tego po tobie. – Nie mogę w to uwierzyć.

– Ciesz się, że je odkryłam, bo jak po twoim aresztowaniu przeszukiwali nasze mieszkanie, to wiedziałam, gdzie je mam ukryć. – Idzie do kuchni, podstawia sobie stołek i z kratki wentylacyjnej wyciąga moje białe koperty i plik srebrnych kluczy do apartamentu Adama. – Masz i przelicz sobie. Nic z tego nie wzięłam – wciska mi pakunek w ręce z odrazą. – Zrobili tu taki bajzel.

– Nie musiałaś – patrzę jej w oczy i wiem, że postąpiłam bardzo egoistycznie, mimowolnie wciągając ją w tę całą historię. Katarzyna władczo patrzy mi w oczy i wraca do przedpokoju.

– Zabrali twój laptop i te stare telefony – nie pozwala mi nic powiedzieć. – Ten policjant powiedział, że tylko osobiście możesz je odebrać. Do cholery, nie udawaj takiej świętej!

– Kaśka, ja niczego nie udaję – znów mówię do zimnej szyby, bo przyjaciółka niknie w głębi pokoju. – Po prostu próbuję przeżyć – ściszam głos.

Widzę jednak, że ta rozmowa nie ma sensu. Pakuję więc kilka najpotrzebniejszych rzeczy, dokumenty i kota. Katarzyna ochłonie i porozmawiamy na spokojnie. Jednak w tej chwili będzie lepiej, jak zniknę.

W szufladzie znajduję kilka białych kopert. Wyjmuję jedną i wkładam do niej pieniądze za czynsz i rachunki. Dołączam też swój kupon Lotto od Jacka z dopiskiem: „Tylko nie wydaj wszystkiego od razu;-)”.  
Mnie on już na pewno się nie przyda. Po prostu mogę nie zdążyć wydać tej



kasy. Kopertę zostawiam na swoim dawnym łóżku.

Znam tylko jeden adres, pod którym mogę przenocować. Na szczęście na trasie mam monopolowy, chociaż może i starczyłaby mi Biedronka.

**16 listopada 2012 roku, sobota, g. 10:30**



Budzi mnie głośny stukot turlającej się po panelach pustej butelki. Kontury rozmywają się w porannym świetle. Kot zaczyna lizać szorstkim językiem czubek mego nosa. Jak precyzyjna tarka odrywa naskórek i zaczepia o rzęsy prawego oka.

Otwieram je szerzej i dostrzegam stojącą w oddali szarą pochyloną postać, która wydaje mi się twórcą chaosu. Rzeczy z mojej torby lądują na stole, jedna po drugiej. Ubrania, bielizna, buty, notes, teczka. Postać szpera w nich nerwowo, ale nie znajduje tego, czego szuka. Chwyta więc torebkę spod kanapy i po prostu wyrzuca z niej wszystko na blat stołu. Odsuwa chusteczki, zagląda do portfela, grzebie w pudełku na tampony. Najwidoczniej tu też tego nie ma, bo rusza w końcu w moim kierunku.

– Lidio... – słyszę z oddali, gdy staram się ściągnąć drażniącą mnie łapę z nosa. Kot jest nieustępliwy, a jego ślepia łypią czernią wąskich szczelin. Karci mnie płomienna otchłań oka z Mordoru. – Wstawaj. Musimy porozmawiać.

Na boga, czego on jeszcze chce ode mnie? Ja przecież nic nie zrobiłam.

– No już. Dasz radę. – Silne ramiona podnoszą mnie z łóżka i w dość niewygodnej pozycji niosą w nieznanym kierunku.

– Jacku – dopiero po chwili dociera do mnie, kim jest właściciel tych ciemnych oczu i silnych ramion. – Ja zaraz sobie pójdę – mamroczę, ale on tylko kręci z dezaprobatą głową. Pod gołymi stopami czuję zimne kafelki.

– A dokąd? – pyta złośliwie.

– Jeszcze nie wiem, ale zaraz się zastanowię.

– Rozbieraj się – mówi, ale ja dość bezwładnie opadam na wiklinowy kosz w sporej łazience. I trochę przez mgłę dostrzegam swoją zgarbioną postać w lustrze nad umywalką. Oj, marnie to wygląda. Ta wczorajsza niewielka butelka Jim Beama zrobiła swoje. – Rączki do góry! – Zwrot jak do kilkuletniego dziecka rozbiera swoją słodyczą. Moja bluzka znika gdzieś w przestrzeni za smukłą sylwetką mężczyzny. – Teraz nóżki – unosi mnie, rozpina zamek i właściwie zostaję w samej bieliźnie. – A teraz pod prysznic. Musisz wytrzeźwieć.

Chwyta mnie i stawia na czymś zimnym i mokrym. Puszczą, a strumienie wody zwalają się na mnie z impetem, który wgniata mnie w grubą szybę prysznicowej kabiny. Embrionalna pozycja jest jedyną dogodną. Ratunku! On chce mnie zabić!

– Już starczy – oponuję i chcę wypelznąć przy ziemi poza tę katownię, ale

męska dłoń z drogim zegarkiem przytrzymuje mnie na miejscu i zmusza do wstania.

– O nie, na pewno jeszcze trochę – Jacek wchodzi w samych bokserkach do środka, a ja nie mam pojęcia, kiedy on zdążył się rozebrać. Przed chwilą był jeszcze w tej swojej idealnej marynarce z łatami na łokciach, idealnych dżinsach i idealnie dobranej koszuli w kratę. Przyciska mnie mocno plecami do siebie.

– Jacku, to boli – reaguję na jego uścisk przytrzymujący mnie w strumieniach prysznica. Woda spływa po mnie, zalewając oczy. Jest strasznie zimna, ale może to i lepiej. Chociaż już kiedyś próbowałam tak wytrzeźwieć i skończyło się na spaniu w płytkim brodziku.

– To przestań się wyrywać – przysuwa się jeszcze bliżej, tak że bez najmniejszego problemu odczuwam już anatomie jego męskiej sylwetki. I trochę trudno mi ignorować tę dziwną wypukłość wbijającą się w moje lędźwie. – Co cię podkuśło? – karcący wyrzut nad moją głową tylko utwierdza mnie, że on mi nie odpuści. – W ogóle nie można się z tobą skontaktować. Dlaczego wyłączyłaś telefon?

– Moja współlokatora wyrzuciła nas z mieszkania – mamroczę.

– Nas? – pyta z niedowierzaniem i odgarnia moje mokre włosy bardziej do tyłu. Stara się też wyczuć, ile wczoraj wypiałam.

– Mnie i tego wrednego kota – żalę się, próbując nie udławić się zalewającą mnie strugą zimnej wody.

– Ale to nie powód, by doprowadzać się do takiego stanu. – Jacek przekręca metalową rączkę i już robi się trochę cieplej. – Lidio, dasz radę się sama umyć? – mówiąc to, rozpiną mi stanik i zsuwa ramiączka.

– Dam, dam radę – zasłaniam się rękami, a on podaje mi stojący na półce szampon. Biorę od niego butelkę, stanik zawisa na regulacji temperatury wody i właściwie mam już problem nawet z otworzeniem wieczka. Kręci głową.

– Tak. – Bez dalszych pytań po prostu robi to za mnie i wyciska go sobie na dłoni. Staje za moimi plecami i wmasowuje zdecydowanymi ruchami szampon w skórę głowy, a piana zbiera się obficie na całych włosach. – Dobrze, że kazałem tu posprzątać – mówi, przechylając lekko moją głowę. – Tak mi się wydawało, że ten kot długo nie wytrzyma w twoim mieszkaniu. – Ton kpiny Jacka jest bardzo czytelny.

– Gdzie byłeś? – pytam, bo nie widziałam go prawie dwa tygodnie.

Popycha mnie w strumień wody i chwilę splukuje pianę.

– Jak wytrzeźwiejesz, to porozmawiamy. – Nerski nie przyjmuje sprzeciwu. Sprawia, że odsuwam się od niego i kulę ramiona, splatając ręce na piersiach. Ale Jacek przysuwa się bliżej. Jego dłonie schodzą niżej na biodro i odciągają materiał majtek. Powoli zsuwa je ze mnie, aż opadną na stopy, i specjalnie przydeptuje je, bym z nich wyszła. Sięga po butelkę z żelem pod prysznic. – Chyba nie

zamierzałaś myć się w bieliźnie – mówi mi prosto do ucha i chwyta nadgarstek mojej prawej dłoni. Wyciska na nią żel z butelki. – A teraz zrób to dokładnie, by cały ten brud wreszcie z ciebie spłynął. – Kładzie moją rękę na podbrzuszu. Zmusza ją do kolistego ruchu w dół. Stawiam opór jego dłoni, a on fuka nerwowo przy moim uchu. – Jeszcze nim cuchniesz.

– O czym ty mówisz? – wyrywam się i obracam się plecami do kafelek.

Jacek nie spuszczając ze mnie wzroku, staje pod spływającą wodą z prysznica. Moknie cały, ale zostaje w bokserkach. Jego westchnienie jest pełne potrzeby ulgi. Przeczesuje do tyłu swoje smoliste włosy z wyraźnymi pasmami siwizny i patrzy mi w oczy z wyzwaniem.

– Pamiętaj, że Adam to Adam, a ja to ja – mówi to jakby z wyrzutem. – I ty chyba nie wiesz, co to znaczy lojalność.

– Ale ja... – kręcę przecząco głową.

– Myślałem, że zawarliśmy jasny układ – zamyka napływ wody. I nagle łazienkę wypełnia cisza. – Twoja mała przysługa za moją opiekę. Nie było mowy o morderstwach i układzie z glinami.

– Jacku, ja... – odwracam się w jego kierunku.

– Myślałaś, że się nie dowiem, kto wystawił Wiktorię. Jeśli chcesz się kogoś pozbyć z tej gry, to po prostu go zabij, a nie wsadź do pierdła. Ciesz się, że zdążyłem uciszyć kogo trzeba, bo już byś gniła w worku. Martin nie wybaczyłby ci takiej zdrady. Chociaż jak na mój gust, to ma dziwną słabość do ciebie... Ale widocznie spodobałaś mu się w łóżku? – rzuca te słowa, a ja czuję się jak policzkowana. – Ile ci zapłacił?

– Przecież o to mnie prosiłeś. Czego ty chcesz? – trzeźwieję od razu. Nie mogę w to uwierzyć.

– Wiedzieć, czy mnie w ogóle stać na ciebie. I czy nie zapomniałaś, po co tak naprawdę w to grasz – nagle staje się ostry, a jego twarz jest pełna rozczarowania, a może i nienawiści.

Po prostu omijam go i wychodzę. Ewidentnie ma ochotę mnie przed tym powstrzymać, ale w ostatnim momencie zaciska dłonie i uderza nimi w kafelki nad połyskującą armaturą.

Sięgam po ręcznik złożony na półce. Owijam się nim na wysokości piersi, tak by zakrył mi też nagie pośladki i staram się zapanować nad chaosem w głowie. Muszę się lekko podtrzymywać umywalki, a w lustrze śledzi mnie moje zdezorientowane oblicze. Zbieram swoje ubrania i wychodzę z łazienki, a on nawet nie drgnie z za tej grubej zaporowanej szyby. A niech tam szczeźnie!

Mam ochotę się jeszcze napić! Ale już nie w opłacanym przez niego apartamencie, nie z jego idealnie czystych naczyń, nie na jego skórzanej sofie i nie z nim.

W salonie wrzucam swoje rzeczy do torby i na pewno nie zostanę tutaj ani

chwili dłużej. Stoję w ręczniku, mokra. Po prostu przebiorę się w garażu. W zdenerwowaniu rozbijam jakiś cholernie drogi wazon, który rozpada się na milion części. Zraniona przez porcelanowe odłamki stopa zaczyna krwawić. I teraz nawet nie mogę włożyć kozaków. Idę do wyjścia boso, zostawiając plamy na drewnianych panelach. I nie wiem, dlaczego chce mi się ryczeć. Żałuję, że tu w ogóle przyszedłam.

Jacek wybiega z łazienki. Jest mokry i zdążył owinąć biodra ręcznikiem. Łapie mnie w drzwiach, gdy próbuję uciec. Walczymy chwilę, ale i tak odbiera mi taszczone ze sobą bezładnie rzeczy. Odkłada je na drewnianym niskim stoliku przy wejściu.

– Przepraszam – próbuje mnie przytulić.

– Zostaw mnie – odpycham go.

– Przepraszam. – Domyka drzwi, bym mu nie uciekła. – Nie chciałem tego powiedzieć.

– Chciałeś i właśnie o to chodzi – przerywam mu, a on milknie. Łzy nerwowo zbieram palcami.

– Wiem, że dużo od ciebie wymagam, ale wykonasz dla mnie to jedno zlecenie i będziesz wolna. Pomogę ci zniknąć. Zacznieś od nowa. Dam ci wszystko, czego będziesz chciała. Podasz tylko kwotę.

– Nienawidzę cię – mówię to przez zęby.

– To nawet lepiej – patrzy na mnie, a ja w najmniejszym stopniu nie potrafię odgadnąć, co on teraz czuje. – Ta gra to tylko gra. Seks to tylko seks. To, co dostajesz, to tylko pieniądze. To nie jest tak skomplikowane – wzdycha, nie spuszczać ze mnie oczu. – Im szybciej to zrozumiesz, tym mniej będziesz cierpieć.

– Najwidoczniej martwię się nie o tę osobę, o którą powinnam. I przestaje mnie dziwić, że Adam zrobił to, co zrobił. W końcu wychowywał go ktoś taki jak ty.

– Ty chyba sama nie wiesz, co mówisz – wybucha, a jego zaciśnięta pięść uderza z hukiem w drzwi. Głuchy odgłos rozchodzi się na klatce, a ja nie mogę zapanować nad oddechem. – Jak myślisz, po co ja to wszystko, kurwa, robię? Po co narażam ciebie i siebie? Po co opłaciłem wszystkich strażników, żeby umieścić go w izolatce? No po co? – mówi już podniesionym głosem, a jego wzrok to jak dwa wymierzone w moją twarz działa. Gwałtownie chwyta mnie za ramiona i potrząsa. – Żeby mu ktoś do dupy nie włożył chuja i żebym mógł go jeszcze zobaczyć żywego. Po prostu zdobądź dla mnie tę mapę i przestań kombinować na boku, bo każą cię sprzątnąć skuteczniej niż ostatnio. – Miażdży mi ramiona. – Te pieprzone diamenty to moja jedyna karta przetargowa. Rozumiesz! Bo to mój syn. Może i mnie nienawidzi, tak jak ty, ale on to moja krew. Jedyne, co po mnie zostanie – milknie, przymykając powieki, a ja dopiero czuję, jak mocno zacisnął dłonie.

– Jacku, proszę... – próbuję wyswobodzić się z jego uścisku, ale on przytrzymuje mnie jeszcze mocniej.

– Gwarantuję ci, że w życiu są gorsze rzeczy niż śmierć – mówi to cicho, ale i z nienawiścią. Przystaję z nim walczyć.

– Co może być gorszego od niej? – pytam, odczuwając drżenie własnego głosu.

Uśmiecha się nerwowo, a zmarszczki wokół jego oczu stają się prawie poziome.

– Brak przebaczenia – odpowiada, ale jego serce wcale nie zwalnia rytmu uderzeń, a głos ma wyjątkowo zimny.

Rozluźnia uścisk na moich ramionach, a jego dłonie unieruchamiają mi policzki. Chwilę wpatruje się nachalnie w moje załzawione oczy. Kciukiem wodzi po moich ustach. Twarz ma zastygłą w grymasie, jakby odwiedzał bardzo mroczne krainy swojej podświadomości. A ja czuję, jak jego objęcia paraliżują moje ciało, prawa dłoń podaje się niekontrolowanym drganiom, oddech staje się płytki i nierówny. Zamieram pod jego siłą. To jego lęk sprawia mi ból. Gęsia skórka oplata mi ciało i z ledwością przełykam ślinę. Po prostu pragnę, by przestał. Nie wiem, czy o to mu chodziło, ale drugie oblicze Jacka, to, które bez skrupułów nazwie mnie kurwą, zamacha plikiem banknotów przy twarzy, pozwoli komuś poniżyć na swoich oczach, a nawet przyłoży lufę pistoletu do skroni i pociągnie za spust, bo tak mu będzie bardziej na rękę, budzi tylko przerażenie. Uścisk jego dłoni zacieśnia się. Wgniata się w moją skórę i marszczy rysy. On pragnie widzieć mnie martwą, pomarszczoną, brzydką. Żałuje, że w ogóle pojawiłam się w jego życiu i życiu jego syna.

– Zdrada, za którą nie możesz zabić – dodaje i puszcza mnie raptownie. – Lidio, uwierz mi... Są gorsze rzeczy niż śmierć. Naucz się po prostu z nią flirtować, bo od dzisiaj grasz przeciwko wszystkim. I to, że zapłacisz za to wysoką cenę, jest bardziej niż oczywiste.

– Ale...

– Martin i reszta zażądali, byś weszła do gry sama. Nie jesteś już ze mną. W tej sytuacji nie mam prawa weta. Pojutrze lecisz do Moskwy – patrzy mi prosto w oczy. – Z Martinem – dodaje.

– O co mam zagrać? – wycieram łzy, które spłynęły mi po policzku.

– O pieniądze. Spore pieniądze. Kwota na wejście to dwa miliony. I tym razem gram przeciwko tobie. Tak jak pozostali.

– Chcą mnie spłukać.

– Najprawdopodobniej... Ale raczej chodzi o to, byś określiła się, po której stronie jesteś.

– Stronie? Nie mogę mieć autonomii, tak jak ty czy Tomasz?

– To nie takie proste. – Kolejny raz swoją idealnie gładką dłonią głaszcze

mój policzek. – Gra idzie o pulę Róženki. To jakieś dwieście milionów plus to, co przegrają pozostali gracze.

– I plus pula Tomasza – dodaję.

– Aaa, to teraz wszystko rozumiem – uśmiecha się, ale zaraz znowu jego wargi sztywnieją. – Niezłe posunięcie. Władi faktycznie dał się przechytrzyć jak uczeń. Pula Tomasza należała się jego córce i na pewno ktoś zagra w jej imieniu. Ale, Lidio – chwyta mnie dłonią za brodę, bo wyraźnie dostrzega moje zrezygnowanie – chociaż część tej kasy powinna należeć do ciebie.

– Ja? Moja? – Nie mogę w to uwierzyć.

– Pamiętaj, o co tu chodzi.

– Mapa i diamenty.

– Tak, tylko tyle.

Poddaję się i sięgam do swojej torby.

– Masz – mówię, wciskając mu przekłętą iPhone'a do ręki. – Masz. Mam nadzieję, że to jest warte tego wszystkiego.

– A mapa? – pyta od razu.

– Wszystko jest w telefonie. Po prostu je sobie prześlij. – Mój zniechęcony ton jasno wyraża pogardę, jaką teraz czuję do niego.

– Dlaczego nie jesteś w sieci? – jego oczy przeczesują zawartość mojego telefonu.

A moje palce coraz mocniej zaciskają się na uchwycie torby, druga dłoń przytrzymuje kozaki.

– Bo nie chcę, by Martin mnie tu znalazł.

– Lidio... – odrywa wzrok od dotykowego ekranu i widzę, że jest zaskoczony. Dostał dokładnie to, o co prosił.

– Przecież po to tu przyszedłeś. – Jasno daję mu do zrozumienia, że chcę już wyjść.

– Przepraszam. Myślałem, że jesteś jak one...

– Jak zwykłe dziwki? – Próbuję go ominąć. – Zrobiłam to dla Adama, nie dla ciebie. I żebyś miał jasność. Nie spałam z Martinem.

– Zostań, proszę – mówi prawie szeptem, zastępując mi drogę.

– Po co? – zaciskam mocniej prawą dłoń na uchwycie torby. – Przecież ty nie wierzysz, że ten policjant dotrzyma słowa, a ja, że twój plan się powiedzie. A wiesz, co się stanie, jeśli Adam trafi z aresztu do więzienia?

– Po prostu bardziej ufam tobie. Ty też masz tu wiele do stracenia.

– Nie, już nie – śmieję się mu w twarz. – Ty tylko wykorzystujesz ludzkie słabości. I lepiej, żebyś znalazł inne rozwiązanie. Swój plan awaryjny, bo złoże z tej mapy nie jest tym, co myślisz.

– Skąd wiesz? – chwyta mój nadgarstek i nie pozwala się ruszyć.

– Sprawdziłam to. Bez właściwej numeracji otworów, to możesz sobie tym

tyłek podetrzeć. Ktoś was wrabia. Współrzędne tej mapy są głównie warte. Mam nadzieję, że jeszcze ich nie kupiłeś – patrzę mu w oczy, a on blednie i zaciska wargi. – Kurwa! – wybucham. – Ile za nie zapłaciłeś? – pytam.

– Dziesięć milionów – mówi to przez zęby, puszczając moją rękę.

– Od tego doktorka z Ukrainy? Znaleźli go?

– Znaleźli – patrzy na mnie zaskoczony. Chyba się nie spodziewał, że tyle wiem na ten temat. – Ale to nie od niego.

– Tak... To twój plan właśnie nie wypalił – ponownie naciskam klamkę. – I radzę ci zacząć się modlić, by ci, którzy będą chcieli kupić tę mapę, byli równie naiwni jak ty.

Wychodzę i nie pozwalam się zatrzymać. Schodzę do garażu. Otwieram nissana, wrzucam rzeczy na siedzenie pasażera i z bólem wciskam kozaki. Boso nie dam rady prowadzić tego sportowego auta, ale nie mam już ochoty się przebierać. Odpalam silnik. Drzwi do wyjazdu podnoszą się powoli, a mi naprawdę jest obojętne, że w tym stanie nie powinnam wsiadać za kierownicę. Po prostu chcę stąd uciec. I może zajechałabym dalej niż na szczyt podjazdu, gdyby nie tarasujący mi drogę jaguar. Zaciągam ręczny.

Erwin z ogniem niechęci w oczach wysiada z samochodu. Zatrząskuje drzwi kierowcy z miną „Spodziewałem się po tobie czegoś więcej”. Odpowiadam mu dociśnięciem pedału gazu. Ale on na pewno nie ustąpi. Ciężko wzdycha, opierając się o maskę. Krzyżuje ręce na klatce piersiowej i czeka. W lusterku widzę, jak Jacek wybiega za mną z drzwi garażowych. Zatrzymuje się dopiero, dostrzegając Erwina, ale po ochroniarzu nie widać żadnej choćby najmniejszej reakcji. Czekaj, jakby dobrze wiedział, że ja nie odważę się zadrasnąć ulubionej zabawki Nerskiego, spychając go z drogi.

Wsteczny i wjeżdżam grzecznie na miejsce parkingowe w garażu. Nie mam siły walczyć z nimi wszystkimi. Przynajmniej nie dzisiaj. Dudnienie za uszami narasta i właściwie już powinnam sięgać po tabletki.

Jacek otwiera drzwi nissana i staje tyłem do śledzącego nas wzrokiem ochroniarza. Podaje mi telefon, tak by go nie widział, a ja po prostu wrzucam go do torby, wysiadając z samochodu. Kluczyk rzucam na fotel.

– Graj, a wszystko się uda. – Jacek na pożegnanie głaszcze mój policzek. Próbuje mnie pocałować, ale odpycham go z obrzydzeniem.

– Wiesz, masz dziwny sposób okazywania uczuć – warczę, próbując odejść, ale on chwyta mocno mój lewy nadgarstek i zakłada na niego niewielki kobiecy zegarek z pozłocaną bransoletą. Połyskuje, i to misternie dopracowanym detalem. Granatowy cyferblat przecinają strzeliste wskazówki. Sekundnik biegnie zadziornie, omijając rysujący się złotawy słoneczny symbol. Chyba nigdy w życiu nie miałam czegoś tak pięknego na swoim nadgarstku.

– Miej go cały czas przy sobie, to będę wiedział, gdzie mam cię szukać –

nachyla się do mojego ucha, a ja dostrzegam, jak niewielkie pudełko z jego dłoni wpada do niedomkniętej torby ciężającej mi na ramieniu. – Tym razem załóż dla mnie i oszukuj, ile wlezie – dodaje, całując mnie w środek czoła. Przytula mnie, ale ja nawet nie drgnę. Jest mi tylko zimno. – Musiałem do niego zadzwonić – wskazuje na wyczekującego mojego wyjścia z garażu ochroniarza. – Lepiej niech Martin myśli, że ze mną sypiasz, niż że się układasz z glinami – łapie moje spojrzenie, ale chyba nie takiej obojętności się spodziewał. – To naprawdę już twoja ostatnia rozgrywka. Nie zawieź mnie, proszę – mówi to tak cicho, że ledwie słyszę. Odwracam głowę w kierunku podjazdu, a on puszcza mnie i okrywa kurtką, która jeszcze została na siedzeniu nissana. Robi mi się tylko trochę cieplej. Erwin obserwuje nas uważnie.

– Lepiej daj jeść kotu – mówię, ruszając w kierunku jaguara.

– Lidia – wstrzymuje mnie, a ja tylko obracam lekko głowę. – Wiesz, to korundowe szkło. Może ci się przydać. – Mruga do mnie, pukając opuszkami w szkiełko swojego cholernie drogiego zegarka. – I nawet jeśli wszystko przegrasz...

– A jakie to ma znaczenie? – przerywam mu. – Przecież oboje wiemy, kto wygra. Martin wystawił mnie z czystej złości. Jak cholerną pluszową zabawkę na strzelnicy. Mam nadzieję, że trafisz jako pierwszy. Nie wahaj się – wskazuję mu palcem miejsce na mojej głowie, tuż nad uchem, które i tak niedługo doprowadzi do mojego zgonu. – Wśród takich jak wy nie ma miejsca dla nic nieznaczących mrówek.

– Ale tylko taka mrówka może nas przechytrzyć.

Odwracam głowę i ruszam w górę podjazdu.

**19 listopada 2012 roku, poniedziałek, g. 22:30**



– Krystyna Jabłońska.

Celniczka lustruje mnie przez szybę swojej dyżurki i kolejny raz przygląda się zdjęciu w paszporcie. Porównuje ze stojącym przed nią oryginałem. I nawet ja sama nie wierzę w swoje odbicie w szybie. Czarne proste lśniące włosy przycięte do wysokości zuchwy, czarno-białe kanciaste okulary na nosie i stanowczo zbyt wyzywający makijaż z mocnym okonturowaniem oka oraz wiśniowa pomadka na ustach. Płaszcz w prostej klasycznej linii beżowej dyplomatki, przylegające spodnie wciśnięte w kozaki na wyższym słupku i mała walizka na kołkach jako bagaż podręczny. To nie ja, a jedynie twór potrzeby.

– Cel wizyty? – dopytuje, przerzucając kolejne kartki paszportu, w tym rosyjską wizę.

– Sprawy służbowe – odpowiadam, gdy Martin mijają bez problemu bramkę



obok. Nikt go nie lustruje, nie pyta, nie podejrzewa o malwersacje, przemyt. Pewnym krokiem zmierza do kolejnej bramki. Erwin i drugi ochroniarz idą praktycznie tuż za nim.

– Proszę zaczekać – kiwa głową do stojącego z boku celnika, a ten podchodzi do mnie, wskazując pomieszczenie w głębi korytarza.

– Czy coś się stało? – pytam zaskoczona.

– Rutynowa kontrola osobista – odpowiada, naciskając, bym jednak poszła dobrowolnie we wskazanym kierunku.

Nie mam chyba wyjścia. Dostrzegam, że Martin bez problemu przeszedł kolejną bramkę i niby od niechcienia śledzi mnie wzrokiem. Odbiera bagaż podręczny i kieruje się w głąb lotniska. Wchodzimy do białego pokoju ze stołem i dwoma krzesłami, a celnik domyka drzwi i każe mi się rozebrać.

– Do naga? – pytam, nie kryjąc oburzenia.

– Może pani zostać w bieliźnie.

– To chyba niezgodne z prawem – protestuję, odkładając podręczny bagaż i torebkę na stole.

– To się okaże – rzuca zimno, wychodząc drugimi drzwiami, a do pokoju wchodzi dwie osoby.

Zamieram.

– Chciałaś wyjechać tak bez pożegnania? – Starszy aspirant Piotr Duć podchodzi bliżej i bez pytania otwiera moją małą walizkę. – Nieładnie, pani Pawłowska, nieładnie. – Ewidentnie daje mi do zrozumienia, że podrabianie mojego paszportu nie miało najmniejszego sensu.

– Piotr, nie rób tego, bo nigdy go nie dostaniesz – mówię cicho, gdy on wyjmuje kolejne rzeczy na blat stołu. Przygląda im się uważnie. Otwiera pudełko z kolczykami od Jacka i nic nie mówi.

– Rozbieraj się – kiwa głową do kobiety, która z nim weszła. – Tym razem nie pozwolę ci ot, tak zniknąć. Dla mnie też jesteś zbyt cenna – dodaje, patrząc na połyskujące brylantowym szlifem kamienie wprawione w złoto kolczyków otrzymanych w prezencie. – Nie tylko ciebie ostatnio próbowali załatwić. Twój chłoptaś też wszedł z nami w mały układ. Wiesz, sporo mi obiecał za to, że nie tknę jego ojca, a tobie nie pozwolę lecieć z Tkackim do Moskwy – wzdycha, podnosząc wzrok na moje dłonie. – To on zdradził mi ten mały sekret.

– Daj mi to dokończyć. Adam nie wie wszystkiego. Dostałaś już Wiktorię. Obiecałam ci.

– Tak – przerywa mi energicznie, zatraskując wieczko walizki. – Tylko że tę rudą ktoś sprzątnął, zanim do niej dotarliśmy. Nic na nich nie mam. I pewnie nie wiesz, kto to zrobił? – pyta ostro, gdy kobieta zmusza mnie do zdjęcia płaszcza.

– Piotr.

– Proszę to ściągnąć – kobieta wskazuje na górę mojej garderoby. Zdejmuję

bluzkę i zostaje w samym staniku, a ona obraca mnie do siebie tyłem. Oboje oglądają moje plecy.

– Tu – Piotr wskazuje palcem jedną z większych blizn trochę poniżej żeber.  
– Nie będzie rzucać się w oczy, nawet gdy ją rozbierze. – Kobieta zmusza mnie, bym oparła rękę na blacie. Wyciąga z niewielkiego pudełka trzymanego w dłoni może centymetrową blaszkę i skalpel.

– Trochę zaboli, ale proszę się nie ruszać – mówi, naciągając mi skórę palcami w lateksowej rękawiczce, spryskuje czymś zimnym i nacina trochę miejsce na bliźnie.

Piecze, ale nic nie mówię, a ona delikatnie wciska blaszkę pod skórę. Ociera krew i przytrzymuje. Znów pryska i okleja plasterm powstałe nacięcie. Prostuję plecy i wkładam bluzkę przez głowę. Na szczęście jest ciemnobrązowa i nie przylega tak bardzo. Nie będzie widać śladów, nawet gdy krew przesączy się przez plaster.

– Czy rzeczywiście było to konieczne? – pytam, domykając zamek mojej walizki. Kobieta wychodzi z pokoju.

– Ty obiecałaś mi Tkackiego, a ja obiecałem komuś, że przeżyjesz.

– I to ma mi w tym pomóc?

– W pewnym sensie.

– Wiesz dobrze, że to, co się ze mną stanie, nie ma już większego znaczenia.

Ale mam nadzieję, że dotrzymasz obietnicy.

Piotr nie patrzy mi w oczy. Wzdycha nerwowo.

– Masz tydzień – rzuca oschle i zaczyna grzebać w mojej torebce. – Później trzeba będzie to wyjąć, byś się nie zatrula – krzywi się i dopiero po chwili uśmiecha. Wyciąga plastikowe opakowanie moich lekarstw, otwiera je i upewnia się, czy jest coś w środku. – Bierz je regularnie. Ten lekarz mówił, że to konieczne.

– Lekarze mówią różne rzeczy – przerywam mu, przewieszając płaszcz przez ramię.

– A ty powinnaś ich słuchać. – Wrzuca pudełko z powrotem do torebki i podaje mi ją. Sięgam po walizkę i idę do drzwi, którymi tu weszłam.

– Do widzenia, panie Piotrze – mówię, naciskając metalową klamkę.

– Do zobaczenia, pani Pawłowska. A, zapomniałbym... – obracam głowę w jego kierunku. – Przyznam się. Nie mogłem się powstrzymać i odebrałem twój telefon. Dzwonił jakiś profesor Strzymiński z Uniwersytetu w Petersburgu – czeka na moją reakcję, ale moja powieka nawet nie drgnie. – Mówił coś o mapie, o złożu, którego nie ma, o współrzędnych, które są bardzo istotne, i o jakiś pompach.

– Piotr, proszę.

– Zamierzasz mi to teraz wyjaśnić czy dopiero jak wrócisz? O ile ty w ogóle chcesz tu wracać... – dodaje złośliwie.

– Co jeszcze mówił? – ignoruję jego przytyk.

– Powiedział, że to nie jest rozmowa na telefon, bo na tej drugiej mapie jest tylko część współrzędnych, ale udało mu się to zlokalizować. Podobno to fenomenalne odkrycie. – Widać, że Piotr jest bardzo zmęczony. – Teraz handlujesz tajnymi informacjami? Tylko mapy złóż o strategicznym znaczeniu nie posiadają pełnych danych. Te współrzędne, o których mówił, są po prostu tajne. I tylko kilka osób w kraju ma do nich dostęp. Sprawdziłem – syczy.

– Niczym nie handluję. Zaufaj mi, do cholery!

– Puszczając cię dzisiaj z tego lotniska, ryzykuję całą swoją karierę. Miej tego świadomość – mówi to, wyjmując z kieszeni kurtki mój niebieski telefon i podaje mi go. – Jeśli w ciągu siedmiu dni nie wrócisz do Polski, to wyślę za tobą list gończy. I prędzej czy później Interpol cię znajdzie. Pójdiesz siedzieć za zabójstwo Różenki lub cokolwiek innego. Pofolguję swojej wyobraźni. A twojego kochasia od razu przeniosę na Kleczkowską i zdejmę z niego monitoring. Tak, miej tę świadomość – żegna się ze swoim zwyczajowym krzywym uśmiechem, a jego szare oczy odprowadzają mnie przez niedomknięte drzwi białego pokoju.

**20 listopada 2012 roku, wtorek, g. 10:00**



Ręka Martina wędruje po moim udzie i zakleszcza się w jego połowie. Sztywnieję, ale nie odwracam głowy od okna. Nadal śledzę wzrok młodego policjanta w radiowozie stojącym na pasie obok. Pali papierosa i wypuszcza dym przez niewielką szparę uchylonego okna. Ma dziwnie zrezygnowane spojrzenia i chyba wyczuwa, że się mu przyglądam, chociaż pewnie nawet mnie nie dostrzega przez przyciemniane szyby bentleya. Limuzyna powoli rusza i niknie w zasłonie śniegu, a policjant wyrzuca peta i domyka okno. Znow stajemy. Śnieżny, mięsisty opad i niekończący się korek. Moskwa. Radiowóz podjeżdża na naszą wysokość. Udaję, że patrzę w świat za szybą.

– Co powiedziałaś tym celnikom? – Na boga, jak Tkacki wytrzymał z tym pytaniem tyle godzin?!

– Nic, bo nic nie znaleźli w moich rzeczach. Pytali tylko o lekarstwa – udaję zupełną obojętność.

– To dobrze – Martina uśmiecha się, a jego dłoń tylko mocniej przyciąga do siebie moją nogę.

Na szczęście odzywa się sygnał jego telefonu. Odbiera i odsuwa się trochę ode mnie, ale w jego obecności nie potrafię się rozluźnić. Za szybą radiowóz zmienia pas i zjeżdża na chodnik. Włącza sygnał świetlny i spycha przechodniów na boki. Jak się domyślam, chodnik to zawsze pas awaryjny. Tak, to na pewno Moskwa.

Odczuwam zmęczenie podróży i tracę ostrość widzenia. Zapobiegawczo

sięgam po leki i połykam jedną tabletkę, popijając wodą z butelki. W tej peruce jest mi teraz strasznie gorąco, swędzi mnie cała skóra, włosy uwierają w cebulkach. Nie dbam o karcące spojrzenie szpakowatego mężczyzny i po prostu zrywam ją z głowy. Wolność i nieopisana ulga. Roztrzepuję swoje jasne włosy i zdejmuję te niebywale sztywne okulary. Mam gdzieś, co widnieje w moim paszporcie. Niech on się martwi, jak zameldować mnie w hotelu.

Martin zajęty jest kolejną rozmową telefoniczną. Przed chwilą skończył wideokonferencję. Rozmawiał przy mnie bez skrępowania, bo i tak język German był mi kompletnie obcy. Prosił tylko, bym się uzbroiła w cierpliwość, bo droga z lotniska do hotelu może nam zająć trochę czasu. I rzeczywiście, już ponad godzinę mozolnie przemierzamy się ulicami w centrum tej metropolii. Erwin siedzi obok kierowcy i nie udaje znużenia. Kolejny telefon.

– Tak, już jesteśmy – mówi po rosyjsku, odpowiadając na czyjeś nerwowe pytanie. – Nie. Tak jak ustalaliśmy. Chcę połowę – milczy dłuższą chwilę, słuchając szeleszczącej wypowiedzi. – Masz dla mnie te umowy? To kto je ma? Zdobądź je, do cholery! Gwarantuję ci, powie wszystko – śmieje się pod nosem. – Tak, to na pewno ona. A profesor? Aha. Tylko go dobrze pilnujcie. Będziemy za kilka godzin. Do zobaczenia.

Rzuca telefonem o skórzaną powierzchnię siedziska. Chyba nie wszystko idzie po jego myśli.

Hotel. Recepcja. Banknot w paszporcie i po problemie. Oficjalnie jestem już w Moskwie. Tylko że w jednym apartamencie z Martinem. Udał, że nie słyszy, gdy prosiłam o dwa osobne. Wymusiłam chociaż dwie sypialnie, a on wziął penthouse. Jemu się nie odmawia i nie stawia warunków.

**20 listopada 2012 roku, wtorek, g. 18:30**



Wychodzę spod prysznica. Sięgam po ręcznik i dopiero wraca mi ostrość widzenia. Podchodzę do lustra, ścieram wodę z twarzy i odgarniam włosy do tyłu. Wzrokiem szukam bielizny, ale zanim ją znajduję, dostrzegam Marina stojącego w drzwiach. Uśmiecha się, czekając na moją reakcję. Po prostu ukrywam skrępowanie, wkładając figi i dopinając stanik. Myję zęby, a on wchodzi nagi pod prysznic. Wracam do pokoju i właściwie mam tylko chwilę dla siebie.

Na łóżku leży prostokątne pudełko przewiązane kokardą. Ignoruję je, bo obok jest jego otwarta walizka. Szperam w równo ułożonych koszulkach, skarpetkach, bieliźnie. Nic nie ma. Rozpinam wszystkie możliwe zamki, przeglądam przegrody, macam po dnie walizki. Pusto. Cholera, gdzie on to ukrył?

– Tego szukasz? – pyta nagle, pokazując mi trzymany w dłoni atlasowy woreczek, identyczny, jaki był w pudełku wrzuconym mi przez Jacka do torby. By

to diabli! Przyłapał mnie.

– Nie – udaję kompletnie zaskoczoną. – Zostawiłam gdzieś zegarek. – Pokazuję mu swój lewy nadgarstek, a on podnosi do góry drugą rękę i huśta złotym prezentem od Jacka między palcami.

– A tego... – ironizuje.

– Dziękuję – podchodzę do niego i sięgam po zegarek, ale on nagle odciąga rękę, nie pozwalając mi go odebrać.

– Za to należy mi się chyba coś więcej – nachyla się w moim kierunku. Próbuje pocałować mnie w usta, ale ja przekręcam głowę. Jego wargi lądują na moim policzku.

Trochę niechętnie pozwala mi zabrać pozłacaną bransoletę zegarka i w tym samym momencie przytrzymuje mi brodę. Całuje mnie ostro i wbija się językiem między wargi, a ja nie mogę mu uciec. Moje usta napinają się w nerwowym uśmiechu. Obejmuje mnie w pasie i przyciąga mocniej do siebie.

– Martin, dopiero brałam prysznic – zaczynam się wyswobadzać z jego nachalnych objęć.

– To chyba dobrze, bo ładnie pachniesz – przysysa się do mojej szyi i wacha skórę za uchem. Wpija się znowu w moje usta. Trzyma mocno i nie przestaje odbierać mi oddechu. Jest strasznie natarczywy.

– Proszę... To była długa podróż... – wykręcam się, ale on przytrzymuje mnie stanowczo. Nie przestaje. Smakuje zdradą. Nie wytrzymuję i odpycham go od siebie. – Nie chcę – mówię, gdy on złowieszczo zagryza wargi. Chwyta mój nadgarstek i ciągnie do łóżka. – Po prostu jestem zmęczona – próbuję opanować drżenie i patrzę mu w oczy.

– Mam dla ciebie prezent – mówi zimno, wskazując na obwiązane kokardą pudełko. – Otwórz – puszcza mnie i czeka aż to zrobię. W środku jest jedwabna sukienka w kolorze jasnego złota. Połyskuje kusząco głębokim dekoltem na plecach. Wyjmuję ją i nie wiem, co mam powiedzieć. – To na dzisiejszy wieczór. Uznałem, że ta czarna będzie zbyt skromna.

– Ale, ona jest piękna, tylko, że ja... – zaczynam się jąkać, bo za tym na pewno coś się kryje. Martin wszystko przemyślał.

– Załóż ją – mówi, stając za mną, i rozpina mi stanik. – On nie będzie ci potrzebny – kulę ramiona i odsuwam się od niego.

– Proszę... – jednoznacznie sugeruję mu, by przestał.

Odsuwa się z lekką złością wypisaną na twarzy, ale sięga jeszcze po pudełko z butami. Kładzie mi je przy stopach. Podchodzi do krzesła, gdzie rozwiesił swój garnitur i koszulę. Zaczyna się ubierać. Jednak śledzi każdy mój ruch dłoni naciągający pończochy na uda, wyczekując najmniejszej sugestii czy zgody. Wiem, na co on ma ochotę, ale jak o tym pomyślę... Nie. Nawet dla Nerskiego nie potrafię tego zrobić. To nie fizyczna odraza, ale wewnętrzny sprzeciw.

Wkładam złotą sukienkę od dołu, a nieoderwana metka szokuje mnie ceną. Trzy i pół tysiąca dolarów. Tak, to cena dla drania, który myśli, że w ten sposób stanę się łatwiejsza. A może po prostu zacznę lepiej udawać dostępną dla jego potrzeb. Chyba już przyzwyczał się do tego. Próbuje mnie najzwyczajniej kupić. Podchodzę do lustra nad komodą, odsuwam ustawione na niej kwiaty, a widok jest zaskakująco doskonały. Leży, jak szyta na wymiar. Dociska biodra, zwęża się ku kolanom, eksponuje kobiece wygięcie talii i miękko opada na piersiach. Faktycznie plecy mam w dużej części odsłonięte, i to jest jedyny jej mankament, ale rękawki sięgające łokci bardzo przypadły mi do gustu. Tak, ten mężczyzna bardzo dobrze wie, jak osiągać swoje cele.

Martin śledzi mnie wzrokiem, dopinając mankiety koszuli, a ja sięgam do swojej walizki po prezent od Jacka. Złote kolczyki z brylantami zawisają w uszach. Ogień oszlifowanego diamentu kusi na wysokości żuchwy i szczytu szyi. Brakuje tylko makijażu i lekkiego skrętu fal na włosach. Dopinam zegarek na lewym nadgarstku i wracam do łazienki.

Zachowanie spokoju przy tym mężczyźnie kosztuje mnie niesamowicie dużo energii. Serce nie przestaje obijać się o żebra w rozpaczliwym rytmie. Dopiero stając przy lustrze na chłodnych kafelkach, łapię oddech. Wolę, gdy na mnie nie patrzy. Dużo bym dała, by nie musieć tu wracać z nim po tej rozgrywce. Nie czuję się w pełni sił, ale jeszcze nie mam tego najistotniejszego elementu. Właściwego woreczka diamentów, a Tkacki na pewno nie odda go bez walki.

**20 listopada 2012 roku, wtorek, g. 20:30**



– Będziesz musiała pożyczyć trochę pieniędzy, jeśli chcesz dzisiaj zagrać – Martin oznajmia mi, gdy wsiadamy do windy.

Milknie i czeka na moją reakcję. A jego język napina fałd skóry nad górną wargą. Sprawdza gładkość swoich równych zębów. Dopina ostatni szczegół. Poprawia ułożenie kaszmirowego płaszcza na ramionach. Nie patrzy mi w oczy, bo dobrze wie, jak wygląda kobieca bezradność. Z minuty na minutę rośnie jego przewaga. Przestaje dbać o pozory. Już czuje się zwycięzcą. Ochroniarz staje bliżej metalowych drzwi windy.

– Dlaczego? – zaciskam dłonie i czuję, że zaszła nagła zmiana planów albo właśnie tak to wszystko miało wyglądać. A liczba piętér na wyświetlaczu maleje z każdą sekundą przemierzanej drogi przez to klaustrofobiczne pomieszczenie.

– Zasady tej rozgrywki uległy niewielkiej zmianie – wraca wzrokiem ku mojej twarzy i mówi to, zakładając za ucho moje włosy z policzka. – A dokładnie wzrosła pula. – Niby niechący trąca brylant prawego kolczyka.

– To po co mnie tu przywiozłeś?

Czuję wyraźnie, że ta właściwa gra właśnie się rozpoczęła, ale stawką nie jest już tylko pula Róženki. On zamierza grać o mapę z właściwą lokalizacją odwiertów, a nie tę, którą zdobyłam dla Nerskiego.

– Najpierw zjemy kolację, a później będzie czas na interesy. Coś czuję, że to dzisiaj szybko pójdzie. – Jego uśmiech mnie paraliżuje.

– Martin, pamiętaj, że to tylko gra – powtarzam ich ulubiony cytat. – A ja nie gram z tobą – ostrzegam go, gdy winda zatrzymuje się na poziomie zero.

– A to już praktycznie nie ma znaczenia – odpowiada złowieszczo.

Wysiadamy z windy, a on przepuszcza mnie przodem z bardzo wymownym gestem uprzejmości. Jak zwykle skrywa wszelkie emocje pod maską zastygłych kanciastych rysów i szpakowatych włosów, które opadają mu lekko na czoło. Człowiek kamień.

Mijamy recepcję, przestronny hol pełen ludzi, obrotowe drzwi, a przy bentleyu czeka już osłaniający się przed śnieżną zawieją Erwin. Szyję i uszy chowa w stojące ciemnej kurtki. Otwiera tylne drzwi, wsiadam jako pierwsza, a obok mnie zaraz pojawia się Martin. Kremowa skóra siedzeń daje przyjemne ciepło, ogrzewając wnętrze.

Zdejmuję płaszcz i odkładam obok. On robi podobnie. Przyciemniane szyby odgradzają nas od reszty świata. Odgarniam włosy do tyłu, rozcieram brwi, bo mam wrażenie, że zaczynają mi przeszkadzać, tak jak nachalne spojrzenie jasnych oczu mężczyzny obok. Tkacki bez krztyny powściągliwości lokuje swoje zainteresowanie w dekolcie złotej sukienki. Przygryza wargi i ocenia każdy szczegół tego, co w jego mniemaniu po prostu mu się należy. Dziwne, że nie dostrzega tego, co jego człowiek mi zrobił. Nie widzi znamion, pręg po uderzeniach, poniżenia i bólu ukrytego pod nimi. Nie, on akurat na to chce być ślepy.

Ochroniarz siada przy kierowcy i włącza spokojną muzykę. Samochód rusza, a Tkacki naciska przycisk pulpitu, podnosząc szybę, która odcina nas od siedzących z przodu. Już nas nie słyszą.

Jego twarz wreszcie ujawnia drobne nuty przyjaznych emocji. Mięśnie wokół oczu odpuszczają naciąg skóry, ukazując nie tylko cień zmarszczek, ale głębokie zmęczenie ukryte pod jasnymi oczami. Martin rozpina górny guzik marynarki i pochyla się bardziej w moim kierunku. Różowiejące usta rozwierają się w lekkim uśmiechu, wręcz przygryza dolną wargę. I patrzy. W tym jednym momencie żałuję, że dałam się na to wszystko namówić. To było kompletne szaleństwo. Przecież ja nawet nie znam Adama. Nawet nie wiem, czy znać powinnam. Mężczyźni jego pokroju nie dbają o tak mało znaczące kobiety. A Jacek jest po prostu świetnym graczem, poradziłby sobie i beze mnie.

– Jesteś taka do niej podobna. – Kładzie prawą dłoń na moim policzku i przytrzymuje go chwilę.

W oczach Martina widać zwycięstwo i coś jeszcze, co sprawia, że robi mi się zimno. Co moja matka w nim widziała? Swoje bezpieczeństwo? Wolność? Drugą szansę? Co?!

– Do kogo? – pytam, a serce zaczyna mi mocniej walić.

– Przecież wiesz – uśmiecha się ironicznie. – Widziałem, że grzebałaś w moich rzeczach, to i znalazłaś zdjęcie Justyny. Maria mi wszystko mówi. – I znowu patrzy jak zwycięzca. Kurwa! – krzyczę w myślach. – Mam nadzieję, że grzecznie zaniosałaś te ukradzione pliki Jackowi? – pyta, a mi drętwieją palce. Śmieje się, bo przed nim trudno coś ukryć. – Grzeczna dziewczynka – gładzi palcami mój policzek. – Jacek jest cholernie przewidywalny, a ty po prostu spadałaś mi jak z nieba. Nie wiem, gdzie Raczyński cię znalazł, ale był kompletnym idiotą, myśląc, że ukryje to przede mną. Chociaż nawet mógł nie wiedzieć... Raczej nie chwalebę się swoją przeszłością – zabiera dłoń z mojego policzka, a moja szyja sztywnieje.

– To dlatego go zabiłeś? – pytam, odsuwając się trochę od niego, a on łapie moją rękę wspartą na szwie skórzanego siedzenia. Liczę, że wreszcie się przyzna.

– Tomasz nigdy nie był groźny. Miał ten swój świat, jachty, rejsy, wyprawy. Bardziej zależało mu na towarzystwie, odrobinie ryzyka i umiejętnościach opłaconych dziewczyn niż na kasie. Nie angażował się. A ja nie miałem powodu się go pozbywać. To był pomysł Adama – mówi to, akcentując jego imię. – Przyszedł z tym do mnie i zaproponował układ. Chyba zabrakło mu kasy i planował przejąć pulę po Tomaszu. Tylko że ostatnio ktoś odkrył, że Raczyński miał córkę. A ta gra ma zasady. Wchodzisz w nią ze świadomością, że twoja rodzina też będzie musiała zagrać, i to niekoniecznie dla ciebie. Chociaż tej dziewczynie się upiekło, bo Tomasz zabrał swoje tajemnice do grobu, a ona po prostu się rozplynęła. I nie było sensu jej szukać, skoro kasa Raczyńskiego znalazła się z powrotem w puli. I właściwie dzisiaj ktoś ją przejmie – przerywa na moment. – Tylko że ty nie miałaś tyle szczęścia – wyczekuje mojej reakcji, ale ja milczę, próbując wyswobodzić swój nadgarstek z jego uścisku. – Teraz rozumiesz? – pyta.

– Nie – wyrywam w końcu swoją rękę. – Nie chciałam wchodzić do gry. Raczyński też tego nie chciał. Za to ty... – mówię to tonem pełnym nienawiści.

– Lidio, nic ci się nie stanie, jeśli posłuchasz mnie, a nie Nerskiego – nie pozwala mi dokończyć. – Tu chodzi tylko o informacje. Prostą transakcję z twoim ojcem.

– Ojcem? Mojego ojca już dawno nie ma. Nie kłam – patrzę na niego zimno. – A matka... Przecież ty to wszystko wiesz, Martin. Sypiałaś z nią latami. Może i nawet dużo wcześniej niż mój ojciec od nas odszedł. To przez ciebie zginęła w tym wypadku. Coś ty jej zrobił? – pytam z takim zacięciem na twarzy, że nawet nie dziwię się jego milczącej niechęci.

– Chciałem ją tylko chronić – odpowiada po dłuższej chwili, ale jego twarz



zastyga.

– I dlatego od ciebie uciekła? – wyrzucam mu to jak kolejną obelgę. – Dlaczego?

– Wiem, że mnie okłamała – przerywa mi. – Ale chyba nie tylko mnie – dodaje, przekrzywiając usta. – Gdy likwidowałem konto Justyny, odkryłem, że przez te trzy lata co miesiąc robiła przelewy na fundusz dla córki. Córki, której grób odwiedzała co roku pod Krakowem na Wszystkich Świętych. Dla mnie byłaś wtedy martwa, bo ona tego chciała – milknie, zagryzając zęby. – Ale ty nigdy nie tknęłaś tych pieniędzy, dlatego nie mogłem cię później znaleźć.

Patrzy na mnie w ten dziwny sposób. Nie potrafię rozszyfrować, co on teraz czuje. Nienawiść, złość, rozczarowanie, chęć zemsty za odrzucenie. Nie posądzam go o zwykłe ludzkie współczucie.

– Dlaczego jeszcze żyję? – pytam z zadziwiającym opanowaniem.

– Bo ja tego chcę – odpowiada od razu. – W tej grze wiele zależy ode mnie – nagle zaciska swoją dłoń na moim kolanie, a ja próbuję oddychać. Erwin z przedniego siedzenia zerka ukradkiem za siebie, jakby dokładnie wszystko słyszał. – Dzisiaj czeka cię jeszcze jedna mała niespodzianka. I tylko jeśli będziesz dla mnie miła... – przysuwa się bliżej – powiem ci, jaka.

Ręka wędruje wyżej po śliskim materiale obciskającej moje uda pończochy. Podciąga krawędź sukienki. Odsuwam się, zakładając nogę na nogę. Sztywnieję. Nie dam rady. Ten mężczyzna mnie po prostu odpycha. Wzbudza potok czarnych myśli. Znów czuję się porzucona i sama. Bezbronna wobec jego chęci posiadania wszystkiego, co tylko zapagnie.

Odwracam twarz do okna, a za nią podąża całe moje ciało. W rozpaczliwym odruchu chwytam płaszcz. Próbuję przełożyć go na drugą stronę, tak by bardziej nas oddzielał, ale Martin jednym ruchem zrzuca go na podłogę. Dłonie sztywnieją mi, przykurczając trochę palce. Podświadomość krzyczy „uciekaj!”. A zamiast jego odbicia tuż za moją twarzą pojawia się znajomy cień mrocznej postaci. Ma błyszczące czarne oczy i nienawistny uśmiech. Rozpościera skrzydła i otacza mnie nimi. Czuję jego lepkie palce na szyi i parzący skórę oddech na plecach. Jest coraz bardziej nachalny. Napiera na mój bok i udo. Wgniata mnie w skórzane siedzenie. Jego mokry język wchodzi mi do ucha. Jęczy, pożądając wzajemności. Dłonią zgniata moje piersi. Odpycham jego rękę. Schodzi niżej między nogi. Robi mi się niedobrze. Ostatni posiłek czuję już w ustach i pierwsze, co robię, to chwytam za srebrną klamkę drzwi. Nie ustępują. Kurwa!

Śmieje się szyderczo, widząc mój lęk w oczach. Stąd mu nie ucieknę.

– Próbuj, jeśli chcesz – mówi.

– Gdzie jedziemy? – pytam, przelykając z trudem ślinę. Staram się nie wymiotować.

– Zobaczysz – wciąż ślizga dłonią po moim udzie, podczas gdy ja nie mam

się już gdzie odsunąć.

– Przestań, proszę – chwytam jego rękę i walczymy chwilę.

– Brałaś lekarstwo? – pyta, widząc, że zaczynam się dławić.

Kręcę głową, a on szuka mojej kopertówki. Wyjmuje pudełko z lekiem i wciska mi jedną tabletkę w usta. Sięga po wodę i zmusza mnie do jej przełknięcia. Ledwo mi się to udaje. Opadam oszołomiona na fotel, a on przytrzymuje mi głowę, bym nie odchyliła jej zbyt do tyłu. Pochyla się do mnie, a atlasowy woreczek wysuwa mu się z kieszeni. Zrządzenie losu, łut szczęścia, a może tylko jego słabość. Łapię go ostatkiem przytomności i zaciskam w dłoni, którą zaraz wsuwam pod pośladek.

– Do cholery, masz brać je co osiem godzin. To już nie są żarty. Musisz jeszcze wytrzymać – przytrzymuje mnie chwilę, ale jak tylko puszcza, osuwam się po skórzanym fotelu.

Chwyta mnie i kładzie moją głowę na swoich udach, podciągając moje nogi na siedzisko. Nie protestuję. Odgina się lekko do przodu, sięgając za swoje plecy, i wyciąga czarny niewielki przedmiot: pistolet! Widocznie go uwierał. Jasno stawia mnie na pozycji bez wyjścia, odkładając broń na półkę przy panelu, tuż na wysokości moich oczu. A może tylko sprawdza, czy się odważę po nią sięgnąć. Czy przyłożę tę lufę do jego skroni i się nie zawaham? Niestety musiałabym zrobić to lewą ręką, bo prawą paraliżują mi nerwy. Nie zaryzykuję.

Opada głębiej na siedzenie i przytrzymuje mi głowę. Przyjmuje wygodniejszą pozycję. Tak, to „jeszcze” wcale dobrze nie wróży i nie wiem, co oznacza w jego mniemaniu. Jeszcze do jutra, jeszcze do Wigilii czy jeszcze nie pora umierać. Zamykam oczy. Czarny demon znika, odlatując w mroku bielejącej ulicy za szybą. A on głaszcze spokojnie moje włosy i policzek, oddycha chyba ciężiej ode mnie.

Palce jego dłoni oplatają mi brodę. A przed oczyma staje mi to jedno zdjęcie rodziców sprzed dwudziestu pięciu laty. Jak to możliwe? To Martin był cały czas z nimi? On zdrajca? Wieloletni przyjaciel ojca. Wiesław wszystko wiedział, tylko że nie zdążył mi tego wytłumaczyć.

– Najwidoczniej ciebie też okłamała – sączy swoje słowa nad moją głową, a jego jad zatruwa mi myśli. – Okłamała nas oboje.

Milknie, a ja marzę, by zniknął. By przepadł w otchłani piekieł. By odszedł na zawsze, razem ze wspomnieniami, które we mnie obudził. Czego on chce ode mnie po tylu latach? Do czego jeszcze jestem mu potrzebna? Tak, „jeszcze” nabiera tu złowrogiego znaczenia.

– Odpocznij. Na miejscu będziemy za godzinę.

**20 listopada 2012 roku, wtorek, g. 22:00**



Samochód zwalnia przed podjazdem. Podnoszę się powoli, a za szybą wylania się frontowa ściana trzypiętrowego budynku. Rzeźbione elementy elewacji, drewniane wysokie okna i poświat kryształu żyrandoli, a dookoła ośnieżona przestrzeń i spokój ogrodu otoczonego lasem. Dyskretnie i pod oficjalną hotelową przykrywką. Nie widzę parkingu. Ciekawe, ile osób zna ten adres, bo na pewno opuściliśmy już Moskwę.

Tkacki czeka aż wysiądę. Mam kilka sekund, gdy mnie nie widzi. Wrzucam woreczek do kopertówki i rozrywam satynowe wykończenie, by wyjąć ten drugi. Udaje mi się, ale prawa dłoń jeszcze trochę się trzęsie. Wsiadam, a czarno-złote szpilki giną w miękkim puchu. Poprawiam włosy, bo nie wyjęłam ich spod zarzuconego na ramiona czarnego płaszcza. Wspinamy się po schodach do wejścia.

Idę obok Tkackiego, a dwóch ochroniarzy podąża za nami. Potykam się o ostatni schodek, bo podeszwa szpilki ślizga się na świeżym śniegu. Martin łapie mnie asekuracyjnie. Przyciąga do siebie z jednoznacznym wykrzywieniem twarzy. On się już nie uśmiecha, a ja przylegając do jego piersi, wsuwam ten atlasowy woreczek do kieszeni jego marynarki, dokładnie tam, skąd wypadł. Nie mógł tego poczuć. Dziękuję subtelnym uśmiechem za jego pomoc, a on przytrzymuje mnie w pasie i nie puszcza.

W holu ktoś odbiera nasze płaszcze. Idziemy w głąb budynku korytarzem i stajemy przed wejściem do restauracji. Kierownik sali pyta o nazwisko i prowadzi nas do stolika prawie na środku z nakryciem na dwie osoby i bukietem białych goździków. Podstawia mi pokryte jasną skórą krzesło i siadamy. Martin zamawia, nie pytając mnie o zdanie. To jego wieczór, to jego rozgrywka. To on tu decyduje. Szukam kamer. I są w każdym rogu. Tak jak w holu, na parkingu i w korytarzach. Istne obserwatorium.

Ściana okien, wyjście na taras, tiul i ciężkie zasłony, rząd kryształowych żyrandoli tuż nad stołami z podwójnym obrusem i skrzypiące drewno podłogi. Wydłużoną, prostokątną salę bez klimatyzacji wypełnia kuchenny zapach. Szum rozmów rozchodzi się w domkniętej przestrzeni i zawisa na wysokości wzroku. Słowa w różnych językach mieszają się ze spokojną muzyką, ale nie wszystkie stoły są zajęte. Martin z błyszczącymi oczami obserwuje moje reakcje. Śmieje się.

Nie czuję się tu pewnie, i to nie tylko z powodu oszołomienia lekami. Nie wiem, która z obecnych osób jest graczem. Kto usiądzie dzisiaj do stołu? Choć rozpoznaję kilka twarzy z przyjęcia jubileuszowego Martina. Kątem oka dostrzegam też podążający za mną wzrok mężczyzny z rogu sali. Ostre wschodnie rysy i ostentacyjnie drogi garnitur z masywnym połyskującym zegarkiem, i ta szrama na prawym policzku. Tak, to na pewno miliarder Kurylenko z MCE Holding i jego wspólnicy Igor Koryński oraz Dmitrij Warszczenko.

Siedzą przy stoliku na osiem osób i popijają szampana. Jakby już świętowali

zwycięstwo w towarzystwie błyszczących, może dwudziestoletnich maskotek. Jedna z dziewczyn na rozkaz wynurza się spod okrywającego stół obrusu. Ociera dłonią usta. Kurylenko głaszcze jej włosy i kolejny banknot wędruje w głęboki dekolt sukienki. Sam dopina spodnie. Koryński śmieje się do siedzącego obok Warszczenki, rzucając krótkie spojrzenie w kierunku zdezorientowanej dziewczyny. Widać, że obaj mają duży dystans do zachowania głównego prezesa moskiewskiego holdingu, a wręcz pozwalają sobie na okazanie lekkiego zażenowania. Kurylenko nie dba o to i ostentacyjnie wznosi toast w kierunku Martina. O tak, on zapewne już coś ugrał.

Szpakowaty mruży w pozornym uśmiechu oczy, ale nawet ja wyczuwam jego niechęć, a może raczej konieczność zachowania uprzejmych pozorów w stosunku do jednego z tych mężczyzn. Rzuca jeszcze powściągliwy ukłon w kierunku Warszczenki, a ten odpowiada podobnym. Wymiana porozumiewawczych spojrzeń z Igorem Koryńskim, może czterdziestoletnim ciemnowłosym mężczyzną o kanciastych rysach, wydatnej szczęce i kilkudniowym zarostie. Ledwo zauważalny ruch głową w moim kierunku i ciężkie westchnienie Tkackiego. I nagle omiata mnie lustrujące spojrzenie czarnych zimnych oczu, a później trafia równie zimny uśmiech Igora Koryńskiego biegnący przez całą długość sali. Spontaniczna wymiana wiadomości tekstowych w telefonie i cmoknięcie pełnych ust Martina. A ja mam już pewność, kto chciał, bym tu była.

Igor Koryński wykonuje jeszcze gest dłoni skierowany na wewnętrzną kieszeń marynarki, jakby chciał Martinowi coś potwierdzić. Kiwa twierdząco głową i dla pewności wysuwa spod wełnianej klapy fragment jakiegoś dokumentu. Tkacki uśmiecha się porozumiewawczo. Tak, gra układów, oficjalnych podpisów. Nawet oni dbają o pozory uczciwego biznesu. Tylko że ja mam coraz gorsze przecucia, a to „jeszcze” dopełnia się z każdą minutą.

Kelner proponuje wino, ale Tkacki odmawia. Prosi tylko o wodę. I każe zabrać kwiaty. Przystawka z rucollą ląduje przed nami, ale ja nie jem. Nie mogę.

– Ile potrzebuję na wejście? – pytam.

– Chcesz grać o pulę Różenki? – pyta z nieukrywaną kpinią.

– Tak.

– Jak dla ciebie sześć milionów – mówi po chwili. – Ale z tego, co mi wiadomo...

– Mam tyle.

– A to ciekawe, bo ja wiem tylko o trzech milionach na twoim koncercie... No może czterech, jeśli ruszysz lokatę po matce. Skąd weźmiesz pozostałe? – kwituje mój upór ironicznie.

– Zobaczysz – mówię, nadal czując to badawcze spojrzenie czarnych oczu z końca sali.

– Dobrze – dodaje, kończąc przystawkę. – Tylko zjedz coś, bo rozgrywka

zaczyna się za pół godziny.

Kelner donosi łososia w sosie musztardowym. Zjadam kilka kęsów. Popijam łąpczywie wodą.

– Martin, muszę iść do toalety – patrzę na niego błagalnie, a on kiwa twierdząco głową.

– Erwin z tobą pójdzie – mówi, dając jednoznaczny sygnał ochroniarzowi, który został przy wejściu do hotelowej restauracji.

Odprowadza mnie wzrokiem, gdy mijam kolejne stoliki, starając się nie potknąć.

– A to niespodzianka – słyszę nagle z boku. – Pani Lidio. – Obracam się powoli, a znajoma ruda czupryna i kontrowersyjny dobór deseni mimowolnie wywołuje uśmiech na mojej twarzy.

– Henry, o ile dobrze pamiętam. – Staję przy stoliku, a on podnosi się leniwie z krzesła.

– Widzisz, miałem rację, mówiąc, że się jeszcze spotkamy – sięga po moją dłoń i ostentacyjnie całuje. – Aczkolwiek cieszę się bardzo – dodaje z tym swoim wyspiarskim akcentem i uśmiechem na pełnych ustach.

– Gra pan o pulę? – pytam, patrząc mu w oczy.

– Tak jakoś wyszło – odpowiada z wesołością nastoletniego chłystka. – Ale jak widzę, to pani też jest tu w tym celu.

– Taki miałam plan, ale chyba uległ nagłej zmianie – mówię to z naciskiem na ostatnie słowo. Liczę, że chociaż on mi coś zdradzi.

– Coś tam słyszałem na ten temat – unika odpowiedzi, zerkając w kierunku Martina. – Niech pani na siebie uważa, bo dzisiejszy wieczór może obfitować w pewnego rodzaju kontrowersje.

– Zauważyłam – naciskam na niego wzrokiem, chcę znać jakieś szczegóły, ale on ucieka wzrokiem na twarz siedzącej z nim młodej ciemnowłosej kobiety i uśmiecha się sztucznie.

– Nie zatrzymuję dłużej – mówi, kłaniając się w moim kierunku. – Miłego wieczoru – dodaje.

– Wzajemnie – uśmiecham się i odchodzę.

Rząd stołów przy oknie jest prawie pełen, ale tam nie rozpoznaję nikogo. Za to wchodzący do sali ciemnowłosa mężczyzna w smokingu wydaje mi się bardzo zadowolony z siebie i tylko nerwowy ruch dłoni poprawiający srebrne spinki mankieta nieskazitelnie białej koszuli zdradza mi jego prawdziwy poziom emocji. Jacek Nerski obrzuca mnie niezrozumiałym spojrzeniem i odwraca głowę w kierunku stojącego za nim ochroniarza. Kątem oka lustruje też Erwina. Wykonuje lekkie kiwnięcie i znów patrzy w moim kierunku. Marszczy czoło, lekko odchylając kopertówkę, a on uśmiecha się połową twarzy. Najchętniej już pozbyłabym się tego przeklętego woreczka diamentów, ale najwidoczniej on ma

inne plany. Podchodzę bliżej, a Jacek wykonuje nieznaczny ukłon na powitanie.

– Masz – pyta cicho, a ja mrugam twierdząco powiekami. – Sprawdziłaś je?

– Daj mi parę minut – szepczę, poprawiając ułożenie stopy w niewygodnej szpilce, i lustruję ochroniarza stojącego trzy metry od nas.

– Uśmiechnij się – mówi, patrząc na mój lewy nadgarstek. Chyba chce się upewnić, czy mam ów złoty zegarek. – Bo jeszcze ktoś pomyśli, że się tu kiepsko bawisz...

– Martin cię wystawia. Wie, że masz mapy. – Nie patrzę na niego.

– Zdażyłem zauważyć – rzuca jakby od niechcenia.

– Jacek, potrzebuję kasy.

– Ile? – nawet nie pyta po co.

– Sporo.

– Dobra. Tylko się pośpiesz, bo ominie cię najlepsza zabawa. – Wymija mnie i idzie pewnie w kierunku jednego ze stołów pod oknem.

Ochroniarz rusza za mną korytarzem. Obok nas przechodzi kobieta z powłóczyстым spojrzeniem wilczych oczu w długiej czarnej sukni. Srebrne futro otacza po skosie jej przegub, a oczy martwego zwierzęcia błyszczą przy onyksowej broszy. Z odrazą fuka w kierunku złoconej tapety na ścianie. Woń jej perfum odurzyłaby słonia, a barwę jej włosów można tylko analizować w kategoriach koloru czarnej dziury.

– Cachorra! – słyszę za plecami.

Obracam głowę, a ona pluje sobie pod stopy i coś jeszcze sepleni. Dziwię się, że nie czuć siarką czy też innym diabelstwem.

– Nie daj się sprowokować, to wdowa po Różence.

Erwin powstrzymuje zgięcie mojego lewego łokcia w bardzo czytelnym geście. Zasłania mi widok nienawistnie patrzącej kobiety i naciska, by iść dalej. I gdy dostrzegam podwieszony pod sufitem napis TOI- LET z nadmiernie wyeksponowaną zieloną strzałką wyznaczającą kierunek, napotykamy idącego osiłka, który prowadzi przed sobą skulonego mężczyznę. Mięśniak już z kilku metrów lustruje Erwina z miną wyrażającą tylko uzasadnioną wątpliwość, ale jak dla mnie, to oni są do siebie bardzo podobni, przynajmniej fizycznie. I chyba to jakiś dziwny zwyczaj wśród ochroniarzy z tym noszeniem przyciasnych garniturowych okryć.

Skręcają przed nami w krótki korytarz prowadzący już bezpośrednio do toalet. Przechodzą, a ja dostrzegam ukryty pod niedopiętą ciemnoszarą marynarką pistolet, który napiera na plecy starszego mężczyzny w kraciastej wełnianej kamizelce, pogniecionej koszuli i sztruksach. Wymieniamy spojrzenia, a ja rozpoznaję twarz naukowca. Profesor Strzymiński we własnej osobie. Co on tu, do diabła, robi?

Profesor wchodzi niepewnie do męskiej toalety. Ogląda się ukradkiem.

Patrzę na Erwina, a on zdecydowanie napiera na drzwi damskiego przybytku zaraz obok.

– Pani Lidio, proszę się pośpieszyć. – Praktycznie wpycha mnie do środka, ale nie wchodzi ze mną.

Właściwie nie mam czasu. Zajmuję jedną z czterech kabin. Zamykam się i opuszczam klapę muszli. Sięgam po atłasowy woreczek, zdejmuję złoty zegarek z lewego nadgarstka i sięgam po pierwszy oszlifowany kamień. Ma około centymetra średnicy, może pięć karatów i mieni się idealnym brylantowym szlifem. Trudno też w nim nie zauważyć przejrzystości krystalicznej wody i hipnotyzującego zmysły ognia we wnętrzu. Wyraża czystą magię ukrytą w głębi ziemi okiełznaną ręką doskonałego szlifierza. Stożkowa forma dobrze obraca się w palcach. Tafla i pięćdziesiąt sześć faset na koronie i w szpicu odbijają ponętnie sztuczne światło. Jest identyczny jak jedenaście pozostałych. Sprawdzam na korundowym szkle zegarka. Cholera, rysuje! Sprawdzam pozostałe i wszystkie są takie. Diabelski spisek. Dlaczego one są prawdziwe, a przynajmniej tak wyglądają? Te od Jacka nie przekroczyły twardości korundu. A te na pewno można klasyfikować wyżej. O co tu chodzi?

W woreczku jest jednak jeszcze kilka innych kamieni oprócz tuzina idealnych brylantów. Wysypuję je na wewnętrzne wgłębienie dłoni i nie dowierzam. Cztery diamenty w surowej postaci, podwójnego czworościennego stożka złączonego wspólną podstawą, prezentuje perfekcyjną formę krystalizacji. Są przejrzyste z lekko matowiejącym wykończeniem załamanych krawędzi. Widać wyraźnie strefę wzrostu, jak i trójkątną fakturę lustrzanej powierzchni. Idealny do okrągłego szlifu. Cholera, a miały być żółte. Ale to nie wszystko, bo pozostałe dwa, również w tak pożądanej przez jubilerów formie krystalizacji oktaedrycznej, z powierzchnią porowatą jak pumeks i wielkością na pewno ponad dwunastu karatów, przyjmują barwę smoły. By to szlag, CARBONADO!

Czarne diamenty. Jak sami diabli! Przecież takich dużych okazów nie ma na Syberii. Tak, te nadplanowe diamenty właśnie zniweczyły cały mój wysiłek, bo w woreczku, który ma teraz przy sobie Tkacki, na pewno ich nie ma. Cholera!

Wrzucam diamenty z powrotem do woreczka, chowam pod podszewką kopertówki i dopinam zegarek na nadgarstku. Wychodzę z kabiny i myję ręce. Uspokajam myśli, patrząc w lustro. Jest pęknięte w rogu, tuż przy łączeniu z ramą. I akurat w tym miejscu widzę się podwójnie. Jest też sporej wielkości okno za mną. Nie mam już wyjścia. Uśmiecham się do wychodzącej kobiety. Czekam aż zamknie drzwi za sobą i ruszam ku wysokiemu oknu.

Ponadpółtorametrowa szyba przedzielona jest drewnianymi obłymi listewkami na cztery prostokątne elementy. Klamka jest dość wysoko, ale udaje mi się bez problemu otworzyć okno. Zdejmuję szpilki. Wspinam się na parapet i przechodzę na zewnątrz. Domykam za sobą okno. Do parteru mam jedno piętro,

a ten około trzydziestocentymetrowy gzymś utrzymuje mój ciężar. Musi się udać.

Sunę chwilę przyklejona plecami do elewacji budynku, walcząc z narastającym lękiem wysokości. Zmarznięta docieram do następnego okna. Nie było tak daleko. Zaglądam w szybę niepewnie. Profesor Strzymiński stoi wsparty o umywalkę. Ewidentnie próbuje ochłonać. Nagle do środka wkracza ochroniarz w szarej marynarce i coś do niego krzyczy, profesor nadyma usta i z impetem wpada do najbliższej kabiny. Wymiotuje. To już nawet ja słyszę, stojąc na zewnątrz. Osilek w garniturze wychodzi z gestem rezygnacji. Próbuję uchylić okno, ale z tej strony mi się to nie uda. Pukam w szybę i to dość głośno. Pukam ponownie.

Zmaltretowana twarz Strzymińskiego wychyla się zza drzwi kabiny. Jest blady i ma sine oczy. Pukam znowu. Dostrzega mnie i gramoli się w zgięciu do okna. Otwiera je, a ja od razu wskakuję na parapet.

– Ciii... – kładę palec na ust, a on znowu wymiotuje, ale tym razem do zlewu.

Schodzę z parapetu, starając się na niego nie patrzeć.

– Co pani tu robi? – pyta, opłukując zlew wodą. – Nie powinna pani w ogóle tu przyjeżdżać. To kompletne szaleństwo. Jeśli oni panią tutaj znajdą...

– Prosił pan o rozmowę w cztery oczy, to jestem – mówię z kpiącym uśmiechem i strzepuję śnieg z włosów. – O co chodzi z tą mapą? W ogóle, co panu jest?

– Nerwowa przypadłość. – Znowu wymiotuje, a ja muszę się odsunąć, by zapach nie zmusił mojego przetyku do podobnej czynności.

Podchodzę z powrotem do okna i wdycham powiew świeżości.

– Profesorze, co z tą drugą mapą? Przecież tam była tylko jedna.

– Nie. Ta pierwsza mapa, którą mi pani przyniosła, jest z Popigaju. To się na pewno zgadza.

– Ale przecież wtedy pan mówił...

– A co miałem pani powiedzieć? Ta mapa to jakieś zły omen. Klątwa... Ludzie giną przez nią. Żałuję, że zgodziłem się na opublikowanie tych danych. Żałuję, że znalazłem tam te zbliżnienia, te przekłete twardsze odmiany. Kto panią wtedy przysłał? – pyta nagle, odrywając wzrok od zlewu.

– Nikt. Po prostu chciałam wiedzieć.

– Akurat – kpi, a ja już tylko mogę udać głupią. – Na tej mapie specjalnie źle oznaczono otwory. Zapisano ją w rewersie i jeszcze przebiegunowano.

– Jest pan pewien?

– Przecież sam to robiłem – stara się uśmiechnąć, ale widzę, że kolejny skurcz zaciska mu żołądek. – Jak ją się wydrukuję, to pod światło wszystko widać. Stare sposoby, jak odgrzewane kartofle. To się czasami zdarza, gdy ktoś próbuje utrudnić interpretację – dodaje zgryźliwie. – Tylko że ta pierwsza mapa



z Nowosybirsk to nie wszystko – szepce tak szybko, że momentami zupełnie go nie rozumiem. – Tamto złożo to przepastne dziury do piekieł. Chociaż niektórzy nazywają to rajem. Rajem złodziei – dodaje ciszej.

– To ja już nic nie rozumiem – sięgam do kopertówki i wyjmuję jeden z czarnych diamentów. – To skąd one są? – pytam, trzymając go pod światło.

– Tak – ogląda go uważnie. – Podobne do brazylijskich.

– Podobne? – pytam, nie dowierzając, a on obraca kamieniem w palcach. – Panie profesorze, przecież tak spore okazy carbonado występują tylko w dwóch formacjach. W Brazylii i południowej Afryce, prawdopodobnie pochodzą z jednego impaktu sprzed ponad trzech i pół miliarda lat i rzadko przyjmują tak doskonałe formy. Takich kamieni się nie syntetyzuje, bo po co...

– No właśnie, no właśnie.

– A niech to diabli! Impaktowe złożo. Dlaczego nie ogłosił pan tego na tej konferencji we wrześniu? One są z miejsca na tej mapie. Te diamenty nie pochodzą z Ziemi.

– Być może – uśmiech nie schodzi mu z twarzy. – Ale odpowiedź na to pytanie zna tylko jeden człowiek i naprawdę lepiej, by pani tu nie było – odkłada energicznie diament na moją dłoń i zaciska jej palce swoimi. – Uciekaj stąd!

– Ale co z tą drugą mapą? – pytam, wrzucając diament po prostu do kopertówki, gdy on popycha mnie w kierunku okna.

– Ta druga była w plikach ukrytych. Tylko że w niej brakuje nie tylko współrzędnych, a to już jest większy problem. Mój asystent znalazł ją od razu. Dodatkowo ktoś ją szyfrował, ale jakoś tak po laicku. Tylko oni nie mają o niej pojęcia – uśmiecha się, przymykając na moment powieki. – W każdym razie lepiej, żeby tego nie wiedzieli, a pani nawet nie waży się o niej pisać – miażdży mnie wzrokiem, ale w ten teatralny sposób. – Otworzyła się po kilku próbach i przyznam, że tego się nie spodziewałem. Chociaż to nie moja działka, ale kolega był w amoku, jak ją zobaczył – dodaje z półuśmiechem.

– Kolega zobaczył? Pan żartuje? – Nie ukrywam przerażenia, bo wizja kolejnych niewinnych ofiar tej dziwnej mapy jakoś nie znika mi sprzed oczu. – To co tam jest? Gaz łupkowy? – pytam wyczekująco, a on kręci głową.

– Nie... A co jest ważniejsze od ropy, diamentów i gazu? I nie chodzi tu też o uran, krzem, pallad, platynę czy inne takie... – łupie brwiami. – Panno Pawłowska, proszę się dobrze zastanowić.

– Skąd pan zna moje nazwisko? – zamieram w zimnym podmuchu z zewnątrz. Wiatr wpycha kolejne płatki śniegu do środka, ale ja przestaję czuć zimno.

– A jak pani myśli? – Profesor wraca spokojnie do zlewu i zakręca wodę. Wzdycha, jakby chciał coś powiedzieć, ale żadne słowo nie wydobywa się z ułożonej w rogal cienkiej linii warg. – Darek, pani ojciec, dużo mi o pani

opowiadał. Był z pani bardzo dumny.

– Był? – cedzę, ale jakby nieświadomie.

– Tak, a później pani rzuciła studia.

– Musiałam, ale to i tak na ostatnim roku. – Moja rogówka wysycha i zaczyna szczytać w kącikach, bo powieki nie zamierzają się zamknąć. Jestem po prostu w szoku. O czym on mówi?

– Pokazywał mi też pani zdjęcia w internecie.

– Gdzie?! Przecież on nie żyje od dwudziestu pięciu lat. Profesorze...

– Nie powinna była pani tu przyjeżdżać. Teraz będzie musiał im powiedzieć.

Pani ojciec...

– Co z nim? – pytam odruchowo, ale on tylko wzdycha. – Proszę mi powiedzieć – naciskam bardziej.

– Darek... – milknie, nagle biorąc głębszy wdech. – On popełnił kilka błędów, ale naprawdę nie wiedział. Nikt z nas nie mógł tego wiedzieć – kontynuuje, patrząc mi w oczy z lekką obawą. Rozkłada dłonie na boki. – Ci ludzie...

– Ludzie? – dopytuję, bo zwykle za takim stwierdzeniem stoją jakieś podłe kreatury. Tylko że w tym wypadku mam nader oczywiste skojarzenia. – MCE Holding? Tkacki? – dopytuję, a on kiwa głową twierdząco.

– Tak, to on go wtedy werbował. Pojechał do Lwowa, później zapraszali go do Moskwy, obiecywali mu góry, sprowadzili sprzęt, ludzi. Kontrakt na pięć lat, mieszkanie dla rodziny, dodatkowe bonusy, premie. Sam im uwierzyłem. Bajonkie sumy na badania, pełne zaplecze, bez nadmiernej kontroli, bez nagłych zmian decyzji, pozyskiwania kolejnych grantów. To jak spełniony sen naukowca. Zależało im tylko na czasie – milknie, przymykając oczy. – Mieli opracowywać jakieś nowe projekty pomp głębinowych, sposoby wierceń. Tylko że te odwierty były nielegalne, nikt nie zdobył pozwoleń. Nawet grunt należał do jakiejś szemranej spółki. Wszystko było za łapówki, przez układy, na słowo... Nikt też nie wiedział, co tam znajdują, i to tak szybko. Twój ojciec nie miał pojęcia, w co się pakuje. I gdyby nie ten cholerny wybuch. Tamtego dnia zginęły cztery osoby.

– Ale on też! – Nie mogę w to uwierzyć. – Przysłali nam urnę... Matka... pogrzeb...

– To była jego jedyna szansa, by im uciec. Inaczej... – urywa nagle, biorąc kolejny wdech pełną piersią. – Ktoś przecież musiał być winien, a to Darek podpisywał raporty. I wątpię, by kogokolwiek obchodziło, że w jego projekcie było to dodatkowe orurowanie. Nie udowodniłby tego, skoro wszystko spłonęło. Skazaliby go na dożywocie. On jeszcze wtedy nie miał uprawnień, ale dostał papiery, pieczętki. Używał ich ze swoim podpisem. Ci ludzie sprytnie to wszystko wymyślili. Nie było tam wzmianki o tym holdingu.

– Ale... to jak?

– Twój ojciec nie zdawał sobie sprawy z tylu rzeczy. A niewiedza kosztuje, i to często więcej niż chcielibyśmy zapłacić – uśmiechnął się w ledwo zauważalny sposób. – Nie mogłem na to pozwolić. Wyciągnąłem go wtedy ze szpitala i ukryłem u siostry. Ludmiła pomogła mu zacząć wszystko od nowa, a resztę historii sami sobie dopowiedzieli. Niezidentyfikowane zwłoki, martwy koziół ofiarny, winny ukarany. Uwierz mi, tak było lepiej. Jego śmierć rozwiązała wiele problemów. Tylko że twoja matka i ten człowiek...

– Tkacki. Ja wiem – zaciskam wargi, a on kiwa ze smutkiem głową.

– Justynie nie potrafiłem pomóc. Nie byłem też pewien, czy ona tego chciała. Zmieniła się, gdy Darek zniknął. Straciłem z nią kontakt.

– Ona domyślała się, że on żyje?

Profesor w odpowiedzi wzdycha z rezygnacją, chociaż widzę, że jego myśli biegną zawiłym torem w przeszłość. Po chwili szerzej otwiera szklące się oczy. Chwyta mnie za przedramię i popycha bliżej okna.

– Niech pani stąd ucieka. Jeszcze jest szansa – zaciska mocniej uścisk palców na mojej skórze. – Dwa pomieszczenia dalej jest szatnia, niech pani tam się schowa. Jakoś pomogę pani się stąd wydostać. Tu są kluczyki do mojego samochodu – wskazuje mi kierunek i podaje mi rękę, bym mogła wspiąć się na parapet. Siłą wciska mi w dłoń kluczyki. – Taka zielona łada z połamanym zderzakiem.

– Gdzie jest mój ojciec? – pytam, wychodząc przez okno. Walczę z falą myśli w mojej głowie. – Dlaczego się ze mną nie skontaktował?

– Bo bał się o pani życie – Strzymiński oddycha jakby z ulgą, ale drzwi toalety w oddalonej o kilka metrów wnęce rozwierają się nagle. Klamka uderza w ścianę. – Ci z MCE Holding zrobią wszystko, by wydobyć z niego te informacje. Kurylenkę nic nie powstrzyma. Tylko Darek zna lokalizację tych odwiertów – Strzymiński wyrzuca z siebie ostatnie słowa. – Niech pani mu tego nie robi, on poświęcił tyle lat tym badaniom.

– Profesorze... – zdecydowany ton wchodzącego mężczyzny zmusza mnie do szybszej reakcji.

Kluczyki do auta sprawnie łądują w mojej torebce. Niepewnie staję stopami na gzymsie. Dłonie zaciskam na butach i kopertówce. Kontrolnie spoglądam w szczupłą twarz profesora. Mruga porozumiewawczo oczami. I już zastygam w niewygodnej pozycji tuż przy oknie. Profesor wraca do zlewu i odkręca wodę, a ja przyciskam plecy do zimnej ściany budynku i słucham. Kolejna osoba wkracza zdecydowanie do pomieszczenia męskiego przybytku.

– Gdzie ona jest? – rozpoznaję głos Erwina i długo nie muszę czekać. Obie okiennice otwierają się gwałtownie. Krótka przystryżona głowa ze słuchawką w uchu wychyla się z wnętrza, a ja odsuwam się od niego, drobiąc kroki. Jego ręka próbuje sięgnąć mojej kostki, ale już jestem za daleko. – Zupełnie oszalałaś.

Cholera, spadniesz! – krzyczy.

– Pilnuj go! – słyszę z głębi budynku i nie przestaję przesuwając się dalej.

Jak dla mnie z tego gzymsu jest zbyt wysoko, by skakać na ziemię, chociaż może to byłoby najprostsze wyjście i jedyna słuszna droga ucieczki. W dłoniach kurczowo trzymam szpilki i kopertówkę. Staram się przemieszczać jak najszybciej i nie myśleć, co się stanie, gdy osunie się choćby fragment mojej jedynej podpory stóp i wpadnę w kolce bezlistnych krzaków rosnących parę metrów niżej. Mijam wąskie, do połowy zamurowane okno. Nawet nie drgnie. Złoty materiał sukienki zahacza o wystający tynk ściany. Rozrywa się w jednym miejscu. Mijam okno kolejnego pomieszczenia. Popycham mocno ramę, ale nie udaje mi się wejść do środka. Sunę dalej przy ścianie, a śnieg wpada mi do oczu, które od razu zaczynają łzawić. Wiatr chłodzi mnie po twarzy, a na gzymsie robi się coraz bardziej ślisko. Muszę minąć też następne okno, bo w szatni, o której wspominał profesor, ochroniarz w niedopiętej marynarce ciemnoszarego garnituru rzuca się w moim kierunku, ignorując protesty szatniarza. Przewraca dwa wieszaki i kroczy po leżących płaszczach. Depcze włosie srebrnego futra etoli. Na szczęście nim udaje mu się otworzyć okiennice, znikam za pionowym występem. Próbuję przyspieszyć, bo mimo uderzenia adrenaliny w skronie, zamierzam. A w kolejnym oknie po prostu wybijam szybę obcasem, dłonią sięgam klamki i wchodzę do środka. Z parapetu ląduję wprost na wykładzinie ciemnego korytarza. Słyszę, że w oddali ktoś biegnie, tupocząc głośno o wyczuwalnie drżącą podłogę. Domykam za sobą okno i ruszam w drzwi pierwsze po prawej. Klamka ustępuje, a pokój wydaje się pełen oślepiającego światła.

**20 listopada 2012 roku, wtorek, g. 23:00**



Lufa tłumika wgniatająca się w mój policzek jest równie zimna, jak spojrzenie człowieka o szarej pociągłej twarzy i szarych oczach. Skądś go znam, a przynajmniej tak mi się wydaje. O cholera, to ten człowiek od dziwnej wizytówki w barze. Kim on jest?

Tuż przy nim dostrzegam znajomą wyrazistą twarz miliardera Kurylenko i jego złowieszczy uśmiech zadowolenia znajdujący kontynuację w szramie na policzku. Za plecami słyszę kroki biegnącego ochroniarza, które nagle cichną w odległości paru metrów. I przez chwilę nic się nie dzieje. Nikt nie zmienia pozycji, a ja przerzucam wzrok z lewej na prawo. Z twarzy na twarz. Nerwowo mrugam powiekami. Wyczuwam rosnące napięcie.

Człowiek z bronią wpycha mnie głębiej do pokoju i domyka drzwi jednym zdecydowanym ruchem. Odwracam głowę trochę na bok i dopiero teraz widzę po prawej siedzącego na krześle brodacza w kraciastej flanelowej koszuli, przetartych

dżinsach i traperach na stopach. Jego związane brudne ręce w akcie rezygnacji spoczywają luźno na udach. Ma podbite oko i krwawiącą wargę. A ja zamieram sparaliżowana tym widokiem i lekko rozwieram usta, próbując normalnie oddychać. Szpilki upadają na podłogę, a on przenosi na mnie swoje spojrzenie. Te ciemne oczy to ja znam na pewno i te kręcone posiwiałe włosy. Pamiętam go jednak inaczej. Wtedy nie miał brody. Ale to on, jak ze starych zdjęć dziadka. Dariusz. Ojciec.

„To chodząca skarbnica wiedzy. Bardzo kosztownej wiedzy” – to przecież chodziło o niego. Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział wcześniej? Bali się, że po prostu ucieknę. „Możliwości”, zadźwięczało mi w uszach w tej zapierającej dech ciszy. Ich oczy śledziły mnie, jak spojrzenie kobry przed atakiem. Lufa tłumika odepchnęła moją twarz bardziej na bok, tak bym patrzyła ojcu w oczy.

„Podobno masz pewne zdolności... Taką naturalną umiejętność rozwiązywania problemów... naszych problemów”, tak, teraz słowa Różenki stały się zrozumiałe. On znał plan tej rozgrywki. Jak zwykle, chciał coś ugrać dla siebie. W końcu nie afiszując się, przejął pulę Raczyńskiego, a nikt nie lubi, jak tyle zer znika mu z oczu. Osiemdziesiąt milionów starczyłoby, i to na długo. Zapewne próbował sam dogadać się z ludźmi z MCE Holding, bez wiedzy i udziału Martina. Bez kolejnego dzielenia zysków.

„Możliwości...”, tak, moje kurczyły się z każdą upływającą sekundą w tym pokoju.

– No to mamy rodzinne spotkanie. – Mężczyzna obok Kurylenki wybucha gromkim śmiechem, a ja rozumiem go nawet, gdy mówi po rosyjsku. – Nawet nie trzeba o nią się targować. Przyszła owieczka Tkackiego.

– Co ty do cholery tu robisz? – ojciec sepleni słowa przez spuchnięte wargi. Jego ciemne oczy błyszczą z radości, ale kołtuniasta zakrwawiona broda trzęsie się w rytm jego przerażonych myśli. Dostrzegam jego głęboki lęk. A ja mam ochotę krzyknąć i strzelać do nich wszystkich po kolei. Kurwa! Tyle czasu myślałam, że on nie żyje.

– No to teraz, doktorze Jankowski... – Kurylenko podchodzi do swojego zakładnika – już czas. Poproszę ciąg tych małych cyferek. – Ochroniarz mocniej napiera na mój policzek lufą swojego tłumika, a ja patrzę w oczy ojcu. Zaczyna coś seplenić, ale chyba nikt go nie rozumie. Kurylenko wyciąga swój dotykowy telefon. Przesuwa po ekranie palcem i zastyga, czekając.

– Osiemnaście... – usta związanego brodacza układają się boleśnie, gdy patrzy mi w oczy. – Pięć. – Moskiewski miliarder wstukuje cyfry w telefon.

– Nie rób tego – błagam go spojrzeniem, bo mam duże podstawy sądzić, że nawet jeśli mój ojciec poda im te numery odwiertów, i tak nas zabiją. – Proszę!

Zapada cisza.

– Kontynuuj! – Kurylenko daje znać ochroniarzowi, a ten odsuwa pistolet od

mojej twarzy i strzela. Dwa razy pod nogi, dziurawiąc moje leżące na wykładzinie buty.

Ze strachu odskakuję trochę na bok. Ciarki przechodzą cały kręgosłup, ale moja ręka nie drży. Staram się szybko opanować bezdech.

– ...cztery – ojciec mówi to tak szybko, że chyba nikt z nas nie zdążył usłyszeć pierwszej cyfry. Za to ja zacznę wszystko rozumieć.

– Powtórz – żąda Kurylenko, ale mój ojciec milknie.

Wymieniamy spojrzenia. Intensywniej kręcę w zaprzeczeniu głową i posyłam mu uśmiech pewności. Mam nadzieję, że coś takiego jak telepatia istnieje, bo mój plan, który narodził się przed sekundą, bazuje tylko na tym.

Ochroniarz miliardera znowu celuje w moją głowę, a ja po prostu zamykam oczy. Czekam w narastającym milczeniu.

Pukanie do drzwi przerywa ciszę. Nikt nie reaguje. Ponowne pukanie ma bardziej zdecydowany charakter i ktoś z korytarza chrząka „Room service”. Mężczyźni wymieniają znaczące spojrzenia. Pada twierdzące nieme polecenie. Człowiek z bronią wycelowaną w moją głowę kiwa i każe mi nacisnąć kławkę. Obracam się, a on staje z boku. Robię to niepewnie, a w drzwiach widzę Erwina ze srebrną tacą z szampanem w lewej dłoni i wystudiowanym uśmiechem. Wskazując oczami na człowieka, który do mnie mierzy, odwzajemniam sztuczny uśmiech, a on zdecydowanie wchodzi do środka, popycha mnie na ziemię, prawe ramię odwodzi pod kątem prawie dziewięćdziesięciu stopni i naciska spust broni ukrytej pod białym materiałem wiszącym na jego ręce. Tłumik wygłusza odgłos strzału. Trafia mierzącego we mnie człowieka Kurylenki w klatkę piersiową, tuż nad sercem. Krater rozrywający jego białą koszulę czerwienieje od razu, ale ten upadając na krzesło, zaczyna strzelać na oślep.

Zakrywam głowę rękami. Ojciec podrywa się w zgięciu do przodu, ale Kurylenko przytrzymuje go na siedzisku. Wręcz chowa się za nim. Erwin schyla się, by uniknąć postrzału. Taca z szampanem upada pod nogi. Buzująca butelka turla się pod łóżko. Erwin podnosi się i strzela jeszcze dwa razy. Mężczyźni przy ścianie o szarej twarzy dostaje w przedramię. Uderza plecami w szafkę. Przeklina głośno. W odpowiedzi pada strzał zza krzesła i trafia Erwina w prawe ramię tuż nad stawem łokciowym. Jego ręka zgina się odruchowo. Syczy z bólu i wykrzywia usta. Lewą dłonią chwyta pistolet i odpowiada czystym strzałem w środek czoła. Ochroniarz Kurylenki upada w lekkich konwulsjach na wykładzinę. I wszystko nagle cichnie.

– Spróbuj! – dobiega mnie rosyjski akcent i widzę, jak Kurylenko trzyma nóż na gardle mojego ojca. Ten patrzy z rezygnacją.

– Nie... – krzyczę przerażona.

Erwin zastyga, mierząc w jego głowę. Mężczyźni zza łóżka wychyla się powoli i celuje w ochroniarza bronią bez tłumika. Dostrzegam to kątem oka.

– Uważaj – krzyczę, mimowolnie odchylając głowę w kierunku łóżka i wskazując kierunek ataku.

Pada strzał, ale Erwin zdąża się uchylić. Odpowiada dwoma strzałami. Rykoszet odbity od metalowej ramy łóżka trafia w ścianę. Za to wpadający nagle do pokoju drugi ochroniarz Martina chwyta mnie za bark i podnosi do góry. Zasłania się mną jak tarczą obronną, a lufa jego pistoletu wbija się w moją brodę. Widzę jak Erwin mierzy się z Kurylenką i tym o szarych oczach spod ściany. Wymieniam ostatnie spojrzenia z ojcem. Erwin popycha nas i powoli wycofuje się z pokoju. Nadal celuje do Rosjan ze swojej broni. Drugi ochroniarz rozkazuje mi zatrzaskać drzwi i ciągnie w głąb budynku korytarzem. W końcu zabiera lufę z mojej zuchwy, a ja próbuję się mu wyrwać. Zaczynam uciekać.

Erwin łapie mnie od razu i potrząsa intensywnie, jakby chciał otrzeźwić. Widzę, że jego prawe ramię mocno krwawi, a twarz wyraża skrajne emocje. Nagle swoim pistoletem celuje w moją głowę. Jest wściekły i lekko obnaża mocne zaciśnięte w bólu zęby. Zaciskam powieki, a on tylko lekko odchyła na bok lufę tłumika przed naciśnięciem spustu. Strzela dwa razy. Mężczyzna za mną osuwa się na podłogę. Jest martwy. Jego ciepłą krew czuję na skórze nagich pleców i tyle głowy. Wypieram pojawiające się nagle myśli i odruch wymiotny.

– Kurwa, co ty robisz?! – Erwin syczy mi nad głową.

– Tam jest mój ojciec – seplenię, otwierając wreszcie oczy.

– Dawaj te kamienie! – Wrywa mi torebkę, wyjmując atlasowy woreczek i oddaje mi ją z powrotem. Diamenty chowa do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Otwiera pierwsze drzwi po lewej i wciąga do wnętrza pokoju ciało martwego ochroniarza Martina. Zostawia wyraźny krwawy ślad na wykładzinie. Wraca na korytarz i zatrzaskuje drzwi za sobą. Popycha mnie do przodu.

– Dla kogo ty pracujesz? – pytam, wrywając mu ramię z uścisku.

– A jak myślisz? – Właściwie nic mi nie wyjaśnia. Kręci głową z dezaprobatą. – Sprawdziłaś je? – pyta jeszcze. Zaskakuje mnie, ale po tym, co zrobił przed chwilą, chyba mogę mu zaufać. W odpowiedzi kiwam głową. – I...? – znowu przytakuje, że jednak są tym, czym miały nie być. – Cholera – zagryza wargi, bo chyba jest bardziej w temacie niż sądziłam.

Nie wracamy do sali restauracyjnej. Erwin prowadzi mnie w kierunku windy. Widzę, że jego prawa ręka trzęsie się z bólu. Pocisk utkwił w mięśniach. Traci oddech. Ale nie przestaje zgniatać mojego ramienia. Otwiera niewielką srebrną klapkę w panelu na ścianie. Wpisuje sześciocyfrowy kod, który pozwala mu na wciśnięcie zielonego napisu powyżej. Zjeżdżamy do piwnicy. W otwierających się drzwiach staje kolejny uzbrojony mężczyzna. Erwin kiwa do niego twierdząco. Pozwala nam wysiąść z windy.

– Proszę się pośpieszyć – mówi po angielsku, otwierając kolejne drzwi kartą.

– To już po pierwszej rozgrywce. Pani jest ostatnia.

Wchodzę w kamienny wąski korytarz. Erwin kręci głową. Chyba dalej muszę radzić sobie sama. Drzwi domykają się automatycznie i już wpadam w widok kolejnej kamery.

Na bosą stopę trudno jest zachować taką niewzruszoną pewność siebie, ale przynajmniej się staram. Biorę głęboki wdech, mocniej przyciskam do uda kopertówkę. Już nie mam innego wyjścia.

Rozmowy cichną, gdy wyłaniam się z ciemniejszego przejścia za plecami krupiera. Wśród sześciu zebranych graczy nie znam tylko jednego nazwiska. Reszty, niestety, mogłam się tu spodziewać. Aczkolwiek dopiero teraz pojmuję elitarność tej rozgrywki. I to, że jednak spóźniłam się na pierwszą rundę, bo rudowłosy Anglik w kraciastej marynarce siedzący naprzeciwko krupiera zagarnia pod siebie spory plik czeków. Uśmiecha się do mnie i mruga lewym okiem. Najwidoczniej przegapiłam wstępną rozgrywkę.

Na środku surowej kamiennej sali stoi owalny stół obity czarnym aksamitem. Jasnoniebieskie podświetlane linie wyznaczają miejsca dla uczestników. Jest ich tylko siedem. Krupier w białej koszuli i kamizelce zajmuje centralną pozycję przy jednej z dłuższych krawędzi. Tasuje z wielką wprawą karty. Światło żarówek odbija się od metalicznych kolorów żyrandoli i połyskuje w oczach siedzących graczy. Kamera w czarnej kopule przytwierdzona jest nad stołem. Tak na wszelki wypadek, gdyby ktoś próbował małych kantów.

Tylko jedno krzesło obok Jacka jest wolne. To chyba dla mnie. Podchodzę do niego powoli. Siadam, a Jacek lustruje mnie zaniepokojonym wzrokiem. Odkładam kopertówkę na stole i opieram łokcie o aksamit. Poprawiam włosy opadłe na policzki. Nerski ewidentnie dostrzegł krew na moich plecach, bo jego palec wskazujący prawej dłoni drga tuż nad skórzaną oprawą książeczki czekowej. Ma ciężki przyśpieszony oddech. Uśmiecham się do niego zadziornie i puszczam oko, by się uspokoił. Chociaż niech on zachowa zimną krew w tej sytuacji, bo ja zaczynam balansować na krawędzi. I mam nadzieję, że dotrwam do końca tego dnia, chociaż ewidentnie stoję coraz niżej w rankingu.

Wymieniam też badawcze spojrzenie z nieznanym śniadoskórym mężczyzną obok.

– Bardzo mi miło – mówi płynną angielszczyzną, ale to na pewno nie jest jego narodowy język. – Wiele o pani słyszałem.

– A ja o panu nie bardzo... – uśmiecham się niepewnie.

– Anglo American.

Tak, to mi wiele wyjaśnia. Przedstawiciel największego na świecie koncernu kontrolującego rynek diamentów. To oni wykupili De Beers. Tak, on na pewno wie, po co tu przyjechał. – Jeśli potrzebowałaby pani drobnej pożyczki – przechodzi od razu do sedna.

– Nie, dziękuję – przerywam mu, a on kłania się z niemym uśmiechem.



Chyba rozumie.

– Lidio, co ci tyle zajęło? – Martin pyta z lekką kpina. – Pula Raczyńskiego właśnie umknęła ci sprzed nosa – dodaje, a ja odszukuję wzrok Henry’go, który w odpowiedzi zabawnie wzrusza ramionami i odchyła się bardziej na siedzisku.

Tkacki wygodniej siada na wysokim krześle praktycznie po przekątnej do mnie i mierzy mnie tym zimnym, pozbawionym emocji spojrzeniem. Jak bazyli szek, ziele chęcią cichego mordy. Ciekawe, czy już wie, co zaszło na górze? Czy rozumie, że ja już nie mam żadnych oporów, by dokończyć to, co on zaczął? Tylko że stawka tej rozgrywki wzrosła i to nieporównywalnie do puli Rózenki. Ja nie gram o pieniądze.

Obok niego widzę może czterdziestoletniego blondyna w modnej ułożonej na żel lekko sterczącej na środku głowy fryzurze. Ma wychudłą twarz anorektyka, zapadnięte oczy i nerwowy tik lewej powieki. Tak, to na pewno jeden z prezesów MCE Holding, Dmitrij Warszczenko. Jemu mój widok w tej sali na pewno nie przysporzył radości. Może nawet nie rozumie, dlaczego dopuszczono mnie do walki o spadek Władimira.

Zaraz przy nim siedzi czarnowłosa kobieta o wilczym spojrzeniu z futrem srebrnego lisa na ramionach, wdowa po Władimirze. Nadal jasno daje wszystkim do zrozumienia, że naplułaby mi w oczy. Pewnie nikt jej nie wytłumaczył, że to nie ja go zabiłam. I jakoś mam dziwne przeczucie, że to na jej zlecenie próbowano pozbawić mnie w areszcie życia. Zaplatam palce dłoni na wysokości brody i ostentacyjnie patrzę na szpakowatego.

– Martin, nie przyjechałam tu po marne osiemdziesiąt milionów. Gram o najwyższą stawkę – ucinam sarkastycznie jego wcześniejszą uwagę.

– Ciekawe, kto pożyczyci kasę – dopytuje z kpina. – Stawka na wejście w tej rozgrywce to sześć milionów, ale przecież wadium to nie wszystko – celnie trafia uwagę.

W odpowiedzi Nerski wyrywa dwa czekiki ze swojej książeczki i podpisuje je in blanco. Przesuwa je po atlasowej czarnej powierzchni, a ja dziękuję ledwo dostrzegalnym skinieniem. Dał mi szansę na dwa podbicia.

– Właśnie dopisałem się do jej listy – Jacek mówi to bez nuty sarkazmu, ale z naciskiem sprzeciwu wobec Tkackiego.

Dwa krzesła dalej słyszę tłumiony śmiech Henry’ego.

– Lidio... – rudowłosa Brytyjczyk pochyla się bardziej nad stołem i domaga uwagi. – Właściwie... to ja też już jestem na twojej liście. Jeśli potrzebujesz – wyjmuję dwa czekiki ze swojej wcześniejszej wygranej. Powstrzymuję go gestem protestującej ręki, ale i tak naciska, podsuwając mi je bliżej, tuż przed śniadostkowym mężczyzną, który cmoka wymownie pod nosem.

– Dziękuję – mówię zaskoczona, bo te dwa czekiki na dziesięć milionów każdy mogą ocalić nie tylko moje życie. W tej chwili nie umiem mu odmówić, a on

kiwa głową i uśmiecha się porozumiewawczo z Jackiem.

– Proszę państwa, możemy chyba zaczynać – krupier pyta, odkładając talię kart na stół. – Proszę o wadium.

Podpisane czeki lądują na stole. I moje nadpalone dwa kupony Lotto wyciągnięte nagle z podszycia kopertówki. Dostrzegam ukradkowe spojrzenie mężczyzny obok, zaskoczenie Jacka i przygryzione wargi Warszczenki. Kasa jak każda inna, a to, że nie moja... To już ich problem. Zresztą dostałam jasny przykaz, by oszukiwać, ile wlezie. Nie spodziewam się, że ta rozgrywka będzie czysta.

– Zgadza się – krupier potwierdza wejście do gry zebranych graczy, układając równo osiem kartek. Kamera nad stołem zarejestrowała wszystko. Nie było sprzeciwu z góry. – Proszę państwa, dzisiaj gramy na pięć kart wspólnych, dwie karty w ręce z możliwością jednej wymiany.

**21 listopada 2012 roku, środa, g. 00:25**



Przy owalnym czarnym stole zostały ze mną już tylko trzy osoby. Śniadoskóry mężczyzna, przedstawiciel Anglo American po prawej oraz przedstawiciel moskiewskiego holdingu w czarnej koszuli i zaciętym spojrzeniu, Dmitrij Warszczenko. Tkacki wyprowadza z pomieszczenia histeryzującą wdowę, która znowu pluje po butach i rzuca przekleństwa. Gdy tylko znikają w wąskim kamiennym korytarzu, piwniczną salę wypełnia względny spokój.

Na stole leży odkryte pięć kart: ósemka karo, dama kier, dziesiątka trefl, siódemka karo i ósemka pik.

Mężczyzna z Anglo American podbija stawkę, dorzucając kolejny czek do puli. Warszczenko robi podobnie i wyrównuje do podbitej stawki. Pocą mu się ręce, gdy to robi. Jeszcze raz zerkam na położone przede mną dwie karty i pożyczam długopis od krupiera. Wypisuję ciąg liczb na ostatnim czeku in blanco. Odkładam kartkę na stół tak, by szereg zapisanych cyfr był widoczny tylko przez moment dla kogoś obserwującego nas z góry, ale nie dla zebranych w tej sali. Odsuwam ją bardziej na środek, tam gdzie spoczywa reszta świstków. Pula, o którą toczy się ta rozgrywka.

Mężczyźni śledzą moje ruchy zaintrygowani.

– Jaką dasz nam gwarancję? – Warszczenko nie dowierza. Pochyla się lekko nad stołem, oglądając uważnie mój czek.

W odpowiedzi wyjmuję z kopertówki mały czarny kilkucentymetrowy przedmiot. Kładę go na wypisanej przed chwilą kartce i dociskam mocno. Patrzę Warszczence w oczy z wyzwaniem. Już nikt nie ma wątpliwości, że to czarny diament. Przebiłam jego stawkę. Sprawdzam. Dimitrij triumfalnie odwraca karty. Jest bardzo pewny siebie. Dziewiątka pik i czwórka karo. Strit.

Gracz reprezentujący Anglo American z niechęcią chwyta karty i rzuca przed siebie. Już wiadomo, że przegrał, bo ma ósemkę kier i szóstkę kier. To tylko trójka w tym układzie.

Liczyłam na to. Prostuję plecy i biorę głęboki wdech. Zaciskam dłoń na brzegu stołu. Trudno mi jest ukryć emocje. Krupier spogląda w stronę kamery, ale nic się nie dzieje. Wszyscy w milczeniu czekają aż odsłonię karty. W końcu wyzywająco podnoszę wzrok do kopuły kamery wiszącej nad stołem. Odwracam karty powoli. Dama karo. Ósemka trefl. Zaczynam się śmiać. Mój ful bije strita.

**21 listopada 2012 roku, środa, g. 00:40**



Kurylenko raptownie zamyka klapę czarnego laptopa. Ogarnia go wściekłość. Pięścią miażdży blat stołu i patrzy na doktora Jankowskiego. Naukowiec wstrzymuje oddech, ale milczy. Widzi, jak trudno Kurylence zapanować nad zadaniem mu bólu.

– I co, myślisz, że ją tak po prostu wypuszczą z tą kasą? – pyta, sięgając po pistolet leżący obok laptopa.

– Nie – Jankowski po wcześniejszych zajściach nie ma złudzeń. – Ale chyba jeszcze nikt was tak nie wyrolował – śmieje się szyderczo.

– Co ona wie o tej mapie? – Jankowski nie odpowiada. – Czy twoja córka zna numery otworów? – Kurylenko traci cierpliwość. Lufa srebrnego pistoletu kieruje się ku skroni siedzącego brodacza.

– Cholera. Teraz rozumiem, dlaczego Nerski pozwolił jej w to wejść.

Jankowski kręci głową, kpiąc wyraźnie z zamiarów Kurylenki. Wie, że nie mogą go jeszcze zabić.

Rosjanin ewidentnie nie toleruje braku posłuchu, tak jak nielojalności swoich ludzi. Bezwiednie odwodzi lewe ramię i zaciska zęby. Zaciśnięta pięść celuje w jego żuchwę. Wchodzący nagle do pokoju Tkacki powstrzymuje Kurylenkę przed kolejnym ciosem w twarz związanego naukowca. Walczą chwilę. W końcu Kurylenko odpuszcza.

– Czy ona zna numery otworów? – Tkacki staje naprzeciwko Jankowskiego.  
– Czy te cyfry na kartce są tymi właściwymi?

– Skoro je tam napisała.- Jankowski gestem wskazuje na zamkniętego laptopa. – Na tym etapie już nie można blefować. Nawet mogę ci je powtórzyć.

Kurylenko odkłada broń na blat stołu, otwiera laptopa i zatrzymuje obraz z kamery. Cofa nagranie do momentu, gdy może odczytać kolejne cyfry. Robi zbliżenie.

– Mów – syczy w kierunku doktora, odwracając laptop, tak by nie mógł zobaczyć, co pisała jego córka.

– 18, 5, 34, 46, 40, 11 – powtarza dokładnie zapisane cyfry.

– Zgadzą się – Kurylenko rzuca do Tkackiego. Wymieniają mało przychylnie spojrzenia. – Tylko jest mały problem – zauważa spokojniej. – Mapa ma inne oznaczenia.

– Ma – pewnie potwierdza to Jankowski. – Jeśli jednak będziesz czytał oznaczenia od tyłu i uwzględnisz tylko dwie ostatnie cyfry...

– Zaczekaj – Rosjanin wstrzymuje jego dalszą wypowiedź. Otwiera kolejny plik z pulpitu. Szybko przybliży zakreskowany obszar mapy. Sprawdza. Porównuje z podanymi przez Jankowskiego cyframi. – Dobrze, doktorze. Powiedzmy, że wszystko się zgadza. – Mówi to trochę niechętnie, ale oczyma wychwytuje dziwny nielogiczny rozrzut otworów na mapie. Nie do końca jest przekonany.

– To już mamy chyba wszystko? – Tkacki upewnia się, patrząc na Kurylenkę. Jednak dostrzega jego rodzące się wątpliwości.

– Wypuście ją – Jankowski wtrąca się nagle. – Przecież ja wam nie ucieknę.

– Będzie wolna, jeśli nas nie okłamałeś – kontruje Martin. – Dobrze się nią zaopiekuję. Tak bym miał gwarancję naszej owocnej współpracy.

– Czego wy jeszcze chcecie? Przecież macie już tę cholerną mapę!

– Nie, to jeszcze nie koniec – przerywa mu mężczyzna o szarej twarzy i zakrwawionym rękawie koszuli. Podnosi się nagle z fotela, gdzie przysłuchiwał się całej rozmowie. Podchodzi do stołu i patrzy w kamienną twarz Tkackiego. – Dawaj te cholerne diamenty – celuje mu w głowę.

Swoim zachowaniem zaskoczył nawet Kurylenkę, który zastyga i instynktownie swoją dłoń przybliży do srebrnego pistoletu. Martin nawet nie drgnie. Dopiero po chwili powoli odgina klapę marynarki. Wyjmuje atlasowy woreczek z wewnętrznej kieszeni. Rzuca go na blat stołu. Jankowski patrzy na niego zaskoczony. Kurylenko otwiera woreczek, a idealnie szlifowane diamenty rozsypują się na lakierowanej powierzchni stołu. Dwanaście przezroczystych brylantów zadowala oko koneserów, podobnie jak cztery żółtawe kamienie w surowej postaci i nieregularnym kształcie.

Mężczyzna sięga po kolejne dwa kamienie. Ogląda je pod światło. Jankowski wstrzymuje oddech. Twarz Martina tężeje. Jego dolna warga zaczyna wykonywać niekontrolowane ruchy, jakby chciała się ułożyć w półśmiech niedowierzania. Martin chwyta nagle atlasowy woreczek i zgniata go w pięści. Materiał gnie się z łatwością i ginie we wnętrzu masywnej pięści. Jankowski śmieje się głośno. Tylko Tkacki rozumie dlaczego.

– Kurwa! Jak ona to zrobiła? – szpakowaty nie może w to uwierzyć.

– Co znowu spierdoliłeś? – syk postrzelonego mężczyzny budzi podwójną niechęć w spojrzeniu Tkackiego. Jednak nie zamierza dawać mu żadnej odpowiedzi.

Martin jednym niespodziewanym ruchem wykręca dłoń mężczyźnie o szarej

twarży. Wrywa mu broń, którą ten z taką premedytacją do niego mierzył, i strzela tylko raz w środek zmarszczonego zaskoczeniem czoła. Krew plami jego dłoń, twarz i białą koszulę. Martwe ciało upada na wykładzinę. Tkacki odsuwa się od niego na parę kroków. Kurylenko nie ukrywa podziwu i kiwa aprobująco głową.

– Mnie też już denerwował – kwituje całe zajście.

Martin odwracając się tyłem do martwej ofiary i sięga do kieszeni spodni po chusteczkę. Niedokładnie wyciera czerwień z twarzy. Wyjmuje telefon i przeszukuje jego zawartość. Szybko znajduje właściwą aplikację. Zdąza jeszcze rzucić nienawistne spojrzenie na siedzącego naukowca, nim wybiega z pokoju.

**21 listopada 2012 roku, środa, g. 00:55**



Wysiadamy na drugim piętrze. Erwin nic nie mówi, otwierając magnetyczną kartą drzwi jednego z pokoi. Popycha mnie do środka. Wyciąga kajdanki, a ja rzucam się do ucieczki. Łapie mnie od razu i ciągnie w kierunku okna. Miażdży mój prawy nadgarstek i oplata go jednym z chwytów kajdanek. Przykuwa mnie po prostu do cienkiej miedzianej rurki wychodzącej z kaloryfera.

– Daj spokój – bronię się i próbuję mu wyrwać.

– To dla twojego dobra. – Wkłada kluczyk do niewielkiej wewnętrznej kieszeni w marynarce.

– Teraz trzeba znaleźć mojego ojca.

– Kurwa! – przerywa mi ostro. – Na twoją spontaniczność powinni wynaleźć tabletki. Bierzesz jedną i włącza ci się myślenie. Nie mogłaś sobie odpuścić? Po co ci ta kasa? – rzuca negujące spojrzenie na wypchaną czekami kopertówkę.

– A ty byś im to zostawił? – pytam kompletnie zaskoczona. – To prawie trzysta milionów. A i tak część z tego muszę oddać.

– Ta kasa śmierdzi z daleka. Zabiją cię.

– Nie. Ta kasa uratuje życie mojemu ojcu.

– Ale ty właśnie dałaś im wszystko, co chcieli wiedzieć. Kurwa. Wyrecytowałaś im to do kamery.

– Ale ty jesteś naiwny – śmieję się, rozumiejąc, że mój mały oszukańczy plan zadziałał.

– To co ty tam nabazgrałaś? – pyta przez zęby.

– Oj, ważne liczby, bardzo ważne.

– Lidka... – traci cierpliwość

– Liczby dziadka – śmieję się nerwowo. – Zawsze obstawiał je, grając w totka. Nie wierzył w ślepy los. Miał taki głupi starczy nawyk. Metoda „chybił trafił”. To zawsze raczej chybił.

– Zwariowałaś! – Erwin nawet nie ukrywa, że musi pomóc osobie, która

kompletnie straciła rozum.

– Mój ojciec nigdy nie poda im tych współrzędnych ani numerów otworów, bo pewnie sam ich nie pamięta. On wszystko musiał gdzieś zapisać. Potrafił zapamiętać tylko do dwunastu cyfr. Babcia mówiła, że przez to miał problemy w szkole. Nikt nie umiał tego zrozumieć. On może ich tylko doprowadzić do tych odwiertów.

– Nie, ja nie mogę tego słuchać – podnosi się i idzie w kierunku drzwi.

– Oni mu nie uwierzą, jeśli powie prawdę. Trzeba go stąd zabrać. Erwin, pomóż mi!

– Rozmawiam z gadającym trupem. – Już nawet nie ukrywa, że sytuacja go przerosła.

– Nie zostawiaj mnie tu – błagam, testując moc uchwytu kajdanek. – Erwin...

– Kurwa, zaczekaj. Wrócę po ciebie – mówi, wychodząc. Zostawia mnie w tym ciemnym pokoju samą.

Szarpię metal, ale to na nic. Przydałaby się jakaś spinka lub zszywacz. Przynajmniej tak robią na filmach. Wolną ręką otwieram kopertówkę, ale tam jest prawie wszystko oprócz małej metalowej rzeczy. Nie sięgnę stolika ani łóżka. Do diabła! Jak mam tu siedzieć beczynn timer, gdy oni tam zabijają mi ojca?! Co za ironia losu.

Sięgam po telefon. Wybieram numer Jacka i dzwonię. Nie odbiera. Dzwonię jeszcze trzy razy, ale bezskutecznie. Telefon pyka złowieszczo. Bateria znów rozładowała się przedwcześnie. Ekran gaśnie.

Szlag by ten telefon i ich wszystkich! Rzucam nim o ścianę, a ten upada na ziemię w kawałkach. Przepadł.

Opadam plecami, wgniatając się w ciepły grzejnik. Podkulam nogi i z rezygnacją poddaję się bezsilności. Głowa sama opada mi na kolana.

**21 listopada 2012 roku, środa, g. 01:30**



Charakterystyczne pikanie lokalizatora przerywa ciszę płynącą z wnętrza budynku. Cień czyichś stóp pojawia się nagle w szparze pod drzwiami. Dwa celne trafienia z broni z tłumikiem w zamek. Drzwi rozchylają się wolno. Światło z korytarza wpada na gładko zaścielone łóżko. Dostrzegam tylko zarys wysokiej męskiej sylwetki, która wchodzi do środka. Zapala lampkę. Żółte światło przebijające się przez ciemny abażur szybko zmusza mnie do zamknięcia oczu. Słyszę świszający szybki oddech, jakby ktoś musiał biec, by tu dotrzeć. Rozwieram powieki w szczelinę.

– No, tu jesteś!

Tkacki podchodzi bliżej. Wygasza trzymany telefon i chowa go do kieszeni

spodni. Kuca przy kaloryferze, by móc patrzeć mi w oczy. Ma zakrwawioną koszulę, twarz i dłonie. W prawej ręce trzyma nadal swój pistolet.

– Zostaw mnie, proszę. – Podkulam nogi i obejmuję je lewym ramieniem.

– Już sobie poszli – głaszczę moje włosy dłonią, w której trzyma broń. Stara się mówić spokojnie. – Jesteśmy tylko my dwoje.

– Tam był mój ojciec – mówię trzęsącym się głosem.

– Wszystko w porządku.

Rozluźniam ramiona, a on patrzy na mnie z twarzą niewyrażającą kompletnie żadnej emocji.

– Chciałabym go zobaczyć. – Odsuwam się od kaloryfera, ewidentnie dając mu do zrozumienia, żeby mnie uwolnił. Nie reaguje. – Martin... – ponownie potrząsam uchwytem kajdanek o miedzianą rurkę.

Nie, on tu na pewno nie przyszedł mi pomóc.

Metaliczny odgłos zastyga między nami. Instynktownie odsuwam się bardziej od niego. Ograniczają mnie te niepokonane kajdanki i ściana, na którą napieram plecami. Prawa ręka zostaje przede mną, jakby wyciągnięta ku jego pochylającej się nade mną sylwetce. Nic nie mówi, ale lekko uniesiona górna warga i zmrużone oczy zachodzące czernią otaczającego go cienia rodzą we mnie lęk większy niż przed chwilą.

– Potrafisz grać ostrzej niż sądziłem – mówi, sięgając mojego lewego policzka. Otwieram szeroko oczy. – Ale Nerski o czymś zapomniał. – Głaszczę mój lewy nadgarstek i patrzy na złoty cyferblat zegarka.

Uśmiecha się sam do siebie. Lufę tłumika widzę tuż przed oczami. Powoli przykładą ją do mojej skroni. Czuję nacisk metalu na skórze. I dopiero teraz zaczynam rozumieć. Kretynka! Tak dałam się podejść.

Martin podmienił te złote zegarki jeszcze w hotelu. To jego nadajnik jest w środku. Jacek mnie tu nigdy nie znajdzie. A Erwin pewnie już nie żyje. On wszystko przewidział. Przecież po to mnie tu przywiózł. Chciał na mnie zarobić. Tak, to „jeszcze” przestało obowiązywać.

– I co teraz? – pytam, patrząc mu w oczy. Zagryza wargi.

– Gdzie one są?

– One?

– Kurwa, to, co mi ukradłaś. Te pierdolone diamenty. – Napiera na mnie lufą coraz bardziej.

– Nie mam ich. – Szybko pojmuję, że coś jednak nie poszło po jego myśli.

– Nie pogrywaj ze mną!

– Strzelaj! – krzyczę.

– Zamknij się – policzkuje mnie dłonią zaciśniętą na uchwycie broni, a moją głowę odrzuca na bok.

Nagły strzał przy uchu ogłusza nas oboje. Odruchowo zaciskam powieki.

Prawa ręka opada na podłogę z metalowym oczkiem kajdanek. Jestem wolna. Kolejne strzały padają tuż nad naszymi głowami i obok. Pociski przebijają się przez karbowany kaloryfer i wchodzą w ścianę. Woda cieknie na wykładzinę. Lampka upada z szafki. Światło w pokoju gaśnie zupełnie. Krew zaczyna buzować w skroniach. Oddech nabiera tępa. Martin chowa się za krawędzią łóżka i zaczyna ciągnąć mnie ku sobie. Instynktownie opadam na podłogę. Przekręcam ciało i chwytam leżącą obok kopertówkę. Ona jest teraz moją jedyną gwarancją. Kolejne strzały.

Wchodzę pod łóżko, odpychając się łokciami po wykładzinie. Martin mierzy w otwarte drzwi i strzela kilka razy. Ktoś chowa się od razu za futryną i dopiero po chwili strzela do niego, ledwo ukazując swój profil. Ewidentnie celuje w jego głowę. Wpełzam głębiej w cień pod drewnianą ramę łóżka, ale czuję szarpnięcie na kostce. Tkacki próbuje mnie zatrzymać. Kopię go mocno drugą stopą. Nie puszcza. Szarpie mocniej. Kopię piętą, ale czuję, że ma przewagę. Przekręcam ciało na bok. A on odpuszcza dopiero, gdy wbijam mu w dłoń metal zamknięcia kopertówki. Podkulam nogi i czołgam się szybciej. Znowu strzały. Rozpoznaję barczysty cień postaci w korytarzu. A niech to... Erwin!

Wystawiam lekko głowę z cienia. Ochroniarz zauważa mnie od razu i gestem każe mi podejść. Wyczołguję się spod łóżka, a on wpadając do wnętrza pokoju, chwytą mnie za rękę i ciągnie w górę. Nadal strzela w kierunku Tkackiego. Próbuje mnie osłonić. Robi to trochę na oślep. Podnoszę się do zgięcia. Popycha mnie na korytarz i na prawo tuż za siebie. Upadam. Padają kolejne strzały i znów robi się cicho.

Erwin osuwa się po ścianie plecami. Zgina kolana i zasłania dłonią klatkę piersiową. Ledwo łapie oddech i gestem każe mi uciekać dalej korytarzem, ale ja widzę, że jego jasny kołnierzyk koszuli pod marynarką nasiąka czerwienią.

– Erwin – potrząsam nim, przyciskam dłoń do jego masywnej szyi, ale krew cieknie mi przez palce. – Nie rób mi tego – próbuję go podnieść, obejmując w pasie. Zarzucam jego ramię na swoje plecy – Dasz radę – szarpie go z wysiłkiem, ale nie udźwignę ponad dziewięćdziesięciu kilogramów żywej masy. Zostaje przy ziemi wsparty plecami o ścianę. Stara się prosto trzymać głowę, ale i tak z wielkim trudem łapie kolejny oddech.

– Lidka, uciekaj – dysząc, wydaje mi rozkaz. – Twój ojciec jest już na parkingu.

– Nie zostawię cię tutaj – wyjmuję jego pistolet z lewej dłoni. Jest ciężki. Układam palce na uchwycie, wskazujący na spuście i czekam. Ręce mi się trzęsą. Mierzę w otwarte drzwi do pokoju. Ale nikt nie wybiega.

Podnoszę się powoli i w przysiadzie zaglądam do środka. Jest ciemno, ale w świetle z korytarza widzę rysujący się cień przy łóżku. Martin leży nieruchomo z pistoletem w dłoni. Opadam na wykładzinę, łapiąc oddech, i odwracam się



w kierunku Erwina, ale jego głowa zwisa już ku piersiom. Odkładam jego broń na ziemi i na kolanach podchodzę do niego. Dłońmi chwytam jego policzki i prostuję szyję, ale jego oczy błędzą gdzieś daleko.

– Erwin, do cholery! – Potrząsam nim trochę. – Nie poddawaj się! Zaraz ściągnę pomoc. – Próbuję wstać i chcę już biec korytarzem, ale on chwytam mnie za przedramię. Kręci głową. – Muszę, bo się wykrwawisz. – Ale on nie puszcza.

Opadam na kolana tuż przy nim i patrzę mu w oczy. Twarz ma zadziwiająco pogodną i nawet próbuje się uśmiechnąć. Lekki grymas wykrzywia mu policzek. Widzę, że to musi go piekielnie boleć. Przełyka ślinę, dławiąc się przy tym. Tętnicza krew jeszcze mocniej wypływa z rany. Zabiera swoją prawą dłoń z klatki piersiowej. Sięga do kieszeni i podaje mi atlasowy woreczek z diamentami. Biorę go, choć wcale nie mam na to ochoty, ale on wpycha mi go w rękę. Jego dłoń opada na wykładzinę przy udzie. A ja nie mogę nie zauważyć dwóch ciemnych miejsc w okolicy serca i wciąż sączącej się rytmicznie czerwonej cieczy.

– Pozdrów ode mnie Tomasza – wydusza to z dławiącej się krwią krtani. – Spłaciłem długi... Ja zawsze je spłacam...

– Przestań – głos mi drży i z trudem mogę opanować łkanie. Pochylam się i chwytam jego twarz od dołu. Chcę, żeby uwierzył w to, co powiem. – Zaczekaj na mnie. Zaraz wrócę – mówię to praktycznie na bezdechu, a usta Erwina zaczynają drżeć, jakby chciał coś mi powiedzieć.

Pochylam się bardziej, ale jego lewa ręka sięga po pistolet leżący na wykładzinie. Zaciska swoje palce na uchwycie. Prawym ramieniem zagarnia mnie na bok i przydusza do swoich kolan. Strzela trzy razy do kogoś za moimi plecami. Zasłaniam twarz ręką. Krzyczę. Nie mogłam go widzieć. W odpowiedzi padają kolejne strzały. Tylko jeden wbija się w ścianę. Ciałem Erwina szarpną dwa pociski. Ten ostatni trafia w serce. Jego ręka opada bezwładnie, a twarz zastyga w agonalnym wyrazie. Powoli przymyka oczy. Pada kolejny strzał w sufit i słychać odgłos upadku ciała na ziemię.

Unoszę się, czując paralizujące drżenie, i potrząsam Erwinem, ale on już nie reaguje. Kurwa, co jeszcze?! – krzyczę w myślach i siadam.

Instynkt zwycięża. Chwytam leżącą obok kopertówkę i wrzucam do niej woreczek z diamentami. Staję na drżących nogach i biegnę korytarzem ku schodom. Po drodze mijam postrzelonego mężczyznę. Leży, mamrocząc coś pod nosem. To na pewno człowiek Kurylenki. Jego broń upadła obok. Nie zatrzymuję się. Biegnę dalej.

Na schodach jest pusto. Zwalniam trochę w połowie pierwszego piętra, by złapać oddech. Opieram się o ścianę. Wzrok pada na lewy nadgarstek. Cholera, zapomniałam o tym podmienionym zegarku. Walczę ze złotą bransoletą. Zapięcie się zacina, ale uderzam nią o kamienny schodek. Niestety zbyt późno. Znad poręczy wychyla się głowa ciemnowłosego Rosjanina. Igor Koryński celuje

w moim kierunku i strzela. Chybił.

Rzucam się w dół na schody, bo nad sobą słyszę uderzenia twardych butów w kamień. Strzały. Rykoszet wbił się w marmur przy moim barku. Pył opada na ramię. Jeszcze tylko jedno piętro. Znowu strzał. Wpadam w korytarz parteru. Mijam toalety. Zawracam w ostatnim momencie i niknę za pierwszymi drzwiami. Domykają się cicho. Przylegam do ściany. W tej dziwnej ciszy słyszę tylko swój świszczący oddech, oszałamiający napływ krwi w skroniach i tupot kilku par butów w korytarzu. Pobiegli dalej. Staram się opanować myśli, ale szybko rozumiem, że to zadanie ponad moje siły.

Myśl o ucieczce. Myśl o ratowaniu własnego tyłka! Twój ojciec jest na parkingu – rozkazuję sama sobie. Chęć życia jest zawsze silniejsza niż strach.

Po prostu wychodzę i cichym kocim krokiem przemierzam korytarz w kierunku wyjścia. Nerwowo spoglądam za siebie. Cisza. Pusta przestrzeń. Tylko te kamery. Już naprawdę niedaleko.

Mijam restaurację z ludźmi siedzącymi tylko przy dwóch stołach. Wznoszą toasty czystą w grubych kieliszkach. Tam już naprawdę nie ma nikogo z graczy. To tylko świętująca czyjeś imieniny obsługa hotelu. Martin chociaż tu mówił prawdę. Przecież dokończenie tej rozgrywki nie wymaga świadków. Oficjalnie podzielono pulę. Wszyscy widzieli, kto wygrał i ile stracił. Pozostaje jedynie kwestia, kto przeżyje? Komu uda się opuścić ten budynek, by z bezpiecznej odległości negocjować warunki. Kasa za życie. Mapa za wolność. Diamenty od Erwina to gwarancja prawdomówności, jak i jedyna cenna rzecz, którą można upłynnić. Nerski na pewno będzie wiedział komu. I mam nadzieję, że chociaż on zdążył już stąd uciec.

Ludzie z restauracji nie patrzą w moim kierunku. Przemykam na palcach. Hol, pusta recepcja. Kieruję się do wyjścia. Muszę znaleźć parking i samochód Strzymińskiego. To jedyny rozsądny plan ucieczki. Podchodzę do szklanych obrotowych drzwi głównego wejścia, a one zaczynają się lekko obracać. Wstępuję we wnękę i napieram dłonią na szybę. To i tak nie zmienia tempa obrotu. Drobię kroki i wpatruję się w pojawiającą się po drugiej stronie szkła śnieżną przestrzeń. Jeszcze ćwierć obrotu. Ale w tym samym momencie pada ogłuszający strzał z zewnątrz. Ktoś już nie używa tłumika.

Szyba przede mną obleka się srebrzystą pajęczą siecią. Pęka na miliony odłamków. Już to kiedyś widziałam. Już czułam ten osobliwy sterylny zapach. Srebrzysty pył w powietrzu. Ktoś krzyczy. Na zewnątrz padają kolejne strzały. Dostrzegam dwa męskie cienie w lekko pochylonej pozie na szeroko rozstawionych nogach. Drzwi kontynuują obrót, a przez poszerzające się wyjście widzę wyraźniej upadające na oblodzone schody bezwładnie ciało Igora Koryńskiego i wyciągnięte prawe ramię z bronią anorektycznego mężczyzny. To Dmitrij Warszczenko! Jak to możliwe? O co tu chodzi?

Warszczenko strzela jeszcze dwa razy w leżącego współnika na schodach. Ciało ześlizguje się niżej po kolejnych kanciastych występkach. Krew odznacza się wyraźnym kontrastem na śnieżnej bieli. Zastygam. Drzwi wykonują dalszy obrót, popychając mnie ku wyjściu. Dimitrij pochyła się, obmacuje ciało i wyciąga jakiś papier z kieszeni zakrwawionej marynarki współnika. Nagle mnie zauważa. Ponownie wybiera cel swojej zemsty. Z głębi holu dochodzą do mnie podniesione głosy. Drzwi przestają się obracać. Nie uda mi się wrócić do środka.

Jestem w szklanej pułapce z jedynym możliwym wyjściem, a kolejny mroźny powiew odzwierciedla myśli jasnowłosego mężczyzny. Lodowaty skurcz łapie za kostki. Biorę głęboki wdech i wychodzę ku niemu. Jeszcze dwa kroki bosymi stopami na śniegu i spojrzenie pełne wyzwania w twarz mordercy. Nie wiem, czy mam mu być wdzięczna, czy błagać o litość. Tylko jakie to ma znaczenie?

Jego dłoń precyzyjnie wybrała kierunek, a nawet wysokość. Prosto między moje oczy. Nie spuszczam wzroku. Niech nie myśli, że tak łatwo mu pójdzie. Ale on wybucha śmiechem, szeroko otwierając usta. Obnaża rażącą nienaturalną biel zębów. Broń w jego dłoni zaczyna drgać w niekontrolowany sposób. Z prawej strony dostrzegam przylegającą do muru sylwetkę. Nerski wyłania się nagle zza cienia krzewów i odbezpiecza swój pistolet. Biegnie w moim kierunku i mierzy w Dmitrija.

Warszczenko nadal nie może opanować śmiechu, ale jego dłoń nieruchomieje i podąża za jedynym oczywistym celem. Krzyczę, by ostrzec Jacka. Nie zdążam. Padają strzały. Pęka kolejna szyba.

Ogłuszający huk i świst nad uchem dezorientuje zmysły. Pocisk rozrywa lewą kość obojczyka Jacka. Krzyczy z bólu. Już go nie słyszę. Kolejne strzały tym razem zza pleców. Rozpadająca się w drobny mak kolejna szyba. Skrzące się szkło na ośnieżonym lodzie i ta pochyłona szpakowata postać wyłaniająca się z holu.

Tkacki. Czy on zawarł pakt z samym diabłem, że jeszcze żyje? Nie, to kamizelka kuloodporna uratowała mu podwójnie życie. Podziurawiona koszula i ten biały materiał w strzępkach, ale bez śladów krwi na skórze. Pamiątka po celnych trafieniach Erwina. On nawet to przewidział. Przygotował się na najgorsze. Za to został mu podwójny dług do spłacenia u tego z piekieł, a on lubi grać wyjątkowo perfidnie.

Zimne spojrzenie bladych oczu. Wyrzut w zaciśniętych wargach. Broń skierowana ku mojej skroni. Wymiana strzałów. Kto do kogo, kto pierwszy. Wszystko dzieje się w jednym momencie. Nogi uginają się same. Kopertówka upada na oblodzoną krawędź. Otwiera się mimowolnie. Osuwający się wydłużony cień Warszczenki i rozdzierający ból nad moim uchem.

– Miałeś się w to nie wtrącać – gdzieś z oddali dociera głos Tkackiego.

– Przecież wiedziałeś, że się na to nie zgodzę. – Jacek opada na kolana

i wspiera się o śnieg dłonią. – On sobie sam z tym nie poradzi.

– Tak sądzisz? – kpi.

– I tak psy będą go śledzić.

– Trzeba było poprosić. Jeden telefon...

– Nie mieszaj w to Adama. Martin, to sprawa tylko między nami.

– Przykro mi, ale to nie ma znaczenia. Twój syn coś mi obiecał i dotrzyma słowa.

– Ja to zrobię – Jacek kuli się z bólu. Tkacki opuszcza powoli pistolet. Przestaje mierzyć w jego głowę. – Kurwa, zrobię to za niego. Rozumiesz. – Nerski z trudem podnosi wzrok do góry. Mierzą się chwilę w milczeniu.

– Jaką mam gwarancję?

– Moje słowo.

Przerażone spojrzenie klęczącego Jacka i mierząca do niego broń lekko trzęsącej się dłoni Martina. Wahanie w spojrzeniu, ale i nienawiść w zaciśniętych wargach.

– Martin, proszę, nie – błagam. Odwraca głowę, ale zaraz lepka krew zalewa mi obraz.

Osuwam się na świeży śnieg. Miękki i ustępujący. Jasnoniebieskie oczy gasną i znowu widzę twarz Marka. Coś do mnie mówi. Uśmiecha się, głaszcze po policzku i kręci głową. Każe mi się odwrócić za siebie. Jest tak jasno. Ktoś próbuje mnie podnieść, szarpie ramionami, siłą rozwiera powieki. Nie czuję bólu. Nie czuję zimna. Wiedziałam, że nie muszę się tego obawiać. I wreszcie robi się ciemno.

**20 grudnia 2012 roku, czwartek, g. 13:30**



Wiatr potęguje uczucie chłodu i targa śnieżnymi zaspami. Odbija się od rzędu granitowych płyt, omiata postać smutnego anioła, zaciera ostatnie ślady obecności tych wszystkich dusz wśród żywych. Między wąskimi alejkami przemyka mała pochylona postać z laską. Przypomina gnoma lub starego zgarbionego farmaceutę. Lekko utyka. Przystaje nagle i wychyla się zza przyciętej tui. Zerka jednym groźnym okiem spod szarego kapelusza z wąskim rondem, jakoś niemrawo się uśmiecha i zaraz drepcze dalej w głąb rzędów cmentarnych nagrobków. Grawerowane napisy nikną w otaczającej grudniowej bieli. Mroźny powiew uderza w policzki i chłoszcze czoło. Jak w miejscu kaźni, a nie wiecznego spoczynku. Wśród tych wysokich sosen zostawiłam zbyt wiele wspomnień, ale nie mogłam wybrać inaczej. Chcę być tu przy nim, przy Marku, w ten dziwaczny i niezrozumiały dla większości ludzi sposób.

Mocniej naciągam stójkę ciemnozielonego płaszcza ku policzkom. Patrzę na garstkę ludzi wychodzącą z kaplicy. Idą powoli, a blade mężczyzna w czarnym

płaszczu do kolan niesie urnę. Za jego plecami widzę ojca z kobietą wspierającą jego ramię. Wyciera nos chusteczką i poprawia długie kasztanowe włosy opadające na ciemne lisie futro. Ludmiła stara się wyglądać wiarygodnie. Jest ładną ponadczterdziestoletnią Ukrainką o zniewalającym uśmiechu i dużych zielonych oczach. Już wiem, czym go uwiodła, ale na pewno nie przypomina mojej matki. Bardzo jej zależało, byśmy się polubiły, i podkreślała to kilka razy stwierdzeniem „dla dobra Darka”. Nie miałam nic przeciwko. Sprawiała wrażenie miłej, cierplivej i ciepłej kobiety. W sam raz dla zapalonego naukowca, który nie odróżnia kurzej wątróbki od serca. Za to gardzi plejstocenem, słucha Franka Sinatry i wielbi jej sernik. Ojciec promieniał przy niej szczęściem, chociaż w tej chwili tego nie okazywał, ale to może przez ten smutny cementarny obowiązek.

Wysoki mężczyzna podchodzi cicho od strony parkingu i staje obok. Kątem oka dostrzegam jego nienagannie czyste sztyblety. Lewą rękę ukrywa zgiętą pod niedopiętym płaszczem na granatowym temblaku. Przekrzywia swoją harmonijnie zbudowaną sylwetkę trochę na bok. Walczy o równowagę postawy. Chwilę nic nie mówi. Bez najmniejszego problemu poznaję woń robionych na zamówienie perfum. Ambra, trzcina cukrowa i coś jeszcze...

– I jak to jest być na własnym pogrzebie? – Nerski pyta, nie odrywając wzroku od posiwiąłego brodacza stojącego przy nagrobku trzy alejki dalej. Kondukt z urną dociera do celu.

– Przyznam, że to dość dziwne uczucie.

– Słyszałem, że wyjeżdżasz.

– Tak, po Nowym Roku. Pomogę ojcu. Będą jeszcze robione trzy odwierty. Tak wielki zbiornik na tych głębokościach to naprawdę ciekawostka. Wszystkie wyniki trzeba jeszcze raz potwierdzić i na razie cały projekt objęto utajnieniem. Ci z MCE Holding naciskają. Chcą szybko wyników z próbnych pompowań.

– Dogadaliście się? – dopytuje trochę zaskoczony.

– Nie było wyjścia. Nie chcę, by ojciec całe życie przed nimi uciekał. Ale przynajmniej znalazły się większe fundusze. Profesor Strzymiński może nie rozumie potrzeby używania kierunkowskazów czy logiki prawostronnego pierwszeństwa, ale w negocjacjach jest dobry. Żałuję tylko, że nie przyjął propozycji przeniesienia się na uniwersytet w Kijowie. Pochłonęły go tak datowania czarnych diamentów – odwracam głowę w kierunku Jacka. – Wiesz, ukraińskie stepy nie są tak daleko.

– Na pewno chcesz tam jechać? – zaskakuje mnie tym pytaniem.

– Jacku, nie zawsze chodzi o kasę. Czasami po prostu trzeba coś zrobić. A ja mam sporo do nadrobienia – mówię to, odszukując wzrokiem zamyśloną twarz ojca. W końcu przyciął brodę i te wchodzące do ust wąsy. – Nie chcę zmarnować takiej okazji.

– Lidio, będę miał do ciebie jeszcze jedną prośbę.

– Nie – odpowiadam od razu. – Jakbyś nie zauważył, to ja właśnie wypadłam z gry – przekrzywiam głowę w kierunku oficjalnego miejsca pochówku.

Milczy tylko chwilę.

– Ten gliniarz chciał się spotkać – rzuca i czeka na moją reakcję, ale kręczę tylko głową. – Zawarliśmy układ. Prosił, byś do niego zadzwoniła.

– Układ? – Odwracam się od niego.

– Za Adama.

– Nie mieszaj mnie w to.

– Nie zamierzam, ale chciałbym, byś dopilnowała jego wyjazdu. Musi zniknąć. A znając mojego syna, to będzie próbował upłynnić towar, który schował przed aresztowaniem. Znajdą go i zabiją.

– To duży chłopiec.

– Ja wiem, ale czasami zapomina o regułach.

– To zapakuj go w samolot i wyślij do Ameryki. Jest o wiele większa. Zgubi się w tłumie, a może nawet przefarbuje. Tam go tak łatwo nie znajdą.

– Pojutrze. – On nie przyjmuje odmowy. – Zrobisz sobie małe wakacje, a ja przypilnuję ci ojca. Drań wisi mi skrzynkę dobrej wódki – śmieje się.

– Nie – zaciskam zęby.

– Lidka, a ja podcierałem ci tyłek i sprowadzałem Humanę, jak twój ojciec zapominał o bożym świecie. Łupał te swoje kamyczki i siedział w piwnicach ze swoimi skamieniałościami. No, a później... Przecież wiesz, co by się stało. Myślisz, że twojej matce było wtedy łatwo? – znów mówi jak do dziecka.

– Nikt ci nie kazał.

– No niby nikt. Ale wypadało. Też miałem rodzinę. – Jego wymuszenie jest trochę nie na miejscu, ale nawet bawi. W odpowiedzi krzywię się, wydymając usta.

– Poza tym wiesz mi pieniądze i to nawet sporo. – Nie ukrywa determinacji.

– Przecież dostałeś te czeki z powrotem.

– Tak, ale zapomniałaś o odsetkach.

Patrzę w tę jego idealnie owalną twarz z wolą wyrażenia protestu, ale on układa swoje mięśnie jarzmowe w rozbrajający uśmiech i mruga okiem, jakby to, co „ja chcę”, nie miało najmniejszego znaczenia. To jego plan trzeba dokończyć i trzymać się „jego reguł”. On rozdaje karty w następnej rozgrywce. Przecież sam mi powiedział: „Martwi nie grają w tę grę”. Tak... Tylko, że ja wciąż żyję.

Jacek po prostu obejmuje mnie swoim jedynym sprawnym ramieniem i wzmacnia uścisk. Marszczy czoło. Nawet przez wełniany gruby materiał na plecach czuję, że z bólu drżą mu mięśnie. Po tym postrzale sporo schudł. Wiem, że stara się być twardy, ale długo tego nie wytrzyma.

Sięgam do torebki, najpierw wydaję dwie tabletki przeciwbólowe, a później podaję mu srebrną piersióweczkę. Robię to odruchowo, a on nie odmawia. Zdejmuje swoje ramię, chwyta w dłoń metalową płaską buteleczkę i bierze spory

łyk przelanej finlandii, by popić tabletki.

Procenty odbierają mu na chwilę oddech, a Jacek się wykrzywia. I od razu uśmiech wraca mu na spierzchnięte od mrozu usta. Ciemne oczy błyszczą nadal chęcią życia. Pije znowu i znowu. W końcu oddaje mi piersiówkę i przytula policzek do moich włosów, odsuwając trochę naciągniętą na uszy czapkę. Słyszę, że się cicho śmieje.

Ponownie zagarnia mnie bliżej ramieniem. Może chce mnie ogrzać. Ale to tylko moje myśli marzną. Upijam po nim z gwinta piersiówki. Czuję, jak przyjemne otepiające ciepło szybko sięga żołądka. Jest wyjątkowo słodkie. Mnie zawsze to pomaga.

– Na pohybel śmierci! – mówi, odbierając mi alkohol. Upija z ostentacją.

– Na pohybel! – Gwint piersiówki znów jest w moich ustach. – Niech ją piekło pochłonie.

I tym razem ją przechytryłam. Dodaję w myślach.

Ochroniarz stojący za nami rozciera dłonie i szuka rękawiczek w kieszeni kurtki. Naciąga je pośpiesznie, ale i tak widać, że mu zimno. Ma niedopiętą ciemnogrnatową kurtkę i odsłonięte uszy. Dobrze, że chociaż słuchawka została mu w jednym uchu. Drugiego człowieka Jacka dostrzegam przy samochodzie.

Urna znika pod zasuwana płytą nagrobną z ciemnego granitu. Ksiądz odmawia modlitwę. Reszta praktycznie milczy. Poznają kilku przyjaciół. Katarzyna przyszła z Mateuszem. Chyba płacze. Angela w czarnych okularach zakrywających pół twarzy stoi tuż za nią. Nie ma nikogo z rodziny. W sumie niewielu udało się tu ściągnąć. Połowa nawet nie wie, gdzie to miejsce leży na mapie, a reszcie po prostu się nie chciało. Bo co to za przyjemność. Jak żyła, to może i do czegoś była przydatna, a teraz... Panie świeć nad jej duszą. Amen. Tak. Klątwa czarnego diamentu znowu zebrała swoje żniwo.

Chowam piersióweczkę do torebki. Nie chcę, by ojciec widział. Może nie zrozumieć. Odchodzimy alejką jeszcze nim wszyscy zdążą się rozejść.

– Zaczekamy na Darka? – pyta, poprawiając moje wchodzące do oczu kosmyki.

Nie odpowiadam, ale przecież on wie to doskonale. Już mi zdążył kilka razy wypomnieć mój brak spostrzegawczości. Jak mogłam się tak pomylić? Ale do cholery, skąd mogłam przypuszczać. Tkacki pasował do tego profilu idealnie.

Zmyliły mnie te stare zdjęcia, gdzie ciągle był tak dziwnie ubrany i jakby niższy. I jeszcze ten strój lotnika w śmiesznych zbyt dużych goglach na zdjęciu od Wiesława. Nie, na nich na pewno nie przypominał siebie – Jacka Nerskiego – wieloletniego przyjaciela mojego ojca.

– Czemu od razu nie powiedziałaś mi, kim jesteś? – pytam.

– Myślałam, że się domyślisz.

– Tak po prostu?

– Tak – śmieje się z pocziwymi ognikami w oczach. – Jak głowa?  
– Dziękuję, dobrze. – Chowam ręce do kieszeni i szukam ojca na horyzoncie wśród nagrobków. Rozmawia z księdzem. – Dobrze, że mi całych włosów nie ogolili, a tylko ten pas nad uchem. Za to jestem im wdzięczna.  
– No trochę oberwałaś, ale na szczęście to tylko muśnięcie – znowu szczerzy równe zęby. – A włosy odrosną.  
– Ja wiem.  
– Cieszę się, że zdążyłem dobiec. Bo gdy znalazłem lokalizator od tego gliny – kręci głową.  
– I znowu mam ci dziękować?  
– Właściwie nie mam nic przeciwko. Ale wiesz, co walałbym w zamian?  
– Wiem – śmieję się. – Jacek, ale co ty dasz temu glinie za Adama? Przecież Martin nieprędko wróci do Polski. I nadal nic na niego nie mam. Mój układ z Piotrem Duciem jest już nieaktualny – dodaję.  
– A widzisz, to już moja tajemnica, ale ci ze Wschodu na pewno się z tego nie ucieszą. – Nagle wyciąga coś z kieszeni płaszcza i podaje mi do ręki. – Masz, na pamiątkę.  
Czarny oktaedryczny kamień obraca się swobodnie na skórzanej powierzchni rękawiczki. Porowata powierzchnia nie połyskuje z żadnej ścianki. Nie pali wewnętrznym ogniem. Nie magnetyzuje blaskiem. On pochłania światło. Carbonado.  
– Ty nie wierzysz w tę klątwę? – pytam, zamykając czarny diament w dłoni.  
– Nie, to tylko bzdury.  
===LUIgTCVLIA5tAm9Pfkp/S39PbwJtA2oBYFJgUGliTT1SMUs/XnAAbA==



## Epilog

22 grudnia, 2012 roku, sobota, g. 05:45



Zdesperowany głos kobiety wzywa ostatnich pasażerów do odprawy bagażowej. Spikerka powtarza swój stanowczy komunikat dwa razy i nawet nie trzusi się na dublowanie w języku angielskim. Musiała widocznie sprawdzić, że na liście brakuje jeszcze tylko dwóch osób o polsko brzmiących nazwiskach. Anny Jankowskiej i Łukasza Mielickiego. Spóźnialscy sabotażyści lotu do Warszawy z wrocławskiego lotniska Kopernika. Słowo „natychmiast” zostaje zaakcentowane bardzo wyraziście i chyba zrozumiałe nawet dla największego ignoranta czy anarchisty.

Patrzę na Jacka, a on kiwa twierdząco głową. Podnoszę się powoli i sięgam rączki zielonej walizki. Torba z laptopem łąduje na ramieniu obok torebki.

Jacek wstaje ciężko z plastikowego fotela i chwyta mój bagaż. Odbiera mi go. W jego oczach widzę rozczarowanie, ale zdrowym ramieniem zagarnia mnie bliżej siebie i przytula. Całuje z czułością w czoło. Akurat na to już żadne z nas nie ma wpływu. Zrobiliśmy wszystko.

Ruszamy powoli do stanowiska odprawy bagażowej, gdzie śledzą nas nerwowe oczy ochrony i drapieżne spojrzenie pani z check-in’u. Podaję jej bilet, a Jacek stawia mój bagaż na ziemi. Zaczynam tłumaczyć, że jednak nie wsiądę do samolotu i chciałabym anulować dwa nazwiska z listy pasażerów. Pani sięga po słuchawkę telefonu ukrytego na pulpicie.

– Nie martw się. Jeszcze dorwę tego gliniarza. – Jacek już nawet nie próbuje być zabawny.

– Mam nadzieję – uśmiecham się smutno, a jego wzrok z mojej twarzy ucieka za oszklony front lotniska.

Pojawiający się nagle na jego ustach uśmiech, jak i promieniejące ulgą spojrzenie zdradzają mi właściciela dłoni, które chwytają mnie raptownie w pasie. Silny męski korpus przylega do moich pleców. Słyszę śmiech, a ostry zarost szarpie mój policzek i brodę. Później czyjeś natarczywe zęby gryzą bezceremonialnie moje ucho, wręcz prawie zrzucając mi kolczyk. Próbuję mu uciec i przekręcam trochę głowę, a dostrzeżony nagle krzywy uśmiech starszego aspiranta, Piotra Ducia, potwierdza tylko moje przypuszczenia.

To nie może być nikt inny, jak właściciel nagannie zaparkowanego nissana GT-R, którego widzę tuż przy szklanych rozsuniętych drzwiach wejścia. Tym razem przeszedł samego siebie, bo prawie wjechał nim do środka. I wcale mnie nie

dziwi, że ten czarny samochód obskakuje ochrona lotniska. Nerwowo spoglądają do środka, próbują go otworzyć, aż w końcu dwóch umundurowanych mężczyzn wbiega do hali odlotów. Dla nich to może i szokujące, ale ja jednak widzę postępy, bo tym razem właściciel auta chociaż włączył światła awaryjne. Migają wyjątkowo zabawnie na tym potworze. Obawiam się, że oprócz mnie i idącego w naszym kierunku Piotra nikt więcej tego nie doceni czy nie uzna za akt szacunku, a nawet formę resocjalizacji.

– Znów próbowałaś mi uciec. – Ten niski mocny głos trudno jest zapomnieć. Próbuję wyswobodzić się z jego objęć, by uniknąć kolejnego gryzienia małżowiny.

– Spóźniłeś się – odwracam się do niego przodem i wyrzucam mu to z bardzo poważną miną. A niech sobie nie myśli, że też się bardzo cieszę. Jeszcze nie zasłużył na taki entuzjazm.

– Mea culpa – zadziornie łypie szaroniebieskimi oczami i wpija się w moje usta, nie zważając na stojącego za mną Jacka ani inne osoby, które obserwują nas zaskoczone. Dłońmi przytrzymuje moje policzki, a namiętność płynie z każdego ruchu jego wargi i delikatnych mięśni językiem. Onieśmiela mnie po raz kolejny. W tym akurat Adam jest niezwyknięty. I jak tu się oprzeć takiej szelmie?

Trochę zmieszana i walcząca z nagłą męską spontanicznością, dostrzegam, jak Piotr wyciąga w kierunku ochroniarzy odznakę, powstrzymując ich przed brutalniejszym aktem skierowanym na jego osobę. Na pewno nie wyglądają na szczęśliwych, ale ustępują, ganiąc go wzrokiem. Krzyczą coś z gburowatymi minami, ale Piotr nie poddaje się ich presji. W końcu lotnisko jest prawie puste i nikomu nie dzieje się krzywda. Jak zwykle marudzą.

– No tak, „stary” to już zupełnie się nie liczy. – Jacek przerywa wreszcie Adamowi ten wylewny akt radości moim widokiem. Pozwala mi tym samym trochę ochłonąć i złapać oddech. Niech to licha! Adam chyba naprawdę się stęsknił. – Będziesz jeszcze miał okazję podziękować Lidii, ale z ojcem wypadałoby się pożegnać.

– Jacku.

Twarz niedoszłego kryminalisty wyraża dziwny niepokój, ale po chwili wahania poddaje się napływowi kolejnych emocji.

Podchodzi bliżej Jacka i patrzę sobie milcząco w oczy. Dopiero teraz dostrzegam u nich rodzinne podobieństwo. Ten smolisty kolor włosów, nieustępliwe spojrzenie, owalny zarys twarzy i zniewalający myśli uśmiech. I mogliby tak stać zapewne godzinę, nie wypowiadając ani jednego słowa, jakby w ogóle były im zbędne, gdyby nie kolejne kobiece zniecierpliwione wezwanie z megafonu. Odwracam się do zdezorientowanej pracownicy wrocławskiego lotniska i podaję jej dwa bilety. Piotr pomaga mi z torbą, odkładając ją na wagę. Podaje mi dokumenty Adama, a raczej Łukasza Mielickiego. Kobieta przyjmuje nasze zgłoszenie do odprawy. Jednocześnie wskazuje palcem kierunek, gdzie

bezzwłocznie mamy się udać. Może mnie ugryźć. Teraz i tak będą musieli poczekać.

Adam jako pierwszy nie wytrzymuje dzielącego go dystansu od Jacka. Może winny jest tu ten świąteczny nastrój, a może samotność ostatnich tygodni w więziennej celi. Pierwszy raz widzę, jak dorosły syn mięknie w ramionach ojca.

Mocny uścisk, zaciśnięte powieki i niewypowiedziana chęć rozmowy. Wszystkiego mogłam się spodziewać, ale nie widoku łez w oczach Jacka. Jednak mało jeszcze wiem i mało widziałam. Ludzie potrafią mnie zaskoczyć w tak banalnych sprawach.

Piotr wzdycha głośno, akcentując swoją obecność.

– Dziękuję – mówię to, podając mu rękę, a on ściska ją wyjątkowo mocno.

– Jak już mówiłem. Popsułaś mi reputację. – Jego zmęczone spojrzenie świdruje mnie przyjaźnie. – Teraz byle diler będzie chciał dokonać jakiejś wymiany.

– Ale chyba czasami się to oplaca – śmieję się, a jego silny uścisk dłoni łagodnieje. Nie mogę się powstrzymać, by go nie przytulić. Nie protestuje. Wręcz podrywa mnie z ziemi i obraca dookoła siebie. – Przepraszam w moim imieniu Anię – mówię, gdy wreszcie odstawia mnie na ziemi. – I moje trochę przedwczesne, ale najszczęśliwsze życzenia szczęścia na nowej drodze życia dla was obojga, Piotrze.

– Nie dziękuję i przekażę – mruga do mnie okiem, a głośne chrząknięcie długowłosego sygnalizuje jego dezaprobatę.

– Samochód już dostałeś, ale dziewczyny nie oddam. – Ostentacyjnie wyciąga do niego rękę. Ten uścisk dłoni chyba obu wiele kosztuje. Na pewno więcej Adama, który podaje policjantowi kluczek, dowód rejestracyjny i akt użyczenia pojazdu na rzecz wrocławskiej policji ze wskazaniem Piotra Ducia jako jedyne go użytkownika nissana GT-R. – Tylko nie zadraśnij.

Twarda przestroga i miazdzące spojrzenie. Ja po czymś takim już bym do niego nie wsiadła, ale nie pewny siebie starszy aspirant.

– Postaram się – rzuca i mruga do mnie okiem. Widać, że rozpira go radość. A jednak objęcie Adama programem ochrony świadków miało swoje zalety. Ten mały kant się oplacał. I to bardzo.

Pani z podwyższenia straciła cierpliwość i sama podchodzi do nas, żądając naszego odejścia. Celnicy nawołują z groźnym wyrazem twarzy. Ostatnia wymiana spojrzeń z Piotrem, a później Jackiem. Szczere uśmiechy, niewypowiedziane życzenia.

– Dzieciaki. Jakby co, to wiecie, gdzie mnie znaleźć. – Jacek chwyta ramię Adama i patrzy mu w oczy. – Opiekuj się nią dobrze – dodaje.

– Nie bój się. Nie pozwolę jej już skrzywdzić. – Adam milknie na moment. – Ale ty też pamiętaj, że już nie jesteś nastolatkiem. Dbaj o siebie, tato – ten uśmiech jakby nadwyreżył całe jego opanowanie.

W tej jednej chwili zwyczajowa poza lekkoducha i pajaca przestaje istnieć. Obok mnie stoi zupełnie inny człowiek. Adam z krwi i kości, który jednak czuje i kocha. Nawet opanowany Piotr ma dziwnie skonsternowany wyraz twarzy. Jacek nawet nie drgnie. A ich ostatni uścisk dłoni niesie w sobie tyle skrywanych emocji, że trudno powstrzymać mi wzruszenie. Czy musiało się aż tyle wydarzyć, by zaczęli w ogóle ze sobą rozmawiać?

– Chodź, bo się naprawdę spóźnimy.

Adam ewidentnie czuje się nieswojo w tej wrażliwej roli, więc po prostu próbuje uciec. Popycha mnie w kierunku labiryntu szarf wyznaczających kierunek kolejki do bramki, która zaraz potwierdzi naszą „czystość”. Chyba oboje czujemy zdenerwowanie.

Przechodzę ten test bez problemu, ale Adam alarmuje celników. Zapomniał zdjąć pasek. Drugie podejście udane. Zielone światło.

W samolocie pasażerowie linczują nas spojrzeniem. Przecież jesteśmy powodem dwudziestominutowego opóźnienia. Takich powinno się chłostać lub kazać stać całą trasę. Na szczęście w tej części rzędu zbyt wąskich krzeseł jesteśmy sami. Odkładam laptopa i przepuszczam Adama bliżej okna. I tak jest jeszcze ciemno. Poza tym ja naprawdę nie lubię latać.

Startujemy. Adam chwyta moją zaciśniętą na poręczu rękę. Próbuję dodać mi odwagi.

– Wiesz, cieszę się, że tę rozgrywkę mamy już za sobą – szepcze mi z ulgą. – I wiem, kto zgarnął twoją pulę – dodaje zaraz. – Ale jeszcze ci tego nie powiem.

**24 grudnia 2012 roku, poniedziałek, g. 07:00**



Fale wdzierają się kolejny raz w łagodną pochyłość brzegu i wymywają jasny piasek spod stóp. Walczę z siłą prądu wstecznego. Tłuste solne krople spływają mi po skórze nóg, drażniąc miejsca wyżłobione prawie do krwi przez kanciaste drobne ziarna. Włosy opadają ciężko na ramiona. Turkus wody razi swoją doskonałością. Słońce wypala mi kolejne zmarszczki na uśmiechniętej twarzy. I naprawdę nie dbam dziś o to.

Radosny ciemnoskóry Kreol pozdrawia mnie z kilku metrów i idzie dalej swoim nieśpiesznym krokiem do pobliskiego miasteczka. Może po świeże ryby z rannego połowu, bo rybackie łodzie właśnie dobijają do brzegu. A na drewnianym pomoście zaraz zaroi się od tubylców i kilku białych turystów spragnionych widoku, a może i smaku, egzotycznych mieczników, rozdymek tygrysich, żaglic czy marlina błękitnego.

Wszędzie szczęśliwi ludzie. Na boga, co to za miejsce? Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Ale słony smak w ustach i pieczenie w każdym zadraśnięciu są jak

uszczyplenięcia dla niedowiarka. Wulkaniczna wyspa na oceanie nie posiada roślinności, ale jest za to niekończąca się plaża i podają tu zwałającą z nóg capirinhę. Horyzont przecinają trójkątne białe żagle. Ogorzały windsurfer ściga się z latającą rybą. Mija kolejnego zapaleńca na desce. Po chwili dołącza następny, ale już z latawcem. Szturmują nachodzące ze wschodu fale.

Tak, to wyspa dla pragnących uciec od cywilizacji. Surowa i prosta. Dla mnie jest też czymś, co daje wytchnienie i chwilę głębszego relaksu. Tu naprawdę można odpocząć. Dopiero teraz doceniam pomysł Jacka.

Zmuszam się, by zejść z bezkresnej plaży i wrócić na teren hotelu. W pokoju znajduję ogromny kosz z owocami i czerwoną karteczkę z napisem Merry Christmas. No tak. Zapomniałam na śmierć. Przecież dzisiaj Wigilia.

Spłukuję sól ze skóry i wkładam zakupioną na lotnisku jasnoniebieską sukienkę. Mój organizm domaga się czarnej kawy i chociażby rogalika na śniadanie. Na szczęście spełnienie tych pragnień nie jest trudne. Idę sama do restauracji, nie chcę budzić długowłosego, którego na szczęście pan z recepcji ulokował w zupełnie innym bungalowie. Adam liczył, że zgodzę się na jeden wspólny pokój, ale tylko się łudził.

Po śniadaniu idę prosto do pobliskiego miasteczka uzupełnić braki w garderobie i wyposażeniu. Skoro mamy tu zostać następne dwa tygodnie, muszę mieć chociażby bieliznę na zmianę, jakieś sandały, a nie tylko plastikowe klapki, krem z filtrem i kilka innych drobiazgów nabytych w sklepach na lotnisku. Na szczęście nawet w święta można tu wszystko kupić, co prawda wyróżniam się i to bardzo, swoją bladą skórą i jasnymi włosami, ale Kreole przywykli już do turystów, wręcz cenią zwykły uśmiech sympatii, nawet gdy ktoś nie rozumie ani słowa z tego, co do niego mówią.

Specjalnie skręcam w jedną z wąskich uliczek i przekonuję się, że jednak nie mam obsesji prześladowczej, ale ktoś naprawdę mnie śledzi. Kilkunastoletni ciemnoskóry chłopak w T-shircie z żółciem podąża moim śladem i to chyba nawet od hotelu. Na początku myślałam, że mi się wydaje, ale przeszedł ze mną wszystkie odwiedzane kramiki i sklepy. Owszem paraduję z kilkoma torbami, ale to nie powód, by tak za mną łązić.

Przyspieszam kroku i po chwili dochodzę do placu. Widzę niewielki bar z dosłownie trzema okrągłymi stolikami. Zamawiam wyciskany świeżo sok i siadam przy jednym z nich. Obserwuję spod zakupionych okularów przeciwsłonecznych mojego młodego szpiega. Zatrzymał się w cieniu. Mam tylko jedno wyjście. Zostawiam torby i ruszam nagle w jego kierunku. Zaskoczony chłopak nie wie, co ma ze sobą zrobić. Udaje, że mnie nie widzi, odwracając głowę. Próbuje uciec, ale chwytam jego T-shirt z żółciem w ostatnim momencie. Wyrывa się, ale nie ustępuję. Przyciskam go do białej ściany jednopiętrowego budynku, a on chyba błędnie.

– Dlaczego mnie śledzisz? – pytam po angielsku, ale on tylko kręci głową na boki. – Kto cię tu przysłał? – widzę, że rozumie, o co mi chodzi.  
– Nie ja, nie ja – powtarza w zapętleniu łamaną angielszczyzną.  
– Kto? – syczę i widzę, że już zwróciłam zbyt uwagę stojących obok tubylców. Obserwują nas, czekając na rozwój sytuacji.  
– Mężczyzna. Obcy – powtarza.  
– Gdzie go znajdę? – dopytuję. Chłopak ewidentnie ma przestraszone oczy.  
– Riu – podaje nazwę sieci hoteli, ale mnie i tak to mało pomoże.  
– Ile ci zapłacił? – pytam, puszczając go. A chłopak wyciąga banknot dziesięciu euro. – No to nie byłeś zbyt drogi – śmieję się i sięgam do torebki. – A to masz za to, że przestaniesz za mną chodzić – mówię, podając mu dwa razy tyle, ile dostał od człowieka, którego nazwał „obcym”. – Uciekaj – wyraźnie się tego nie spodziewał, ale nie czekał dłużej i wybrał cień w najbliższej uliczce.

**24 grudnia 2012 roku, poniedziałek, g. 17:30**



Adama nie znalazłam w jego pokoju, przy basenie, w głównym budynku hotelu ani na plaży. Właściwie zdałam sobie sprawę, że nie widziałam go już ponad dobę. Sądziłam, że po prostu chce się wypaść lub niekoniecznie cały ten czas spędzać w moim towarzystwie. Posiadanie telefonu miało jednak zalety, chociaż wcale za nim nie tęsknię.

Jakby odpowiedzią na moje obawy było to, co znalazłam po powrocie z miasteczka w pokoju bungalowu. Rozłożona na łóżku czarna przylegająca sukienka, świetnie dobrane do niej kopertówka i czerwone szpilki w moim rozmiarze oraz świstek papieru z podpisem, „To na dzisiejszą kolację. Będę czekał przed hotelem o 18:30. A.”, miały mi chyba przypomnieć, że mogę na niego liczyć. Znajomy fetyszizm czerwonych butów trochę mnie odstraszył.

Wysłałam jeszcze e-maila z życzeniami do ojca i Ludmiły. I próbowałam się szybko pozbyć wyrzutów sumienia, bo zastawiłam ich przecież w Polsce samych. Ale ojciec odpisał od razu, że dojechali właśnie na miejsce i święta spędzą razem z Jackiem w Osówce, Górach Sowich. Podobno mieli tam kiedyś przyjaciół z czasów studiów. No i wreszcie mogli się tam wybrać.

Ubrałam się jednak w skromniejszą bladozieloną luźną sukienkę przewiązywaną w pasie, zakupione sandały na lekkim koturnie i swoją torebkę. Ten strój wydawał się mi bardziej stosowny na wigilijną kolację na jednej z wysp Zielonego Przylądka, i to z Adamem, który zapewne będzie flirtował z każdą napotkaną kobietą, a nawet uwodził kelnerki. Odgarnęłam jeszcze włosy z twarzy i spięłam z jednej strony, brakowało mi tylko egzotycznego kwiatka, bo pukle poskręcały mi się od solnej bryzy. Sprytnie ukryłam wygojone znamię nad uchem.

Wiedziałam, że ten strój nie jest elegancki, ale przecież jestem w końcu na wakacjach. Co prawda znów będę straszyć nieładem na głowie, ale co tam. Nie dbam o to.

– A ty dokąd? – Adam zatrzymał mnie jeszcze na schodach do głównego hotelowego budynku. Zlustrował mnie zimno i widać było, że chce powiedzieć coś bardzo niemiłego. Dezaprobata mojego stroju była aż nazbyt czytelna. Bo jednak on wyglądał stanowczo lepiej i o dziwo tym razem ubrał jasną koszulę pod grafitowy lniany garnitur.

– Nie włożę ich, zapomnij – uprzedzam jego pytanie, dlaczego nie ubrałam tego, co mi przyniósł.

– Tak, ale tak też tam nie pójdziesz – skwitował mój opór.

– Dlaczego?

– Bo aż nadto będziesz się tam wyróżniać – mówi i ciągnie mnie z powrotem w kierunku bungalowu. Stawiam opór, ale z jego zdecydowaniem trudno jest walczyć.

– Zakładaj to – pokazuje nadal leżącą na łóżku czarną sukienkę i od razu podaje mi te czerwone szpilki.

– Adam, ja nie chcę tam iść – bronię się, ale on siada na brzegu łóżka i patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Uwierz mi, chcesz tego bardziej niż myślisz – ciężko wzdycha. – Lidka, po prostu to włoż, chodźmy tam i sama zdecydujesz, co dalej.

– Ktoś mnie dzisiaj śledził – mówię to, pozbywając się swobodnego stroju i próbując się wcisnąć w to czarne przylegające „coś”. O dziwo, leży całkiem dobrze, a aprobata na twarzy Adama jest tego dowodem.

– Wydawało ci się – pomaga mi dopiąć zamek na plecach i żąda włożenia tych piekielnych butów. Ale ja odwlekam ten moment, pakując się do kopertówki, i sięgam po perfumy. Właściwie wychodzę boso, niosąc buty w dłoni. – I tak je włożysz – komunikuje zuchwale, gdy wsiadamy do czekającej na nas taksówki z logiem sieci hoteli Riu.

– A gdzie my w ogóle jedziemy? – pytam, gdy kierowca odpala silnik.

– Zobaczysz – poprawia moje włosy, burząc wcześniejsze ich upięcie. Nie podoba mi się to. – Dostaliśmy zaproszenie od znajomego – kończy wymownie i badawczo lustruje mój odsłonięty dekolt. Sięga do kieszeni i wyjmuje małe pudełko. Podaje mi je. – To dla ciebie. Później mogę nie mieć okazji.

Otwieram atlasową małą skrzyneczkę, a w środku błyszczy złoty łańcuszek z wisiorkiem w kształcie kropli wypełnionej szmaragdowym oczkiem. Nie mam wątpliwości, że to oryginalny kamień. Odbiera mi mowę na dłuższą chwilę.

– Ale ja dla ciebie mam tylko drobiazg – mówię zmieszana, a on sięga po łańcuszek i zawiesza mi go na szyi. Szmaragd spływa mi w odsłonięty dość głęboko dekolt. Pasuje idealnie.

– Nawet nie żartuj. Dałaś mi chyba najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałem – uśmiecha się, poprawiając ułożenie szlachetnego kamienia. – I chyba pora, bym ci podziękował. Chociaż to zbyt mała wdzięczność za powrót na wolność.

– Adam, przestań – przerywam mu. – Nie zrobiłam tego tylko dla ciebie. Jacek to naprawdę fajny facet – mrugam do niego okiem, a on gładzi mój policzek.

– Zauważyłem, że przypadliście sobie do gustu. Chociaż nigdy wcześniej nie akceptował moich wyborów.

– To dlatego przestaliście ze sobą rozmawiać? – Nie wiem, czy powinnam o to pytać, ale nie dawało mi to spokoju. – On tego bardzo żałował.

– To raczej stara rodzinna historia. – Mój wzrok jednak jasno informuje go, że nie odpuszczę, ale to, co chce mi powiedzieć, nie przychodzi mu wcale z łatwością. – Jacek zdradzał moją matkę, a ona udawała, że o tym nie wie. Odgrywali przy mnie szczęśliwą rodzinę, ale nawet nie sypiali w jednym łóżku. Byłem wtedy jeszcze zbyt młody, by zrozumieć, że on po prostu się zakochał w kimś innym. Rozwiedli się dopiero parę lat temu.

– I nie mogliście o tym porozmawiać? Przecież rozwód to nie koniec świata. Ty już nie jesteś dzieckiem.

– Trudno się rozmawia z synem, który uwiódł ci kochankę. Miłość życia, jak ją przy mnie kiedyś nazwał – milknie na chwilę, a jego oczy stają się po prostu szare. – Ona była niewiele starsza ode mnie. I zrobiłem to specjalnie. Nie mogłem mu wybaczyć, że dla takiej kelnereczki z podrzędnego baru zostawił matkę. Do tej pory nie rozumiem, co on w niej zobaczył. Bo poza jej ciałem... – kręci głową. – Wiedziałem, że on jej nie wybaczy zdrady.

– Byłeś cholernie okrutny – nie mogę się powstrzymać. Wzdycha z rezygnacją.

– Wiesz, on nie mógł na mnie patrzeć po ich rozstaniu. I od tamtej pory... – łapie oddech otwartymi ustami i nie kończy.

– Nigdy go za to nie przeprosiłeś?

– Nie... Nigdy.

– To może najwyższy czas to zrobić.

– Raz w więzieniu próbował ze mną o tym porozmawiać. Później zapytał o ciebie... o nas... – patrzy na mnie w ten badawczy sposób. – Miał chyba nadzieję, że wreszcie zrozumiałem, skoro byłem w stanie zabić z zemsty. Zabić za kobietę.

– Adam, proszę – próbuję mu przerwać, bo chyba nie do końca chciałam to wszystko usłyszeć. – Bo znowu czuję się winna.

– Nie. Jacek miał żal do siebie, że pozwolił mi w to wejść. Mimo wszystko... Ale on nigdy mi tego nie wybaczy.

– On cię po prostu kocha i myślę, że powinniście dać sobie szansę. Uwierz mi, żaden moment nie jest tym odpowiednim, ale każdy może być zawsze ostatnim.



I obyś nie musiał żałować tak jak ja – pochmurnieję.

– Lidka, ja już żałuję wielu rzeczy.

– Mam nadzieję, że nie z mojego powodu? – pytam.

– Może po części – patrzy na mnie dziwnie. – Tak trudno się tego domyśleć?

O nic więcej nie pytam, bo tego na pewno nie chcę wiedzieć. Ale już po chwili jesteśmy na miejscu.

Adam otwiera mi drzwi i wchodzimy do sporego hotelowego holu. Z recepcji od razu kierują nas do restauracji, gdzie świąteczny wystrój znowu przypomina mi, że zapomniałam nawet tego drobiazgu dla Adama. Przy stołach już siedzą goście, a ja dopiero teraz rozumiem, co on miał na myśli, mówiąc, że będę się nadmiernie wyróżniać z tłumu.

– Nie wiem, jak ty, ale ja przywykłem już do innych standardów – długowłosa pochyla się do mnie i mówi mi prosto do ucha. – Chyba teraz możesz je już włożyć. – Jego wzrok biegnie na kurczowo trzymane przeze mnie buty, a ja nie mam wyjścia. Moje stopy giną w czerwonych skórzanych szpilach, ale akurat one wcale nie dodają mi pewności siebie. – Chodź. – Adam podaje mi ramię, bo widzi moją narastającą niechęć do tego miejsca urządzonego z nadmiernym przepychem czerwieni i bieli.

– A jak stąd trafić do naszego hotelu? – pytam, a on wybucha śmiechem.

– Właściwie trzeba obejść cały cypel – kręci głową, a jego wzrok wyszukuje znajomą twarz w dystyngowanym tłumie i niestety zauważamy go oboje.

– Adam, co jest? – pytam cicho, ale ten, do którego zmierzamy, na pewno jest jednym z graczy. Henry. „Anglik”, już teraz rozumiem, o kim mówił mój szpiegujący Kreol. – Myślałam, że to już mamy za sobą – wstrzymuję go.

– Spokojnie, to on nas zaprosił. – Adam nie pozwala mi stanąć.

Henry zauważa nas i zaprasza gestem do swojego okrągłego stolika, przy którym siedzą już dwie ciemnowłose kobiety w czarnych kuszących sukienkach i rudowłosa piegowaty młodzieniec. Są jeszcze cztery wolne krzesła. Dwa na pewno dla nas, ale nie jesteśmy tu ostatni. Tylko że ja w tych czerwonych szpilach czuję się dokładnie jak „maskotka”, jak kolejna z tych siedzących tu dziewczyn. Mam ochotę po prostu stąd wybiec i wrzucić te buty do oceanu. Niech je fale zmiażdżą i gniotą. Nie chcę już wracać do tego, co było, a Adam z premedytacją mnie tu przyprowadził i kazał się tak ubrać. Przecież wiedział, ile kosztowało mnie wyciągnięcie go z aresztu i ta cała historia. To chyba jakaś forma jego zemsty. Tylko za co?

– Witam, witam. – Henry bezceremonialnie tym razem całuje mnie w policzek i ściska dłoń Adama. – Siadajcie. Zaraz przyjdzie reszta spóźnialskich. Lidio, bardzo miło cię widzieć. – Ten brytyjski akcent jest nawet zabawny. I chociaż dzisiaj wygląda bardziej wytwornie, to jednak swoim prążkowanym bordowym krawatem akcentuje indywidualizm.

– Przyznam, że nie spodziewałam się tego spotkania – patrzę mu w oczy, bo chcę znać odpowiedź, dlaczego.

– A ja byłem pewien, że się domyślisz – lustruje mnie badawczo, trochę w nerwowy sposób przeczesując swoje misternie ułożone do tyłu rudawe włosy.

– Henry, ale nie rozumiem po co – ostentacyjnie nie siadam nawet na dżentelmeńsko odsuniętym krześle przez Adama. – Ja już w to nie wejść, rozumiesz?

– Gwarantuję ci, że nie o to tu chodzi – odpowiada. – Jeszcze nie poznałaś mojego syna – wskazuje na młodzieńca, który podrywa się nagle z krzesła po przeciwnej stronie stołu i podchodzi do nas z radosnym uśmiechem.

– Jan, bardzo mi miło – podaje mi przedwcześnie rękę i ściska dość mocno. Ojciec karci go spojrzeniem, a Adam obdarza głupawą miną.

– Bardzo mi miło, Lidia – odwzajemniam uścisk i szczerą radość z niespodziewanego spotkania.

Rzeczywiście trudno nie zauważyć podobieństwa do ojca, jak i tego dziwnego angielskiego sposobu rozumienia zestawień deseni. Aczkolwiek rudowłosym podobno wybacza się więcej... Podobno.

Chłopak wita się również z Adamem i wraca z powrotem, by usiąść obok jednej z długowłosych ślicznotek. Dziewczyna głaszcze jego rękę i obdarza zalotnym spojrzeniem. Jednak rudowłosy młodzieniec nie przestaje śledzić mnie wzrokiem. Ta nachalność jest krępująca, więc unikam patrzenia w jego kierunku. Chyba nikt mu nie powiedział, że dżentelmen nigdy nie powinien zachowywać się tak ostentacyjnie.

Siadam, ale widać, że nie jestem zadowolona. I zaledwie w parę sekund w mojej głowie pojawia się jedyny sensowny plan tej wigilijnej wieczerzy. Czekam jednak na przystawki i wino podane do kolacji. Gwar ustępuje cichym rozmowom, jakby skupieniu. Zespół z rogu sali zaczyna intonować kolędy, światła na sali przygasają, wprowadzając bardziej intymny nastrój.

Atrakcyjne dwie młode ciemnowłose kobiety w nienagannym makijażu na opalonej twarzy uśmiechają się do mnie znad swoich kieliszków. Henry patrząc na mnie, trochę tężeje, a towarzyszący nam może osiemnastoletni chłopak łypie badawczo to na mnie, to na Adama. Dwa puste krzesła trochę stają się zadośćuczynieniem wigilijnej tradycji, ale praktycznie na tym ona się tu kończy. Nikt nie łamie opłatka, nikt nie składa życzeń.

Miałam nadzieję na spokojne święta, a oni po prostu postanowili mi je ceremonialnie popsuć. Proszę obsługującego nasz stół kelnera o dolanie czerwonego wina i upijam z kieliszka połowę. Adam patrzy na mnie i ściska moje udo pod stołem, jakby dokładnie przypuszczał, co zamierzam zrobić. Moje plany jednak niweczy podchodząca do naszego stolika jasnowłosa i smukła może dwudziestotrzyletnia kobieta. Wygląda olśniewająco w czarnej długiej sukni

i trzech zwojach pereł spływających w jej dekolt z szyi. Włosy ma zaczesane po prostu w kucyk i mocny odymiony makijaż oka. Zazdrosne spojrzenie dostrzegam na szczęście nie tylko u siebie, bo siedzące już przy stole dziewczyny praktycznie zgasły przy tej piękności. Męskie oczy wodzą za nią z sąsiednich stolików. Na pewno nie nazwę ją wiedźmą, ale ona potrafi oczarować już samą swoją obecnością.

– Najmocniej państwa przepraszam, ale mieliśmy małe zamieszanie z pokojami – tłumaczy czystą polszczyzną, a Adam wstaje i podstawia jej krzesło, by usiadła wygodniej tuż przy nim. Ten jego szelmowski uśmiech i zapalające się iskry w oczach są chyba najlepszym wyjaśnieniem, dlaczego chciał spędzić Wigilię akurat w tak wyszukany towarzystwie.

– Ależ Alicjo, nic się nie stało. Dopiero zaczęliśmy – Henry uśmiecha się szczerze i ponownie opada na krzesło, zachęcając ją do posiłku. Znów karci syna za brak manier.

– Ojciec zaraz dołączy, prosił, by nie czekać – tłumaczy, posyłając i w moim kierunku delikatny ukłon na powitanie. Odwzajemniam się równie powściągliwie, a jej serwetka ląduje na kolanach.

Nasz wzrok krzyżuje się ponownie w nienachalny sposób. A w tym jednym kobiecym spojrzeniu jest więcej zaskoczenia, niż mojej niechęci do planu, w który zostałam siłą wciągnięta. Zauważam jej czyste, jasne oczy i subtelną opaleniznę na prawie porcelanowej cerze. Chodzący ideał o zmysłowych ustach i nienagannym manierach.

– On się chyba trochę zestresował – Alicja rzuca półszeptem w kierunku Adama. Wymieniają spojrzenia.

– Ale przyjdzie? – Adam chce się upewnić.

– Tak, tak, na pewno.

Alicja uśmiecha się i dziękuje kelnerowi za przystawki. Kosztuje nalanego w kieliszek wina. Od niej po prostu bije neodparta aura kobiecości, a gracia każdego gestu nie tylko onieśmiela, ale stawia ją na bezkonkurencyjnej pozycji w rywalizacji o męskie zainteresowania czy względy.

Nie... ja tu na pewno nie pasuję. Przebywanie z tymi ludźmi jest jak ciągle pragnienie zadawania sobie bólu, jak autokanibalizm, z którym każe walczyć mi moja podświadomość. Nie rozumiem, po co mam się katować każdym ich spojrzeniem i zastanawiać, jak kiepsko wypadam na tle ideału. A moje szpilki po prostu palą mi stopy. I ten kieliszek właściwie sam wywraca się w moim kierunku przez nieuwagę. Czerwone wino strugą spływa mi na sukienkę i plami biało-czerwony obrus. Udaję mocno przejętą i materiałową serwetką próbuję ściągnąć ciecz z mojej kreacji. Oczywiście bezskutecznie. Wizyta w toalecie okazuje się niezbędna, chociaż na czarnym materiale i tak nie widać czerwieni wina, ale jest mokra plama, którą trzeba podsuszyć. Kelner szybko proponuje, że

mnie do niej zaprowadzi, a ja przepraszam wszystkich i znikam z ich oczu. Niewypowiedziana ulga.

Biorę głęboki wdech, a szpilki znów trafiają do mojej dłoni. Pan z recepcji przedstawia mi dwie wersje drogi powrotnej do hotelu, ale faktycznie poleca bardziej tę dłuższą, jednak z szumem fal i z bosymi stopami po piasku. Podobno nawet samotna kobieta nie ma się czego tu obawiać. Opuszczając z pomocą kolejnego uśmiechniętego Kreola ten sporej wielkości luksusowy hotel, wychodzę prosto na ocean. Życzymy sobie Wesołych Świąt, a skradziona butelka czerwonego wina musi mi dzisiaj dotrzymać towarzystwa w drodze, bo nie zamierzam wracać do tych piekielnie bogatych ludzi i ich świata. Ciemnoskóry chłopak śmieje się i pozdrawia na pożegnanie. I w najmniejszym stopniu nie przeszkadza mi, że już prawie po zachodzie słońca. Gwiazdy dziś świecą tak mocno, że bez problemu odnajduję drogę powrotną. Przecież mam tylko trzymać się brzegu.

Odchodzę na tyle, by zarys hotelowych budynków zniknął mi z oczu, i siadam na wilgotnym piasku. Przede mną tylko plaża i falujący w ciemności horyzont. Czego chcieć więcej? Wino jest cierpkie, ale dziś nie mam większego wyboru. Po prostu przechylam butelkę. I dopiero po kilku sporych łykach robi mi się lepiej. Wstaję niechętnie, ale trzeba jakoś dotrzeć do baru, gdzie drinki mam opłacone z góry. Stopy grzęzną przyjemnie w piasku, a czerwone szpilki same wpadają w kolejną nachodzącą na brzeg falę. A niech je piekło pochłonie! Je i ich wszystkich!

Nie sądziłam, że Adam tak szybko zapragnie powrotu do gry. W każdym razie nie pozostawił mi żadnego wyboru. Teraz już nie mogłam tu zostać. Bez niego czy z nim – to już w zasadzie było mi obojętne. Ja nie gram.

Butelka została gdzieś przy wydmie i właściwie zaraz pożałowałam, że wzięłam tylko jedną. Samotnie jakoś tak trudniej się szło, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Znów musiałam usiąść na piasku, a jakiś dziwny majaczący cień zaczął się przybliżać z oddali. Rósł i nabierał człowieczych kształtów. No nic, najwyraźniej nie tylko ja odczuwam dzisiaj frustrację. Pewnie przejdzie obok z tak samo zniechęconą do życia miną. Ja na dziś mam już dosyć ludzkiego towarzystwa.

– Sądziłem, że jednak będziesz chciała się ze mną spotkać. – Ewidentnie ten stający nade mną cień okazuje się zjawą, a może raczej pijackim majakiem.

Chucham na dłoń i wyczuwam cierpką woń alkoholu, co właściwie wszystko tłumaczy. Nie ma się czego bać. Tak jak się pojawił, tak samo szybko zniknie. Przecież on jest martwy, a podobno tylko w Wigilię duchy mają prawo odwiedzać żywych. No to mam, swoją mroczną zjawę, która chyba tak jak ja odczuwa potrzebę ostatniej nieodbytej rozmowy. Marka też często widywałam po jego śmierci. Później tłumaczono mi to jako niemożność pogodzenia się ze stratą ukochanej osoby. W każdym razie nie zwariowałam, tylko zbyt szybko opróżniłam

tę cierpką butelkę.

Jednak cień zdejmuje swoją marynarkę i okrywa mi prawie nagie plecy. Chyba robi mi się cieplej. Z pogodnym uśmiechem siada obok mnie na piasku, a swoje ciemne skórzane buty odstawia trochę z boku. Jego bose stopy grzęzną głęboko w mokrym osadzie.

– Właściwie miałem nadzieję, że się nawet ucieszysz – odwraca głowę w moim kierunku, a ja chcę się upewnić, że to tylko przewidzenie, sięgam więc dłonią jego twarzy. Ma gładki, równo ogolony policzek i chyba krócej niż ostatnio przyszyżone jasne włosy. Uśmiecha się wyczekująco, a ja tracę tę swoją wcześniejszą pewność.

– Ty żyjesz! – wyrzucam mu.

A jego usta się śmieją. Jasne oczy patrzą na mnie szczęśliwe i o dziwo pełne entuzjazmu.

– A ty się wcale z tego nie cieszysz – ton wskrzeszonego w tę parę chwil Tomasza nie ukrywa rozczarowania.

– Kłamca! Wiesz, co ja przez ciebie przeszłam?! Oszust! Jak mogłeś mnie z tym wszystkim po prostu zostawić?! Ja... Ty... – zacinam się, bo właściwie nie wiem, co mam mu powiedzieć.

Z jednej strony mam ochotę mu ostro nawrzucać i nazwać podłym egoistycznym draniem, a z drugiej strony coś każe mi się do niego przytulić. A niech to! Ta Wigilia jest gorsza od poprzedniej.

Wstaję, a jego marynarka osuwa się na ziemię. W narastającej złości zaciskam pięści i rzucam się do ucieczki, byle dalej, ale on biegnie za mną. Chwyta mnie w pasie i pozwala swobodnie opaść przy nim na piasku.

– Co ty sobie myślałeś? Że teraz będę płakać ze szczęścia, rzucę się na ciebie? Zapomnij! – walczę z siłą jego ramion, a on pozwala okładać się pięściami po torsie. Śmieje się przy tym, ale mnie nie puszcza.

– Lidio... – próbuje mi przerwać. – Do cholery, bo rzeczywiście będę musiał cię unieruchomić.

– I teraz mi jeszcze grozisz – dostaje kolejnego solidnego kuksańca pod żebra.

– Oj, będę musiał. – Bez skrępowań przewraca mnie na plecy i siada mi na biodrach. Dłonią przytrzymuje mi ręce przy głowie. Walczę, ale szybko odkrywam, że to praktycznie bezcelowe. Nieruchomieję, ale mój wzrok mógłby siekać. – No teraz już lepiej. – Bezczelny uśmiech nie schodzi mu z twarzy. Próbuje mnie pocałować, ale z odrazą odwracam głowę.

– Jak mogłeś... Zostawiłeś mnie samą...

– Cały czas wiedziałem, co się z tobą dzieje.

– I co to dało? – pytam ostro.

– To, że jeszcze żyjesz – jego uśmiech niknie szybko w nachodzącym

niepokoję, ale uścisk na moich rękach nie łagodnieje.

– I co mi po tym? Nie pomyślałeś, że ja tak nie chcę, że się do tego nie nadaję. Albo po prostu już zbyt wiele przeszłam.

– Lidio... – próbuje skupić całą moją uwagę na swoich słowach. – Zrobiłem to wszystko dla ciebie, rozumiesz?

– Nie – rzucam bezceremonialnie. – Ty jesteś po prostu pieprzonym egoistą!

– Gdybym tam został. Nie byłoby cię tu teraz – milknie i kręci głową z dezaprobatą. – Tego, dlaczego Tkackiemu tak na tobie zależy, dowiedziałem się zbyt późno. Już wszystko było ustawione. Adam opłacił ludzi, ściągnąłem z Londynu Alicję. Nie mogłem się wycofać. Nie miałem pojęcia o Rudym. Tego nikt nie planował – milknie na moment i dziwnie zagryza wargi. – Byłaś po prostu kolejną dziewczyną na odstrzał. Zwłaszcza że Adam w końcu pewnie by się złamał. Zgodziłby się na układ z Tkackim i to w obawie o Jacka. A tak uratowałaś jeszcze im obu życie – wzdycha ciężko, rozluźniając uścisk swoich dłoni. – Układy rodzinne w grze są morderczym zestawieniem. A oni znaleźli moją córkę. Dlatego musiałem zniknąć.

– To nie kłam, że zrobiłeś to dla mnie – wyrzucam mu.

– Dla was obu. Przecież miałaś okazję ją poznać. To Alicja – mówi to z takim spokojem, jakby wszystko było takie oczywiste.

– Czego ty ode mnie teraz oczekujesz?

– Źle mnie zrozumiałaś w trakcie naszej ostatniej rozmowy. Zrozum, musiałem zniknąć. Nie miałem już innego wyjścia – próbuje się usprawiedliwić. Milknie, wyczekując mojej akceptacji.

– Tomasz...

– Lidka – przerywa mi. Czuję, że robi się niebezpiecznie, bo pierwszy raz nazwał mnie zdrobnieniem. – Na razie chciałbym, byś spędziła ze mną Wigilię, a może nawet całe święta. Co ty na to?

– A co ja będę z tego miała?

Niech sobie nie myśli, że od tak przyklasnę jego propozycji. Z tym facetem trzeba się ostro targować.

– Hm... Niech pomyślę... – Silne dłonie znów zakleszczają się na moich rękach, a jego twarz zbliża się niebezpiecznie blisko.

– Nawet się nie waż! – ostrzegam go, ale chyba mało skutecznie, bo jego ciepłe usta już wpijają się w moją szyję. Zerka na mnie kontrolnie, a ja już nie mam siły z nim walczyć. Przecież to Tomasz. Żywy.

Jego język bardzo wolno rozwiera moje usta, a dłonie z ramion wędrują ku twarzy. Zamykają się na moich policzkach. Odbiera mi oddech, by zwrócić po chwili. Gryzie mnie przy uchu i domaga się mniej powściągliwej pieśczoły. I jak ja mam się mu oprzeć? Jak mu nie wybaczyć tego wielkiego oszustwa?

Głaszczę jego włosy, dotykam wilgotnych ust. Jego jasne oczy patrzą na

mnie z takim szczerym uczuciem. Nie mogę w to uwierzyć. Przed chwilą jeszcze były martwe.

– Może jednak porozmawiamy? – próbuję mu przerwać.

– Nie, nie tym razem. Zbyt długo czekałem.

Jest wyjątkowo spragniony i zachłannie szuka mojej wzajemności. Gorące pocałunki rozpalają wspomnienia. Dzisiaj to on się śpieszy. Nerwowo rozpina mankiety koszuli i zaczyna walczyć z moją sukienką. Najchętniej zdarłby ze mnie tę ciasną kieckę, którą zapewne sam wybierał, ale to nie takie proste. Niech pocierpi. Niech poczeka. Oddaję każdy pocałunek i ściągam z niego białą koszulę. Łatwiej schodzi przez głowę. Jego nagi tors przygniata mnie mocniej do piasku, a jego mięśnie ramion kuszą nieodparcie. Zatapiam w nich zęby, a on jęczy, i mam nadzieję, że z bólu. I znowu widzę tę doskonałość chropowatej skóry, pociągającą rzeźbę jego pleców i rowek falującego kręgosłupa. Ciężko wzdycham i nie wiem już, jak wypierałam te wspomnienia przez tyle tygodni. Zniewała mnie swoim zapachem do tego stopnia, że muszę go z niego zlizać. Szyja, ucho, usta. Smakuje mocnym alkoholem. I to chyba słodki, kwiatowy burbon rozgrzewa go tak zachęcająco. Jego dotyk pali moją nagą skórę, ale chcę więcej. Męskie szorstkie dłonie zsuwają się ze mnie, by znów powrócić z większą natarczywością.

Rani mi skórę drobinami piasku. Właściwie mam go już nawet w ustach. Tomasz domaga się więcej, a jego palce szarpią się z czarnym materiałem. Marszczone ramiączko sukienki nie chce ustąpić. Przygryza moją skórę i wodzi językiem po mostku. Zgniata piersi, napierając na mnie bardziej. Moje uda ustępują jego dłoni, a ja rozpinam mu pasek, a później spodnie. Na boga, on już jest gotowy!

Ewidentnie przeszkadza mu wszystko, co mam na sobie. Zdzierałby i darł szwy, zszycia, cały materiał. Jednak z bielizną radzi sobie lepiej niż z sukienką. Jego błyszczące oczy wyczekują mojej reakcji na to, co robią ze mną jego palce. Odchylam głowę do tyłu, a on nie przestaje. Wykonuje delikatne koliste ruchy i nagle jego dwa palce są już w środku. Nie mogę się powstrzymać i błagam go o jeszcze. Znowu wgryza się w moją szyję i swoim oddechem namawiam go do większej śmiałości. A on tylko się śmieje i mocniej rozchyła mi uda. I może gdyby nie ten piasek...

Muszę zmienić pozycję, bo tak będzie to zbyt bolesne. Lekko go odpycham, a on z tym swoim uśmiechem siada obok mnie na piasku i czeka, co zrobię. Wstaję i patrzę na niego. Muszę się nasycić widokiem pożądanego mnie mężczyzny. Płonące oczy, rozchylone usta i dłonie, które nie chcą mnie puścić. Jak to możliwe, że wytrzymałam bez niego tyle czasu? W tej chwili nie jestem w stanie tego pojąć.

Tomasz burzy napływające myśli i przyciąga mnie do siebie. Dłonie wędrują po moich udach w górę. Zaciska je na krągłości pośladków i wgryza się w materiał sukienki zakrywający to wszystko, co powinno być dla niego nagie. Gryzie, liże, szarpie. Znów schodzi niżej, pod materiał i wolno ściąga mi figi. Czuję jak opadają

i sięgają ziemi, a on chwytając je i odrzuca z pełną satysfakcją za siebie. Przytrzymując mi biodra, sadza na sobie. Poprawia ułożenie spodni, a moje kolana grzęzną w piasku. Czuję jak powoli wchodzi we mnie, napierając nagą skórą o moje wnętrze. Czuję tę nabrzmiałość w podbrzuszu, a on podciąga bardziej moją sukienkę. Jego dłonie na nagich pośladkach zaciskają się drapieźnie.

– Proszę, kochaj się ze mną – szepce mi, gryząc płatek mego ucha.

Zagarnia mnie bardziej, a moje biodra samoistnie wpadają w ten powolny rytm. Mnie się nie śpieszy. Nieziemskie uczucie. Mogłabym tak smakować jego usta godzinami i czuć, jak się rusza we mnie. Tak doskonały stan nie może się szybko skończyć. Nie czuję zimna ani osadzającej się na nas soli. Nawet nie słyszę wiatru. Ale jemu znowu się śpieszy. Nie wytrzymuje i zmusza moje biodra do mocniejszych natarć. Chce więcej i bardziej. Chce już. Jak dziecko.

A niech to! Poddaję się. Nie potrafię z nim walczyć. Jego jęk rozkoszy podnieca mnie podwójnie. Dochodzę zaraz po nim. I chcę naprawdę krzyknąć, ale jak zwykle jestem zbyt cicho. W końcu udaje mi się złapać oddech. Znowu pozbawił mnie zmysłów. Serce uderza zbyt szybko, a głowa opada na jego ramię. Przytula mnie mocno.

– Wiesz, stęskniłem się trochę... – mówi, patrząc mi w oczy.

– Ja chyba bardziej – znowu go całuję i próbuję uspokoić oddech.

– Oj, nie wiem. Jeszcze nigdy nie czekałem tyle na kobietę.

– Tyle? – Jestem szczerze zdziwiona.

– Tyle i ani dnia więcej. Proszę! – To błagalne spojrzenie jest jak obietnica.

– Wcześniej chyba wszystko dostawałaś na tacy.

– Nie, po prostu zbyt nie musiałem się starać – drażni się ze mną. – Dlatego dla mnie to wszystko jest takie nowe.

– Nowe czy raczej trudniejsze?

– Nowe – chwytając mój podbródek, bym miała pewność. – I nie tylko Adam uważa, że w tych czerwonych szpilkach wyglądałaś cholernie seksownie. Włóżysz je jeszcze kiedyś dla mnie?

– To zależy, czy zdołasz je wyłowić z oceanu – nawet nie ukrywam momentu triumfu.

– Nie muszę – rzuca zadziornie. – Po prostu kupię ci następne.